

Kristin Harmel

# Moje rzymskie wakacje



Kristin Harmel

Moje rzymskie wakacje



**Harmel Kristin**

# Moje rzymskie wakacje

*Aromat prawdziwego cappuccino, smak lekkiego wina, dotyk słońca na twarzy... To wszystko czuje rozsądna Cat, kiedy w porywie serca wraca do Włoch, by odnaleźć młodzieńczą miłość. Jednak sprawy przybierają niespodziewany obrót.*

*Przystojny nieznajomy powiedzie ją przez Wieczne Miasto śladami księżniczki Anny, bohaterki "Rzymskich wakacji", filmowego romansu*

# **z Audrey Hepburn.**

*Zabawna i wzruszająca opowieść o tym, że warto zaryzykować, by spełnić marzenia i... odnaleźć prawdziwą miłość.*

*Romantyczna historia, malownicze zakątki Rzymu oraz przepisy na pachnące bazylią i rozmarynem włoskie przysmaki.*

## **ROZDZIAŁ 1**

Wszystko zaczęło się od ślubu.

Tego poranka ja i moja siostra Becky wraz z kilkoma kuzynkami i przyjaciółkami zostałyśmy uczesane, wypolerowane i nabłyszczane do perfekcji w naszym ulubionym salonie na Upper East Side.

Słowa przysięgi zostały napisane i przećwiczone, pożyczono coś niebieskiego i kiedy tak stałam przed ołtarzem, patrząc, jak moja siostrzyczka szykuje się do złożenia przysięgi małżeńskiej mężczyźnie, którego znała od roku, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że to ja jestem czymś starym w komplecie do czegoś nowego.

Patrząc na moją siostrę, ksiądz zapytał:

- Rebeko, czy bierzesz obecnego tu Jaya za męża i ślubujesz wytrwać przy nim w dobrych i w złych chwilach, w dostatku i w biedzie, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć was nie rozłączy?

- Tak - odpowiedziała cicho.

Jej narzeczony Jay powtórzył słowa przysięgi. Nie mógł przy tym oderwać wzroku od mojej rudowłosej siostry, której bladą, piegowatą cerę idealnie podkreślała

jedwabna suknia w kolorze kości słoniowej od Caroliny Herrery.

Ksiądz miał właśnie przejść do następnej, bardzo poważnej kwestii wierności na zawsze, gdy usłyszałam ciche mamrotanie z pierwszego rzędu. Spróbowałam udawać, że nic nie słyszę, bo dobrze wiedziałam, co ono oznacza. Nie teraz, pomyślałam. Tylko nie teraz.

Ale mamrotanie słyszać było coraz wyraźniej.

A potem przybrało postać zachrypniętego, silnego irlandzkiego akcentu mojej babci.

- Co się dzieje? - spytała głośno, podczas gdy mój tata bezskutecznie próbował ją uciszyć. - Czy to mała Rebeka wychodzi za mąż?

Przez kościół przebiegł cichy pomruk, gdy głos babci nasilił się i popłynął

nad głowami zgromadzonych. Becky odwróciła się i spojrzała z przerażeniem najpierw na babcię, a

potem na mnie. Wzruszyłam bezradnie ramionami. Bo co mogłam zrobić? Stałam przy ołtarzu, kilka metrów od pierwszych rzędów ławek. Poza tym ucieszenie babci najwyraźniej tacie też nie szło najlepiej.

- Mamo - usłyszałam desperacki szept ojca. - Cicho! To ślub Rebeki!

- Rebeki, powiadasz? - zapytała głośno babcia głosem ostrym jak brzytwa. Był on wynikiem pozostawiania wiele lat w zgubnym nałogu nikotynowym. Zakaszła, żeby podkreślić pytanie. - Rebeki? Ale Rebeka jest młodsza! Co z Cat?

Zamknęłam na chwilę oczy, mając nadzieję, że może ojciec będzie miał na tyle rozumu, by wyprowadzić swoją matkę z kościoła. Ale oczywiście to był katolicki, irlandzki ślub -ni mniej, ni więcej, tylko w naszym wielkim klanie Connellych -a czym byłby taki ślub bez małego przerywnika w postaci pytań babki?

- Tak, mamo, Rebeka jest młodsza - szepnął uspokajająco tata. - Przecież wiesz... Porozmawiamy po ceremonii, dobrze?

Chwilę panowała cisza i pomyślałam, że może babcia zgodziła się przełożyć tę pogawędkę. Powoli wypuściłam powietrze z płuc i usłyszałam cichy szmer, kiedy inni goście zrobili to samo. Becky spojrzała na mnie z nieśmiałą nadzieją w oczach i odwróciła się z powrotem do Jaya.

Ledwie ksiądz zdążył otworzyć usta, babcia wtrąciła się ponownie. Jej donośny, ochryply głos przeszył pachnące kadzidłem, zastałe powietrze kościoła.

- Ale gdzie jest Cat? - spytała. Rozejrzałam się nerwowo, niepewna, czy powinnam się odezwać. - Gdzie Cat? - powtórzyła, tym razem głośniej.

- Jest tam, mamo - odpowiedział tata. Usłyszałam znużenie w jego głosie.

- Gdzie? - dopytywała babcia. - Nie w białej sukience, prawda?

- Nie, mamo. To Rebeka - odpowiedział tata, podczas gdy babcia przeszukiwała wzrokiem kościół.

Spojrzałam nerwowo na boki. Może zniknęłaby, gdybym po prostu ją zignorowała? Wstrzymałam oddech i spróbowałam policzyć od dziesięciu do jednego. To trik, który pozwalał mi się uspokoić, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką. Boże, proszę, pomyślałam. Proszę, niech babcia przestanie mówić. W końcu byliśmy w kościele. Powinien mnie tu wysłuchać, prawda?

Ale zamiast przestać, babcia zaczęła uporczywie powtarzać moje imię.

- Cat? - zapytała głośniej, wciąż chrypiąc. - Cat? Gdzie jest Cat? Cat, kochanie?

Po chwili jej wołania utonęły w protestach taty. Zacisnęłam mocno oczy, mając nadzieję, że lawina słów lada moment ustanie. Kiedy z trudem otworzyłam je chwilę później, Becky wpatrywała się we mnie z rumieńcami na twarzy.

- Zrób coś! - wyszeptała z naciskiem w głosie. - Proszę. Zebrałam siły, wzięłam głęboki wdech i odwróciłam się.

- Jestem tutaj, babciu! - wychrypiałam. Mój głos zdawał się odbijać echem od zimnego kamienia ołtarza.

- Cat, kochanie! - wykrzyknęła babcia, a twarz jej się rozjaśniła. - Prawie cię nie poznałam, skarbie! Masz na sobie sukienkę! I ułożyłaś włosy!

Tu i ówdzie usłyszałam śmieszki.

- Hm, tak - powiedziałam. - Posłuchaj, może porozmawiamy później, dobrze? Rebeka chciałaby wyjść za mąż, a my jej przeszkadzamy.

- Ale właśnie o tym chciałam porozmawiać, skarbie! - zawołała, zanosząc się kaszlem, żeby podkreślić wagę swoich słów. Jedną szczupłą, kościstą dłonią zasłoniła usta, a drugą wygładziła wściekle zieloną, niemodną od prawie pięćdziesięciu lat sukienkę, którą zakładała na wszystkie rodzinne wesela.

Spojrzałam na ojca. Chociaż górował na babcia, mierząc dobre sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, patrzył na mnie bezradnie z niemymi przeprosinami w oczach.

- Wszystko w porządku, babciu - dodałam uspokajająco. - Porozmawiamy później.

- Ale Cat! - wykrzyknęła ponownie babcia. Na chwilę zamilkła, kaszląc gwałtownie, podczas gdy tata klepał ją po plecach. - Cat, kochanie! -

podjęła, ledwie atak ustąpił. - Twoja siostra jest znacznie młodsza niż ty!

A teraz to ona wychodzi za mąż? Co się stało z tym miłym, młodym człowiekiem, z którym się umawiałaś, skarbie? Nazywał się Dennis, prawda? Schrzaniłaś wszystko?

Kolejna fala śmieszek przetoczyła się przez kościół. Natychmiast zaschło mi w ustach, jakby ktoś wypełnił je garścią wacików kosmetycznych. Wnętrze kościoła lekko zawirowało. Poczułam się jednak nie tak, jakbym miała zemdleć, raczej jak we śnie.

To jest to! Może to wszystko mi się śni? Na pewno!

Trzydziestoczteroletnia kobieta zostaje upokorzona przez własną babkę na oczach stu dwudziestu osób na ślubie dwudziesto-

dziewięcioletniej siostry - na jakim pokręconym świecie coś takiego byłoby możliwe? Z całą pewnością to tylko paskudny psikus mojej wybującej wyobraźni.

Na wszelki wypadek uszczypnęłam się. Mocno.

Ala!

Tak. No cóż. Najwyraźniej śniłam tak głęboko, że uszczypnięcie nie zadziało. Zrobiłam to więc jeszcze raz, tyle że mocniej. Wciąż nic.

Spojrzałam na Rebeke.

- To mi się tylko śni, prawda? - wyszeptałam. - To senny koszmar pojawiający się w reakcji na fakt, że

bierzesz ślub przede mną, chociaż bardzo się cieszę twoim szczęściem. Powiedz, że tak.

Becky spojrzała na mnie dziwnie.

- Nieee - powiedziała wolno. - W żadnym wypadku nie śnimy. Proszę cię, Cat! Zrób coś!

- Tak - wymamrotałam, bo groza sytuacji zaczęła do mnie w pełni docierać. - Hm, babciu - powiedziałam ostrożnie. - Porozmawiamy po ceremonii, dobrze? Obiecuję, że poruszymy wszystkie aspekty mojego schrzanionego życia. Dobrze?

Tata pochylił się w stronę babci, próbując ją uciszyć, ale było już zdecydowanie za późno. Miała coś do powiedzenia i zamierzała to powiedzieć.

- Po prostu nie rozumiem, kochanie! - powiedziała głośno, odpychając mojego ojca z zadziwiającą siłą. - Nie jesteś brzydka.

- Dziękuję - odpowiedziałam, patrząc na twarze zgromadzonych osób.

Niektóre były rozbawione, inne przerażone.

- Nie jesteś tępa - kontynuowała babcia.

- Dziękuję - powtórzyłam przez zaciśnięte zęby.

- Jestem pewna, że zachowałeś wianek, jeśli wiesz, o czym mówię -

dodała całkiem poważnie, po czym mrugnęła i dorzuciła teatralnym szeptem: - Mam na myśli seks.

- Yyyyy - wydusiłam z siebie, a moja twarz przybrała kolor duszonych buraczków. Śmieszki stawały się coraz głośniejsze. Nawet ojciec Murphy odchrząknął. Zamknęłam

na chwilę oczy, zastanawiając się, czy są jakieś szanse na to, że nagle stanę w płomieniach. Wydawało mi się to całkiem dobrym rozwiązaniem.

- No więc na czym polega problem? - dopytywała się babcia, bo mnie wciąż nie udało się samoczynnie zająć ogniem. Rozejrzałam się na boki, szukając drogi ucieczki, ale oczywiście nic z tego.

- Hm... - zaczęłam.

- Jesteś już prawie starą panną, kochanie! - zaszczebiotała babcia, co sprawiło, że zapragnęłam paść trupem na miejscu. Przerwała na chwilę. -

Zegar tyka - zapiszczała, trzepocząc rękami nad głową niczym obłąkany ptak. A potem równie szybko usiadła na ławce, uśmiechnęła się i pomachała mi, jakbyśmy nie przeprowadziły właśnie długiej, kompromitującej rozmowy na oczach wszystkich gości weselnych mojej siostry. - Witaj, kochanie! - powiedziała wesoło. - Skąd się tu wzięłaś?

Goście siedzieli osłupiali w całkowitej ciszy, aż w końcu ojciec Murphy odchrząknął.



- Hm, no tak - powiedział speszony. - To było, hm, bardzo pouczające. A teraz, czy moglibyśmy wrócić do przysięgi?

Becky spojrzała na mnie zatroskana i spytała bezgłośnie:

- Wszystko w porządku?

Kiwnęłam głową i zmusiłam się do uśmiechu.

- Jasne!

Ale prawda była taka, że czułam się przerażona, poniżona i upokorzona.

W dodatku czułam się tak jeszcze zanim babcia otworzyła usta. W końcu kiedy do trzydziestych piątych urodzin zostało ci sześć tygodni, twoja młodsza siostra właśnie znalazła mężczyznę swoich snów, a ty niewzruszenie tkwisz w stanie wolnym po kolejnym beznamiętnym zerwaniu, nietrudno jest czuć się życiową ofiarą. Nawet jeśli cieszysz się z powodu jej szczęścia, tak że masz ochotę pęknąć, cichy głosik w twojej głowie, podejrzanie podobny do głosu babki, pyta: „Co z tobą jest nie tak?”

Dlaczego nikt cię nie kocha?”.

## **ROZDZIAŁ 2**

Oczywiście było to głupie pytanie. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, kochało mnie wiele osób. Na przykład mój tata i babcia. A ponieważ tata był Amerykaninem pochodzenia irlandzkiego dopiero w pierwszym pokoleniu, dochodziło do tego obowiązkowych siedmiu wujków, pięć cioć i kilka miliardów (no dobrze, dwudziestu pięciu) kuzynów tylko ze strony jego rodziny. Poza tym była też oczywiście moja jedyna siostra Becky, najlepsza przyjaciółka na świecie.

Myślę, że nasze relacje były wyjątkowe, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę pięcioletnią różnicę wieku. Ale nasza matka -ognista, wybuchowa Włoszka - zostawiła nas bez słowa półtora tygodnia przed moimi dwunastymi urodzinami, a tego rodzaju wydarzenia mocno zbliżają ludzi.

Tata kompletnie się załamał, a zanim doszedł do siebie, minął ponad rok, więc to na mnie spadł obowiązek zajęcia się wszystkim.

Odeszłam z drużyny piłkarskiej, zrezygnowałam z lekcji baletu i porzuciłam marzenie o graniu na trąbce w orkiestrze szkolnej. W efekcie stałam się dorosłą, zanim zdążyłam zmienić się w nastolatkę.

Odprowadzałam Becky do szkoły i na zajęcia dodatkowe, codziennie wieczorem gotowałam obiady

dla naszej trójki, a jeśli tata pracował po godzinach, również sprzątałam mieszkanie. Nie przeszkadzało mi to, wręcz przeciwnie - wydawało mi się oczywiste, że to moja rola.

A potem, kilka miesięcy po moich siedemnastych urodzinach, mama wróciła. I spodziewała się, że będzie tak, jakby nigdy nas nie opuściła.

Była z nami, kiedy kończyłam ostatnią klasę liceum, a Becky siódmą podstawówki. Na początku wynajęła mieszkanie na tej samej ulicy.

Potem ona i tata zaczęli chodzić na randki i wydawało się, że znów się w sobie zakochują. Becky była za mała, żeby czuć się naprawdę opuszczona za pierwszym razem, gdy mama odeszła, i była wniebowzięta, że może znowu mieć ją w domu. Moje odczucia były zupełnie inne. Przez te pięć lat znenawidziłam ją za to, że nas opuściła.

Gdy wróciła, wciąż czekałam, kiedy ponownie złamie nam serca.

Chciałam udusić ojca za każdym razem, gdy wzruszał bezsilnie ramionami i mówił głosem, w którym zanikał już irlandzki akcent:

- Cat, córeczko, ona jest moją jedyną prawdziwą miłością. No i jest twoją mamą. Nie możesz dać jej drugiej szansy?

Wprowadziła się do nas trzy miesiące po swoim powrocie. Każdego dnia czekałam, że znów nas zostawi. Wiedziałam, że to zrobi. Czułam to w głębi duszy.

I pewnego dnia rzeczywiście tak się stało. Ale inaczej niż myślałam.

Umarła. Rozległy zawał serca zabił ją w wieku czterdziestu dziewięciu lat.

Po raz drugi w życiu zostałam opuszczona przez matkę. Tym razem na zawsze. W dodatku nie była to jej wina i z tym właśnie najtrudniej było mi się pogodzić. Tym razem nie mogłam jej winić za odejście. Ale mogłam nienawidzić siebie za to, że nie pogodziłam się z nią, kiedy jeszcze było to możliwe.

Tata wpadł w depresję. Becky zamknęła się w swoim pokoju i nie chciała z nikim rozmawiać. A ja bez słowa porzuci-

łam plany studiów na uniwersytecie w Kalifornii. Zamiast tego zostałam w domu i poszłam na uczelnię w Nowym Jorku. Kiedy skończyłam studia na wydziale księgowości, podjęłam pracę w firmie specjalizującej się w podatkach, również w tym samym mieście. I tak już zostało. Byłam Cat Connelly - osobą, na której zawsze można polegać.

Tak było lepiej. Mogłam zająć się tatą i Rebeką. I to właśnie robiłam. W

ciągu kilku następnych lat nasza trójka stała się nierozłączna. Wszyscy zmieniliśmy się po śmierci mamy. Tata nauczył się, że czasem trzeba pozwolić odejść ludziom, których się kocha. Becky nauczyła się, że zawsze będzie ktoś, kto się nią zajmie.

A ja? Zaczęłam ufać instynktowi. Zrozumiałam, że nawet ludzie, którzy powinni cię kochać, mogą pewnego dnia odejść bez żadnego powodu.

- Tęsknię za mamą - wyszeptła Becky kilka minut po tym, jak usiadłyśmy do kolacji na weselu, które odbywało się w restauracji U

Adriano na Upper West Side.

- Tak? - spytałam wymijająco. Becky skrzywiła się.

- Nie rób tego, Cat - powiedziała. - Nie dzisiaj.

- Nie rób czego? - spytałam niewinnie.

- Tego z mamą - odpowiedziała.

Becky pamiętała tylko te dobre chwile i wielbiła naszą mamę. To była jedyna sprawa, co do której nigdy nie mogliśmy się zgodzić.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Nie będę. Becky przyjrzała mi się i skinęła głową.

- Dziękuję - powiedziała. Wzięła głęboki wdech. - Chciałabym, żeby tu była. Myślę, że byłaby dumna. - Znów na chwilę przerwała, po czym dodała: - Na pewno by jej się podobało.

- Tak - zgodziłam się po chwili. - Chyba masz rację.

I naprawdę tak myślałam. Wesele było wspaniałe. Dokładnie takie, jakiego się spodziewałam.

Sala weselna Roma w restauracji U Adriano, ulubionej włoskiej knajpce Becky, była wypchana po brzegi przyjaciółmi i członkami rodziny mojej siostry i Jaya. Nieotynkowane ściany z cegły nadawały jej ciepły, kameralny wygląd. Krzesła z wysokimi oparciami były pokryte jasnozieloną tkaniną. W rogu na kominku płonął ogień, oświetlając część sali, podczas gdy kryształowe żyrandole rzucały łagodne światło na resztę pomieszczenia.

Większość gości wciąż jadła i rozmawiała, gdy wstałam i przeszłam na koniec sali, gdzie zostawiłam swoją wielką torbę, upchniętą pod stołem z prezentami. Wyjęłam z niej aparat fotograficzny, jeden z moich największych skarbów. Było to Panasonic Lumix DMC-FZ50S, jedyny większy zakup, na jaki pozwoliłam sobie w ciągu ostatnich pięciu lat.

Kupiłam go sobie w prezencie na trzydzieste czwarte urodziny i postanowiłam, że będę go często używać. Od tamtej pory spędziłam wiele poranków, szwendając się po okolicy i fotografując zwyczajne życie ludzi - siedzących na werandach z czerwono-brązowego piaskowca, wyprowadzających psy, wynoszących śmieci. Udało mi się uchwycić kłócące się pary, matki poprawiające kołnierzyki przy ubrankach swoich maluchów, wnuczki trzymające dziadków pod ramię podczas przechadzki. Z jakiegoś powodu czułam się najszcześliwsza, mogąc obserwować świat przez pryzmat soczewki. Byłam wtedy niewidzialna, anonimowa.

Wtapiałam się w tło, podczas gdy koło mnie toczyło się życie.

Robiłam zdjęcia na imprezie zaręczynowej Becky i chociaż bardzo jej się podobały, poprosiła, żebym nie zawracała sobie głowy fotografowaniem podczas wesela.

- Zatrudnimy kogoś do zdjęć - powiedziała. - Po prostu dobrze się baw, OK? Wtedy się zgodziłam, ale teraz, kiedy Becky była całkowicie zajęta Jayem, nie mogłam nie zrobić

kilku fotek. Wiedziałam, że będzie mi za nie później wdzięczna. Becky kochała być fotografowana, a dzisiaj wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

- Cześć, mała - powiedział tata, podchodząc do mnie od tyłu i ściskając moje ramię chwilę po tym, gdy skończyłam sporą serię zdjęć. - Jak się masz?

Odwróciłam się i opuściłam aparat. Wyglądał przystojnie w swoim ciemnym garniturze, sztywnej białej koszuli i jasnozielonym krawacie, który odcieniem idealnie pasował do mojej sukienki pierwszej drużyny.

Uśmiechnęłam się.

- Dobrze - odpowiedziałam. - Jest pięknie, prawda?

- Myślałem, że masz zakaz używania aparatu w czasie wesela - mrugnął. -

Rozkaz panny młodej.

- Nie mogłam się powstrzymać - odparłam. - Ależ ona pięknie wygląda, prawda?

Tata skinął głową i chwilę patrzyliśmy na Becky.

- Posłuchaj, mała - zaczął w końcu tata. - Przykro mi z powodu tego, co powiedziała babcia.

Pokręciłam głową.

- To nie twoja wina - odrzekłam. Głośno przełknęłam ślinę. - Mam tylko nadzieję, że Becky za bardzo się nie zdenerwowała.

Tata spojrzał na mnie surowo.

- Babka upokarza cię na oczach ponad setki ludzi, a ty martwisz się tylko o siostrę?

Odwróciłam wzrok.

- To nic takiego.

Kilka minut później niechętnie odłożyłam aparat i skierowałam się do łazienki, żeby poprawić makijaż. Po drodze spotkałam dwie ciotki, które w najlepszej wierze oznajmiły mi, że: „Twój czas nadchodzi, kochanie” i

„Ślicznie dzisiaj wyglądasz. Nie martw się tym, co powiedziała babcia”, oraz kilka kuzynek, którzy rzuciły: „Świetnie ci w tym kolorze” oraz „A kiedy ty wychodzisz za mąż?”.

Uśmiechałam się, udzielałam poprawnych odpowiedzi i miałam dobre wymówki. Już prawie bezpiecznie dotarłam na tyły restauracji, kiedy kuzynka Melody, wysoka, pulchna kobieta z fatalną fryzurą zatrzymała mnie, kładąc mocną, lodowatą dłoń na moim ramieniu.

- A gdzie jest Keith? - spytała. Jej oczy świdrowały mnie na wylot.

Melody była tylko rok starsza ode mnie, ale nigdy nie byłyśmy blisko.

Mieszkała pod Bostonem jak większość moich krewnych. Była zamężna od dziesięciu lat i właśnie chodziła w zaawansowanej ciąży z szóstym dzieckiem.

- Nie ma go tutaj - odpowiedziałam wymijająco, nie chcąc drażnić tematu.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, mając nadzieję, że na tym konwersacja się zakończy i będę mogła odejść. Ale ona wciąż trzymała moje ramię w żelaznym uścisku.

- Dlaczego nie? - spytała, a jej uśmiech był tak słodki, że aż mnie zemdliło. Krople potu perliły się na jej czole, spływając na źle zrobiony makijaż, niemal go rozmazując.

Myślałam, że ta historia obiegła już cały bostoński klan Connellych. Ale może jakimś sposobem ominęła Melody. Albo po prostu kuzynka postanowiła mi dokuczyć.

- Zerwaliśmy, Mel - powiedziałam przez zaciśnięte zęby. Patrzyła na mnie przez chwilę. Przysięgłabym, że na jej

twarzy na moment pojawiła się satysfakcja. Zawsze ze mną rywalizowała.

- Przykro mi to słyszeć, Cat - zagruchała. - W twoim wieku musi być ciężko zostać porzuconą.

Wzięłam głęboki wdech. Wiedziałam, że próbuje zaleźć mi za skórę.

Wiedziałam też, że lepiej byłoby po prostu dać sobie spokój. Ale i tak odpowiedziałam.

- Nie rzucił mnie - wyjaśniłam. - To ja z nim zerwałam. Teraz naprawdę była zdziwiona. Roześmiała się.

- Och, przestań, Cat - powiedziała. - Nie musisz udawać. Przecież zostać porzuconą to nic złego. Każdej z nas może się to przytrafić. - Zamilkła na chwilę, po czym uśmiechnęła się

i pogłaskała po wystającym brzuchu. - Cóż, z moim wyjątkiem, oczywiście.

- Nie ze r wa ł ze mną, Melody - warknęłam. - Po prostu doszłam do wniosku, że do siebie nie pasujemy.

- Chyba nie mówisz poważnie. - Wybałuszyła oczy tak, jakby za chwilę miały wyjść z orbit. - Miałś faceta, który cię kochał. W dodatku dobrze zarabiał. A ty go rzuciłaś, bo uznałaś, że do siebie nie pasujecie?

- Tak - odpowiedziałam.

- Masz trzydzieści pięć lat - powiedziała bezbarwnym głosem.

Odchrząknęłam.

- Trzydzieści cztery. Zignorowała moje słowa.

- Nie sądzisz, że nie zostało ci już dużo czasu? No wiesz, naprawdę!

Wzięłam kolejny głęboki wdech i próbowałam zachować spokój. W

końcu wszyscy reagowali na moje słowa mniej więcej tak samo.

Najwyraźniej, kiedy masz trzydzieści cztery lata, powinnaś kurczowo trzymać się każdego, kto wykazuje jakiegokolwiek zainteresowanie tobą, jakby od tego zależało twoje życie. Najwyraźniej miałam cholerne

szczęście dziewięć miesięcy temu, gdy złowiłam łagodnego Keitha Zcenicka, starszego księgowego w mojej firmie.

- Po prostu do siebie nie pasowaliśmy - powtórzyłam spokojnie, chociaż w środku trzęsłam się ze złości.  
- A teraz, jeśli pozwolisz, muszę iść do toalety.

Wyszarpnęłam ramię z jej silnego uścisku i odeszłam w stronę damskiej ubikacji, wściekła, że w kącikach oczu zebrały mi się szczypiące łzy.

W łazience wszystkie trzy kabiny były zajęte. Stanęłam więc na chwilę przed lustrem i ochlapałam twarz zimną wodą. Skoro nie załamalam się, kiedy babcia upokorzyła mnie

na ślubie, byłam w stanie zebrać dość sił, by przetrwać zniewagi Melody bez płakania, prawda? Osuszyłam twarz, wzięłam głęboki wdech i spojrzałam w lustro, próbując się uspokoić.

Twarz patrząca na mnie z lustra wydawała się nie pasować do twarzy innych członków rodziny. Zawsze tak się czułam podczas rodzinnych spotkań. Podczas gdy moja siostra wyglądała jak nieodrodna córka naszego ojca i członkini jego irlandzkiego klanu, ja byłam idealną kopią mojej pochodzącej z Włoch mamy. Becky miała metr sześćdziesiąt dwa i była drobniutka, a ja górowałam na nią swoim metrem siedemdziesiąt pięć wzrostu, stojąc niezgrabnie na długich nogach. Włosy Becky były kręcone i marchewkowe, moje - proste jak druty i ciemnobrązowe. Jej alabastrowa cera pokryta była jasnymi piegami, które tata nazywał

pyłkiem chochlików. Na mojej bladej twarzy nie było śladu żadnych magicznych drobin z wyjątkiem małego pieprzyka na policzku z prawej strony. Tata zawsze powtarzał, że to niesamowite - mama miała dokładnie taki sam pojedynczy pieprzyk w tym samym miejscu. Oczy Becky były lśniące i niebieskie, a moje ciemnozielone, zupełnie jak u mamy. Od kiedy mamy zabrakło, czułam się tak, jakbym spadła w sam środek idealnego irlandzkiego świata taty z jakiejś alternatywnej włoskiej rzeczywistości.

W takie dni, gdy moje poczucie własnej wartości gwałtownie spadało, marzyłam o tym, żeby spojrzeć w lustro i zobaczyć coś podnoszącego na duchu. Ale zamiast tego widziałam twarz, która z każdym mijającym rokiem coraz bardziej upodabniała się do twarzy matki - kobiety, której nie można było zaufać. Kobiety, która nie potrafiła kochać.

Weź się w garść, Cat, wyszeptałam do swojego odbicia i spojrzałam na nie złowrogo. Wzięłam kilka głębokich wdechów. Właśnie miałam odwrócić się i wyjść, gdy usłyszałam dobiegający ze środkowej kabiny cienki głosik.

- Właściwie to mi jej żal.

Wydawało mi się, że rozpoznałam piskliwy głos należący do mojej kuzynki Cecilii. Przechyliłam głowę i słuchałam, zastanawiając się, o kim tym razem plotkują. Uśmiechnęłam się do swojego odbicia w lustrze.

Naprawdę, nigdy nie przestawały. Moje kuzynki zachowywały się jak stadko małych starszych pań, uwięzionych w ciałach trzydziestokilkulatek.

- A mnie nie - odpowiedział drugi głos, który prawie na pewno należał do innej kuzynki, Elinor. - Naprawdę nie brakowało jej okazji. Na kogo ona czeka? Na księcia z bajki?

- Najwyraźniej Cat uważa, że jest lepsza niż inni - powiedział trzeci głos, należący do kuzynki Sandy.

Wzdrygnęłam się, a uśmiech zniknął mi z twarzy. Rozmawiały o mnie?

- Ma się za tak świetną, że żaden z tych zupełnie przyzwoitych facetów, których porzuciła, nie był dla niej wystarczająco dobry - włączyła się Elinor.

- Nie wiem - odpowiedział jej głos ze środkowej kabiny. -Może zachowuje się w ten sposób z powodu tego, co stało się z jej mamą, nie sądzicie?

- Och, bez przesady - zadrwiła Sandy. - Można winić nieżyjącą matkę za swoje problemy tylko do pewnego momentu. To żałosne. Sposób, w jaki porzuciła tego ostatniego chłopaka... tego Keitha... To było okropne.

- Naprawdę - powiedziała ta, którą podejrzewałam, że jest Elinor. -

Niedługo zaczniesz jej brakować facetów.

Rozległ się szum spuszczonej wody i ten dźwięk wytrącił mnie z transu przerażenia, w którym tkwiłam od kilku chwil. Rozejrzałam się szybko na boki. Ostatnią rzeczą, jakiej mi było potrzeba, to przyłapanie na podsłuchiwanie upokarzającej rozmowy o sobie.

Zanim zdążyłam pomyśleć, co robię, szarpnęłam drzwi łazienki i wyskoczyłam na korytarz. Miałam nadzieję, że żadna z kuzynek tego nie zauważyła. Rozejrzałam się szybko. Na

jednym końcu były drzwi do męskiej toalety. Na drugim -wejście na salę restauracyjną. Z pewnością nie miałam ochoty jeszcze tam wracać. Nie potrzebowałam stu dwudziestu osób patrzących na mnie z dezaprobatą, gdy Izy wciąż cisnęły mi się do oczu. Jediną opcją pozostawały drzwi do kuchni restauracyjnej. Serce mi waliło, kiedy rozglądałam się na boki i szybko podejmowałam decyzję. Za moimi plecami właśnie otwierały się drzwi i słychać już było głosy plotkujących kuzynek, więc jednym susem skoczyłam przez korytarz i dopadłam drzwi wahadłowych.

Wleciałam z hukiem do kuchni, potknęłam się i padłam na twarz. O włos minęłam stos misek i stół pełen przyborów kuchennych, po czym wylądowałam na kupce mąki, która wysypała się z wielkiego, stojącego na podłodze worka. Kiedy wstałam, czerwona jak burak, i próbowałam otrząść się z pyłu, kilku kucharzy spojrzało na mnie z umiarkowanym zainteresowaniem, po czym szybko wrócili do mieszania, siekania, wyrabiania ciasta i innych zajęć. Widocznie pierwsze druhny często tu wpadały. Zrobiłam szybki krok w prawo, dzięki czemu wbiegający właśnie do środka kelner nie walnął' mnie drzwiami w plecy, i rozejrzałam się wokół, próbując się zorientować w sytuacji.

Kuchnia była olbrzymia, znacznie większa niż się spodziewałam. Ściany były idealnie białe, a garnki, patelnie i miski z nierdzewnej blachy zdawały się zajmować każdą wolną powierzchnię. Niewielka załoga pomywaczy zmywała gorącą wodą resztki jedzenia z talerzy i wkładała je do olbrzymich zmywarek, podczas gdy kilkoro ubranych na biało młodych ludzi w czapkach kucharskich tworzyło coś na kształt linii produkcyjnej, siekając warzywa, podrzucając ciasto na pizzę, rozsma-rowując sos, sypiąc ser i wkładając surowe pizze do gigantycznego pieca na drewno, stojącego w odległym kącie kuchni.

Byłam częściowo ukryta za wielkim stojakiem, na którym suszono makaron, a kucharze, którzy widzieli,

jak wchodzę, wydawali się całkowicie pochłonięci pracą. Znów stałam się niewidzialna, a może nawet zapomniana.

Odsunęłam się o parę kroków i usiadłam niepewnie na stojącej w rogu beczce. Oparłam głowę na dłoniach i zamknęłam oczy, próbując zebrać myśli.

Byłam pewna, że odejście od Keitha to właściwa decyzja. Tak sobie przynajmniej powtarzałam. A może popełniłam największy błąd w życiu?

Starałam się nie poruszać głową, żeby powstrzymać nadchodzącą falę migreny. Może moi krewni mieli rację. Może zachowywałam się głupio i byłam zbyt wybredna. W końcu wszyscy moi przyjaciele mieli mężów lub żony, a teraz nawet młodsza siostra wzięła ślub. Czy skazywałam się na życie w samotności?

Głęboki głos, który rozległ się nade mną chwilę później, przerwał te ponure rozmyślenia.

- Jesteś Cat, prawda?

Zaskoczona, gwałtownie podniosłam głowę i zobaczyłam przyglądającego mi się mężczyznę w garniturze i krawacie. Miał

niesforne, ciemnobrązowe włosy, które wyglądały zabawnie w zestawieniu z eleganckim strojem. Chłopięce dołeczki też nie bardzo pasowały do zmarszczek wokół jasnozielonych oczu ani do okalających usta wgłębień, przypominających dwa nawiasy.

Patrzyłam na niego chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Może - zdecydowałam się w końcu. - A ty kim jesteś?

- Mam na imię Michael - odrzekł, w oficjalny sposób wyciągając przed siebie rękę. Patrzyłam na nią przez chwilę, ale nie uścisnęłam jej.

- Michael? - powtórzyłam. Powiedział swoje imię w taki sposób, jakby powinno coś dla mnie znaczyć.

- Tak - odrzekł. Uśmiechnął się szeroko i rozejrzał wokół. - Siedzisz w mojej kuchni.

- Twój kuchni?

- Tak - potwierdził. Przeczesał ręką gęste włosy, sprawiając, że zaczęły jeszcze bardziej sterczeć na wszystkie strony.

Obejrzałam go od góry do dołu i zmrużyłam oczy.

- Ale nie jesteś kucharzem.

Roześmiał się i podniósł ręce do góry w geście poddania.

- Cóż, na pewno nie zawodowo - powiedział.

- I nie jesteś menadżerem restauracji - dodałam. - Spotkałam go.



- Znów racja - odrzekł tajemniczo. Rzucił mi łobuzerskie spojrzenie i ponownie wyciągnął rękę. Niechętnie ujęłam ją i wstałam. Ze zdziwieniem zauważyłam, że jestem od niego o kilka centymetrów niższa, a przecież miałam buty na obcasach. To znaczyło, że musiał mieć przynajmniej metr osiemdziesiąt osiem.

- Co w takim razie masz na myśli? - zapytałam. Moja cierpliwość się wyczerpywała.

- To moja restauracja - wyjaśnił, kiedy już stanęliśmy twarzą w twarz. - To znaczy, jest moją własnością.  
- Patrzył na mnie z rozbawieniem. - Jesteś wysoka - dodał.

Westchnęłam.

- Tak, jesteś pierwszą osobą, która mi to kiedykolwiek powiedziała. -

Zawahałam się, po czym dodałam: - Twoja restauracja? Masz na imię Michael, ale prowadzisz restaurację, która nazywa się U Adriano?

Znów się roześmiał.

- To na cześć mojego ojca. Razem z bratem prowadzili we Włoszech restaurację, zanim tata zmarł. Czy to wystarczy za wytłumaczenie?

- Och - westchnęłam.

- A zatem - rzekł po chwili, wciąż rozbawiony - może mi powiesz, co tutaj robisz?

Poczułam, że na policzki gwałtownie wypływa mi rumieniec. Musiałam wyglądać dość głupio.

- Cóż - powiedziałam powoli. Nie wiedziałam, od czego zacząć. - Jestem pierwszą druhną na weselu.

Michael znów się uśmiechnął. W jego oczach błyszczały figlarne ogniki i to sprawiało, że trochę miękłam.

- Wiem - wyjąwił. - Wysłali mnie, żebym cię poszukał.

- Tak? Kto?

- Pan młody. Powiedział, że zniknęłaś i że się martwi. Właściwie mnie też wydaje się to dość niepokojące. Czy chowanie się między beczkami z oliwą to jakaś dziwna nowa weselna tradycja, której istnienia nie jestem świadom?

Wbrew sobie roześmiałam się.

- Tak, chowanie się poprzedza krojenie tortu.

- Ach, rozumiem. - Przyjrzał mi się z bliska. - Mam zgadywać, co naprawdę się stało? Czy może jednak mi powiesz?

Opuściłam głowę i poczułam, że uśmiech znika mi z twarzy.

- Nie - burknęłam.

- Nie? - powtórzył Michael.

- Wszystko jest w porządku - powiedziałam.

- Oczywiście - zauważył. - Kobiety, które mają się świetnie, zazwyczaj chowają się w mojej kuchni.

Wywróciłam oczami, ale nic nie powiedziałam. Po chwili mój towarzysz usiadł na jednej z beczek i wskazał dłonią, żebym zrobiła to samo.

Rozejrzałam się, po czym niechętnie usiadłam.

- To wesele twojej młodszej siostry? - zapytał po chwili. - O ile młodszej?

- Pięć i pół roku.

- To dlatego jesteś smutna? Bo ona bierze ślub przed tobą? Gwałtownie odwróciłam się w jego stronę.

- Co? Nie! - Wzięłam głęboki wdech. - Przecież to moja siostra. Cieszę się, że jest szczęśliwa.

- Oczywiście - wolno powiedział Michael. Patrzył na mnie, jakby nie bardzo mi uwierzył.

- Naprawdę nie to mnie martwi - upierałam się. - To znaczy, wiesz, ja w ogóle nie jestem na to jeszcze gotowa. -

Zamilkłam i wzięłam głęboki wdech. Nie wiedziałam, dlaczego mu to mówię, ale kiedy już zaczęłam, jakoś nie mogłam skończyć. - Chodzi o to, że babcia zrobiła mi w kościele scenę, wszyscy pytają, gdzie jest mój chłopak i co jest ze mną nie tak, skoro jeszcze nie wyszłam za mąż, a przecież niedługo moje trzydzieste piąte urodziny - wyrzuciłam z siebie jednym tchem. Spojrzałam na niego ponuro. Uniósł pytająco brew.

- I?

Przyjrzałam mu się.

- Co, teraz ty mnie pytasz, dlaczego jeszcze nie wyszłam za mąż?

Roześmiał się.

- Nie, pytam cię, gdzie jest twój chłopak.

Ponownie zmrużyłam oczy. Zawahałam się, po czym wymamrotałam:

- Zerwałam z nim miesiąc temu.

- Hm - mruknął w odpowiedzi Michael. - Dlaczego?

- To nie twoja sprawa - najeżyłam się natychmiast. Michael wzruszył

ramionami.

- Najprawdopodobniej nie. - Ale wyglądało na to, że wciąż czeka na odpowiedź.

Spuściłam wzrok na beczkę, na której siedziałam, i wzięłam głęboki wdech.

- Dobrze - powiedziałam. Zastanawiałam się, co odpowiedzieć. - Po prostu to nie był facet dla mnie - oznajmiłam. - Lubiłam go, ale nie kochałam.

- Aha - Michael wydawał się zainteresowany. Westchnęłam głęboko, spojrzałam na swoje dłonie i kontynuowałam:

- Z pozoru wydawał się idealny. Powinniśmy do siebie pasować. I chyba wydawało mi się, że jeśli zostanę z nim wystarczająco długo, w końcu się zakocham, wiesz? Ale to tak nie działa.

- Nie - zgodził się Michael. - Nie działa.

Spojrzałam na niego ponownie, a potem znów opuściłam wzrok.

- Mam po prostu wrażenie, że wszyscy chcą, żebym się ustatkowała, wiesz? A teraz uważają, że odrzuciłam ostatnią szansę na zamążpójście.

Michael milczał dłuższą chwilę. W końcu powiedział:

- Naprawdę chciałabyś spędzić resztę życia z kimś, kogo nie kochasz?

- Nie - odpowiedziałam miękko.

- W takim razie postąpiłaś słusznie - zdecydował. - I kogo obchodzi, że masz trzydzieści pięć lat?

Przewróciłam oczami.

- Najwyraźniej wszystkich.

- Tak. No cóż, to głupie - odpowiedział. - Bez obrazy dla twojej rodziny i przyjaciół. Trzydzieści pięć to tylko liczba.

Wzruszyłam ramionami.

- Chcesz usłyszeć inną liczbę? - spytał. Spojrzałam na niego, zastanawiając się, co ma na myśli. Uśmiechnął się.

- Sześćdziesiąt. A jeśli będziesz miała szczęście, sześćdziesiąt pięć albo siedemdziesiąt.

- C o ?

- Liczba lat, które ci jeszcze zostały do przeżycia - odrzekł. - Jeśli tak na to spojrzeć, za tobą dopiero jedna trzecia, prawda? Czy naprawdę chciałabyś spędzić pozostałe dwie trzecie swojego życia z kimś, o kim wi es z, że do ciebie nie pasuje?

Uśmiechnęłam się.

- Nie.

- Dobrze. Widzisz, do czegoś dochodzimy.

Nasze spojrzenia spotkały się i poczułam, że nie mogę odwrócić wzroku.

Nagle ogarnęło mnie potężne i zupełnie szalone poczucie, że jest między nami coś więcej, niż może się z pozoru wydawać. Mimowolnie wstrzymałam oddech i byłam prawie pewna, że on też to zrobił.

A potem, tak szybko jak nadszedł, wyjątkowy moment minął. Mrugnęłam i wzięłam głęboki wdech. On zakaszłał i spojrzał w bok. A Becky wybrała właśnie tę chwilę, żeby wparować przez kuchenne drzwi, otoczona chmurą jedwabiu w odcieniu kości słoniowej.

- Cat! - wykrzyknęła, kiedy mnie zobaczyła. Spojrzała na Michaela.

Wyglądała na zakłopotaną. - Hej - rzuciła ostrożnie.

- Hej - odpowiedział wesoło, jakby to była najnormalniejsza sytuacja pod słońcem. - A oto i nowa pani Cash! Jak tam wesele?

- Hm, dobrze - powiedziała Rebeka. Odchrząknęła i spojrzała na mnie. -

Wszystko w porządku? - spytała. Spojrzała na Michaela, a potem znów na mnie.

Uśmiechnęłam się.

- Jasne. Poprosiłam po prostu Michaela o pomoc - wyjaśniłam. Becky wciąż wyglądała na zagubioną, więc dodałam: - To jego restauracja.

Becky przyjrzała mi się uważnie.

- Wiem - rzuciła. - Poznaliśmy się w zeszłym miesiącu, kiedy przyszedłam wybrać potrawy na wesele. Nawiasem mówiąc, ty wykręciłaś się z tego spotkania, twierdząc, że jesteś zbyt zajęta jakimś podatkowym nagłym przypadkiem. Spojrzała ponownie na mnie i Michaela. - W czym, u licha, pomagała ci w kuchni?

Otworzyłam usta, ale zanim zdążyłam przemówić, Michael odpowiedział

za mnie:

- Twoja siostra pytała o różne rodzaje oliwy - powiedział szybko. -

Tłumaczyłem jej właśnie różnicę między virgin i extra virgin.

Zduślam śmiech. Becky wciąż przyglądała się nam podejrzliwie.

- Dobrze. Ale może wróciłybyś teraz na wesele - powiedziała. - W końcu jesteś pierwszą druhną. Może

moglibyście porozmawiać o oliwie później? - Wyglądała na zirytowaną.

- Jasne - zgodziłam się szybko. - Przepraszam. Odwróciłam się do Michaela.

- Dzięki - uśmiechnęłam się. Odpowiedział uśmiechem, więc dodałam: -

Za lekcję o oliwie.

- Mam nadzieję, że poczułaś się trochę lepiej - powiedział. Potem spojrzał

na Becky i z powrotem na mnie. - W kwestii swojej wiedzy dotyczącej oliwy - dodał.

Wyszczrzyłam zęby.

- Dziękuję - powtórzyłam. Odwróciłam się i ruszyłam za Becky, która już wymaszerowała z kuchni, mrużąc coś pod nosem. Ale niski głos Michaela zatrzymał mnie, zanim dotarłam do drzwi.

- Słuchaj - powiedział. - Jeśli chciałabyś kiedyś znów porozmawiać o oliwie, może moglibyśmy wybrać się razem na kolację?

Moje serce zaczęło gwałtownie bić. Spojrzałam na niego zaskoczona.

Wydawało mi się, że wygląda na zdenerwowanego i chyba nie był to tylko wybryk mojej wyobraźni. Zanim zdążyłam się zastanowić, głos, który brzmiał zupełnie jak nie mój, powiedział:

- To dobry pomysł.

- Może w poniedziałek? - spytał. Wzięłam głęboki wdech.

- Poniedziałek brzmi doskonale.

- Świetnie - ucieszył się Michael. Uśmiechał się do mnie, kiedy bazgrałam swoje imię i numer telefonu na kawałku papieru. Spojrzał na niego, zanim schował go do kieszeni.

- Miło było cię poznać.

- Cieszę się - odpowiedziałam. Pokręciłam głową i uśmiechnęłam się. -

Ciebie też.

### **ROZDZIAŁ 3**

W poniedziałkowy poranek zjawiłam się w pracy punktualnie o siódmej trzydzieści rano. Jak zawsze przyjechałam wcześniej niż większość pracowników.

- No proszę, panna Connelly - zawołał Miles, ochroniarz budynku, który witał mnie codziennie rano. - Czy pani siostra nie miała brać ślubu w ten weekend? Byłem pewien, że dziś wyjątkowo się pani spóźni.

- No proszę, pan Parker - odparłam, uparcie nie używając jego imienia.

Czekałam, aż on pierwszy powie moje. - Myślałam, że do tej pory zdołał

mnie pan poznać wystarczająco, żeby wiedzieć, że nigdy się nie spóź-

niam.

Uśmiechnął się.

- To prawda, panno Connelly - powiedział. - Mógłbym ustawiać zegarek zgodnie z tym, o której pani przychodzi i wychodzi z pracy!

Zaśmiałam się, ale zabrzmiało to jakoś głucho nawet dla mnie samej.

Zanim weszłam do windy, życzyłam Milesowi miłego dnia. Wiedziałam, że żartował, ale w zasadzie miał przecież rację, prawda?

Kiedy usiadłam przy biurku w moim boksie, na wciąż pustym czterdziestym drugim piętrze, jego słowa wciąż dźwięczały mi w głowie.

Konsekwentna Cat Connelly.

Konsekwentna.

Konsekwentna znaczy nudna. Bez niespodzianek. Nigdy nie podejmuje ryzyka. Nawet przez sekundę nie żyła na krawędzi.

Ale przecież konsekwencja jest dobra, prawda? Konsekwencja oznacza bezpieczeństwo, rzetelność, przewidywalność. Zawsze byłam dumna z tego, że można na mnie liczyć, polegać na mnie, a pracownicy ochrony mogli sobie nastawiać zegarki według tego, o której pojawiałam się w pracy. Byłam osobą, która wcześniej przychodzi, zostaje po godzinach, trzyma wszystko w ryzach, gdy świat wokół rozpada się na kawałki.

Nie zawsze taka byłam. Ale gdy moja mama odeszła po raz pierwszy, przeżyłam prawdziwą szkołę przetrwania. Trzeba było spłacać hipotekę i prowadzić rachunki, przygotować jedzenie, podać je i posprzątać dom.

Becky była za mała. Tata miał depresję.

Zostałam tylko ja.

Gdy mama odeszła, znajdowałam pocieszenie w rutynie i konsekwencji.

Było mi trudniej czuć się smutną, kiedy patrzyłam na listę dwudziestu rzeczy, które trzeba zrobić w domu, i na plan zajęć, którego ktoś powinien pilnować.

Nie było w tym zresztą nic złego. W zasadzie, jak się nad tym zastanowić, to właśnie dbałość o szczegóły i rzetelność sprawiły, że miałam w szkole same szóstki, dostałam stypendium na uniwersytecie oraz stałą pracę jako księgowa w firmie Puffer & Hamlin, jednej z najbardziej prestiżowych firm mieszczących się na Manhattanie. Pracowałam tu już od dwunastu lat i co sześć miesięcy, jak w zegarku, otrzymywałam

pochwałę za osiągnięte wyniki. Miałam też zapewnione podwyżki.

Właściwie życie miłosne było jedynym aspektem mojej starannie zaplanowanej egzystencji, który nie działał tak, jak powinien.

„To dlatego, że nie jesteś w stanie kontrolować reakcji i uczuć ludzi tak samo, jak kontrolujesz cyferki”, powiedziała mi kiedyś Becky. Łatwo jej mówić. Ona pracowała na zmianę jako chichocząca, roztrzepana niania i osoba do wyprowadzania psów. Żyła od wypłaty do wypłaty, ale nigdy się tym nie martwiła. Zupełnie nie panowała nad tym, co jej się przytrafiało, a jednak wszystko układało się jej tak, jak powinno.

Mieszkanie, tanie jak barszcz i bez windy, w zasadzie spadło jej z nieba dzięki pewnemu starszemu klientowi. Jego lokal zwolnił się dokładnie wtedy, gdy Becky została wyrzucona ze swojego. Za każdym razem, kiedy traciła pracę niani, ponieważ rodzina przeprowadzała się albo dzieci przestawały jej potrzebować, kolejna propozycja pojawiała się jak spod ziemi w ciągu zaledwie kilku tygodni. Odkąd w ósmej klasie zaczęła chodzić z Jamiem Allenem, nie zdarzyło się, żeby nie miała chłopaka dłużej niż dwa miesiące

Becky łamała zasady i wciąż żyła jak w bajce.

Ja przestrzegałam wszystkich możliwych reguł i mimo to miałam wrażenie, że właśnie z niebezpieczną prędkością zbliżam się ślepą uliczką w kierunku ściany.

Minęła już jedenasta trzydzieści, a ja wciąż prawie nic nie zrobiłam.

Bardzo rzadko mi się to zdarzało. Nawet siedząca w boksie obok Kris, która w ciągu ostatnich sześciu lat stała się moją najlepszą przyjaciółką z pracy, zauważyła, że coś jest nie tak.

Gdy po raz kolejny westchnęłam, patrząc w ekran komputera, uniosła pytająco brew.

- Bujamy w obłokach, co? - zainteresowała się. Ubrana była jak zwykle w jasny i kolorowy strój, w którym wyglądała, jakby żywcem przeniosła się w czasie z 1969 roku. Zanim

wyszła za mąż, urodziła dwójkę dzieci i zajęła się księgowością, spędziła drugą połowę lat dziewięćdziesiątych, wymachując transparentami pokojowymi i prowadząc ciche strajki okupacyjne w San Francisco.

Poczułam, jak lekki rumieniec wypływa mi na policzki, i szybko zamknęłam otwarte w komputerze okno przeglądarki.

- Nie - skłamałam. - Po prostu czegoś szukałam.

- Mmm - mruknęła Kris. Wiedziałam, że mi nie uwierzyła. - Wiesz -

dodała z półuśmiechem - czasami nawet ty możesz się poobijać.

- Nigdy w godzinach pracy - rzuciłam szybko.

Moja przyjaciółka zrobiła zirytowaną minę i potrząsnęła szopą czarnych loków.

- Och, proszę cię! - zawołała. - Kiedy miałabyś się objąć? Przecież siedzisz tutaj cały czas!

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową. Zawsze tak się ze mną droczyła.

Wypominała mi stuprocentową frekwencję i nabijała się ze mnie, gdy pojawiałam się w biurze wcześniej i wychodziłam jako ostatnia. Posunęła się nawet do tego, że kiedy w zeszłym roku na imprezie świątecznej po raz trzeci z rzędu dostałam nagrodę za najlepszą frekwencję, wstała i mnie wygwizdała. „To po prostu dziwaczne”, stwierdziła wtedy.

Ale to nie było dziwaczne. Nie dla mnie. Prawie w ogóle nie chorowałam, dlaczego więc miałabym iść na zwolnienie, jeśli nie było takiej potrzeby?

Nie miałam z kim jeździć na wakacje. Co powinnam zrobić w takiej sytuacji? Wziąć urlop i wybrać się w samotny rejs żaglówką dookoła świata? Moje przyjaciółki ze studiów były zamężne, a siostra wyjeżdżała tylko ze swoimi aktualnymi partnerami. Tata mieszka na Brooklynie, czyli wystarczająco blisko, żebym nie musiała brać urlopu za każdym razem, kiedy przyjdzie mi do głowy go zobaczyć. Poza tym, jeśli wzięłabym wolne, po powrocie

zastałabym na biurku stertę zaległych rzeczy do zrobienia i tylko bym się zdenerwowała. Komu to potrzebne?

Jedyną impulsywną rzeczą, jaką zrobiłam w życiu, był wyjazd na wakacje do Rzymu w czasie studiów. Tata uważał, że powinnam zobaczyć kawałek świata. Długo przekonywał mnie też, że on i Becky poradzą sobie beze mnie przez dwa i pół miesiąca. Tylko dlatego w końcu się zdecydowałam.

To było straszne przeżycie. Przez pierwsze dwanaście dni nie robiłam nic innego, tylko się o nich zamartwiałam. A potem poznałam Francesco, starszego ode mnie o siedem lat czarnowłosego Włocha o zielonych oczach, który jeździł skuterem Vespa. To był chyba jedyny moment w moim życiu, kiedy zachowywałam się impulsywnie i nieodpowiedzialnie.

Był to też jedyny czas, gdy czułam się naprawdę zakochana. Ale czy rzeczywiście tak było? Czy można zakochać się tak szybko? Może po prostu byłam zafascynowana nowym miejscem i upajałam się faktem, że nie muszę zajmować się nikim poza sobą przez kilka błogich miesięcy.

Ale był to też jedyny raz w moim życiu, kiedy miałam złamane serce, choć przecież to ja odeszłam razem z końcem lata. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że zachowywałam się tak niefrasobliwie. Potem przysięgłam sobie, że już nigdy nie będę tak nieostrożna.

Ale lata mijały, a ja zaczynałam coraz częściej się zastawiać, czy przypadkiem nie popełniłam błędu.

Rzuciłam okiem w stronę biurka Kris. Odwróciła się do mnie plecami i znów zaciekle waliła palcami w klawiaturę.

Spojrzałam na swój komputer. Jeszcze raz szybko sprawdziłam, czy Kris jest zajęta, po czym ponownie otworzyłam stronę, którą przeglądałam przed chwilą. Naprawdę się objęłam. A wszystko dlatego, że nie mogłam przestać myśleć o uroczym restauratorze. Co prawda poznałam go raptem półtora dnia temu. Ale przecież umówił się ze mną na dziś wieczór...

Spędzałam więc poniedziałkowy poranek, oglądając stronę restauracji U



Adriano, zamiast analizować cyferki. Odkry-

łam już, że nie ma na niej biografii właściciela (tylko jego pełne imię i nazwisko - Michael Evangelisti), a teraz wrzuciłam go w Google, mając nadzieję, że w ten sposób uzyskam jakieś interesujące informacje.

Jedyne, co znalazłam, to krótki artykuł w „New York Post” sprzed dwóch lat o otwarciu U Adriano. Kliknęłam w link i pochyliłam się pożądliwie, czekając, aż przeglądarka wyrzuci jakiegokolwiek interesujące strzępy informacji. Rzuciłam ponownie okiem na Kris. Była całkowicie pogrążona w pracy. Przez moment próbowałam przekonać siebie, że jeśli przyjaciółka przypadkiem spojrzy w moją stronę, będę sprawiała wrażenie równie zajętej.

Artykuł z „Post” wyświetlił się na moim ekranie i okazał się raczej krótki.

Przeczytałam go szybko, zapamiętując nieliczne fakty i o chwilę za długo przyglądając się miniaturowemu zdjęciu twarzy Michaela, który wyglądał dokładnie tak atrakcyjnie, jak zapamiętałam.

Miał czterdzieści dwa lata, kiedy pisano artykuł. To znaczyło, że teraz ma czterdzieści cztery. Więcej, niż myślałam. Wygląda na to, że jest starszy ode mnie o dziesięć lat mimo chłopięcych dołków w policzkach i młodzieńczego śmiechu. Zanim otworzył restaurację, pracował w wydawnictwie. Rozkręcił nowy biznes dzięki pomocy cichego wspólnika, który dał pieniądze na rozpoczęcie działalności. Michael miał

za to zająć się prowadzeniem lokalu. Kiedy zapytano go, dlaczego nagle postanowił rzucić poprzednią pracę i otworzyć restaurację, odpowiedział, że niedawno zmarła jego matka, a było to coś, co zawsze chcieli wspólnie zrobić. Jej niespodziewane odejście uświadomiło mu, że nie można po prostu siedzieć i czekać, aż spełnią się marzenia. Trzeba realizować je samemu, zanim będzie za późno.

- Mój tata zmarł, kiedy miałem dwadzieścia lat - powiedział. Serce zabiło mi mocniej, gdy przeczytałam to bliskie mi wyznanie. - Kochał gotować i często zabierał mnie do Rzymu,

do rodziny. Spędzałem z moimi kuzynami każde lato. Wszyscy mieszkają we Włoszech, gdzie dorastał mój tata. Tam nauczyłem się gotować i odkryłem w sobie zamiłowanie do dobrego jedzenia. Moja mama i ja zawsze chcieliśmy pewnego dnia otworzyć restaurację i zrealizować tę pasję, a czy istnieje lepszy sposób na uhonorowanie pamięci ojca, niż nazwać ją jego imieniem?

Artykuł kończył się krótką notką recenzenta, który nazywał ich kuchnię

„haute Italian” i wychwalał nastrojowe oświetlenie, wysokie sufity, rustykalne pizze z pieca na drewno oraz kuszące zapachy chleba i oliwy.

Czytając ostatni cytat, roześmiałam się głośno, przypominając sobie naszą rozmowę na beczkach z oliwą. Oczywiście Kris od razu podniosła głowę i wyszczerzyła zęby.

- A j e d n a k się objasz - stwierdziła tryumfująco. - Wi e d z i a ł a m !

Poczułam, że się rumienię.

- Wcale nie - zaprotestowałam słabo. Spojrzała na mnie surowo.

- Och, proszę cię! - powiedziała. - Kiedy ostatnio lista czyichś wydatków sprawiła, że zaczęłaś chichotać?

Bez powodzenia spróbowałam ukryć uśmiezek. Kris uniosła brew, wstała i przeszła te kilka kroków, które dzieliły jej boks od mojego.

Stała za moimi plecami.

- No więc? - zapytała. - Co oglądasz?

Wzruszyłam ramionami, ale ona już czytała mi przez ramię.

- Śmiejesz się z recenzji restauracji? - zapytała po chwili. Spojrzałam na nią. Wyglądała na zdezorientowaną.

- Tam było wesele Rebeki - odpowiedziałam cicho.

- Och - westchnęła. - Dobrze. Ale wciąż nie rozumiem, z czego się śmiejesz.

Wyciągnęła rękę ponad moim ramieniem i chwyciła myszkę. Kliknęła kilka razy i przesunęła stronę do góry. Gdy na ekranie ponownie pojawiła się twarz Michaela, przestała ruszać myszką.

- Ach - westchnęła po prostu.

Czekałam, aż doda coś więcej, ale ona się nie odzywała. Zapytałam więc niepewnie: -C o ?

- Czy to może mieć coś wspólnego z uroczym panem restauratorem? -

zapytała.

Poczucie winy najwyraźniej miałam wypisane na twarzy. Kris wyszczerzyła zęby.

- Ach, więc twój weekend był nawet bardziej interesujący, niż raczyłaś wspomnieć? - zapytała.

- Nic się nie wydarzyło - odpowiedziałam szybko. Może nawet zbyt szybko.

Kris roześmiała się.

- Przecież nie sugeruję, że zabawiałaś się z gościem na beczce oliwy -

powiedziała.

Zbladłam.

- Ale chyba go poznałaś? - naciskała. Skinęłam głową.

- I?

- I... nic - wzruszyłam ramionami. - Po prostu wydaje się miły.

- Miły?

- Tak - potwierdziłam. - Miły, to dobrze. Miły to... miły. Kris wyraźnie się skrzywiła.

- Tak, dziękuję za tę definicję. A teraz powiesz mi wreszcie, co się wydarzyło, czy nie?

Zawahałam się, po czym wzruszyłam ramionami. Kris słuchała uważnie, gdy relacjonowałam podsłuchaną w toalecie rozmowę. Opowiedziałam jej też, jak musiałam uciekać do kuchni, i że Michael odkrył mnie pośród beczek z oliwą.

- Czyli zaiskrzyło między wami - zdecydowała, kiedy skończyłam.

Zarumieniłam się.

- Umówiłam się z nim - wymamrotałam. Kris wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Na randkę?

- Nie wiem. Tak mi się wydawało. Ale nie zadzwonił.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, i w tym właśnie momencie zaczęła dzwonić moja leżąca na biurku komórka. Spojrzałyśmy najpierw po sobie, a potem na ekran telefonu. Dzwonił ktoś z nieznanego mi numeru dwieście dwanaście.

- Podałaś mu numer swojej komórki? - zapytała Kris.

- Tak.

- To na pewno on, dzwoni z restauracji! - zawołała. - Odbierz!

Zawahałam się. Telefon znów zawibrował.

- Odbierz! - powtórzyła z naciskiem. Kiedy wciąż się nie poruszyłam, wyciągnęła rękę, wcisnęła przycisk z zieloną słuchawką i podała mi telefon. Teraz nie miałam wyboru.

- Halo? - wydusiłam z siebie.

- Cat? - natychmiast rozpoznałam głos Michaela. - Tu Michael. Z

sobotniego wieczoru. Przepraszam, że nie zadzwoniłem wczoraj. Miałem strasznie zwariowany dzień, a zanim uporałem się ze wszystkim, zrobiła się jedenasta i pomyślałem, że o tej porze nie wypada już dzwonić.

- Nie ma sprawy - rzuciłam tak swobodnie, jak to tylko było możliwe.

Bezgłośnie powiedziałam Kris, kto dzwoni, a ona odtańczyła mały taniec radości. Musiałam zakryć usta ręką, żeby się nie roześmiać.

- Hm, czy wciąż jesteś zainteresowana wyskoczeniem dziś wieczorem na kolację? - spytał. - Wiem, że już

późno, ale jest taka mała knajpka z fondue kilka przecznic od mojej restauracji. Od dawna chciałem do niej zajrzeć. Jeśli ci to pasuje.

Uśmiechnęłam się.

- Brzmi świetnie - powiedziałam, starając się nadać głosowi naturalne brzmienie.

- To dobrze. - W jego głosie zabrzmiała ulga. - Zupełnie już wyszedłem z wprawy.

Ciekawa byłam, co ma na myśli. Właśnie się z kimś rozstał? Nie miał

czasu na randki? Jednak nie chciałam rozmawiać o tym przez telefon.

Zamiast tego ustaliliśmy, że możemy spotkać się o ósmej w jego restauracji, a fondue to świetny pomysł.

Rozłączyliśmy się i spojrzałam zmieszana na Kris, która wciąż stała przy wejściu do mojego boksu i uśmiechała się szeroko.

- Fondue, tak? - zapytała. - Brzmi romantycznie. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

- Tak, to prawda. - Wciągnęłam głęboko powietrze. - Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale mam naprawdę dobre przeczucia dotyczące Michaela.

Kris mrugnęła do mnie.

- Wiem. To widać. Nie widziałam takiego odcienia czerwieni na twojej twarzy, od kiedy zderzyłaś się z kelnerem na tamtej firmowej imprezie i taca pełna kieliszków z winem wylądowała na panu Hamlinie.

- Chyba czuję motylki w brzuchu. Myślisz, że zwariowałam?

- Nie - odpowiedziała Kris. - To dobrze. Powinnaś je czuć.

- Tak - westchnęłam. Spojrzałam na twarz Michaela, uśmiechającą się do mnie z ekranu komputera. - Powinam.

Zamówiłam taksówkę, która z mieszkania w budynku bez windy na Sześćdziesiątej Siódmej Wschodniej przewiozła mnie na drugą stronę parku. Zjawiłam się pod U Adriano pięć minut przed ósmą. Okropnie się denerwowałam, co mi się rzadko zdarzało. Przeważnie przed randkami byłam wyluzowana, opanowana i spokojna. Z drugiej strony moje randki zazwyczaj były organizowane przez próbujących mnie wyswatać przyjaciół albo umawiałam

się z kolegami z pracy i musiałam sobie wmawiać, że to ekscytujące.

Weszłam do restauracji i zapytałam dziewczynę witającą gości o Michaela. Obejrzała mnie od góry do dołu, zacisnęła usta i ociągając się, poszła go poszukać. Zjawił się chwilę później, uśmiechając się od ucha do ucha.

- A więc tak wyglądasz, gdy nie czaisz się w mojej kuchni - powiedział, taksując mnie wzrokiem.

Poczułam, że się rumienię.

- I? - zapytałam, patrząc ze skrepowaniem na swoją spódnicę khaki i jasnoróżową, cieniutką koszulkę.

- Myślę, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek zaszczyliła swoją obecnością moje beczki z oliwą - odpowiedział.

Roześmiałam się.

- Dobrze. To mi się podoba.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że nie mówię tego każdej kobiecie, którą spotykam w swojej kuchni - dodał uroczyście.

- Cieszę się - odparłam z poważną miną. - Przez chwilę już się martwiłam.

Stał tam, pocierając ręce i przenosząc co chwila ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Wyglądało na to, że jest trochę zdenerwowany.

- Pozwolisz? - spytał, robiąc krok do przodu i podając mi ramię w oficjalny sposób, jakbyśmy cofnęli się do czasów wiktoriańskich.

Uśmiechnęłam się i wzięłam go pod rękę. Kiedy wychodziliśmy z restauracji, nie mogłam nie zauważyć, że dziewczyna witająca gości uważnie się nam przygląda.

Wieczór spędzony z Michaeliem to była najwspanialsza randka, na jakiej byłam od lat, i wcale nie przesadzam. Była nawet lepsza od tych kilku pierwszych, magicznych spotkań z Francesco wiele lat temu w Rzymie.

Nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś, z kim tak łatwo by mi się rozmawiało i kto tak często by mnie rozśmieszał. Był rewelacyjnym gawędziarzem i kiedy szliśmy te kilka przecznic do restauracji z fondue, wciąż swobodnie trzymając się pod ramię, opowiedział mi, jak musiał udowodnić bankowi, że dobrze wykorzysta pożyczkę na otwarcie restauracji.

- Tutaj to nie takie proste - stwierdził, kręcąc głową. - Kiedy mój dziadek otwierał pięćdziesiąt lat temu restaurację w Rzymie, wystarczyło, że obiecał pracownikom banku darmowe posiłki do końca życia.

Roześmiałam się.

- Twój dziadek ma restaurację w Rzymie?

- Miał - odparł Michael. - Zmarł wiele lat temu. Mój wujek przejął ją, kiedy jeszcze byłem dzieckiem.

Zatrzymał się, kiedy dotarliśmy do knajpki z fondue. Nazywała się Wielka Chochla\*. Uśmiechnęłam się, widząc nad drzwiami tabliczkę z wizerunkiem kota siedzącego na krawędzi księżycy i zanurzającego widelczyk do fondue w wypełnionym serem gwiazdozbiorze.

Chwilę później usiedliśmy przy stoliku i Michael wznowił opowieść.

- Kiedy byłem dzieckiem, ojciec zabierał mnie do Rzymu na kilka miesięcy w każde wakacje. - powiedział. - Nie mam rodzeństwa, ale mieszka tam chyba z setka moich kuzynów. Uczyłem ich i ich przyjaciół

angielskiego, a oni pokazywali mi w zamian, jak się prowadzi restaurację.

Moi kuzyni wciąż pracują u wujka. Jestem pewien, że któregoś dnia przejmą po nim lokal. To jeden z miłych włoskich obyczajów, wszystko zostaje w rodzinie.

Uśmiechnęłam się i przytaknęłam.

- Gdzie jest ta restauracja?

• **Gra słów. *The Big Dipper* to amerykańska nazwa Wielkiej Niedźwiedzicy, ale *dipper* to również chochła, łyżka (przyp. tłum.).**

- Niedaleko Panteonu - odpowiedział. - Znasz Rzym? Skinęłam głową.

- Mieszkałam tam pewnego lata.

- Żartujesz! - zawołał. - Nie mów mi, że ty też masz tam rodzinę.

Zawahałam się. O ile było mi wiadomo, rodzice i siostra mamy wciąż mieszkali w Rzymie, ale gdy spędzałam tam lato, z premedytacją ich unikałam. Wiedziałam dokładnie, gdzie ich znaleźć - mieli sklep z chustami niedaleko Piazza Colonna. Gdybym tylko chciała, mogłabym ich odwiedzić, ale nie potrafiłam się do tego zmusić. A gdyby oni też mnie odrzucili? Spędziłam wiele godzin, przypatrując się z niepokojem obcym ludziom na ulicy, zastanawiając się, czy zobaczę zielone oczy matki w nieznannej mi twarzy albo usłyszę nieznanego, śmiejącego się w identyczny sposób jak ona. Zupełnie jakbym szukała duchów.

- Nie - powiedziałam w końcu. - Nie mam.

Zapadła nieprzyjemna cisza, jak to się czasem zdarza, gdy ktoś skłamię.

- A podobało ci się? - zapytał Michael po chwili. Mrugnęłam zmieszana.

-C o ?

Uśmiechnął się.

- Rzym. Podobało ci się tam?

Zawahałam się. Pomyślałam o towarzyszącym mi wtedy odczuciu, że matka jest gdzieś blisko. Sprawiało ono, że byłam niespokojna, a jednocześnie miałam dziwne poczucie bezpieczeństwa. Przypomniałam sobie Francesco, jedynego mężczyznę, w jakim kiedykolwiek się zakochałam. Nasz związek przetrwał zaledwie jedno lato i gdy wróciłam do Stanów, rozmawialiśmy raptem kilka razy. Francesco dość szybko stwierdził, że związki na odległość nie są dla niego. Pamiętałam, że czułam się wolna, choćby tylko przez dwa i pół miesiąca - mogłam wychodzić i wracać, kiedy chciałam,

włączyć się po ulicach, robić to, na co miałam ochotę, i dla odmiany martwić się o siebie, nie o innych.

- Ogromnie - powiedziałam miękko. Michael uśmiechnął się promiennie.

- Mnie też - oznajmił. - Jakie miejsce najbardziej ci się podobało?

Nie musiałam się nad tym zastanawiać.

- Most w pobliżu Zamku Świętego Anioła. Wyglądał na zaskoczonego.

- To zawsze było jedno z moich ulubionych miejsc. Uśmiechnęłam się, wzięłam głęboki oddech i mówiłam

dalej.

- Może to zabrzmie głupio, ale zawsze, kiedy było mi smutno, chciałam pomyśleć lub podjąć jakąś ważną decyzję, szłam właśnie tam. Wiesz, przechodzą tamtędy setki ludzi, ale nikt nie zwraca na ciebie uwagi. Tak jakbyś znajdował się w wielkiej bańce i obserwował z niej świat dokoła.

- Zgadza się - mruknął cicho Michael. Patrzył na mnie teraz inaczej.

Podobało mi się to, co zobaczyłam w jego oczach.

Zamówiliśmy serowe fondue i butelkę sauvignon blanc. Jedząc, śmialiśmy się i rozmawialiśmy. Opowiadaliśmy sobie historie z dzieciństwa, wspominaliśmy, co nam się najbardziej podobało w Rzymie, mówiliśmy o zaletach i wadach naszych zawodów.

Okazało się, że mamy ze sobą wiele wspólnego. W dzieciństwie oboje byliśmy prawdziwymi molami książkowymi i podobały nam się te same historie. On z zakłopotaniem przyznał, że gdy skończyły mu się już wszystkie książki o braciach Hardy, zabrał się do czytania starych opowieści o Nancy Drew. Roześmiałam się - ja czytałam obie te serie równocześnie. Po przeczytaniu w liceum *Wielkiego Gatsby'ego* oboje zainteresowaliśmy się Francisem Scottem Fitzgeraldem, a kiedy mieliśmy po dwadzieścia kilka lat, fascynowała nas klasyka powieści brytyjskiej. Byliśmy katolikami, ale chociaż wciąż wierzyliśmy w to, czego w dzieciństwie nauczono nas w kościele, nie chodziliśmy na msze tak często, jak powinniśmy, i mieliśmy z tego powodu pewne poczucie winy. Uwielbialiśmy oglądać *Flight of the Conckords* i *Ekipę*. Odkryliśmy również, że mamy podobny, choć dosyć eklektyczny gust muzyczny.

Oboje byliśmy na koncercie Eltona Johna i Billy'ego Joela podczas ich wspólnej trasy, widzieliśmy ostatni występ Radiohead w Nowym Jorku i Guillaume Riche'a na obu koncertach w mieście. Oglądaliśmy występ Sister Hazel w Irving Plaza kilka lat wcześniej, ten, na którym Pat MacGee Band z Wirginii grał jako support. I ja, i on najczęściej słuchaliśmy na naszych iPodach najnowszej płyty Mandy Moore i starego krążka Courtney Jaye. Każde z nas też uważało, że Paul McCartney i John Lennon to najbardziej utalentowany duet w historii muzyki.

Zanim na stół zdążył wjechać deser w postaci czekoladowego fondue, naprawdę zaczęłam się denerwować. Byłam zestresowana nawet bardziej niż na początku randki. Wszystko wydawało się takie idealne. Poczułam, że tylko czekam, aż coś pójdzie źle.

- To ile razy byłaś w Rzymie? - spytał Michael, zanurzając kawałek banana w kociołku pełnym czekolady

i przerywając moje autodestrukcyjne rozmyślenia.

- Tylko raz.

Michael przestał obracać widelczyk w sosie i spojrzał na mnie.

- Nigdy potem już tam nie wróciłaś? Powoli pokręciłam głową.

- Dlaczego? - zapytał. Wzruszyłam ramionami.

- Nie miałam powodu, żeby jechać - odparłam. - Tu jest moje życie. Mam dobrą pracę. Siostra bardzo mnie potrzebowała, kiedy była młodsza.

Lubię być w pobliżu na wypadek, gdyby tata czegoś ode mnie chciał.

Rozumiesz.

Przez chwilę uważnie mi się przyglądał.

- Nie - stwierdził. - Nie rozumiem. Wyglądał na zmartwionego. - Przecież to miejsce, które ci się podobało. Nie chciałaś tam wrócić? Bo czułaś, że nie powinnaś?

Wzruszyłam ramionami, czując się trochę głupio.

- Nie wiem - wymamrotałam.

Michael milczał przez dłuższą chwilę. Spojrzałam na jego twarz, spodziewając się, że zobaczę dezaprobatę. Ale wyglądał raczej na zatroskanego.

- Powinnaś tam pojechać - powiedział łagodnym tonem. - Oboje dobrze wiemy, że życie bywa zbyt krótkie, prawda?

Znów wzruszyłam ramionami. Udawałam, że jego słowa nic dla mnie nie znaczą. Ale tak naprawdę głęboko mnie poruszyły. Miał rację. Życie było zbyt krótkie. Nawet jeśli miałabym żyć tyle, ile przeciętny człowiek, wciąż wydawało mi się niekiedy, że to za mało. A ja tak naprawdę nie żyłam, prawda? Nagle poczułam ucisk w żołądku.

- Tak czy inaczej wystarczy o Rzymie - kontynuował Michael. Chyba się zorientował, że powiedział coś, co mnie poruszyło, i spróbował wyrwać mnie z zamyślenia. - Będziemy mieli jeszcze mnóstwo czasu na rozmowę o tym mieście, prawda?

Uśmiechnęłam się do niego.

- Tak. - Podobało mi się, że mówił o przyszłości tak, jakby było oczywiste, że zobaczymy się jeszcze niejedną raz. Dzięki temu poczułam się trochę bezpieczniej. Lubiłam poczucie bezpieczeństwa.

Odchrząknął.

- Naprawdę dobrze się bawiłem w twoim towarzystwie. Uśmiechnęłam się.



- Ja w twoim też.

- Chętnie spotkałbym się z tobą ponownie. Najlepiej niedługo - dodał.

- Bardzo bym chciała - odpowiedziałam. Przez dłuższą chwilę po prostu patrzyliśmy sobie w oczy z uśmiechem.

Piętnaście minut później szliśmy powoli w stronę restauracji Michaela.

Zaproponował, żebyśmy przeszli się po okolicy, a później, jeśli będziemy mieli ochotę, wstąpili gdzieś na kieliszek wina. Najpierw jednak musiał

podrzucić szefowi kuchni zaległy czek. Miał to zrobić wcześniej, ale zapomniał.

Kiedy doszliśmy do U Adriano, Michael zatrzymał się i stanął koło mnie.

Świat wokół nagle zwolnił, gdy jedna jego ręka znalazła się na mojej talii i przyciągnęła mnie bliżej, a dłonią drugiej dotknął mojej twarzy.

Popatrzył mi głęboko w oczy, jednocześnie głaszcząc delikatnie kciukiem policzek. Wstrzymałam oddech, kiedy zamknął oczy i pochylił głowę w moją stronę. Nasze usta spotkały się i lekko dotknęły.

To było cudowne uczucie.

Staliśmy tak przez chwilę, jakby czas przestał płynąć, nasze usta były ledwie złączone. A potem pocałunek stał się bardziej namiętny. Powinno mi być głupio całować mężczyznę, którego ledwie znałam, przed drzwiami jego restauracji na środku ruchliwej ulicy na Manhattanie. Ale czułam tylko motylki w brzuchu. W głowie mi się kręciło. To był

najwspanialszy pocałunek w moim życiu. Michael wciąż obejmował

mnie ostrożnie, głaskał mój policzek gładkimi palcami jednej dłoni, a drugą przeczesywał mi włosy. Ten pocałunek zdawał się trwać wiecznie, a kiedy wreszcie lekko się od siebie odsunęliśmy, brakowało mi tchu.

Miałam wrażenie, że jemu też.

- Niesamowite - powiedział, patrząc mi w oczy. Cofnął się o krok i przeczesał włosy palcami. - Niesamowite - powtórzył.

- Niesamowite - zawtórowałam. Czułam, że się czerwienię, ale już się tym nie przejmowałam.

Michael chrząknął i mrugnął kilka razy.

- Hm, muszę wejść na chwilę do środka i zostawić ten czek - powiedział, wskazując głową restaurację. - Może wejdiesz ze mną i tam poczekaasz?

A potem pójdziemy na ten spacer?

- Jasne - zgodziłam się.

- To dobrze - ucieszył się Michael. Uśmiechnął się szeroko. - Bo pomyślałem sobie, że chciałbym cię chyba jeszcze raz pocałować.

Serce zabiło mi mocniej.

- Myślę, że to bardzo dobry pomysł. Teraz naprawdę promieniał.

- Zaraz wrócę - zapewnił. Cmoknął mnie szybko w usta. Potem otworzył

drzwi i weszliśmy do ciemnego wnętrza frontowej sali restauracji.

Zaprowadził mnie do swojego biura, czyli małego pokoju znajdującego się po prawej stronie tuż za holem, i poprosił, żebym się rozgościła.

Usiadłam na jednym z wyściełanych krzeseł, stojących naprzeciwko biurka i czekałam chwilę, podczas gdy on poszedł poszukać szefa kuchni.

Znalezienie go zajęło mu kilka minut.

- Wiesz, pomyślałem sobie - powiedział, wchodząc do pomieszczenia - że powinienem dać ci numer telefonu do jednej znajomej w Rzymie, która wynajmuje pokoje na dłuższy czas. Jest dobrą przyjaciółką rodziny.

Uśmiechnęłam się.

- Naprawdę uważasz, że powinnam znów tam pojechać, prawda?

W odpowiedzi on też się roześmiał.

- Raczej szukam pretekstu, żeby cię odwiedzić. Pozwoliłabyś mi przespać się na kanapie?

- To daleka droga jak na drugą randkę, nie uważasz?

- Miałem nadzieję, że do tego czasu drugą randkę będziemy mieć już za sobą - stwierdził, patrząc mi w oczy chwilę dłużej, niż to było konieczne.

Uśmiechnęłam się, czując rumieniec wypływający mi na policzki.

Michael nabazgrał coś w tym czasie na kawałku papieru i podał mi go.

Spojrzałam na kartkę. Było na niej wypisane żeńskie imię Karina, numer telefonu i słowo Squisito.

- To restauracja, w której pracuje - wyjaśnił. - Jest niedaleko Panteonu.

Nie rozmawiałem z nią od pięciu lat, ale jeśli powiesz jej, że mnie znasz, na pewno da ci zniżkę.

- Czuję się jak na spotkaniu z przedstawicielem biura podróży -

powiedziałam z uśmiechem. Złożyłam kawałek papieru i schowałam do portfela, chociaż miałam świadomość, że jeśli rzeczywiście wybiorę się kiedyś do Rzymu, zatrzymam się raczej w hotelu. Ale nie chciałam urazić Michaela, który najwyraźniej pragnął mi pomóc.

- Idziemy? - spytał.

Kiwnęłam głową i wstałam. Podszedł do mnie bliżej i przez dłuższą chwilę po prostu patrzyliśmy sobie w oczy. Potem przyciągnął mnie do siebie, pochylił się i pocałował mnie powoli i z czułością. Miałam wrażenie, że śnię. Ze wszystkich sił pragnęłam, żeby czas się zatrzymał.

Niestety, przyjemna chwila nie trwała długo. Przerwała ją żująca gumę kelnerka, która nagle pojawiła się w drzwiach pokoju.

- Hm, panie Evangelisti? - spytała z wahaniem. Odskoczyliśmy od siebie, jakby przyłapano nas na robieniu czegoś złego. Dziewczyna spojrzała na nas niepewnie, po czym odchrząknęła. - Telefon do pana.

Michael posłał jej dziwne spojrzenie.

- Możesz poprosić, żeby zostawili wiadomość? Kelnerka rozejrzała się nerwowo. Ponownie spojrzała na mnie i zakasłała. Wreszcie znów zwróciła się do Michaela.

- Cóż, hm, dzwoni pana teściowa - wyrzuciła z siebie. Poczułam, że oblewa mnie zimny pot.

Wzrok Michaela błyskawicznie powędrował w stronę mojej twarzy, która bez wątpienia właśnie mocno poszarzała.

- Jego teściowa? - spytałam wysokim, obco brzmiącym głosem.

Dziewczyna spojrzała na mnie i powoli skinęła głową.

- O mój Boże - wymamrotałam. Poczułam się, jakby ktoś uderzył mnie w twarz tak mocno, że zakręciło mi się w głowie. Czy ta więź między nami, napięcie, chemia, były tylko moim wyobrażeniem? A może miałam się stać jego niczego nieświadomą kochanką? Czy myślał, że pójdę na taki układ tylko dlatego, że miałam prawie trzydzieści pięć lat, byłam żalosna, nudna i nikogo nie miałam? Że i tak nie znalazłabym sobie nikogo lepszego niż uwodzicielski, żonaty właściciel restauracji?

Nie mogłam uwierzyć, że dałam się na to nabrać. Zrobiło mi się niedobrze. Motylki w brzuchu ustąpiły miejsca obezwładniającej fali mdłości.

- Świetnie - zamruczał Michael pod nosem. Najwyraźniej zdenerwowało go, że tak szybko dowiedziałam się o drobiazgu, jakim było jego małżeństwo. - Posłuchaj, Cat, to nie tak, jak myślisz.

Chciało mi się płakać. Ale nigdy wcześniej nie płakałam przy mężczyźnie. Nie zamierzałam zacząć teraz i to w towarzystwie kogoś, kogo ledwie znałam, a przed chwilą bardzo niewłaściwie oceniłam jego charakter.

- Nie musisz się tłumaczyć - rzuciłam zwięźle. Zaczęłam zbierać swoje rzeczy.

Michael wyglądał na zranionego tym nagłym ochłodzeniem naszych stosunków. Nie wiem, czego się spodziewał. Miałam skakać z radości, że podoba mi się żonaty mężczyzna? Cieszyć się, bo tak wspaniale całowało mi się z cudzym mężem?

- Cat! - zawołał. Znów przeczesał palcami włosy, tym razem wyraźnie wzburzony. - Ale... To znaczy, ja...  
- Wydawało się, że nie jest w stanie wydusić z siebie nic więcej. Czekałam, piorunując go wzrokiem. - Po prostu... To znaczy, ona z nami mieszka i, hm... - Urwał.

- Twoja teściowa z tobą mi eszk a ? - powtórzyłam przerażona. -

Wspaniale! Po prostu robi się coraz lepiej.

- Nie, to nie tak, jak myślisz! - wykrzyknął Michael. - To znaczy, tak jest, ale nie do końca. Po prostu nie rozumiesz. - Wyglądał na zrozpaczonego.

Obejrzał się na dziewczynę. - Anneliese, czy mogłabyś przekazać, że oddzwonię za kilka minut?

Zawahała się i spojrzała na mnie.

- Panie Evangelisti, chodzi o pańską córkę. Szczeka mi opadła.

- Córkę? - powtórzyłam. - Masz też córkę?

Czy to naprawdę było moje życie? Miał żonę i dzieci? Poczułam, że brakuje mi tchu, jakby coś ciężkiego nagle przygniotło mi klatkę piersiową.

- Posłuchaj... Proszę, zaczekaj tutaj. Wszystko ci wyjaśnię - jęknął

Michael. Wyglądał na roztrzęsionego. - Hm, naprawdę muszę z nią porozmawiać. Ona nigdy nie dzwoni. Musiało się coś stać. Przepraszam.

Po tych słowach szybko wybiegi z biura, a ja patrzyłam za nim z rozdziawionymi ustami, niezdolna do wykonania żadnego ruchu. W

końcu zniknął gdzieś za wejściem do kuchni. Wzięłam głęboki wdech i otrząsnęłam się. Musiałam iść. Nagle zapragnęłam znaleźć się tak daleko od tego miejsca, jak to tylko możliwe. Spojrzałam na dziewczynę. Wciąż stała tam i patrzyła na mnie.

- Niewiarygodne - wymamrotałam niewyraźnie w jej stronę. - Ma żonę?

Przyglądała mi się naprawdę długą chwilę i w końcu skinęła głową.

- Noo - rzuciła nieprzekonująco. Potem odwróciła wzrok, zrobiła znudzoną minę i ponownie zaczęła międlić w ustach swoją gumę. W

końcu dlaczego nie? Miała osiemnaście czy dziewiętnaście lat i całe życie przed sobą.

Natomiast moje życie, jak się wydawało, właśnie się kończyło. Szanse na to, że kiedykolwiek będę szczęśliwa, malały z każdym dniem.

## ROZDZIAŁ 4

- A to drań! - oświadczyła moja siostra później tego samego wieczoru. Jej głos brzmiał w słuchawce głośniejszy i wyraźniejszy, niż można się spodziewać, biorąc pod uwagę, że była tysiące mil ode mnie, w podróży poślubnej w Cozumel. Zadzwoiła, żeby pogadać, ale od razu zauważyła, że coś się musiało stać.

Opowiedziałam jej wszystko o nieudanej randce z Michael-em.

- Najgorsze jest to - stwierdziłam - że aż tak się pomyliłam w ocenie. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Becky westchnęła.

- To nie twoja wina, Cat - powiedziała. - Po prostu ostatnio przydarzyło ci się kilka niemiłych rzeczy. A on to wykorzystał. Albo przynajmniej próbował.

Mrugnęłam kilka razy i próbowałam się uspokoić, chociaż przecież siedziałam przy biurku we własnym domu.

- Po prostu przy nim czułam się tak... - zamilkłam, szukając odpowiednich słów - pełna nadziei. Sprawiał, że na chwilę odzyskałam wiarę w to, że może mnie spotkać coś dobrego. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy od dłuższego czasu.

Myślałam, że wreszcie spotkałam kogoś wyjątkowego wiesz? 6

-Próbował zamydlić ci oczy - powiedziała miękko Becky.

- Wiem - stwierdziłam. - Ale dało mi to do myślenia. Przeasz, a po prostu siedzę i czekam, aż coś mi się przytrafi. Prawda? Może nie spotykam fajnych facetów, ponieważ nie' robię nic ciekawego.

Becky milczała przez chwilę.

- Nie wiem, czy o to chodzi - stwierdziła w końcu

- A jeśli właśnie o to? - spytałam, czując nagle, że czas płynie zbyt szybko i muszę natychmiast coś z tym zrobić -Co, jesh moje życie codziennie wygląda tak samo: jadę do pracy, siedzę w swoim boksie, wracam do domu i nic się nie zmienia, bo po prostu nie wiem, jak przerwać tę rutynę?

Becky westchnęła.

- Cat, ty już taka jesteś - powiedziała. Jej słowa dotknęły mnie. Miała rację.

Próbowała dodać mi otuchy, ale wiedziałam, że nie słucha zbyt uważnie, bo z oddali wciąż dochodził mnie głos Jaya. Właściwie nie dziwiłam się jej. W końcu to była jej podróż poślubna. Nie musiała mi doradzać.

- Idź, baw się dobrze - powiedziałam stanowczo - I zrób mnóstwo zdjęć.

-Jasne, siostrzyczko. - Słyszałam, jak śmieje się do słuchawki. - I naprawdę nie przejmuj się Michael-em.

Jest zwyczajnym dupkiem, świat jest ich pełen. Po prostu nie spotkałaś jeszcze właściwego faceta.

Nagle zupełnie bez powodu albo może pod wpływem wczorajszej rozmowy o Rzymie pomyślałam o Francesco Jego oliwkowa cera i ostre rysy twarzy stanęły mi przed oczami, jakbym widziała go wczoraj.

- Tak - rzuciłam niewyraźnie, kręcąc głową. - Może i nie.

Życzyłam siostrze udanego pobytu i mnóstwa świetnej zabawy.

Poprosiłam też, by pozdrowiła ode mnie Jaya. Ale nawet wtedy nie mogłam przestać myśleć o Francesco.

Może nie spotkałam jeszcze odpowiedniego faceta. A może spotkałam go już dawno, ponad dziesięć lat temu, tylko byłam zbyt przerażona, żeby zejść z utartego szlaku i to sprawdzić.

O północy wciąż przytomna wierciłam się i przewalałam w łóżku. Im było później, tym bardziej czułam się roztrzęsiona. Nie znosiłam takich nocy. Następnego dnia musiałam wstać o szóstej. Codziennie rano pół

godziny ćwiczyłam jogę, potem brałam prysznic, szybko suszyłam włosy i piętnaście po siódmej wychodziłam do pracy. Wiedziałam, że jeśli się nie wyśpię, jutro będę do niczego.

Ale nie tym tak naprawdę się martwiłam. Najbardziej niepokoiło mnie to, że nie mogłam przestać wspominać Francesco. Im bardziej próbowałam nie myśleć o żonatym restauratorze, tym bardziej skupiałam się na chłopaku, w którym zakochałam się we Włoszech ponad dziesięć lat temu.

O dwunastej piętnaście w końcu zapaliłam stojącą przy łóżku lampkę, wstałam i przeszłam do salonu. Włączyłam światło na biurku i otworzyłam dolną szufladę. Powoli wyciągnęłam z niej małe, drewniane pudełko na pamiątki, do którego nie zaglądałam od trzech lat.

Usiadłam na sofie, położyłam pudełko na kolanach i otworzyłam je wolno, zupełnie jakby potraktowanie go z mniejszą ostrożnością mogło spowodować, że moje dawne życie wypełni do obecnego szybciej, niż mogłabym się spodziewać.

Na wierzchu leżało zdjęcie Francesco, ostatnie, jakie mu zrobiłam. Było to rankiem w dniu wyjazdu z Rzymu, zaledwie kilka godzin przed tym, jak widziałam go po raz ostatni. To było moje ulubione zdjęcie Francesco.

Wstałam tego dnia wcześniej, żeby spakować resztę rzeczy. Większość z nich przeniosłam

w trakcie dwóch miesięcy trwania naszego związku z malutkiego pokoiku w schronisku do znacznie większego mieszkania Francesco. Ustawiłam schludnie spakowane walizki przy drzwiach wyjściowych i poszłam do sypialni go obudzić. Ale kiedy weszłam do pokoju i zobaczyłam, jak słodko wygląda, po prostu musiałam złapać za aparat i zrobić mu zdjęcie.

Spał zaplątany w pościel, z odrobinę otwartymi ustami i idealnie napiętymi mięśniami pod nagą, ciemno opaloną skórą ramion. Nigdy się nie dowiedział, że zrobiłam to zdjęcie. Patrzyłam na nie bardzo często, zwłaszcza w pierwszych latach po powrocie z Rzymu, dlatego miało wytarte i poszarpane brzegi. Wyglądało na dużo starsze, niż było w rzeczywistości.

Nie zmieniało to jednak faktu, że zdjęcie było stare. Podczas trzynastu lat, które minęły od mojego pobytu w Rzymie, tak wiele się zmieniło. Ja się zmieniałam. Zaczęłam przeglądać resztę fotografii, których nigdy nie umieściłam w albumie, ponieważ mnie przygnębiały. Zdumiałam się, że wyglądam na nich tak młodo i tak szczęśliwie, zupełnie jakbym była inną osobą. Nie chodziło wcale o to, że tutaj nie byłam szczęśliwa. Oczywiście że byłam. Po prostu na zdjęciach z Rzymu mój uśmiech wydawał się jaśniejszy, a oczy bardziej bez troskie. Wyglądałam na zachwyconą faktem, że tam jestem, mogę poznawać miasto i zajmować się sobą.

Przejrzałam zdjęcia przedstawiające mnie w różnych pozach i miejscach -

z Karą, koleżanką z pokoju, pod Koloseum, z Francesco pod fontanną di Trevi albo pijącą z nim drinki w jego ulubionym barze niedaleko Panteonu, sama przed muzeum w Watykanie. Uśmiechnęłam się, patrząc na siebie całującą Francesco w gładki, ciemno opalony policzek albo po-zującą obok jego vespy. To było naprawdę niezapomniane lato, a jednak zostało mi z niego zaledwie kilkanaście fotografii. Przeglądałam je tyle razy w ciągu minionych lat, że nie byłam już pewna, co naprawdę pamiętam z Rzymu, a co jest tylko wspomnieniem zdarzeń utrwalonych na fotografiach.

Szybko przerzuciłam resztę przedmiotów w pudełku. Znalazłam pamiętnik, do którego nie zaglądałam, odkąd wróciłam do domu. Były w nim odcinki biletów z moich podróży pociągiem po Włoszech, broszurki z muzeów, które odwiedziłam, wysuszone kwiaty słonecznika, zebrane przy drodze gdzieś w Toskanii. Był tam też naszyjnik w kształcie motylka, który dostałam od Francesco jakieś dwa tygodnie po tym, jak się poznaliśmy. To była sztuczna biżuteria, prawdopodobnie kupiona za kilka dolarów od jakiegoś sprzedawcy na rogu ulicy. Ale dla mnie miała wartość srebra i diamentów od Tiffany'ego. Przestałam nosić ten wisiołek rok po powrocie z Rzymu, jedenaście i pół miesiąca po tym, jak Francesco przestał się do mnie odzywać. Czułam się wtedy kompletnie załamana.

Brałam do ręki każdą rzecz po kolei, pozwalając, by zalała mnie fala wspomnień. Długo oglądałam zdjęcia. Prawie już zapomniałam, jak bardzo kochałam te jego jasnozielone oczy, sposób, w jaki marszczył

brwi, kiedy się na czymś skupiał, to, jak mrugał do mnie, gdy rzuciłam jakiś żart albo wspomniałam coś zabawnego tylko dla nas dwojga. Nie pamiętałam, że aż tak dobrze razem wyglądaliśmy. Doprowadzał mnie do szału swoim niezorganizowaniem, beztroską i bałaganiarstwem.

Lubiłam myśleć, że doskonale się uzupełniamy - ja z moją obsesją na punkcie porządku i on nigdy nietrzymający się planu. Myślę, że dzięki niemu trochę się rozluźniłam, przynajmniej w ciągu tego lata. Ja z kolei sprawiłam, że stał się odrobinę bardziej odpowiedzialny.

Ale nie miałam pojęcia, gdzie był ani co teraz robił. Nigdy przecież tak naprawdę nie poprosił mnie, żebym została, chociaż i tak bym tego nie zrobiła. Musiałam wrócić, pomóc tacie zająć się Becky i skończyć college. Powiedział mi, że nie jest w stanie utrzymać związku na odległość, a ja i tak wróciłam do domu. Mogłam zostać. Wiedziałam, że mogłabym nie wyjeżdżać i ułożyć sobie życie w Rzymie. Ale Becky i tata potrzebowali mnie, więc odwróciłam się plecami i zniknęłam z jego życia.

Koniec końców, chyba była to moja wina. Nie miałam nawet do niego pretensji, że przestał dzwonić i odpowiadać na e-maile dwa tygodnie po tym, jak wróciłam z Rzymu. Wiedziałam, że go zraniłam. Ale wtedy myślałam, że świat stoi przede mną otworem i pewnego dnia zakocham się w kimś innym, a Francesco stanie się jedynie pięknym wspomnieniem.

Tymczasem miałam prawie trzydzieści pięć lat i chociaż od tamtego czasu związałam się z kilkoma mężczyznami, Francesco pozostawał

jedynym, którego kiedykolwiek naprawdę kochałam.

Jak mogłam tak po prostu go opuścić?

Odłożyłam pamiętnik, zdjęcia i inne przedmioty z powrotem do pudełka.

Zamknęłam je zdecydowanym ruchem, jak gdybym chciała się odciąć od wspomnień i przeszłości. Ale nawet kiedy wróciłam do łóżka, zgasiłam światło i próbowałam zasnąć, Francesco wciąż był obecny w moich myślach.

W niedzielny poranek zignorowałam dziewięć telefonów od Michaela i skasowałam bez odsłuchania sześć nagranych przez niego wiadomości, po czym pojechałam odwiedzić tatę w jego mieszkaniu znajdującym się w wąskiej kamienicy na Brooklynie. Wiozłam ze sobą wielką papierową torbę, pełną naszych ulubionych pumperniklowych bajgli, opakowanie serka śmietankowego i dwa kubki z kawą. Zawartość jednego z nich zdołałam częściowo wyłąć po drodze na mój biały T-shirt.

- Witaj, moja piękna - jak zwykle powitał mnie tata. Wyjął mi z rąk bajgle i serek, po czym pocałował mnie w policzek.

- Cześć, tato - powiedziałam, wchodząc do środka. Próbowałam zamknąć za sobą drzwi, jednocześnie przytrzymując łokciem kubki z kawą.

Usiedliśmy przy stole w kuchni nad naszym standardowym niedzielnym zestawem śniadaniowym, składającym się z bajgli, serka i łososia, którego tata zawsze kupował w delikatesach dwie przecznice dalej. Nalał

nam po szklance soku pomarańczowego z dzbanka, który wyjął z lodówki, i usiadł naprzeciwko mnie z poważnym wyrazem twarzy.

- Becky opowiedziała mi o twojej randce z tym młodym mężczyzną z restauracji - powiedział bez ceregieli.

Nie mogłam opanować rumieńca.

- To nic takiego.

- Co ty mówisz, Cat - zaprotestował stanowczo. Zrobił pauzę i nie odezwał się, dopóki na niego nie spojrzałam. - Miałaś straszliwego pecha, córeczko. Ale to nie twoja wina.

Wzięłam głęboki wdech, po czym powoli wypuściłam powietrze.

- No cóż - westchnęłam. - Myślę, że to może być jednak moja wina. W

końcu to ja podejmuję wszystkie te złe decyzje, prawda?

- Nie sądzę, żeby randka z restauratorem była złą decyzją - stwierdził tata.



- Skąd mogłaś wiedzieć, że tak się skończy?

- Nie uważasz, że powinnam się domyślić, że coś jest nie w porządku? -

Wzięłam nóż i zaczęłam gwałtownie rozsmarowywać na bajglu grubą warstwę serka. - Ale myślałam tylko: rany, ależ on jest uroczy. Wydawało mi się, że wreszcie spotkałam tego właściwego faceta, wiesz?

Tata spojrzał na mnie smutno.

- W końcu go spotkasz.

Odłożyłam nóż i spojrzałam na mojego bajgla.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy - powiedziałam. -

Wszystko jest w porządku. Pogadajmy o czymś bardziej interesującym.

Na przykład o weselu. Albo podróży poślubnej Becky. Albo o twoich nowych kijach do golfa.

Tata uniósł brew i spojrzał na mnie.

- Zawsze to robisz - stwierdził. - Ale tym razem ci nie pozwolę. Nie zamierzam zmieniać tematu.

Ugryzłam bajgla i udawałam, że nie słyszę jego słów.

- Pyszne te bajgle - rzuciłam wesoło.

- Cat... - Tata spojrzał na mnie surowo.

- Co? - udałam niewinną.

Oparł podbródek na dłoniach i wolno pokręcił głową.

- Musisz coś zmienić. Odłożyłam bajgla.

- Co to jest? Interwencja?

- Zdaje się, że do przeprowadzenia interwencji potrzeba więcej niż jednej osoby.

- Dobrze, w takim razie to naprawdę kiepska interwencja.

- Cat - powiedział. - To nie jest interwencja. Ale Becky i ja rozmawialiśmy o tej sytuacji i chcieliśmy ci coś zaproponować.

- Rozmawiałeś o mnie z Becky? - spytałam. Zmarszczył brwi.

- Czasami mogłabyś pozwolić, żeby ktoś ci pomógł -oznajmił. - Nie musisz zawsze o wszystkich się troszczyć.

- Dobrze. To jak brzmi ta wasza propozycja? - Ze złością odgryzłam gigantyczny kawałek bajgla,

próbując przygotować się psychicznie na to, co może powiedzieć tata. Czy zgłosili mnie do szybkich randek? Założyli mi profil na kilku internetowych serwisach randkowych? Wynajęli sterowiec z moim numerem telefonu, zdjęciem i informacją:

„Wybrakowana i w desperacji! Cat Connelly. Czeka!”.

Tata ugryzł swojego bajgla i próbował uniknąć mojego wzroku.

- Jedź do Włoch - powiedział z pełnymi ustami.

Zbyt szybko chciałam przełknąć jedzenie i zakrztusiłam się. Po dłuższej chwili, kiedy próbowałam wykrztusić wielki kawałek pumpernika z serkiem i wypić pół szklanki wody, której natychmiast nalał mi tata, wytarłam oczy i zapytałam:

- Jechać do Włoch? O czym ty mówisz? - Nagle zaniepokoiłam się, że tata nauczył się czytać w myślach i doskonale wie, iż całą noc wspominałam Francesco.

Tata spojrzał na mnie zaskakująco spokojnie.

- Byłaś tam najszczęśliwsza - oznajmił po prostu. - Becky i ja pomyśleliśmy, że mogłabyś znów wyjechać na jakiś czas.

- O czym ty mówisz? Jestem szczęśliwa tutaj. Rzucił mi groźne spojrzenie.

- Cat.

- No co? Naprawdę jestem.

- Och tak, jasne - zakpił. - To jest życie, o jakim zawsze marzyłaś.

Pięćdziesięciogodzinny tydzień pracy w nudnym biurze, przywożenie mi śniadania w każdą niedzielę i nieistniejące życie miłosne.

- Obraziłaś mnie - zawahałam się. - Bardzo. Tata westchnął.

- Posłuchaj. Na pewno masz mnóstwo niewykorzystanego urlopu. I znając ciebie, spore oszczędności na kartach kredytowych.

- Nie mam - odparłam. - Zapomniałaś już, że właśnie kupiłam mieszkanie?

To było jedno z moich największych osiągnięć. Ciułałam i składałam pieniądze dziesięć lat. Dzięki temu w zeszłym roku uzbierałam wystarczająco dużo, by wystarczyć na wkład własny do kredytu na mieszkanie z jedną sypialnią na Upper East Side.

- Nie zapłaciłaś za mieszkanie kartą kredytową - przypomniał mi ojciec.

- Nie - burknęłam. - Ale pieniądze na karcie są przeznaczone na nagłe wypadki. Używam karty, by jakoś załatać dziury w budżecie powstałe po wpłacie zaliczki na mieszkanie.

- W takim razie kup bilet na samolot za tysiąc dolarów, a kolejny tysiąc pięćset wydasz na opłacenie hotelu przez miesiąc.

- Zaraz, chcecie, żebym pojechała do Rzymu na miesiąc?

- Nie można zmienić życia w tydzień - stwierdził. - Jedź przynajmniej na kilka tygodni. Niech to będzie warte twojego wysiłku.

- Chyba żartujesz - powiedziałam bezbarwnym głosem. Tata odwrócił głowę.

- Może to da ci czas, aby zmierzyć się z problemem, jaki masz z mamą.

- Ja mam p rob lem z ma mą !? - krzyknęłam, wstając.

- Nie dramatyzuj - próbował uspokoić mnie tata. - Usiądź. Rzuciłam mu niechętne spojrzenie, po czym opadłam powoli z powrotem na krzesło.

- Nie mam żadnych problemów z mamą.

- Oprócz tego, że jej nienawidzisz - rzucił obcesowo ojciec. Wziął moje dłonie w swoje, zanim zdążyłam ponownie zaprotestować. - Uspokój się, Cat. Nie winię cię za to, że tak czujesz. Ale może powinnaś odwiedzić jej rodzinę, kiedy już tam będziesz. Może oni pomogą ci zrozumieć, że mama nigdy nie chciała cię skrzywdzić. Może, kiedy to pojmiesz, będziesz mogła pójść dalej.

- Tak, jasne - burknęłam. Spojrzałam w bok. - Posłuchaj, dzięki, że mi to uświadomiłeś. Ale mam dzisiaj mnóstwo do zrobienia. Obawiam się, że muszę już iść.

Tata westchnął i puścił moje dłonie.

- Ale przynajmniej o tym pomyślisz? Nie musisz przecież odwiedzać rodziny swojej matki, córeczko. Po prostu tam jedź i poczuj, jak to jest znowu być szczęśliwą.

- Byłam znacznie szczęśliwsza dziś rano, zanim tu przyszłam - mruknęłam.

Wstałam i z zakłopotaniem cmoknęliśmy się na pożegnanie w policzki.

Myślałam, że będę zła na tatę i Becky, ale kiedy wymaszerowałam z domu i ruszyłam do metra, jedyne, co czułam, to dziwna pustka i mnóstwo wątpliwości. A w dodatku wciąż nie mogłam przestać myśleć o Francesco.

Zrobiłam zakupy, wyczyściłam na błysk mieszkanie, przez kilka godzin oglądałam telewizję i wreszcie położyłam się do łóżka, ale wciąż nie mogłam zasnąć. W końcu poddałam się, wstałam i włączyłam komputer.

Uruchamiał się powoli, a ja odkryłam, że niecierpliwie stukam stopą o podłogę, tak bardzo chciałam już podłączyć się do internetu.

Zalogowałam się na swoją skrzynkę na AOL-u i sprawdziłam listę adresów. Używałam tej skrzynki od czasów *college'u* i zachowałam e-mail Francesco. Miałam nadzieję, że wciąż go używa. Kliknęłam na jego imię w książce adresowej i zobaczyłam, jak adres Francesco Valentill

©hotmail, com pojawia się w polu DO pustego e-maila. Wystarczyło, że ujrzałam ten adres, a serce skoczyło mi z radości. Przypomniało mi się, jak wiele poranków w Rzymie zaczynałam od wysłania krótkiej wiadomości: „Myślę o tobie... Całusy, Cat". Z bólem przypominałam też sobie, jak wiele razy próbowałam bezskutecznie skontaktować się z nim po powrocie do domu. Musiałam wysłać mu z pięćdziesiąt e-maili, na które nie dostałam odpowiedzi, zanim wreszcie zdecydowałam się poddać, by ratować resztki godności.

Minęło dwanaście lat, odkąd ostatni raz próbowałam nawiązać z nim kontakt, ale wydawało się, że rozstaliśmy się zaledwie wczoraj. Co, jeśli on czuł coś zupełnie innego niż ja?

Wzięłam głęboki wdech i zaczęłam pisać.

Czterdzieści pięć minut i sześć wersji później w końcu miałam e-mail, który wydawał się w porządku. Przeczytałam go jeszcze raz.

*Drogi Francesco.*

*Hej. Minęło dużo czasu. Mam nadzieję, że wciąż mnie pamiętasz - wiem, że ja nigdy nie zapomnę Ciebie. Znaczyłeś dla mnie więcej, niż mogłeś to sobie wyobrazić. Ciekawa jestem,*

*gdzie teraz jesteś i czym się zajmujesz. Wciąż często o Tobie myślę.*

*Bardzo ucieszyłaby mnie wiadomość od Ciebie.*

*Całuję Cat*

Zamknęłam oczy i szybko kliknęłam WYŚLIJ, żeby nie zdążyć zmienić zdania. Miałam nadzieję, że rano nie będę tego żałować.

Wylogowałam się, wyłączyłam komputer i z powrotem wpełzłam pod kołdrę. Po raz pierwszy tej nocy czułam się spokojna. Niedługo potem zasnęłam.

Zanim następnego dnia dotarłam do pracy, zdałam sobie sprawę, że obudziłam w sobie mnóstwo dawno zapomnianych uczuć. Co ja najlepszego zrobiłam?

Moja służbowa skrzynka odbiorcza jak zwykle pełna była wiadomości, które przysły w weekend. Przejrzałam je szybko i zazgrzytałam zębami, zobaczywszy wiadomość wysłaną z adresu

[michaelevangelisti@uadriano.com](mailto:michaelevangelisti@uadriano.com). Nie dawałam mu swojego e-maila, najwyraźniej więc znalazł go za pomocą wyszukiwarki. Wyobraziłam sobie, jak zaszywa się w swoim gabinecie i ukradkiem przegląda strony w sieci w poszukiwaniu mojego adresu, podczas gdy niczego nieświadoma żona bawi się z ich dzieckiem w drugim pokoju. Ta wizja zdenerwowała mnie tak bardzo, że wcisnęłam USUŃ, zanim

zdążyłam głębiej się nad tym zastanowić.

W mojej skrzynce na AOL-u nie było nic od Francesco. Poczułam w żołądku dziwny ciężar.

Minęło południe, a ja wciąż niewiele zrobiłam. Straciłam za to mnóstwo czasu, sprawdzając co kilka minut skrzynkę na AOL-u w nadziei, że przyszło jednak coś od Francesco. Z każdą mijającą godziną czułam się coraz bardziej zdenerwowana, a pomysł napisania do ukochanego sprzed lat wydawał mi się coraz głupszy. We Włoszech była szósta po po-

łudniu. Francesco powinien właśnie wracać do domu, jeśli wciąż pracował jako programista komputerowy, tak jak wtedy, gdy się poznaliśmy. Czy w domu też sprawdzał pocztę? Może przeczytał e-mail w pracy, a teraz próbował się uspokoić i zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Wyglądasz na zamyśloną - Kris uśmiechnęła się szeroko, wystawiając głowę znad krawędzi ścianki mojego boks.

Odchrząknęłam.

- Po prostu czytam e-maile - powiedziałam z niewinnym wyrazem twarzy.

- W swojej prywatnej skrzynce? - zapytała z uśmiechem, wskazując głową ekran mojego komputera.

Zaczerwieniłam się i to wystarczyło jej za odpowiedź.

- To kto ma do ciebie napisać? Rzuciłam nerwowo okiem na ekran.

- Nikt - skłamałam szybko.

Spojrzała na mnie z udawanym zdziwieniem.

- Nikt? - powtórzyła. - A to ciekawe, jeśli wziąć pod uwagę, że sprawdzałaś dziś pocztę jakiś milion razy i wyglądasz na wyjątkowo zdenerwowaną.

Teraz już naprawdę byłam czerwona jak burak.

- I w dodatku się rumienisz - dodała spokojnie - co tylko potwierdza moje przypuszczenia, że chodzi o mężczyznę. Mam nadzieję, że nie o tego żonatego gościa od restauracji.

Pokręciłam głową.

- Zdecydowanie nie.

Milczała, uważnie mi się przyglądając.

- W takim razie kto? - spytała wreszcie. - Poznałaś k o -lej n e go faceta?

- Cóż - powiedziałam. - Nie chodzi o nikogo nowego... Właśnie w tym momencie komputer piknął cicho, powiadamiając mnie, że przyszła wiadomość. Spojrzałam na ekran

i gwałtownie wciągnęłam powietrze. Zobaczyłam e-mail, na który czekałam cały dzień, wysłany ze znajomego adresu:

[FrancescoValentill@hotmail.com](mailto:FrancescoValentill@hotmail.com). Francesco odpisał.

Kompletnie ignorując Kris, odwróciłam się szybko do komputera i kliknęłam w wiadomość. Serce mi waliło. Po chwili jej treść pojawiła się na ekranie. Przeczytałam ją pospiesznie.

Bella!

*Pozdrowienia z Italii! Ja też wciąż myślę o Tobie. Twój obraz jest wyryty w mojej pamięci. Proszę, przyjedź do Italii i spotkaj się ze mną. Moje serce tęskni za Tobą.*

*Pozdrawiam i całuję Francesco*

Przeczytałam e-mail dwa razy z zapartym tchem. Nie mogłam uwierzyć nawet w to, że odpisał, a co dopiero w to, że mój obraz jest wyryty w jego pamięci! Jego serce tęskniło za mną? Poczułam się lekko skołowana.

- Kto to jest ten Francesco? - odezwała się Kris rozbawionym tonem, przerywając moje rozmyślenia. Stanęła za mną i czytała mi przez ramię.

- Nikt - wymamrotałam, pospiesznie zamykając wiadomość i mrugając kilkakrotnie, żeby się uspokoić.

- Nikt? - spytała. - Cat, daj spokój.

I tak, po krótkim wahaniu, opowiedziałam jej całą historię, zaczynając od dnia, kiedy pierwszy raz ujrzałam go w rzymskiej dyskotecie, i kończąc na ostatnim, czyli wczorajszym e-mailu do niego. Kiedy skończyłam, patrzyła na mnie z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Jak to możliwe, że nigdy wcześniej mi o nim nie mówiłaś? - spytała.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem. To była przeszłość, wiesz?

- Cóż, teraz to się zmieniło - odrzekła Kris. - To jak? -Przerwała i spojrzała na mnie uważnie. - Co teraz zrobisz?

- Zrobię? - spytałam. Wywróciła oczami.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, mężczyzna twoich marzeń właśnie zaprosił

cię do Włoch. Nie mów, że nie pojedziesz.

Policzki mi płonęły.

- Nie mogę jechać do Włoch!

- Dlaczego?

Nie przyszła mi do głowy żadna dobra odpowiedź.

- Ja... nie wiem - zająknęłam się. - To znaczy, to nierealne. Nie stać mnie na to. Mam tyle pracy.

- Nie byłaś na wakacjach od lat! - krzyknęła Kris. - Masz tyle zaległych dni urlopu, że mogłabyś prawdopodobnie zniknąć na cały miesiąc.

Westchnęłam.

- Ściśle rzecz biorąc, na dziewięć tygodni - oznajmiłam. Kris ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę? To na co czekasz, dziewczyno? Wzruszyłam ramionami z zakłopotaniem.

- A co, jeśli tacie czegoś zabraknie? Albo Becky będzie potrzebowała pomocy przy urządzeniu nowego mieszkania, do którego wprowadzają się z Jayem? Albo któryś z klientów będzie miał do mnie jakąś sprawę?

- Cat - powiedziała wolno Kris, jakby zwracała się do kogoś, kto ma ograniczone możliwości pojmowania. - Wspaniały facet czeka na ciebie we Włoszech i prosi, żebyś go odwiedziła. Nie uważasz, że nadszedł czas, żebyś wreszcie zadbała o swoje potrzeby?

- Ale... - zaczęłam. Kris mi przerwała.

- Naprawdę, Cat. - Mówiła teraz bardzo poważnym tonem. - Zrobisz straszną głupotę, jeśli nie pojedziesz. Zasłużyłaś na to. Potrzebujesz tego. - Zawahała się

i dodała: - Jeśli nie pojedziesz, zawsze będziesz się zastanawiać, co mogłoby się wydarzyć. A tak nie da się żyć.

- Sama nie wiem... - wymamrotałam słabym głosem. Kris przyglądała mi się dłuższą chwilę. Potem bez słowa

weszła do mojego boksu, odsunęłam mnie szturchnięciem na bok i kliknęła przycisk ODPOWIEDZ pod e-mailem Francesco.

- Co robisz? - spytałam.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego zaczęła szybko stukać w klawisze.

Patrzyłam jej niespokojnie przez ramię na pojawiające się na ekranie słowa:

*Na pewno chcesz, żebym przyjechała? Minęło dużo czasu...*

Kliknęła WYŚLIJ, zanim zdążyłam zaprotestować.

- Kris! - wykrzyknęłam. - Jak mogłaś to zrobić? A co, jeśli on tylko żartował? Może wcale tak nie myślał? Co, jeśli...

Właśnie w tym momencie komputer ponownie zabrzączał, powiadamiając o nowej wiadomości. Patrzyłam z niedowierzaniem na adres Francesco, który ponownie wyskoczył na ekranie. Kris bez słowa przesunęła myszkę i otworzyła wiadomość. Wstrzymując oddech, czytałam jej przez ramię.

*Oczywiście że chcę, żebyś przyjechała. Prawdziwa miłość trwa wiecznie, prawda? Proszę, przyjeźdź do Rzymu. Szybko, moja bella.*

- Och - westchnęłam.

Kris uśmiechnęła się do mnie.

- Dobrze, Julio - powiedziała. - Czas wysłać cię do twojego rzymskiego Romea. - Próbowałam nie myśleć o tym, jak skończyła się tamta historia.

- Masz paszport? - spytała.

W otępieniu kiwnęłam głową.

- Fantastycznie - powiedziała z entuzjazmem. - Daj mi swoją kartę kredytową, to poszukam ci lotu. Ty w tym czasie napisz prośbę o urlop.

- Ale... - zaczęłam.

- Po prostu zrób to - zarządziła Kris. - Nie pozwolę ci się z tego wycofać.

To kiedy chciałabyś jechać? W czwartek? Piątek?

- Żartujesz sobie? - parsknęłam. Kris wzruszyła ramionami.

- Czy wygłęd a m, jakbym żartowała?

Nagle poczułam się tak, jakbym zamieniła się z kimś na życia.

Kompletnie skołowana poszłam do działu HR wziąć formularz podania o urlop. Amber z działu HR popatrzyła na mnie, jakbym spadła z księżycy.

- Ty chcesz iść na urlop? - spytała. Skinęłam głową.

- Mój Boże! - wykrzyknęła. - Chyba trzeba urządzić święto narodowe!

Patrzyłam na nią, niepewna, co odpowiedzieć.

- Nie muszę brać wolnego - zaczęłam się wycofywać. - To znaczy, mogę iść na urlop w innym dogodnym terminie. Nie chcę sprawiać problemów.

Amber rzuciła mi groźne spojrzenie.

- Żartujesz? Czekałam, aż poprosisz o urlop, przez ostatnie pięć lat.

Proszę! Jedź!



- Ale... - zaczęłam.

- Nic więcej nie mów - uciszyła mnie stanowczo.

Wciąż się śmiała, kiedy wyszłam z pokoju, trzymając formularz w zaciśniętej dłoni. Ciągle nie wierzyłam, że naprawdę to zrobię.

A potem dotarłam do swojego biurka.

- No więc, zabukowałam ci bilet na lot we czwartek -oznajmiła radośnie Kris. - Kiedy chciałabyś wrócić?

-Poczekaj, w t e n c z w a r t e k ?

Kris odwróciła się do mnie i wzruszyła ramionami.

- Znalazłam świetną okazję na Travelocity. Oferta *last minute*. Chyba nie jesteś zła?

Wzięłam głęboki wdech.

- Kris. To szaleństwo. Uśmiechnęła się.

- Tak - odrzekła. - Szaleństwo. I właśnie dlatego musisz to zrobić. Czy kiedykolwiek w całym swoim życiu zrobiłaś coś szalonego albo nieodpowiedzialnego?

- Z lekkomyślności nigdy nie wynika nic dobrego - stwierdziłam zimno.

Przyglądała mi się przez moment, po czym westchnęła.

- Cat, życie jest skomplikowane. Czasami trzeba podjąć ryzyko. Musisz opuścić swoją strefę komfortu. Musisz robić rzeczy, które są nieodpowiedzialne albo zwyczajnie głupie. Czy może ci się wtedy przydarzyć coś przykrego? Oczywiście. Ale jak można powiedzieć, że się żyło, jeśli nigdy w żadnej sprawie nie podjęto się ryzyka?

Zastanawiałam się nad jej słowami, jednocześnie czując, jak w moim żołądku rośnie wielka gula.

- Po prostu wydaje mi się to głupie - wyznałam.

- Cat, czasami mu si sz robić głupie rzeczy - powiedziała. - W jakiś sposób życie wciąż układa się tak, jak powinno. Na litość boską, myślisz, że naprawdę powinnam być z ojcem Dani? Czy on był dla mnie idealny?

Oczywiście, że nie. Ale poszłam za głosem serca i mam teraz śliczną córeczkę. Niczego nie żałuję. Czasami po prostu trzeba zrobić coś, co wydaje się lekkomyślne, żeby życie mogło pójść do przodu.

Zastanowiłam się. Popatrzyłam na komputer, gdzie portal Travelocity pokazywał opcje lotów powrotnych, wyświetlając je w żywych kolorach.

Pomyślałam o e-mailu od Francesco. „Proszę, przyjedź do Rzymu.

Szybko, moja *bella*". Od kiedy wróciłam z wakacji w Rzymie, tak naprawdę ani razu nie zaryzykowałam. Przypomniałam sobie, jak przyjemnie było za-

sypiać w ramionach Francesco, trzymać go za rękę i patrzeć mu w oczy.

Nie czułam się tak w towarzystwie żadnego innego mężczyzny.

Z trudem przełknęłam ślinę. Miałam dziewięć tygodni niewykorzystanego urlopu. Moja siostra była dorosła. Tata z pewnością mógł sam się sobą zająć.

- Pojadę na cztery tygodnie - usłyszałam swój głos. - Stać mnie na cztery tygodnie w hotelu.

Kris popatrzyła na mnie podejrzliwie, a potem uśmiechnęła się szeroko.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że naprawdę to powiedziałam. Podczas gdy zastanawiałam się, jak się wycofać, z przerażeniem zobaczyłam, że Kris kliknęła WYBIERZ, wpisała numer mojej karty kredytowej i wcisnęła KUP BILET.

- Jedziesz do Rzymu - powiedziała, odchylając się na krześle z zadowoloną miną.

- Ale... - zaprotestowałam słabo. Wyszczrzyła zęby.

- Teraz już za późno - powiedziała. - Nie można zwrócić biletu.

- O mój Boże - wymamrotałam. Wszystko zaczęło do mnie docierać.

Jechałam do Rzymu. Sama. Za dwa dni. Spotkać się z mężczyzną, którego nie widziałam od ponad dziesięciu lat. A co, jeśli już nie będę mu się podobała? Albo jeśli zmienił się tak bardzo, że nie będzie wydawał mi się pociągający?

Podczas gdy ja próbowałam nie wpaść w panikę, Kris radośnie odpisywała na e-mail od Francesco. Przypatrywałam się jej niepewnie, nagle czując się zupełnie odcięta od tego, co działo się wokół mnie.

*Francesco,*

*wzięłam wolne w pracy i mogę być na miejscu w piątek. Spróbuję znaleźć hotel*

*Cat*

Odpisał natychmiast.

*Cat,*

*piątek? To wprost fantastycznie. Będę czekał na twój przyjazd. Powiedz, którym samolotem przylecisz. Przyjadę, żeby cię odebrać z lotniska. Nie mogę się doczekać, kiedy znów cię zobaczę, bella.*

*Molti baci - Francesco*

- Sama widzisz - powiedziała Kris, odwracając się do mnie z tryumfem po przeczytaniu odpowiedzi

Francesco. Poczulałam, że za chwilę zemdleję. -

Wszystko załatwione.

- Nie mogę uwierzyć, że to robię - wymruczałam, wciąż tępo wpatrując się w ekran komputera.

- Ja mogę - odpowiedziała radośnie Kris. - Najwyższy czas, żebyś zrobiła coś szalonego.

## ROZDZIAŁ 5

Becky i Jay wrócili z podróży poślubnej następnego dnia. Spotkaliśmy się w domu taty na kolacji. Mieli już odbitki setek zdjęć z podróży, a mojej siostrze nawet na chwilę nie zamykały się usta - musiała opowiedzieć nam o każdej minucie wyjazdu. Jay wyglądał na znudzonego i widziałam, że mniej więcej przy sześćdziesiątym zdjęciu tacie również zaczęły opadać powieki. Ja starałam się słuchać z uwagą, co mówi Becky. W

końcu było to dla niej ważne, a ja zawsze chciałam być na bieżąco, gdy chodziło o sprawy istotne dla mojej siostry.

Skończyła opowieść długo po tym, jak tata i ja sprzątnęliśmy pozostałości po spaghetti z orzechami włoskimi i sałacie, które przygotowałam na kolację. Dopiero kiedy usiedliśmy z kawą w salonie, zrzuciłam swoją bombę.

- Jadę w czwartek do Włoch - powiedziałam od niechcenia, ukrywając uśmiech za brzegiem wyszczerbionego kubka z napisem „Córki to największy dar”. Tata zawsze się upierał, że bym z niego piła.

Becky wypluła kawę.

- Co?

Jay wytarł ze swojej koszuli kropelki kawy Becky i zawtórował:

- Do Wioch?

Tata po prostu się uśmiechnął i powiedział:

- Dobra dziewczynka.

Spojrzałam na Becky i Jaya, a potem dłuższą chwilę patrzyłam tacie w oczy. W końcu wzruszyłam ramionami.

- Pomyślałam, że masz rację - powiedziałam. - Może rzeczywiście powinnam to zrobić.

- W czwartek? - spytała Becky, wciąż nie mogąc oderwać ode mnie wzroku. - Ale to jest, hm, za dwa dni.

Skinęłam głową.

- To wszystko wina Kris - wyjaśniłam. - Znalazła mi tanie bilety *last minutę*. Ale tak pewnie jest lepiej.

Nie będę miała czasu, żeby się rozmyślić, prawda?

- To świetnie - stwierdził Jay, kiwając głową na znak aprobaty. - Włochy.

Super.

- Ale to naprawdę nagła decyzja, Cat - zaproponowała Becky, kładąc mężowi rękę na ramieniu i dając mu do zrozumienia, żeby był cicho. -

Chodzi mi o to... Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

Spojrzałam na tatę, a potem z powrotem na Becky.

- Myślałam, że to był twój pomysł - powiedziałam do niej.

- No tak - odparła. - Ale nie sądziłam, że naprawdę to z rob i s z. Ty nigdy nic nie robisz.

Zapadła niezręczna cisza. W końcu odezwał się tata:

- Cóż, ale tym razem będzie inaczej i myślę, że to naprawdę wspaniale.

- Dziękuję - powiedziałam miękko, nagle czując się niepewnie. Becky miała rację, prawda? To było zupełnie do mnie niepodobne i w dodatku śmieszne. Cała moja pewność siebie zniknęła. Ale w tym momencie moja siostra klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się.

- Masz rację - stwierdziła. - Masz całkowitą rację. Na pewno będziesz się wspaniale bawić. Po prostu jestem zazdrosna, że nie mogę jechać z tobą.

- Gdzie zamierzasz się zatrzymać? - spytał Jay.

- Nie chcę wydać fortuny, ale wolałabym mieszkać w jakimś porządnym, bezpiecznym miejscu - wyjaśniłam. - Znalazłam świetny mały hotel w pobliżu dworca kolejowego, gdzie pokoje kosztują około siedemdziesięciu pięciu dolarów za dobę. Z podatkami i wszystkimi innymi opłatami wychodzi około dwóch i pół tysiąca dolarów za miesiąc.

Becky gwizdnęła przeciągle.

- O la, la - powiedziała. - To masa pieniędzy. Prawie dwa razy tyle, ile kosztowała nasza podróż poślubna.

- Tak, cóż, nie będzie mnie cztery tygodnie - odpowiedziałam. - Nie jest tak drogo, jeśli wziąć to pod uwagę. Tak myślę.

- Masz tyle pieniędzy? - spytała.

Wzruszyłam ramionami, nagle czując się niezręcznie. Mogłam rozmawiać o pieniądzach innych ludzi przez cały dzień, ale moje finanse to odrębna sprawa.

- Jakoś dam radę - powiedziałam. Posłałam tacie słaby uśmiech. - Poza tym dowiedziałam się, że

właśnie od tego są karty kredytowe.

- Jejku - westchnęła Becky. Potem się uśmiechnęła. -Cóż. To świetnie. -

Zawahała się, po czym dodała: - To jak, odwiedzisz tego gościa? Jak on miał na imię? Francisco?

Nerwowo obracałam w dłoniach kubek.

- Francesco - poprawiłam ją. - I... tak. To znaczy, już wysłałam mu e-mail.

Po raz drugi tego wieczoru Becky opadła szczęką. Dosłownie.

- Napisałaś? To do ciebie tak niepodobne.

- Cóż, próbuję opuścić swoją strefę komfortu, rozumiesz?

- Tak... Ojej - wydusiła z siebie Becky. Pokręciła głową. -Nie wiem, co powiedzieć.

- Ja wiem - stwierdził stanowczo tata. - Jestem z ciebie dumny, kochanie.

Będziesz się świetnie bawić. - Uniósł kubek z kawą. - Za Cat! -

powiedział.

- Za Cat! - powtórzyli Becky i Jay, kiedy wszyscy czworo stuknęliśmy się kubkami.

Następnego dnia około czwartej po południu byłam już tak podekscytowana, że ledwie mogłam skoncentrować się na pracy. Kris powtarzała, że na pewno poradzi sobie podczas mojej nieobecności, a firma Puffer & Hamlin raczej się beze mnie nie rozpadnie. Wiedziałam, że tylko się ze mną droczy, ale i tak czułam się niepewnie. Od kiedy zaczęłam tu pracować, nigdy nie opuszczałam pracy na dłużej niż kilka dni. Co, jeśli któryś z klientów będzie mnie potrzebował? Co, jeśli zdarzy się katastrofa, a mnie nie będzie na miejscu, by zlikwidować jej skutki?

- Zawsze możemy cię łapać przez e-mail - uspokajała Kris, patrząc na mnie z rozbawieniem. - A ponieważ masz trzystu zdolnych współpracowników, mam przecucie, że ktoś tutaj będzie w stanie rozwiązać każdy problem, jaki się pojawi.

- Ale...

- Żadnych ale - stanowczo uciszyła mnie Kris. - Poważnie. Po prostu jedź.

Przestań się zamartwiać. Raz w życiu baw się dobrze.

Nie odebrałam tego dnia kolejnych dwóch telefonów od Michaela i skasowałam wiadomości od niego bez odsłuchania. Malutka część mnie chciała mu powiedzieć o wyjeździe do Włoch, ale wiedziałam, że nie powinnam nawet o nim myśleć. Zadzwoiłam do operatora telefonów komórkowych, prosząc o przygotowanie trzydziestodniowej taryfy na zagranicę. Potem zawiadomiłam firmę obsługującą kablówkę o mojej nieobecności i poprosiłam o zawieszenie serwisu na czas jej trwania.

- A niech to, czy jest coś, o czym nie pomyślałaś? - spytała Kris, z rozbawieniem kręcąc głową.

- Lubię być przygotowana - odparłam.

Właśnie w tym momencie zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu zobaczyłam numer telefonu komórkowego Becky. Nigdy nie dzwoniła w ciągu dnia, jeśli nie miała naprawdę ważnej sprawy. Natychmiast odebrałam.

- Cat? - Jej głos zabrzmiał słabo, jakby dochodził z dużej odległości.

Usłyszałam, że cicho pochlipuje.

- Becky? - spytałam. - Wszystko w porządku? - Kris spojrzała na mnie zmartwiona.

Moja siostra na chwilę się zawahała.

- Nie do końca - wydusiła wreszcie. - Trochę narozrabiałam.

Zamknęłam na chwilę oczy. Słyszałam od niej te słowa już setki razy.

- Co się stało? Znów chlipnęła.

- Hm... Pożyczyłam samochód od pani Cohen. Westchnęłam. Pani Cohen była uroczą starszą panią, a jej miniaturowego pudelka Becky od lat wyprowadzała na spacer.

- Becky, przecież nie masz prawa jazdy.

- Wiem.

- Więc? Zawahała się.

- Chciałam tylko zabrać Mitzi do Central Parku na spacer. I rozumiesz, nie mogłam pojechać metrem, bo nie można nim przewozić psów, a nie miałam pieniędzy na taksówkę do miasta.

- Taksówka wyszłaby taniej niż opłata za parking w centrum. - Musiałam zwrócić jej uwagę na pewien brak logiki. Po prostu nie mogłam się powstrzymać.

- C a t , tak jakbym n i e p o t r a f i ła namówić młodego parkingowego, żeby pozwolił mi zaparkować na godzinę

za darmo, podczas gdy ja wyprowadzam psa - zadrwiła Becky.

Zastanowiłam się nad tym. To była prawda. Becky zatrzepotała rzęsami, a mężczyźni ustawiali się w kolejce, pytając, co mogą dla niej zrobić.

Kiedy ja trzepotałam rzęsami, sugerowali, że powinnam użyć kropli do oczu.

- Racja - stwierdziłam. - Co poszło nie tak? Westchnęła ciężko.

- Cóż, wszystko było w porządku i po prostu jechałam do centrum, kiedy ten dupek zajechał mi drogę.

Skręciłam więc w lewo, żeby go ominąć, i wylądowałam na Broadwayu, jadąc w kierunku północnym.

- Ale Broadway jest jednokierunkowy i prowadzi na południe -

zaoponowałam.

Becky na chwilę zamilkła.

- Yyy, tak - przyznała. - Na tym właśnie polegał problem.

- Wjechałaś pod prąd na Broadway? - zapytałam z naciskiem. Spojrzałam na Kris, która kręciła głową z dezaprobatą. „Typowe”, powiedziała bezgłośnie.

- Yhm - zalkała Becky.

- I co? - spytałam.

- No i tak jakby... miałam wypadek.

- O mój Boże! Nic ci się nie stało?

- Jestem tylko troszkę poobijana - powiedziała. - Nic mi nie będzie. Mitzi też na szczęście nic się nie stało. Ale samochód...

- Kompletnie zniszczony? - zgałam.

- Nie do końca - powiedziała szybko. - Ale nie jest dobrze. Rozmawiałam z facetem z warsztatu i powiedział, że może obniżyć cenę, ponieważ jestem taka słodka i w ogóle, ale to wciąż mnóstwo pieniędzy.

- Pani Cohen nie ma ubezpieczenia? - spytałam.

- Tak naprawdę nic jej nie powiedziałam - rzuciła. - Ona nawet już nie jeździ tym samochodem. Moim zdaniem to

straszna szkoda. Jak można po prostu zostawić porsche w garażu i pozwolić, żeby zarastało kurzem?

- Rozwaliłaś porsche? - spytałam z niedowierzaniem.

- Facet je naprawi - powiedziała niepewnie Becky. - Powiedział, że kiedy z nim skończy, pani Cohen nie zobaczy różnicy.

Wzięłam głęboki wdech i ścisnęłam nasadę nosa, próbując się uspokoić.

- Czego potrzebujesz?

- Nie mam pieniędzy, żeby zapłacić za naprawę - wyznała. - Wydaliśmy je na podróż poślubną. Wybrałam wszystko z kart kredytowych.

- Może po prostu powiesz o wszystkim pani Cohen?

- Wiesz, chodzi o to, że ona przyjaźni się z innymi osobami, którym wyprowadzam psy - powiedziała Becky. - Jeśli się na mnie wkurzy, na pewno powie przyjaciółkom. Cała praca, jaką wykonałam w ciągu ostatnich pięciu lat, by zdobyć klientów, pójdzie na marne. To byłaby dla mnie katastrofa.

- Czyli chcesz pożyczyć pieniądze ode mnie? - zgodłam.

- Tylko trochę - powiedziała szybko. - I wszystko ci zwrócę. Obiecuję.

Zawahałam się. Wiedziałam, że się zgodzę. Zawsze się zgadzałam.

Wyciągałam Becky z kłopotów setki razy. Ale w przeszłości zawsze miałam jakieś zabezpieczenie. Teraz wydałam właściwie wszystko, kupując mieszkanie, płacąc pierwsze raty kredytu i używając kart kredytowych, by pokryć bieżące wydatki, zrobić rezerwację na samolot i hotel w Rzymie. Ponieważ zawsze byłam dobrym klientem, mogłam wziąć większą pożyczkę, niż powinnam, ale to także znaczyło, że nie powinnam poprosić o zwiększenie limitu w najbliższym czasie - i tak był

już przekroczony.

- Ile ci potrzeba? - spytałam. Wstrzymałam oddech, nie chcąc usłyszeć odpowiedzi.

- Dwa tysiące dziewięćset pięćdziesiąt jeden dolarów i sześćdziesiąt pięć centów - wyrzuciła z siebie szybko.

- Trzy tysiące dolarów? - powtórzyłam. Stojącej po drugiej stronie wąskiego korytarzyka Kris opadła szczęka.

- Teraz przesadzasz - powiedziała Becky. - To nie jest aż tak dużo! I przecież ci oddam, Cat! Wiesz, że tak.

- Becky - powiedziałam wolno. - Nie mogę. Nie mam już pieniędzy na karcie.

Moja siostra na chwilę zamilkła.

- Nie masz pieniędzy?

- Poczekaj chwilę - rzuciłam. Zalogowałam się na stronie banku, w którym miałam wszystkie trzy karty i szybko coś policzyłam. - Becky, na moich trzech kartach mam zaledwie tysiąc pięćset dolarów.

- Ale ja potrzebuję dwa razy tyle - załkała. - Stracę pracę. A jeśli stracę pracę, nie będę w stanie zapłacić czynszu. To nam zrujnuje życie.

Zamknęłam oczy.

- Nie mogłabyś zrobić czegoś innego, Becky?

- Nie mogę poprosić taty.

Obie wiedziałyśmy, że nasz ojciec nie ma pieniędzy. Tak naprawdę sam ledwo wiązał koniec z końcem. Becky o tym nie wiedziała, ale pożyczał



ode mnie kilka razy w tym roku na czynsz, kiedy zabrakło mu pieniędzy.

- Wiem - westchnęłam.

Przez chwilę myślałam. Spojrzałam na Kris, która tylko kręciła głową.

Wiedziałam dokładnie, co sobie myśli. Będzie na mnie wściekła, jeśli po raz kolejny wyciągnę Becky z tarapatów swoim kosztem. Ale Kris nie miała sióstr. Nigdy nie była na moim miejscu. Trzeba pomagać rodzinie, jeśli tylko jest to możliwe.

Zamknęłam stronę banku i kliknęłam w zapamiętany w zakładkach adres strony zarezerwowanego przeze mnie hotelu w Rzymie. Przez chwilę wpatrywałam się w nią tęsknie.

- Daj mi pięć minut, a będę miała pieniądze, dobrze? - poprosiłam.

- Dziękuję - powiedziała cicho Becky. - Jesteś najlepsza. Obiecuję, że wszystko ci oddam.

- Wiem - odparłam.

- Po prostu podaj mi numery kart, a ja przekazę je temu facetowi -

podpowiedziała usłużnie. - Nie musisz nawet tu przyjeżdżać.

Powiedziałam, że za chwilę oddzwonię, a potem powoli wcisnęłam w telefonie przycisk ZAKOŃCZ. Kliknęłam kilka razy i zatwierdziłam coś ENTEREM. Potem spojrzałam w górę i zobaczyłam Kris dokładnie tam, gdzie się jej spodziewałam - stała nade mną i piorunowała mnie wzrokiem.

- Coś ty przed chwilą zrobiła? - spytała oskarżycielskim tonem.

- Becky miała stłuczkę i potrzebowała pieniędzy - wymamrotałam.

- Powiedziałaś jej, że nie masz pieniędzy - przypomniała.

- Bo nie miałam - odpowiedziałam. Zawahałam się. - Ale ona mnie potrzebowała.

- I? - zniecierpliwiła się Kris.

- I skasowałam rezerwację na hotel w Rzymie - wyznałam niepewnym głosem.

- Co? - krzyknęła Kris. - Co, zwariowałaś? I gdzie zamierzasz mieszkać?

- Tak naprawdę nie muszę przecież jechać - stwierdziłam. - Może to jakiś znak. Po prostu ten wyjazd nie jest mi pisany. Poza tym, co jest ważniejsze? Jakaś szalona podróż? Czy moja siostra?

- To jest idiotyczne pytanie - warknęła Kris. - W tym przypadku podróż jest ważniejsza. Twoja siostra prosiła cię o pieniądze i przysługi więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć!

- Ale tak właśnie postępuje się w rodzinie - zaprotestowałam.

- Tak się nie postępuje, jeśli członkami twojej rodziny są nieodpowiedzialni, samolubni ludzie, którzy

nieustannie cię wykorzystują - oznajmiła Kris. - A poza tym nie możesz zwrócić biletu.

- No to stracę dziewięćset dolarów - stwierdziłam. - Świat się od tego nie skończy.

Kris wzięła głęboki wdech.

- Jak bardzo możesz jeszcze naciągnąć kredyt w karcie?

- Nie wystarczy na hotel - odpowiedziałam. - Wygląda na to, że tak chciał

łos.

Patrzyła na mnie przez chwilę.

- A właśnie, że nie chciał - zamruczała. Pochyliła się nad biurkiem i odsunęła mnie na bok. Zajrzała do skrzynki na AOL-u, do której byłam już zalogowana i przewinęła otrzymane wiadomości. Znalazła ostatni e-mail od Francesco. Otworzyła go, kliknęła ODPOWIEDZ i szybko coś wpisała. Wcisnęła WYŚLIJ, zanim zdążyłam przeczytać jej wiadomość.

- Co tam napisałaś? - zapytałam z naciskiem. Wyzywająco skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie twoja sprawa - odpowiedziała.

Odsunęłam ją i otworzyłam skrzynkę wiadomości wysłanych. Oczy otwierały mi się coraz szerzej ze zdumienia, kiedy czytałam e-mail.

*Hej Francesco!*

*Zrobiłam bardzo, bardzo głupi błąd i postanowiłam pożyczyć swojej siostrze trochę pieniędzy. Teraz nie będzie stać mnie na hotel w Rzymie.*

*Myślisz, że mogłabym zatrzymać się u Ciebie?*

- Kris! - krzyknęłam. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś! Wzruszyła ramionami i zmrużyła oczy.

- Ktoś musiał. Ty najwyraźniej nie masz zamiaru zaryzykować.

Obie przez chwilę wpatrywałyśmy się w ekran. Byłam przekonana, że Francesco właśnie śmiertelnie się wystraszył, nigdy już nie odpowie i będę czuła się nawet gorzej, niż zanim zaczęła się cała ta afera. Bądź co bądź nie widział mnie od lat. Na pewno nie będzie chciał, żebym nagle została jego gościem.

W mojej skrzynce pojawiła się nowa wiadomość.

- Mówiłam, że odpisze - ucieszyła się Kris. Obie łączywie rzuciłyśmy się do czytania.

*Ty u mnie to świetny pomysł. Odliczam godziny do Twojego przyjazdu.*

*Całuję, Francesco.*

- O mój Boże - wykrztusiłam.

- Cat Connelly - zawołała Kris, szczerząc zęby w uśmiechu - skończyły ci się wymówki. Jedziesz do Rzymu.

## ROZDZIAŁ 6

Dwadzieścia cztery godziny później siedziałam w samolocie Alitalii lecącym z Nowego Jorku do Rzymu, na miejscu w środku rzędu. Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co się działo.

Chociaż Francesco napisał, że mogę się zatrzymać u niego, wciąż byłam przekonana, że coś pójdzie nie tak. Może, myślałam, szef powie, że nie mogę wziąć wolnego bez wcześniejszego uprzedzenia. Ale mój szef bardzo się ucieszył na wieść, że idę na urlop. Zamówił nawet dla mnie pożegnalny bukiet w kwiaciarni w holu na dole.

W samolocie nie mogłam zasnąć - zbyt wiele myśli tłoczyło mi się w głowie i czułam nerwowy ścisk w żołądku. Próbowałam sobie wyobrazić, co będzie, kiedy ja i Francesco spotkamy się ponownie.

Wiedziałam, że na pewno go rozpoznam. Ale jak będzie wyglądał po tych trzynastu latach? Utył? Wyszedł z formy? Czy bardzo pogłębiły mu się zmarszczki od śmiechu wokół oczu?

Oczywiście był przecież starszy ode mnie, o czym musiałam sobie przypominać. Całe siedem lat starszy. Miał już po-

nad czterdzieści lat. To była dziwna myśl. Ostatni raz, kiedy go widziałam, miał zaledwie dwadzieścia osiem. Wydawało się, że od tamtego czasu minęły całe wieki.

Czy ożenił się i rozwiódł od czasu, kiedy ostatnio go widziałam? Może miał dzieci? Zastanawiałam się, czy wciąż bywał w tych samych barach, jeździł tym samym skuterem i lubił nawijać spaghetti wokół widelca ledwie dwa razy, a potem wciągać resztę przez zęby, straszliwie się przy tym brudząc. Ciekawa byłam, czy wciąż pali, kiedy pije, czy może już z tego wyrósł. Wciąż miał seksowny kilkudniowy zarost, a może zaczął się codziennie golić? Chodzi regularnie do fryzjera i nie ma już tych uroczych, rozwichrzonych loczków? Nosi garnitury? Wciąż chodzi do pracy w koszulkach polo i džinsach? Czy wciąż będzie się śmiał z moich żartów i patrzył na mnie w taki sposób, jakbyśmy mieli wspólną tajemnicę?

Tuż po drugiej po południu czasu włoskiego wreszcie przeszłam przez kontrolę celną i skierowałam się w stronę wyjścia dla pasażerów lotów międzynarodowych na lotnisku Rzym-Fiumicino. Było to ciągnące się kilometrami, staroświeckie miejsce, które w ogóle nie zmieniło się od czasu, gdy znajdowałam się tu ostatnio. Serce mi waliło. Szłam tak szybko, jak tylko mogłam, ciągnąc za sobą walizkę. Wiedziałam, że Francesco jest zaledwie parę metrów ode mnie. Przyciemniane automatyczne drzwi majaczyły przede mną jak wejście do innego świata.

Wzięłam głęboki wdech, przyspieszyłam kroku i szybko przez nie przeszłam. Rozejrzałam się po twarzach czekających osób.

I nagle go zobaczyłam. To było prawie jak sen.

Rozpoznałam go od razu. Trzydzieści lat nie odcisnęło zbyt dużego piętna na jego przystojnej twarzy. Właściwie, zbliżając się do wieku średniego, wyglądał nawet lepiej niż w młodości. Włosy wciąż miał

mocne i kruczoczarne. Zmarszczki od śmiechu nadawały mu pysznie seksowny wygląd, a ciemno opalona skóra na twarzy o wyraźnych rysach ani trochę nie zwiotczała. Miał na sobie ciemne dżinsy i szarą designer-ską koszulkę, która opinała jego ciało we wszystkich właściwych miejscach.

Wyglądało na to, że zachował muskulaturę ramion i barków, która tak bardzo mi się kiedyś podobała.

On też wypatrywał mnie w tłumie, więc podniosłam rękę i zamachałam, kiedy odwrócił się w moim kierunku. Spojrzał prosto na mnie, po czym odwrócił głowę, jakby mnie nie zauważył. Poczułam ucisk w żołądku, ale przecież to była drobnostka. Kiedy szłam w jego kierunku, Francesco wciąż powoli i systematycznie szukał mnie wzrokiem. Serce waliło mi w piersi.

- Francesco! - krzyknęłam, gdy znalazł się już w zasięgu mojego głosu. -

Tutaj! - podniosłam prawą rękę nad głowę i machałam nią jak szalona, próbując przyciągnąć jego uwagę.

Wreszcie mnie zauważył i zobaczyłam błysk rozpoznania w jego oczach.

Mrugnął kilka razy, jak gdyby musiał się przyzwyczaić do mojego widoku, a potem uśmiechnął się i ruszył do przodu.

- *Bella!* - wykrzyknął. - *Che sorpresa!*

Puściłam walizkę, stojąc zaledwie kilka kroków od niego i rzuciłam mu się w ramiona. Poczułam, jakbym cofnęła się w czasie, kiedy pocałował

mnie w oba policzki i zamknął w uścisku. To było fantastyczne uczucie.

Francesco trzymał mnie w ten sposób za każdym razem, kiedy się przytulaliśmy. To uczucie okazało się teraz tak znajome, że prawie się rozpłakałam.

- Co ty tutaj robisz? - zawołał wreszcie, odsuwając mnie od siebie i uważnie mi się przyglądając.

- Wiem! - odpowiedziałam. Nie mogłam przestać się uśmiechać. - To była najbardziej spontaniczna rzecz, jaką zrobiłam w życiu. Nie mogę uwierzyć, że po prostu wysłałam do ciebie e-mail, po czym wskoczyłam do samolotu.

Zmarszczył brwi i przyjrzał mi się uważnie.

- Ale dlaczego? - spytał po chwili. - Czemu przyjechałaś z tak daleka?

- Nigdy... nigdy nie wybaczyłam sobie tego, że tak po prostu cię zostawiłam. Nie sprawdziłam, co mogło się między nami wydarzyć.

Przepraszam.

- Ach - powiedział Francesco. Jego śliczne zielone oczy przewiercały mnie na wylot i sprawiły, że zadrżałam. - *E bel niente.* To nic. *Non ti preoccupi.*

Francesco biegle posługiwał się angielskim, ale miał ujmujący zwyczaj wtrącania do rozmowy włoskich

zwrotów. Zawsze wydawało mi się to urocze i bardzo światowe. Fakt, że mnie nie potępił, tylko stał, uważnie mi się przyglądając, sprawił, że w środku zrobiło mi się ciepło.

- Tęskniłam za tobą - wyznałam miękko. Zawahał się, po czym się uśmiechnął.

-*Et n* . - Spojrzał w dół na moją walizkę. - To co? Idziemy?

Kiwnęłam głową i kiedy Francesco mocno ścisnął moją dłoń w swojej, a drugą złapał walizkę i bez wysiłku pociągnął ją za sobą, poczułam, jak wypełnia mnie radość. Poczułam się tak, jakbym znów była w związku, jakbym miała kogoś. Ale kiedy opuściliśmy terminal, wyszliśmy na jasne, popołudniowe słońce i ruszyliśmy w kierunku niewielkiego fiata Francesco, zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, dokąd jedziemy ani jak teraz wygląda jego życie.

Pędząc w stronę miasta, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym.

Francesco prowadził dokładnie tak, jak zapamiętałam, szybko i agresywnie, zajeżdżając drogę innym kierowcom i przeklinając po nosem, gdy nie mógł kogoś ominąć. Chyba spodziewałam się, że wyrósł

już z tej charakterystycznej dla Włochów drogowej agresji. Co dziwne, wcale mnie to od niego nie odrzucało. Wręcz przeciwnie - poczułam się mu znacznie bliższa. Jakby minęło mniej czasu i nie tak wiele się zmieniło. Może jednak w c i ą ż go znałam. Może on też wciąż mnie znał.

- Mogłaś tak po prostu opuścić pracę? - spytał Francesco. Zajechał drogę starszej kobiecie w dwudrzwiowym samochodzie, po czym przemknął zgrabnie między dwoma motocyklistami, którzy nie pofatygowali się, by założyć kaski.

- Miałam dużo zaległego urlopu - powiedziałam, próbując nie poddać się lękowi przed śmiercią w strasznym wypadku na drodze A91.

Francesco spojrział na mnie i uśmiechnął się półgębkiem.

- Musisz mieć dobrą pracę, prawda? Bardzo dobrą? Roześmiałam się.

- Nie jest zła - odpowiedziałam. - Robię to samo, co zawsze. Pracuję w księgowości.

To było dziwne uczucie, prowadzić zapoznawczą pogawędkę z kimś, kogo znamiona na ciele mogłam umiejscowić z zamkniętymi oczami (jedno tuż nad lewą kością biodrową, drugie na prawym łokciu), historię życia znałam w całości, a marzenia i nadzieje niegdyś zdawały mi się nierozzerwalne z moimi.

- Ale zarabiasz dużo pieniędzy, nie? - naciskał na wpół żartobliwie.

Skupił ponownie uwagę na drodze i wykonał skomplikowany manewr wyprzedzania starego pick-upa. Kierowca półciężarówki wychylił się przez okno, po czym zasypał nas gradem przekleństw i obraźliwych gestów. Francesco tylko się zaśmiał i ponownie spojrział na mnie. - Jesteś bogata?

Rozbawiło mnie to pytanie.

- Ależ skąd. Po prostu umiem oszczędzać. A ty?

- Czy ja jestem bogaty? - spytał Francesco, wyraźnie rozbawiony. - O to pytasz?

- Nie! Miałam na myśli twoją pracę. Czym się teraz zajmujesz?

- Ach, moja praca - powiedział Francesco. Poglądził podbródek w zamyśleniu prawą dłonią, jakby odpowiedź na to pytanie wcale nie była oczywista. - To ciekawa sprawa, *bella*. Robię mnóstwo rzeczy. Trochę maluję. Wykonuję, jak wy to mówicie, roboty ręczne. Tak, roboty ręczne.

- Roboty ręczne? - patrzyłam na niego z zakłopotaniem.

- Tak, tak - pokiwał głową. - Jak ten bohater z serialu w waszej telewizji.

*Gotowe na wszystko.* Hm... Mike Delfino?

Wymówił imię bohatera wolno i z szacunkiem, jakby mówił o żywej, poważanej osobie. Musiałam się roześmiać. Jak wielu mieszkańców Rzymu Francesco uwielbiał amerykańską popkulturę.

- Tak - powiedziałam. - Jesteś złotą rączką?

- Właśnie - potwierdził. Znów skupił uwagę na drodze, próbując wstrzelić się w przestrzeń między dwoma samochodami i slalomem przesuając się na prawy pas. - Naprawiam rzeczy. Wiesz. Kable. Rury.

- A dlaczego już nie pracujesz jako technik komputerowy? Odwrócił się w moją stronę. Miałam wrażenie, że przez jego twarz przemknął grymas zniecierpliwienia.

- Ta praca nie była dla mnie.

- Przykro mi - powiedziałam. Najwyraźniej ból po stracie pracy wciąż był świeży.

Mrugnął kilka razy i zmienił temat.

- A ty? Gdzie mieszkasz?

- W Nowym Jorku - odpowiedziałam.

- Ach, Nowy Jork! Byłem w Nowym Jorku sześć lat temu. Cudowne miasto. Wielkie Jabłko!

Przyjrzałam mu się ze zdumieniem. Nagle poczułam suchość w ustach.

- Byłeś w Nowym Jorku? - spytałam powoli. - Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Spojrzał na mnie ostro.

- Nie wiedziałem, że tam mieszkasz. Poczułam się zdezorientowana.

- Nie wiedziałeś? Przecież zawsze tam mieszkałam. Pamiętasz?

Powiedziałam ci, że to jedyne miejsce, w jakim chcę żyć, ponieważ tam jest moja rodzina. - Musiał to pamiętać. Mówiliśmy o tym setki razy, leżąc razem w łóżku, rozmawiając o przeszłości i o naszych planach.

- Ach, tak - rzucił Francesco nieuważnie. - Teraz pamiętam.

Zamilkł, po czym szybko szarpnął kierownicą, dzięki czemu w ekspresowym tempie skręciliśmy w prawo w boczną uliczkę. Ścisnęłam rączkę przy drzwiach tak mocno, jakby od tego zależało moje życie.

Kiedy Francesco to zobaczył, roześmiał się.

- Uspokój się, *bella*. Tak się tutaj jeździ.

Nie sposób było o tym zapomnieć, gdy slalomem pędził przez wąskie uliczki, zajeżdżał ludziom drogę, omijał samochody, wykonujące dziwne manewry, gwałtownie hamował i przeklinał strasznie po włosku mniej więcej co czterdzieści pięć sekund. Jak to możliwe, że nie przeszkadzało mi to, kiedy tu mieszkałam?

Ale kiedy wystrzeliliśmy z bocznej uliczki, na siłę włączając się do ruchu na głównej drodze, przypomniało mi się zniecka, dlaczego nieobliczalni rzymscy kierowcy aż tak bardzo mnie nie denerwowali. Po prostu miasto, przez które pędzili jak wariaci, było tak niedorzecznie, boleśnie piękne, że trudno było ich winić za chęć natychmiastowego przemieszczenia się z jednego cudownego miejsca w inne.

Z wrażenia wciągnęłam głęboko powietrze, kiedy Tyber i jego piękne łukowe mosty ukazały się naszym oczom. W popołudniowym świetle zabytkowe budynki po drugiej stronie Ponte Garibaldi wyglądały krucho i niewyraźnie. Słońce przeświecało przez łuczki i szczeliny, pieszcząc je swoimi promieniami.

Nagle poczułam się jak w domu,

- Zapomniałam już, jak tu jest pięknie - powiedziałam pod nosem.

Francesco spojrzał na mnie z uznaniem.

- Ach, tak? Rzeczywiście, jest pięknie. To dla ciebie trochę *colpo di fulmine*, prawda?

- *Colpo di fulmine*? - powtórzyłam.

- Miłość od pierwszego wejrzenia - przetłumaczył Francesco, zatrzymując się przed znakiem stopu, odwracając głowę w moją stronę i patrząc znacząco. Potem znów szarpnął do przodu.

Ściał kolejny zakręt w prawo i śmignęliśmy obok prostokątnego placu, nad którym górował olbrzymi posąg zakapturzonego mężczyzny o surowym spojrzeniu, wyglądającego na mnicha.

- Campo dei Fiori - oznajmił Francesco niczym certyfikowany przewodnik wycieczek, gdy ujrzał, że wyciągnęłam głowę w tamtą stronę. - Pamiętasz?

Skinęłam głową, żałując, że przejechaliśmy koło placu z prędkością światła. Ale, przypomniałam sobie, spędzę tutaj cały miesiąc. Będę miała jeszcze mnóstwo czasu na odwiedzenie ulubionych miejsc.

Francesco skręcił w boczną uliczkę, a potem jeszcze w wąziutką alejkę, po czym zatrzymał się z piskiem opon przed poszarzałym, pomalowanym na rdzawopomarańczowy kolor budynkiem.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił, gdy już zaparkował wzdłuż krawężnika.

- W domu.

W d o m u . Te słowa utkwiły mi w głowie.

Francesco wyskoczył z samochodu i szarmancki jak zwykle obszedł go, by otworzyć mi drzwi. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i podtrzymał mnie pod ramię, kiedy stawałam na chodniku.

- *Grazie* - powiedziałam z uśmiechem.

- *Pręgo* - odpowiedział i mrugnął do mnie. - Mówisz teraz po włosku?

Roześmiałam się. To był nasz stały żart podczas tamtego lata. Mimo że uczyłam się włoskiego przez dwa semestry i chodziłam na kurs w Rzymie, moja znajomość języka była naprawdę fatalna. Dwa semestry włoskiego w *college'u* ledwie wystarczyły, żebym pojęła podstawy.

Takie rzeczy jak

odmiana czasowników czy konstrukcja zdań były mi zupełnie obce.

Znałam całą masę całkowicie bezużytecznych słówek, takich jak *mucca* -

krowa, *mela* - jabłko czy *finestra* - okno, ale chociaż kochałam ich melodię - to charakterystyczne, gładkie, włoskie staccato, które sprawiało, że człowiek miał ochotę zacząć gestykulować - i sposób, w jaki brzmiały w moich ustach, nie miałam z nich wielkiego pożytku.

Rozumienie włoskiego to zupełnie inna sprawa. Moja mama oczywiście urodziła się we Włoszech, więc, podobnie jak Francesco, często przeplatała angielskie zdania włoskimi słówkami i wyrażeniami.

Pamiętam, że jako dziecko wiele razy siedziałam w kuchni, kolorując obrazki lub jedząc plasterki jabłka z masłem orzechowym i słuchałam, jak z prędkością karabinu maszynowego wyrzuca z siebie obce słowa, rozmawiając z siostrą lub rodzicami. Wielbiłam ją wtedy i prosiłam, by uczyła mnie swojego języka. Robiła to, czasami cierpliwie, czasami nerwowo i ze wzburzeniem. Zanim nas opuściła, byłam w stanie zrozumieć mniej więcej połowę tego, co mówiła, chociaż większości nie umiałabym powtórzyć.

Podczas jednej z takich rozmów telefonicznych usłyszałam, że planuje odejść. Byłam pewna, że źle zrozumiałam i nie powiedziałam o tym ani jej, ani tacie. Tydzień później już jej nie było. Zawsze czułam się z tego powodu potwornie winna. Wiedziałam o jej zamiarach wcześniej i nic z tym nie zrobiłam. Nieważne, że nie byłam pewna. Do dziś nikomu o tym nie powiedziałam.

Francesco wyjął moją walizkę z bagażnika samochodu i wskazał drzwi budynku.

- Tędy - powiedział. - Po schodach.

Skinęłam głową i ruszyłam do góry. Francesco szedł tuż za mną.



Zastanawiałam się, czy mi się przygląda. Z całą pewnością nie miałam tego samego ciała, co w wieku dwudziestu jeden lat. Ale, ogólnie rzecz biorąc, nie wyglądałam źle jak na trzydziestoczterolatkę. Miałam nadzieję, że Francesco też tak uważa.

Na czwartym piętrze zatrzymaliśmy się przed drzwiami tuż koło podestu.

Francesco odstawił moją torbę, wyjął klucze i zaczął majstrować nimi w zamku. W końcu udało mu się otworzyć i dłonią wskazał mi, żebym weszła do środka.

Było to inne mieszkanie niż przed trzynastu laty, ale kiedy weszłam do środka, natychmiast poczułam się swojsko. Podobnie jak dawne miejsce zamieszkania Francesco, to też było studio na poddaszu. Zdziwiłam się umiarkowanie, widząc tę samą wytartą skórzaną kanapę, beżowy dywanik, stół z kutego żelaza i poobijany kuchenny stół, które pamiętałam z tamtego mieszkania. Nawet pachniało tak samo - słaby zapach papierosów mieszał się z delikatną wonią wody kolońskiej Trussardi. Odetchnęłam głęboko, a zapach przeniósł mnie z powrotem w czasie.

Podłoga w nowym mieszkaniu składała się prawie w całości z błyszczących płytek w kolorze cegły. Mały dywanik oddzielał salon od reszty skromnego apartamentu. Nieduży telewizor stał na drewnianej szafce naprzeciwko starej, skórzanej kanapy. Solidna drewniana drabina oparta była o antresolę, na której stało przykryte granatową kapą łóżko.

Małutka kuchnia sprawiała wrażenie czystej. Pewnie Francesco nieczęsto jej używał. Pamiętam, że niegdyś jadał na mieście prawie codziennie i nie umiał nawet porządnie ugotować spaghetti. Błat kuchenny zastawiony był butelkami chianti, znalazły się tam też dwie wysokie butelki Campari i kilka z szampanem Piper-Heidsieck. Francesco skąpił na wiele rzeczy, ale nigdy na alkohol - pił tylko najlepszy. Słońce wpadało przez wąskie, przeszklone drzwi prosto do salonu.

Francesco zauważył, że przyglądam się płamie światła i uśmiechnął się.

- Dlatego wynająłem ten *appartamento* - powiedział. - *Terrazzo*. Będiesz po wrażeniach.

Wskazał mi drzwi na balkon. Podeszłam do nich i wyjrzałam na zewnątrz.

Francesco stanął za mną i zanim otworzył

drzwi na taras, lekko dotknął mojej talii. Poczułam w całym ciele przyjemne mrowienie.

Wyszłam na zewnątrz i wciągnęłam głęboko pachnące kurzem rzymskie powietrze. Natychmiast zakochałam się w rozciągającym się przede mną widoku, tak jak musiał się zakochać Francesco, kiedy zobaczył go po raz pierwszy.

Taras był dłuższy i szerszy, niż się spodziewałam. Stały na nim dwa ciemnozielone, rozkładane fotele. Pomiędzy nimi znajdował się mały stół, na którym stały dwie przepełnione popielniczki. W odległości kilku kroków widać było balustradę z kutego żelaza. Za nią taras się kończył. Ale dech w piersiach zapał mi nie sam taras, tylko widok na zalane słońcem miasto rozpościerający się tuż za barierką.

Nie był to jakiś nadzwyczajny krajobraz, ale chyba właśnie dlatego wydał

mi się taki piękny. Dokładnie tak wyglądał Rzym, który pamiętałam i za którym codziennie tęskniłam.

Przy brukowanej ulicy stało kilka jasno otynkowanych budynków mniej więcej tej samej wysokości co ten, w którym się znajdowaliśmy. Ich okna wychodziły na niewielki plac.

Kwiaty we wszelkich możliwych kolorach wylewały się ze skrzynek w kolorze cegły i z balansujących tu i ówdzie na okiennych parapetach doniczek. Kilka ulic dalej widać było częściowo zasłoniętą przez budynek mieszkalny kopulę kościoła. Okrągły, pokryty dachówką dach, na którego czubku umieszczono krzyż, błyszczał w popołudniowym słońcu. Nie miałam wątpliwości, że w środku od wieków modlili się katolicy. Być może nawet prapradziadkowie mojej mamy niegdyś klęczeli pod tym sklepieniem. Poczucie bycia częścią historii - nie w znaczeniu podręcznikowym, ale losów ludzi - to jedna z tych rzeczy, które zawsze kochałam w Wiecznym Mieście.

- Pięknie, prawda? - spytał Francesco. Stał za mną, gdy zachłannie wpatrywałam się w miejski krajobraz. W ręku trzymał dwa drinki.

Przezroczysty, jasnoczerwony płyn wy-

mieszany był z lodem, a na wierzchu pływały cienkie plasterki pomarańczy.

- Tak - potwierdziłam. Spojrzałam na szklanki. - Spritz? - zgałam.

Skinął głową, podając mi jedną.

- *Si, naturalmente. Cin cin.*

To był włoski toast, który doskonale pamiętałam. Stuknęliśmy się szklankami. Spojrzałam mu w oczy, a potem wzięłam spory łyk.

Klasyczny wenecki aperitif stał się w ostatnich latach popularny również w Rzymie. Składał się z dwóch części prosecco, dwóch części wody sodowej i jednej części Campari lub Aperolu Bitters. Dopełniany był

lodem i podawany z kawałkiem pomarańczy, która dawała odrobinę słodyczy. Francesco zawsze podawał tego drinka razem z małą miseczką chipsów ziemniaczanych, kiedy siedzieliśmy popołudniami przy otwartym oknie, czekając na jakikolwiek powiew wiatru w środku tego absolutnie upalnego lata.

- Rzeka i Ponte Sisto są zaledwie sto metrów stąd - Francesco wskazał

ręką kierunek, kiedy już się napił. Uśmiechnął się do mnie. - Czasami chodzę nad rzekę biegać.

- Biegasz? - spytałam z niedowierzaniem. Francesco zawsze był dumny z tego, że jest straszliwym leniem, a formę utrzymuje tylko dzięki ciężkiej pracy w weekendy: przenoszeniu mebli na prośbę przyjaciół, koszeniu trawy w ogródku swojej matki i chodzeniu z kumplami po okolicznych górach.

Uśmiechnął się.

- Dużo się zmieniło. Skinęłam głową.

- Ale też wiele rzeczy pozostało takich samych. Francesco zmarszczył

czoło, po czym skinął głową.

Odwrócił się i spojrzał na miasto. Potem znów popatrzył na mnie.

- Tak. Wybierzemy się na kolację po tym, jak się odświeżysz?

Poprowadził mnie z powrotem do środka, przyniósł mi ręcznik i zaprowadził do łazienki. Tam odkręcił wodę w prysznicu, tłumacząc, że czasami trudno ustawić idealną temperaturę. Podobało mi się, że ktoś o mnie dba, choćby miało się to objawiać jedynie włączeniem prysznicza z gorącą wodą.

Szybko spłukałam z siebie pozostałości Nowego Jorku i umyłam włosy szamponem Joico, którego butelkę znalazłam na krawędzi wanny. Przez moment zastanawiałam się zazdrośnie, czy należała do jakiejś dziewczyny Francesco, kogoś, kto dzielił z nim łóżko w mniej odległej przeszłości niż ja. Musiałam sobie przypominać, że nie miałam prawa do zazdrości. W końcu to ja odeszłam wiele lat temu i z pewnością byłam od tamtego czasu na niejednej randce. Poza tym teraz był ze mną, prawda?

Około trzydziestu minut zajęło mi wysuszenie włosów podróżną suszarką, którą przywiozłam ze sobą (razem z odpowiednią przejściówką) i wykonanie podstawowych zabiegów upiększających -

nałożenie na twarz odrobiny fluidu, różu na policzki i tuszu na rzęsy.

Później będę się stroić, ale dzisiaj chciałam wyglądać naturalne, tak jakby ładny wygląd nic mnie nie kosztował i jakbym zanadto się nie starała.

Kiedy wyszłam z łazienki w blad różowej letniej sukience, z białym swetrem luźno zarzuconym na ramiona, Francesco siedział na kanapie z nogą założoną na nogę i czytał książkę. On też tymczasem się przebrał.

Miał na sobie ciemnogranatowe, prawie czarne spodnie i cieniutką białą koszulę, zapiętą za ledwie do połowy. Widać było jego gładką, opaloną klatkę piersiową, porośniętą niewielką ilością włosów. Z wrażenia aż cicho westchnęłam. Wyglądał po prostu bosko.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział. - Idziemy?

Skinęłam głową i gdy przechodził przez pokój w kierunku drzwi, pozwoliłam mu wziąć się za rękę. Nie wiedziałam, dokąd ten wieczór nas zaprowadzi, ale miałam przeczucie, że

stanie się coś, co znacząco oddali mnie od bezpiecznego i spokojnego życia, jakie prowadziłam w Stanach. Nowy Jork i wszystkie obowiązki zostawiłam daleko za sobą, kiedy wyszliśmy na wieczorne powietrze i ruszyliśmy w dół ulicą, która jak wszystkie tutaj prowadziła do Rzymu.

## **ROZDZIAŁ 7**

Przeszliśmy się po okolicy, najpierw w stronę rzeki, potem Via Arencia w stronę Panteonu i z powrotem do Piazza Navona labiryntem bocznych uliczek i alejek. Wreszcie Francesco zaprowadził mnie do urokliwej knajpki o ceglanych ścianach. Znajdowała się niedaleko placu pełnego turystów, przy niewielkiej uliczce w dosyć zaniedbanym budynku.

Odpadał z niego tynk i gdzieś tam widać było wyszczerbione cegły.

Tematy do rozmowy skończyły nam się w momencie, kiedy doszliśmy do restauracji. Trochę mnie to zmartwiło. Jak to możliwe, że wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzynastu lat, zrelacjonowaliśmy sobie tak szybko? Na pewno było jeszcze mnóstwo rzeczy, o których moglibyśmy pogadać. Niemniej kiedy pokrótce opowiedziałam, co u Becky i taty, jak mi szło w pracy, gdzie dokładnie mieszkam i gdy zrelacjonowałam zwięźle i bez szczegółów historię swoich ważniejszych związków, nie przychodziło mi do głowy nic więcej.

Francesco z kolei opowiedział mi, że jego matka wciąż mieszka poza miastem, a siostra Alessandra wyprowadziła się do Wenecji i zakochała się w gondolierze (najwyraźniej był to duży skandal). Wspomniał, że zrezygnował z pracy jako pro-

gramista i założył firmę oferującą usługi pracowników fizycznych, a także, że nie spotykał się z nikim

dłużej niż kilka miesięcy od czasu, gdy byliśmy razem. Kiedy skończył, również wydawał się nieco zagubiony.

Zjedliśmy przystawki w niezręcznej ciszy, wtrącając jedynie uwagi dotyczące jedzenia i wina, które, jak zauważyłam, oboje szybko piliśmy.

Nic dziwnego, że dwa kieliszki chianti i piętnaście minut później poczułam przyływ odwagi. Przestałam tak bardzo się przejmować, że mogę wydać się nieinteresująca. Moje zmarszczki, obwisłe uda i fakt, że Francesco na pewno to wszystko zauważył, również mniej mnie teraz martwiły.

- Widzę, że smakuje ci *il vino, bella* - powiedział z rozbawieniem, kiedy zaczęłam trzeci kieliszek.

Uniosłam znacząco brew.

- Ty też dużo pijesz.

Uśmiechnął się, skinął głową i poprosił kelnera o drugą butelkę.

Kiedy byliśmy w połowie dania głównego - zamówiłam spaghetti z owocami morza w lekkim, śmietanowym sosie, a on stek T-bone z rozmarynem i makaronem w sosie Alfredo - znów swobodnie prowadziliśmy rozmowę. Mój brak wiary w siebie stopniowo zniknął.

Opowiedziałam mu nawet o weselu Becky i o tym, jak babcia upokorzyła mnie na oczach wszystkich gości.

- Ale jak to się stało? - spytał nagle z poważnym wyrazem twarzy, gdy już przestał się śmiać z mojego rzeczywiście dość zabawnego upokorzenia.

- Jak co się stało? - Nie rozumiałam. Wydawało się, że szuka odpowiednich słów.

- Ty. Wciąż jesteś wolna. Dlaczego? Jesteś piękną kobietą. Na pewno znalazłby się mężczyzna, który by cię chciał.

Postanowiłam nie mieć mu za złe tych słów.

- Po prostu nie trafiłam jeszcze na odpowiedniego faceta -

odpowiedziałam. Widząc na twarzy Francesco coś jakby grymas bólu, dodałam po chwili. - Ale może w Nowym Jorku nie ma mężczyzny dla mnie.

Zapadła znacząca cisza. Francesco nie zaprotestował i poznałam po jego minie, że dokładnie wie, co miałam na myśli.

- Może - odezwał się w końcu. Przez moment przyglądał mi się, po czym puścił oko. - Może jest tutaj, w Rzymie.

Serce podskoczyło mi z radości. Zdecydowanie ze mną flirtował! Całe zakłopotanie, jakie odczuwałam wcześniej, było tylko moim wymysłem, produktem podświadomości próbującej zasypać mnie wątpliwościami.

Odchrząknęłam, uśmiechnęłam się i najseksowniejszym głosem, na jaki było mnie stać, powiedziałam:

- Może i tak.

Szybko dokończyliśmy posiłek i piliśmy dużymi łykami to, co zostało w butelce, patrząc na siebie znad krawędzi kieliszków. Francesco ciągle wznosił toasty *cin cin* za nas, za przeszłość, przyszłość, Rzym i dobry los, który przyniósł mu mnie z powrotem po tych wszystkich latach.

Wciąż jednak czułam, że coś jest nie tak. Wraz z kolejnym kieliszkiem wina postanowiłam złożyć to na karb zakłopotania ludzi, którzy niegdyś byli kochankami, ale potem stali się sobie obcy i teraz próbowali ponownie odnaleźć drogę do siebie.

Francesco zapłacił rachunek i gdy tylko wypiliśmy po naparstku czarnego jak noc espresso Lavazzy, wytoczyliśmy się na ulicę. Mój towarzysz otoczył mnie silnym ramieniem i przyciągnął do siebie. Czułam na sobie jego ciężar. Podobało mi się to.

Droga powrotna do mieszkania okazała się krótka - w stronę restauracji szliśmy okrężną trasą, robiąc sobie po drodze małą wycieczkę krajoznawczą. Francesco przez chwilę gme-rał niecierpliwie kluczem w zamku, a potem oboje wpadliśmy do środka. Zanim jeszcze dobrze zamknął drzwi, rzucił się na mnie, całując namiętnie i przyciągając mocno do swojego naprężonego ciała.

Kilka następnych chwil zapisało mi się w pamięci raczej niewyraźnie.

Przypominam sobie mrużane cicho, namiętne słowa, pospiesznie zrzucane buty i to, że z głuchym łomotem wylądowaliśmy na podłodze.

Fragmenty naszej garderoby groteskowo fruwały po pokoju, gdy zrzucaliśmy je w pośpiechu. Myślę, że oboje pragnęliśmy złapać tę chwilę. To była nasza druga szansa i czuliśmy, że jeśli jej nie wykorzystamy, za moment będzie za późno.

Nawet nie próbowaliśmy się wspiąć po drabinie na antresolę. Nie jestem pewna, czy w ogóle by nam się to udało. Zamiast tego Francesco popchnął mnie na kanapę i położył się na mnie, nawet na chwilę nie przestając mnie całować.

- Pragnę cię - wymruczał mi do ucha, jak gdybym jeszcze tego nie zauważyła.

- Ja ciebie też - szepnęłam między pocałunkami, czując wielką siłę tych słów i wciąż nie mogąc uwierzyć, że tu jestem. Nago. W Rzymie. Z nim.

A potem, tak po prostu, znalazł się we mnie. Westchnęłam, biorąc go w siebie i przyjmując wygodną pozycję. W głowie mi się kręciło i nie byłam już pewna, czy to od chianti, czy dlatego, że znów byłam z Francesco. Ale to nie miało znaczenia. Czułam się wspaniale. Po raz pierwszy od lat ktoś obdarzał mnie uczuciem. Zamknęłam oczy, przyciągnęłam go bliżej i zatonełam w tej chwili, słuchając czułych słówek, które szeptał mi po włosku do ucha.

Później leżeliśmy spoceni na kanapie, ciężko oddychając. Francesco przesunął powoli palcem po mojej twarzy i przechylił moją głowę w swoją stronę.

- To było dobre - powiedział. - Bardzo dobre. Roześmiałam się. To było wyjątkowe niedopowiedzenie.

- Tak - zgodziłam się. - To prawda.

Leżeliśmy przez chwilę, próbując złapać oddech. Wciąż oplatał mnie ramieniem. Po chwili przyciągnął mnie do siebie bliżej i poczułam się bezpieczna, chroniona. Zamknęłam

oczy, próbując dobrze zapamiętać tę chwilę na zawsze. Wspaniale było czuć jego ciało, słuchać naszych oddechów wznoszących się w jednym rytmie. Łagodnie, prawie z roztargnieniem gładził moje włosy. Nie musieliśmy nawet nic mówić, by być razem. Nie potrzebowaliśmy słów.

Kilka minut później nachylił się nade mną i znów mnie pocałował, najpierw niepewnie, potem bardziej żarliwie. Wciągnął mnie na siebie i po chwili spytał zachrypniętym głosem:

- Pójdziemy na górę?

- Tak - szepnęłam. Poderwał mnie z kanapy niczym księżę niosący swoją księżniczkę i postawił u stóp drabiny prowadzącej na antresolę.

Wspięłam się szybko, błyskawicznie uświadamiając sobie, że Francesco stoi za mną i może dokładnie obejrzeć cellulit na moich udach. Ale jemu to najwyraźniej nie przeszkadzało. Kilka chwil później leżeliśmy w jego łóżku. Znów był na mnie, całując każdy milimetr mojego ciała.

Obudziłam się następnego ranka, czując się dziwnie zdezorientowana.

Minęło kilka minut, zanim zrozumiałam, gdzie właściwie jestem.

Wydarzenia wczorajszego wieczora wróciły do mnie falami.

Francesco dotykający mnie.

Usta Francesca na moich.

Francesco zrywający ze mnie ubranie, jakby nie mógł się doczekać bycia ze mną .

Francesco trzymający mnie w objęciach, kiedy zasypialiśmy.

Odwrociłam się i uśmiechnęłam. Znajomy kształt jego ciała rysował się koło mnie. Był mocno pogrążony we śnie, skulony po swojej stronie łóżka. Przez chwilę patrzyłam, jak jego gładkie, opalone plecy unoszą się i opadają w rytm oddechu, jak napinają się jego mięśnie. Pokręciłam głową w zdumieniu. Jak

wszystko mogło ułożyć się tak idealnie? Czułam się tak, jakby te trzynaście lat zniknęło. Znów miałam dwadzieścia jeden lat i budziłam się u boku mężczyzny, w którym byłam szaleńczo zakochana.

Kiedy tak leżałam, patrząc na śpiącego Francesco, zastanawiałam się, czy to w ogóle możliwe - znaleźć się w tym samym miejscu, kochać go z taką samą intensywnością, porzucić zdrowy rozsądek i lekkomyślnie poddać się uczuciu. Okazaliśmy się tak zgrani po długiej rozłące. Być może naprawdę byliśmy dla siebie stworzeni?

Nagle, bez wyraźnej przyczyny, w moim umyśle jak nieproszony gość pojawił się Michael Evangelisti. Mocno zacisnęłam powieki, żeby pozbyć się tego obrazu. Co się ze mną działo? Leżałam w łóżku z

mężczyzną, który kochał mnie taką, jaka jestem, i co ważniejsze, był

wolny. Dlaczego żonaty właściciel restauracji pojawiał się w moich myślach choćby na ułamek sekundy?

Przerzuciłam nogi przez krawędź łóżka i zeszłam z antresoli. Nalałam sobie szklankę wody w malutkiej kuchni, a na półce w łazience znalazłam dodatkowy ręcznik. Odkręciłam prysznic.

Kiedy namydlałam się mydłem oliwkowym, takim samym, jakiego Francesco używał przed laty (i którego zapach przywołał falę wspomnień), spojrzałam na siebie. Zmarszczyłam brwi.

We wlewającym się przez okno nad prysznicem świetle poranka jak na dłoni widać było niedoskonałości mojego ciała. Zupełnie jakby oświetlono je potężnym reflektorem, który miał wskazać wszystkie moje wady.

Łazienka w moim mieszkaniu w Nowym Jorku była słabo oświetlona i to mi bardzo odpowiadało. Tutaj, w jasnym świetle dnia, widziałam każdą skazę. Wałki tłuszczu wokół talii. Za małe piersi. Obwisłe ramiona.

Mnóstwo malutkich doleczków na udach.

Rany, kiedy stałam się taka stara? Zastanawiałam się, co Francesco myślał o mnie wczoraj. Moje ciało wyglądało inaczej niż wtedy, gdy widział mnie ostatnio. Jak mógłby kochać tę starszą, nieatrakcyjną wersję dziewczyny, którą kiedyś byłam?

Oczywiście, że może cię kochać, upomniałam się. Nie bądź głupia.

Czy ostania noc i łatwość, z jaką ponownie się zgraliśmy, nie była tego dowodem? Czy nie patrzył na mnie z tą odurzającą mieszanką pożądania i miłości w oczach?

Spojrzałam ponownie na swoje niedoskonałe ciało i już mniej je nienawidziłam. To byłam ja i jeśli Francesco mógł nie zwracać uwagi na moje wady, to ja też mogłam.

Zakończyłam kąpiel, owinęłam się w ręcznik i umyłam twarz nad umywalką. Nagle znów poczułam się skrępowana i zapragnęłam wyglądać jak najlepiej, kiedy Francesco się obudzi, więc sięgnęłam do swojej torby z akcesoriami do makijażu. Szybko nałożyłam korektor, fluid, róż i tusz do rzęs, dzięki czemu prawie odzyskałam ludzki wygląd.

Uśmiechnęłam się do siebie w lustrze i wciąż owinięta ręcznikiem, otworzyłam drzwi łazienki.

Francesco już wstał i siedział teraz na kanapie, trzymając w dłoni filiżankę espresso. Wyglądał diabło seksownie - włosy miał lekko potargane po nocy, biała koszulka ciasno opinała jego ciało, a ciemnoszare bokserki miał nieznacznie i bardzo kusząco rozchylone.

Uśmiechnęłam się do niego. Miałam ochotę znowu się na niego rzucić, ale najpierw potrzebowałam odrobiny kofeiny. Wciąż miałam wrażenie, że poruszam się w zwolnionym tempie.

Czułam zapach kawy i byłam ciekawa, czy mnie też zrobił filiżankę.

Uwielbiałam mocne, włoskie espresso, a Francesco potrafił zrobić je doskonale.



- Dzień dobry - powiedziałam. - Wczorajszy wieczór był cudowny.

Próbowałam zamruczeć w seksowny sposób, ale szczerze mówiąc, zabrzmiało to trochę głupio. Ach, co tam, przecież już nie musiałam go uwodzić, prawda? Był wyraźnie zainteresowany.

Uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

- Dzień dobry. - Wskazał mi wolną przestrzeń koło siebie na kanapie. -

Usiądziesz? Muszę z tobą porozmawiać.

Dopiero teraz zauważyłam, że coś jest nie tak. Poczułam się dziwnie, a uśmiech zniknął mi z twarzy.

- Dobrze - odpowiedziałam niepewnie.

Przeszłam przez pokój i usiadłam koło niego. Owinięta tylko w niewielki, biały, bawełniany ręcznik, nagle poczułam się zbyt odkryta. Moja ziemista cera wyglądała jeszcze bladziej w zestawieniu z jasnym ręcznikiem, a uda sprawiały wrażenie grubszych, gdy nieestetycznie rozlały się na siedzeniu.

Francesco otworzył usta, po czym ponownie je zamknął. Wyglądał na zdenerwowanego. Poczułam w żołądku gulę.

- Mamy problem - zaczął w końcu powoli. Nie patrzył w moją stronę, jakby spojrzenie mi w oczy było dla niego zbyt trudne.

- Problem?

- Si. - Wciąż odwracał wzrok. - Najwyraźniej popełniłem błąd.

- Błąd? - Patrzyłam na niego, a serce waliło mi coraz mocniej.

Francesco skinął głową, rzucił na mnie okiem, po czym znów spojrział w bok. - Cóż, wygląda na to, że pomyliłem twój adres internetowy z adresem kogoś innego.

Gapiałam się na niego z niedowierzaniem. Gula w żołądku rosła z każdym jego słowem.

- To bardzo niezręczna sytuacja - powiedział. - Ale prawda jest taka, że byłem przekonany, iż e-mail, który dostałem od ciebie, tak naprawdę napisała Amerykanka o imieniu Caty.

Poznałem ją dwa miesiące temu w Rzymie. Widzisz, wasze adresy e-mailowe są bardzo podobne, a ponieważ nie widziałem cię od lat, myślałem, że to ona do mnie pisze. Jest studentką trzeciego roku w UCLA. Bardzo mądra. Gapiałam się na niego z otwartymi ustami.

- Studentka t r z e c i e g o roku? - Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić.

Chciałam zapytać, czy przypadkiem w wieku czterdziestu dwóch lat nie był odrobinę za stary dla dziewczyny z college'u. Na litość boską, przecież mógłby być jej ojcem! Ale nie była to najbardziej paląca kwestia w tym momencie i nie skomentowałam jej.

- Cóż, tak - powiedział Francesco obronnym tonem. Twarz mu się rozświetliła. - Ale jest bardzo dojrzała. Bardzo namiętna. Wiek nie powinien stać na przeszkodzie miłości, prawda?

Zrobiło mi się niedobrze.

- Miłości? - zdołałam wykrztusić.

- Tak czy inaczej - ciągnął Francesco, patrząc na mnie nerwowo. -

Przepraszam. Wiem, że to jest, hm, bardzo niezręczna sytuacja. Ale to nie z tobą planowałem dzielić łóżko. No i, wiesz, nie jesteś już tą kobietą, którą byłaś, kiedy się poznaliśmy. Chyba się ze mną zgodzisz?

Podniósł oczy i spojrzał znacząco na moje niezgrabne ciało, uda z cellulitem i obwisłe ramiona.

Nagle poczułam się upokorzona i wściekła jednocześnie. Zupełnie jakby mocno mnie spoliczkował, wytrącając natychmiast ze stanu półsnu, w którym znajdowałam się od momentu przybycia do Rzymu.

- Poczekaj chwilę - powiedziałam, czując narastającą falę wściekłości. -

Mówisz mi, że nie jestem właściwą dziewczyną, że spieprzyłeś sprawę i że, och, poczekaj, nie jestem wystarczająco ładna i młoda dla ciebie, ale i tak doszedłeś do wniosku, że możesz się ze mną przespać, zanim mi o tym powiesz?

Francesco nie był nawet w połowie tak zakłopotany, jak powinien.

- Cóż, hm, tak - wydusił. - Ale nie martw się. To był mój błąd. Całkowicie.

Możesz tutaj zostać, jeśli chcesz, do czasu, aż kupisz bilet na powrotny samolot. Będę spał na kanapie. Jestem dżentelmenem, Cat. Wiesz o tym.

Gapiałam się na niego. Nie byłam pewna, czy powinnam natychmiast umrzeć ze wstydu, czy raczej zdzielić go pięścią.

Wybrałam trzecie wyjście - wstałam, przytrzymałam ręcznik i szybko weszłam do łazienki. Złapałam walizkę, wciągnęłam ją niezręcznie do środka i z hukiem zamknęłam za sobą drzwi. Zatrzasnęłabym je na zamek, gdyby nie były to głupie, przestarzałe włoskie drzwi bez zasuw.

Nie mogłam czuć się gorzej. Byłam kompletną idiotką.

- Nie będę płakać - powiedziałam stanowczo mojemu odbiciu w lustrze.

Zamrugałam szybko, nienawidząc się za głupotę. Jak mogłam nie zauważyć, co się dzieje? Jak mogłam być tak naiwna i uwierzyć, że ten arogancki, płytki mężczyzna siedzący po drugiej stronie drzwi był moim wybawieniem?

Oddychając głośno i ze wzburzeniem, przeryłam zawartość walizki i złapałam dwa pierwsze ciuchy, jakie udało mi się znaleźć - jasnoróżową trapezową spódniczkę, którą planowałam włożyć na kolację, i koszulkę polo w zielono-niebieskie paski. Wciągnęłam je na siebie z wściekłością, nie przejmując się

tym, że zupełnie do siebie nie pasowały. Nagle jedyne, czego pragnęłam, to wydostać się stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

Zasunęłam z powrotem zamek walizki i zostawiłam mokry ręcznik na kupce rzeczy w kącie. Spojrzałam złowrogo w swoje odbicie w lustrze.

Wyglądałam strasznie. Niepasujące ubrania. Woda kapiąca z włosów.

Czerwone oczy. Świetnie.

Zebrałam się w sobie i szarpnięciem otworzyłam drzwi do łazienki, ciągnąc za sobą walizkę. Tak jak się spodziewałam, Francesco siedział spokojnie na kanapie z nogą założoną na nogę, trzymając w jednej dłoni małą filiżankę z espresso, a w drugiej czasopismo. Spojrzał na mnie właściwie całkiem zadowolony. Cień rozbawienia przebiegł przez jego twarz, kiedy oglądał mnie od góry do dołu.

- Ładne ciuchy - powiedział, uśmiechając się złośliwie.

- Zamknij się - warknęłam.

Wyglądał na zaskoczonego. Zmarszczył czoło, po czym wzruszył

ramionami.

- Cóż. Mam zadzwonić do linii lotniczych?

- Dam sobie radę. - Zaczęłam ciągnąć walizkę w kierunku drzwi, wściekając się w duchu, że jest taka nieporęczna. Czy będę musiała znieść ją na dół wszystkie cztery piętra tylko dlatego, że chciałam zachować resztki dumy? Świetnie, bolące plecy i naciągnięty mięsień w ramieniu będą pasować do zranionego ego.

Francesco nie ruszył się z kanapy i nie zaproponował pomocy.

- Ale dokąd pójdziesz? - spytał od niechcienia.

- Nie twoja sprawa.

Przeciągnęłam walizkę przez resztę pokoju.

- Świetnie - fuknęłam, kiedy wreszcie dotarłam do drzwi. Szarpnęłam je gwałtownie i wypchnęłam walizkę, która natychmiast przewróciła się na bok z głośnym łupnięciem. W mieszkaniu obok zaczął wściekle szczekać pies. - Mam nadzieję, że ty i twoja mała studentka będziecie razem bardzo szczęśliwi - dodałam wyniośle.

- Dziękuję, Cat - odpowiedział ze spokojem. Francesco nigdy nie łapał

sarkazmu i była to jedna z tych rzeczy, których w nim nie lubiłam. To ciekawe, że zdołałam zapomnieć o jego wadach. Teraz nagle wszystko do mnie wróciło. Zawahał się, po czym machnął lekko filiżanką z espresso. -

Jak to się mówi w tych waszych amerykańskich serialach? - Zamilkł na chwilę i postukał z zamyśleniem w kolano złożonym czasopi-

smem, szukając właściwych słów. - Ach, tak. „To nie twoja wina. To ja”.

Tak mówicie? Si, tak mi się wydaje. To nie twoja wina. To ja.

Uśmiechnął się do mnie przyjemnie, jakbyśmy po prostu wpadli na siebie na ulicy, a nie tarzali się całą noc nago w łóżku. A potem, żeby już ostatecznie mnie upokorzyć, mrugnął do mnie - tak, mrugnął - po czym wrócił do czytania magazynu.

Wiedziałam, że powinnam w tym momencie wyjść, żeby ratować godność, ale jego spokój był tak irytujący! Stałam przez moment bez ruchu, czując, jak na policzki wpełza mi rumieniec wściekłości, a żyły na szyi i czole zaczynają pulsować.

- Idź do diabła, Francesco - powiedziałam w końcu niskim, spokojnym głosem, który zabrzmiał znacznie pewniej, niż mogłam się spodziewać.

Zebrałam resztki dumy (nie zostało jej wiele), podniosłam głowę do góry, prychnęłam i pewnym krokiem wyszłam na korytarz, ze złością zatraskując za sobą drzwi.

W mieszkaniu obok pies dalej wściekle szczekał, kiedy przewiesiłam przez ramię torebkę i torbę podróżną, wzięłam walizę i zaczęłam ciągnąć ją po schodach, krok za krokiem, łupnięcie za łupnięciem, z bolącymi od wysiłku plecami. Znów byłam o krok od płaczu, ale obiecałam sobie, że wytrzymam. Nie ma mowy. Nie tutaj. Nie z powodu Francesco. Nie był

tego wart.

Dopiero kiedy znalazłam się na ulicy przez domem Francesco, z walizką u boku i twarzą spływającą potem, zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, dokąd iść.

## **ROZDZIAŁ 8**

Gdybym miała postępować zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, powinnam zatrzymać taksówkę, ruszyć na lotnisko i kupić bilet na pierwszy powrotny lot do Nowego Jorku. Bądź co bądź właśnie zerwałam kontakty z jedyną osobą, jaką znałam w Rzymie.

Ale kiedy tak stałam na brukowanej uliczce, patrząc na skrzynki pełne kwiatów stojące na parapetach, cieniutkie zasłonki wydymane powiewami wiatru, kopuły zabytkowych budynków widoczne w oddali, wiedziałam, że nie mogę wrócić. Jeszcze nie.

Zdawałam sobie sprawę, że przyjaciele i członkowie rodziny co prawda mnie kochają, ale jednocześnie uważają mnie za straszliwą nudziarę. Czy można im się dziwić?

Przyjazd do Rzymu był wreszcie czymś innym, odważnym, niepodobnym do mnie. Zawsze zachowywałam się aż do przesady rozsądnie, a teraz po raz pierwszy zesłam z utartego szlaku.

Przyznać się, że znów zawaliłam sprawę, że życie po raz kolejny zgotowało mi niemiłą niespodziankę? Nie, tego byłoby za wiele. Nie mogłam znieść myśli, że miałabym przywlec

się do Nowego Jorku z podkulonym ogonem niczym zбитy pies i tłumaczyć wszystkim, że mój romans z Francesco prawdopodobnie nigdy nie miał miejsca.

- Tak więc zostanę - powiedziałam głośno. Przysadzista kobieta w średnim wieku, przechodząca obok z małym pieskiem, spojrzała na mnie z niepokojem i przyspieszyła kroku, bez wątpienia zakładając, że zwariowałam. Nie, żeby mnie to dziwiło. - Zostaję - powtórzyłam, sama nie mogąc w to uwierzyć.

Wzięłam głęboki wdech, wciągając w nozdrza okoliczne zapachy -

dochodzący z pobliskiej piekarni aromat piekącego się chleba, niewyraźną woń perfum lawendowych, którymi popsikane były przechodzące obok chichoczące dwudziestokilkulatki, dochodzący z daleka trochę słony, a trochę błotnisty zapach rzeki Tyber. Tak pachniał

Rzym, który pamiętałam. Przecież, pomyślałam, kochałam to miasto, zanim jeszcze poznałam Francesco. Czułam, że Rzym jest dla mnie jak dom, nie tylko z jego powodu. Samo to miejsce, jego niewyraźny, przykurzony zapach, pyszne jedzenie i wino, wrażenie bycia częścią historii... To wszystko sprawiało, że czułam się jego częścią, tak jakby wzięło mnie w swoje ramiona.

- Zostanę - powiedziałam po raz kolejny. Wrzuciłam torbę podróżną na ramię, złapałam rączkę walizki i ruszyłam.

Problem polegał na tym, że nie miałam pojęcia, dokąd idę. Jedną rzeczą było podjęcie decyzji o zostaniu w Rzymie, a zupełnie inną wymyślenie, jak to zrobić. Policzyłam wszystko w myślach. Nie miałam wystarczająco pieniędzy, żeby zatrzymać się w hotelu na trzydzieści dni, ale bilet powrotny do domu też będzie mnie kosztował fortunę. Co ja wyprawiam?

Szłam w stronę przeciwną do rzeki. Z każdym krokiem coraz bardziej wątpiałam w słuszność swojej decyzji. Słońce wznosiło się wyżej i wyżej na lekko zamglonym rzymskim

niebie. Kurz powoli wzbijał się w powietrze jak zawsze, gdy ulice zaczynał prażyć upał i coraz trudniej było oddychać. Strasznie się spociłam, a moja żałosna randkowa spódnica i zbyt gruba jak na tę pogodę koszulka poło lepiły mi się do ciała jak posmarowane klejem.

Wiedziałam nawet bez patrzenia w szybę wystawową, że moje włosy wyglądały fatalnie. Zwykle prostowałam je przy suszeniu. Pozostawione same sobie przybierały wygląd kupki spalonego siana.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam przed sobą wierzchołek Panteonu. Jego idealnie okrągła kopuła wydawała się świecić jak latarnia morska i z jakiegoś powodu znowu pomyślałam o Michaelu Evangelisti. Wspominał

o Panteonie, prawda? Czy to nie w tej okolicy mieszkała jego znajoma Karina? Stałam i grzebałam w portfelu tak długo, aż znalazłam złożony kawałek papieru z wypisaną nazwą restauracji, w której pracowała.

Dłuższy czas patrzyłam z zamyśleniem na kartkę.

Nie mogłam zamieszkać u jakiejś nieznanej mi Włoszki, o której usłyszałam od oszusta i kłamcy, w dodatku ledwie mi znanego, prawda?

Zaczęłam się intensywnie zastanawiać. Przecież jeśli poszukam Kariny, nie będzie to równoznaczne z faktem, iż wybaczyłam Michaelowi.

Zatrzymanie się w pokoju wynajętym u osoby, którą znał dawno temu, nie sprawi, że znów będę musiała się z nim spotkać. A jeśli chciałam zostać w Rzymie, nie bardzo miałam inne wyjście.

Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, więc przeszłam na drugą stronę ulicy i ruszyłam w kierunku Panteonu. Szłam boczną uliczką i jak to często bywa w plataninie krętych alejek miasta, straciłam na chwilę kopułę z oczu. Poczułam się dziwnie zagubiona, chociaż wiedziałam, że wciąż musi być gdzieś przede mną, zasłonięta stojącymi po drodze budynkami.

Miałam wrażenie, że uszło ze mnie powietrze. Nawet droga tutaj stała się bardziej nierówna i coraz ciężiej było mi ciągnąć walizkę.

Właśnie wtedy, jakby mój poranek nie był jeszcze wystarczająco potworny, jedno z kółek walizki zniecka odpadło i potoczyło się radośnie brukowaną ulicą prosto w stronę rynsztoka.

- Nie! - krzyknęłam. Wypuściłam rączkę walizki, która natychmiast z hukiem przewróciła się na bok, i popędziłam za toczącym się kółkiem.

Ludzie wokół mnie zatrzymywali się i patrzyli. Rzuciłam się za malutkim, czarnym krążkiem, lądując płasko na brzuchu, ale spóźniłam się o sekundę - właśnie zniknął w wylocie kanalizacji.

- Nie! - Tym razem to był raczej jęk. Leżałam twarzą w dół na środku ulicy, brudna, upačkana i spocona, patrząc w kratkę ścieku. Na moment zamknęłam oczy i próbowałam się pozbierać, po czym wstałam, usiłując zrobić to z godnością. Stojący wokół ludzie wciąż mi się przyglądali.

Zobaczyłam ubranego w wyblakłe sztruksy na szelkach mężczyznę, który zrobił znaczącą minę do swojego towarzysza i zakręcił palcem wskazującym koło ucha, wykonując znany na całym świecie gest oznaczający wariata.

Podniosłam rękę i z wymuszonym uśmiechem wolno pomachałam wszystkim wokół, niczym świadoma publiczności aktorka. Patrzący szybko odwrócili wzrok i zajęli się swoimi sprawami. Niektórzy głośno przy tym chrząkali, udając, że wcale na mnie przed chwilą nie patrzyli.

Otrzepałam ubranie. Powoli zaczynałam się godzić z tym, że mój niedopasowany strój dopełnia teraz ciągnąca się od góry do dołu smużka brudu. Przeszłam na drugą stronę ulicy i sięgnęłam po leżącą na ziemi walizkę. Podniosłam ją i wykrzesawszy z siebie tyle dumy, ile tylko można mieć, gdy ciągnie się ulicą leżącą na boku walizkę o jednym kółku, podniosłam wysoko głowę. Ruszyłam świadoma, że jeszcze chwila, a walizka zupełnie się rozwali - materiał pęknie, jeśli będę ją dłużej ciągnąć po kocich łbach.

Rozejrzałam się po ulicy, rozpaczliwie szukając miejsca, w którym mogłabym się zatrzymać, zanim w ramach ostatecznego upokorzenia będę musiała zbierać z ulicy swoją bieliznę. Z ulgą zobaczyłam po prawej stronie znajdującą się w niewielkiej odległości ode mnie malutką kawiarenkę z ogródkiem, która wyglądała na otwartą. Przeczytałam nazwę - Scjuisito. Według tego co mówił Michael, właśnie tu pracowała jego znajoma Karina.

- Bogu dzięki - pomyślałam. Spojrzałam na zegarek. Była dopiero dziesiąta rano. Większość knajpek w

mieście otwierano nie wcześniej niż o jedenastej. Ale chociaż nie było klientów, krzesła i stoły ustawiono na zewnątrz, rozłożone ciemnozielone parasole dawały przyjemny cień, a drzwi do kawiarni były szeroko otwarte.

Chwilę później, kiedy resztką sił przeciągnęłam walizkę pół przecznicy dalej, padłam na jedno ze stojących na chodniku krzeseł. Przysunęłam bagaż jak najbliżej siebie, aby nie blokować przejścia do wnętrza.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu kelnera albo kelnerki, ale ponieważ nikogo nie zauważyłam, na chwilę położyłam głowę na stoliku. W cieniu parasolki było mi tak błogo, a kamień, z którego zrobiono stół, przyjemnie chłodził ramiona i twarz. Próbowałam złapać oddech i desperacko pragnęłam, żeby ktoś szybko przyniósł mi szklankę wody.

Dobrze, Cat, pomyślałam. Wypij cappuccino i zjedź śniadanie, a potem będziesz się zastanawiać, co zrobić dalej. Musiałam się mocno starać, żeby się nie rozpłakać.

Co ja robię? Czy naprawdę postanowiłam zostać w Rzymie? Próbowałam pocieszyć się myślą, że mój pobyt będzie trwał dokładnie tyle, ile zechcę.

Mogłam na przykład zostać tutaj tydzień, po czym spreparować historyjkę tłumaczącą wcześniejszy powrót do domu. Powiem chociażby, że Francesco musiał niestety wyjechać w ważną podróż służbową gdzieś daleko, a ja zdecydowałam się nie jechać z nim. Albo może został wezwany w pilnej sprawie rodzinnej i nie chciałam mu przeszkadzać. Obiecał wkrótce mnie odwiedzić, bo na pewno będzie za mną strasznie tęsknił.

Właśnie w tym momencie usłyszałam kroki. Podniosłam głowę, spodziewając się ujrzeć idącego w moim kierunku uprzejmego kelnera z notatnikiem w dłoni, może nawet niosącego na tacy szklankę wody.

Zamiast tego zobaczyłam biegnącą w moim kierunku wysoką, smukłą kobietę mniej więcej w moim wieku. Szeroka spódnica wirowała wokół

jej nóg niczym chmura, a oczy ciskały błyskawice. Na białych policzkach miała wyraźne rumieńce, a gigantyczna masa czarnych, długich, kręconych włosów ozdobionych czerwonymi pasemkami sterczała jej dosłownie na wszystkie strony. Kiedy nasze oczy się spotkały, zaczęła szybko i ostrym tonem mówić do mnie po włosku, wymachując jednocześnie palcem wskazującym dla podkreślenia, że właśnie mnie beszta, na wypadek gdybym jeszcze tego nie załapała.

Ale za co, nie wiedziałam. Na próżno próbowałam zrozumieć, co do mnie mówi. Robiła to tak szybko i tak dziwnie akcentowała słowa, że wyłapywałam zaledwie pojedyncze wyrazy.

- *Mi dispiace, ma non parlo bene litaliano* - powiedziała z wahaniem, używając jednego z pierwszych zdań, jakich nauczyłam się, kiedy spędzałam tu lato. - Przepraszam, ale niezbyt dobrze mówię po włosku.

Jednak moje słowa wydawały się tylko bardziej rozgniewać tę wariatkę.

- Och, powinnam się domyśleć! - rzuciła podniesionym głosem, natychmiast przestawiając się na prawie doskonały angielski mimo silnego akcentu. Jej słowa ociekały wręcz sarkazmem. - Amerykanka!

Oczywiście! Och, *mi scusi*! Jeśli jesteś z Ameryki, najwyraźniej możesz wejść gdziekolwiek tylko

zapragniesz i usiąść, nawet jeśli nie ma wątpliwości, że kawiarnię otwierają dopiero za godzinę! Kim jestem, żeby ci odmówić?

Podniosłam się z krzesła. Próbowałam ją przeprosić i wyjaśnić sytuację, ale nie dała mi dojść do słowa.

- Widocznie, jeśli jest się Amerykaninem, ma się na własność cały świat!

- wściekała się dalej, machając rękami. Opadłam z powrotem na krzesło, nie odrywając od niej wzroku. Najwyraźniej zwariowała. - Czy wy tam w Ameryce w ogóle nie macie zasad? - zapytała stanowczym tonem, wciąż gwałtownie gestykułując. - Myślicie, że możecie po prostu przyjeżdżać do mojego kraju i robić, co wam się żywnie podoba?

Gapiłam się na nią z otwartymi ustami. Przeczesała palcami loki i zrobiła pełną obrzydzenia minę.

- Och, czyli nie masz nic do powiedzenia na ten temat, pani miss Ameryki? - wyrzuciła z siebie gwałtownie.

Zupełnie zabrakło mi słów. Otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam.

Szalona kobieta najwyraźniej nie należała do cierpliwych.

- Potrafisz mówić? - zapytała nieprzyjemnym tonem.

- Cóż, ja... - zaczęłam. Przerwała mi.

- Wyglądasz świetnie. - Spojrzała z pogardą na moje ubranie. - Nie znajdujesz słów poparcia dla swojego wyczucia mody? - Roześmiała się z własnego dowcipu.

- Nie, ja... - odezwałam się ponownie. Próbowałam znaleźć słowa, ale w głowie czułam pustkę. Ku mojemu przerażeniu łzy zaczęły mi się cisnąć do oczu. Nie, nie, nie, pomyślałam z rozpaczą.

Ale najwyraźniej kanaliki łzowe nie słuchały moich myśli. Zanim zdążyłam się zorientować, łzy jak grochy zaczęły spływać mi po policzkach.

Kobieta patrzyła na mnie z niedowierzaniem. Otworzyła usta i przez moment spodziewałam się, że znowu zaleje mnie

potokiem nieprzyjemnych słów. Może chciała mi uświadomić, że jestem żalosna i że tylko mięczaki z Ameryki płaczą.

Ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego odezwała się łagodniejszym tonem.

- Dobra, może byłam dla ciebie trochę niemiła, ale nie ma powodu do płaczu. - Wyglądała teraz nieswojo. Rozejrzała się na boki. - Naprawdę -

dodała. - Nie chciałam.

Wytarłam ze złością łzy i wstałam, wściekła na siebie. Potoki spływających po policzkach łez musiały nadawać mi żalospny wygląd.



- Nie płacę przez c i e b i e - powiedziałam, piorunując ją wzrokiem. -

Szukałam po prostu znajomej znajomego, która podobno tu pracuje. Ale przeżyłam właśnie prawdopodobnie najgorszy poranek mojego życia, więc nic dziwnego, że weszłam tutaj i spotkałam najbardziej niesympatyczną osobę w całym mieście.

Kobieta patrzyła na mnie.

- Po prostu szukałam kelnerki o imieniu Karina, jasne? - mówiłam dalej. -

Ale wyyyybacz mi. - Specjalnie przeciągnęłam to słowo i demonstracyjnie zaczęłam zbierać swoje rzeczy. - Najwyraźniej źle trafiłam. W związku z tym już sobie pójdę.

Złapałam rączkę mojej poobijanej walizki, zrobiłam obrażoną minę i chciałam ruszyć. Ale z powodu brakującego kółka i mojego rosnącego zmęczenia walizka ledwie drgnęła. Spróbowałam ponownie. Nic z tego.

Spojrzałam w dół i odkryłam, że jedyne kółko w jakiś sposób zdołało zaklinować się w dziurze w chodniku.

- To jakieś żarty - wymamrotałam. Pociągnęłam ponownie, ale na próżno.

Nagle, ku mojemu zdziwieniu, Włoszka wybuchła śmiechem. Spojrzałam na nią i zobaczyłam, że złość zniknęła z jej twarzy.

- Usiądź, usiądź - powiedziała, wskazując dłonią krzesło, z którego przed momentem wstałam. Spojrzałam na nią

niepewnie. - Siadaj, siadaj! - rozkazała. Zerknęłam ponownie, po czym wolno opadłam na siedzenie.

- Przepraszam - powiedziała. - Jestem już po prostu bardzo zmęczona amerykańskimi turystami, którzy przychodzą tu i zachowują się, jakby cały świat do nich należał. Ale chyba źle cię oceniłam.

Spojrzałam na nią z ironią.

- Co ty powiesz.

- No dobrze - powiedziała. - W takim razie zacznijmy jeszcze raz. Jestem Karina. Witaj w Rzymie.

Po prostu się na nią gapiłam. Uśmiechała się teraz i wyglądała prawie miło.

- Zazwyczaj, kiedy ktoś się przedstawia, druga osoba też powinna to zrobić - dodała po chwili. - Przynajmniej w Rzymie.

- Ty jesteś Karina? - Wciąż przyglądałam się jej podejrzliwie.

- To właśnie powiedziałam. Wzięłam głęboki wdech.

- Żartujesz, prawda?

- To nie byłby zabawny dowcip - stwierdziła.

- Nie - burknęłam. - Nie byłby.

- A ty masz jakieś imię? - spytała. - Czy mam zgadywać? Spojrzałam na nią. Co ja jeszcze tutaj robiłam po takim

dziwnym powitaniu? Ale im bardziej się do mnie uśmiechała, tym bardziej topniał mój opór. Poza ewidentnym szaleństwem, było w niej też coś dziwnie ciepłego.

- Jestem Cat - oznajmiłam w końcu. Nie zrozumiała.

- Cat... jak *gatto!* Westchnęłam.

- Nie. Cat, jak skrót od Caterina.

- Ach, Cat-skrót-od-Caterina. Proszę, posiedź sobie tutaj, dobrze?

Nie odpowiedziałam. Odchrząknęła i mówiła dalej.

- Naprawdę. Jest mi przykro. Przyniosę ci cappuccino, dobrze? Na mój koszt. Na koszt firmy, jak to mówią w Ameryce.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale powstrzymała mnie, rzucając rozbawione spojrzenie na moją walizkę.

- Nie wydaje mi się, żebyś w najbliższym czasie miała się gdziekolwiek wybrać - rzuciła lekko. - Może więc po prostu odpocznij? Dobrze?

Powoli kiwnęłam głową na znak zgody.

Odeszła, a jej długie, czarne loki powiewały na wietrze. Poruszała biodrami w sposób, który tak świetnie opanowały wszystkie Włoszki, a żadna Amerykanka nie potrafiła poprawnie naśladować. Może gdybym była w stanie nauczyć się tak seksownie kręcić pupą, nie siedziałabym tego poranka przy kawiarnianym stoliku sama, brudna i z twarzą zalaną łzami.

Karina wróciła po kilku minutach, niosąc dwie parujące filiżanki.

- Może być cappuccino? - spytała, stawiając przede mną kawę. Skinęłam głową. Uśmiechnęła się, sięgnęła do kieszeni fartucha i sekundę później wyjęła z niego dwie łyżeczki, dwa opakowania cukru i dwie ciemne czekoladki w złotej folii. - Tak powinno się je pić, nie? - mrugnęła do mnie.

Poczułam, że zaczynam ją lubić, chociaż tylko troszeczkę. Wydawało się oczywiste, że próbuje zatrzeć złe wrażenie, jakie wywarła na początku.

- Dziękuję - powiedziałam. Włożyłam kawałek czekolady do kawy i mieszałam tak długo, aż się rozpuścił.

Karina patrzyła, jak biorę pierwszy łyk.

- Pijesz kawę tak jak ja - powiedziała. - Bez cukru, sama *cioccolato*.

Skinęłam głową. Nie czułam się specjalnie zobowiązania do prowadzenia z nią rozmowy.

Ale Karina najwyraźniej uważała inaczej. Usiadła po przeciwnej stronie stolika i upiła łyk ze swojej filiżanki. Ktoś przechodzący w pobliżu mógłby pomyśleć, że jesteśmy parą bliskich przyjaciółek, które spotkały się na poranną pogawędkę.

- To co? - zapytała Karina po chwili. - Wysłał cię do mnie znajomy?

Zawahałam się, niepewna, czy powinnam ją poprawić. Chciałam powiedzieć, że Michael nie był moim znajomym, za to okazał się łajdakiem. Ale nie wyglądało to na dobry sposób, by wkupić się w łaski mojej przyszłej gospodyni. Po prostu skinęłam głową.

- Michael Evangelisti - powiedziałam. Twarz jej się rozświetliła.

- Ach, Michael! Uwielbiam go! - Pochyliła się do przodu i poklepała mnie po ramieniu. - Przyjaciele Michaela są moimi przyjaciółmi!

- W takim razie całe szczęście, że jesteśmy przyjaciółmi - wymamrotałam pod nosem.

Skinęła z zapalem głową, najwyraźniej nie słysząc sarkazmu w moim głosie.

- Jesteś zdenerwowana, prawda? Niech zgadnę. Miałaś spotkanie pierwszego stopnia z jednym z naszych słynnych, włoskich mężczyzn? I bardzo się rozczarowałaś?

Westchnęłam.

- To nie było dokładnie tak - stwierdziłam. Karina skinęła głową.

- Dobrze, w takim razie opowiedz mi. Przyglądałam się jej chwilę. Nie byłam pewna, czy chcę opowiedzieć o swoich przeżyciach zupełnie obcej osobie. Ale w sumie, co miałam do stracenia?

- Powinnam była to przewidzieć - zaczęłam. - Był moim chłopakiem trzynaście lat temu. Przyjechałam tu ponownie, żeby się z nim spotkać.

Niestety, okazało się, że się pomylił.

Był przekonany, że koresponduje nie ze mną, a z pewną studentką.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Ale ty... przecież jesteś piękna! - wykrzyknęła. Wyglądała na naprawdę zdumioną. - I z całą pewnością wiesz więcej o byciu kobietą niż jakaś tam studentka, nie?

Musiałam się roześmiać.

- Prawdopodobnie nie - wyznałam. - Nie jestem najbardziej kobiecą osobą na świecie. - Spojrzałam

znacząco na swoje upačkane ubranie.

Karina uśmiechnęła się, ale jednocześnie pokręciła głową.

- Bzdura - zaproponowała. - Jesteś bardziej kobieca, niż ci się wydaje. A ten Włoch to jakiś idiota, jeśli tego nie widzi.

Spuściłam głowę.

- Dziękuję ci - powiedziałam miętko. Karina skinęła głową.

- Opowiedz mi.

- O czym?

- O nim. O tym mężczyźnie. O tym, dlaczego tu jesteś. Zawahałam się.

Spojrzałam na nią. Z umiarkowanym

zdziwieniem zauważyłam, że pochyliła się do przodu i przyglądała mi się z wyraźnym zainteresowaniem.

- Na pewno tego chcesz?

- Si, *assolutamente*. Skinęłam głową.

- Dobrze. - Opowiedziałam jej pokrótce o związku z Francesco, o tym, jak bardzo chciałam się wyrwać z nudnego życia w Stanach, jak zdecydowałam się nagle pójść za głosem serca i wyjechać do Rzymu, i wreszcie o tym, co stało się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie byłam pewna, dlaczego jej o tym mówię. W każdym razie wyglądała na przerażoną, gdy zrelacjonowałam jej wydarzenia poprzedniej nocy i dzisiejszego poranka.

Zakłęła po włosku pod nosem, co sprawiło, że poczułam się nieco lepiej.

Najwyraźniej podobnie jak ja uznała zachowanie Francesco za bulwersujące.

Kiedy skończyłam, Karina długo i uważnie mi się przyglądała.

- Czyli chciałabyś zostać w Rzymie, tak? Wzruszyłam ramionami i pokręciłam głową.

- Nie wiem. Czuję, że jeśli teraz wrócę do domu, wyjdę na nieudacznika.

Ale, szczerze mówiąc, przed wyjazdem musiałam pożyczyć siostrze trochę pieniędzy. Nie stać mnie na hotel. Dlatego przyszłam tutaj.

Michael powiedział, że wynajmujesz pokoje.

- Ile możesz wydać? Zawahałam się.

- Myślę, że około czterystu euro - powiedziałam. - Za takie pieniądze mogłabym zostać może tydzień w jednogwiazd-kowym hotelu. -

Westchnęłam ze zniechęceniem. - Jeśli zechcę wrócić do domu wcześniej, niż planowałam, będę musiała zapłacić masę pieniędzy za przebukowanie biletu.

Karina przez chwilę mi się przyglądała. Potem na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Dobrze. Zatrzymasz się u mnie - powiedziała, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. - Nad moim mieszkaniem jest niewielki pokój dla służby. Przerobiłam go na studio z osobnym wejściem.

Chciałabym, żeby ktoś je wynajął. Równie dobrze możesz to być ty.

Wyglądasz na porządną, nawet jeśli w tej akurat chwili wydajesz się mieć problemy z dopasowywaniem ubrań. - Zamilkła i uśmiechnęła się. - I mówisz, że możesz zapłacić. Czteryście euro to dobra cena za miesiąc. Tak więc, czemu nie?

Nie mogłam uwierzyć, że się nad tym zastanawiam. Ale oferta naprawdę brzmiała kusząco. No i cena była odpowiednia.

- Nie wiem - powiedziałam w końcu. Czy wytrzymam najbliższe cztery tygodnie pod jednym dachem z tą czarnowłosą wariatką? Musiałam jednak przyznać, że w tej chwili nie wydawała się nawet w połowie tak szalona jak pół godziny temu. - Dobrze - usłyszałam swój głos. Twarz Kariny rozjaśniła się. - Tak zrobię - dodałam tak pewnie, jak tylko zdo-

łałam. W gruncie rzeczy, co miałam do stracenia?

## **ROZDZIAŁ 9**

Godzinę później zbliżała się pora lunchu, więc restauracja została otwarta. Ja tymczasem wypełniałam czterostronicowy formularz podania o wynajęcie mieszkania, który Karina szybko napisała ręcznie na zapleczu. Oprócz prośby o podanie adresu domowego i danych trzech osób polecających, znalazły się w nim także pytania o ulubione jedzenie, najgorsze wspomnienie z dzieciństwa i znak zodiaku.

W co ja się wplątałam?

Przyniosła mi wielkiego rogalika, małą szklanekę soku brzoskwiniowego i jeszcze jedno cappuccino, po czym zniknęła w restauracji. Wynurzyła się z niej ponownie dopiero o jedenastej trzydzieści, żeby zobaczyć, czy skończyłam wypełnianie formularza.

- *Meravighoso!* - wykrzyknęła z entuzjazmem, kiedy go jej podałam.

Stała nade mną przez chwilę, czytając go uważnie. W pewnym momencie po jej twarzy przemknął cień.

- Twoja mama zostawiła waszą rodzinę? - zapytała, patrząc na mnie z zaskoczeniem.

Odwrociłam głowę. Dlaczego odpowiedziałam szczerze na pytanie o największy koszmar dzieciństwa?

- Nie powinnam była tego pisać - zaczęłam się wycofywać. - To już przeszłość.

- Nie, nie - powiedziała Karina. - To okropne. Jaka matka może zostawić swoje dzieci? Nie mogę sobie tego wyobrazić!

Głośno przełknęłam ślinę. Karina znów się odezwała.

- Czy uważasz, że to czyni cię niesolidną?

- Co? Nie.

Twarz Kariny złagodniała.

- Po prostu nie chcę, żebyś wykołowała mnie z czynszem.

- Nie jestem moją matką - warknęłam. Chwilę uważnie mi się przyglądała.

- Nie - powiedziała po chwili i skinęła głową. - Z całą pewnością nie jesteś. - Wróciła do czytania formularza. - Widzę, że jesteś Rakiem. To dobrze. Ja jestem Rybą. Dogadamy się.

Uniosłam brew, spodziewając się, że zaraz się roześmieje albo powie, że żartowała. Ale wydawała się zupełnie poważna.

- Świetnie - powiedziała po chwili. - W takim razie postanowione. Dajesz mi połowę czynszu teraz i połowę za dwa tygodnie. Dobrze?

Skinęłam ostrożnie głową.

- Jasne.

- To doskonale - powiedziała Karina. Wydawało się, że na coś czeka.

- Poczekaj, t era z? W tej chwili? Wyglądała na zdezorientowaną.

- Oczywiście. Masz pieniądze?

Zawahałam się. To było głupie, prawda? Równie dobrze mogłabym jej już nigdy więcej nie zobaczyć. Jednak wydawało mi się, że jest uczciwa.

Jasne, to było lekkomyślne i nigd y nie podjęłabym takiej decyzji w domu. Ale z drugiej strony przecucie mówiło mi, że nic złego się nie stanie.

- Tak - odpowiedziałam. Wyjęłam portfel, odliczyłam dziesięć banknotów po dwadzieścia euro i wręczyłam je Karinie.

Uśmiechnęła się, kiedy skończyła liczyć.

- Dobrze. Idziemy? Pomogę ci z rzeczami. Powiedziałam szefowi, że potrzebuję pół godziny przerwy i zgodził się. Nie ma dziś zbyt wielu gości.

Skinęłam głową i wstałam, przygotowując się do podniesienia walizki.

Ale Karina złapała ją zamiast mnie i zaczęła ciągnąć.

- Poczekaj, ja ją wezmę - krzyknęłam. Pokręciła głową.

- Jesteś cieniem - rzuciła przez ramię. Już wlokła walizkę po ulicy. Była nadspodziewanie silna.

Pospieszyłam za nią z torbą podróżną i torebką przewieszonymi przez ramię. Karina całą drogę trajkotała o tym, co widzieliśmy po drodze: targu mięsnym, na którym lubiła kupować kiełbaski, właścicielu warzywniaka, który gapił się na jej biust, gdy wybierała owoce, sklepie z winem, w którym dawali jej zniżkę, jeśli brała nową butelkę. Przeszliśmy tak spory kawałek, krążąc po małych uliczkach. W końcu zatrzymała się przed wysokim, starym budynkiem pomalowanym na wyblakły jasnoczerwony kolor.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła. Pogrzebała chwilę w kieszeni w poszukiwaniu kluczy, po czym przekręciła jeden z nich w zamku. Potężne drewniane drzwi otworzyły się ze zgrzytem, a Karina popchnęła je całym ciałem, wpadając do środka razem z moją walizką. - Czasami się zacinają

- wyjaśniła. - Trzeba wtedy pchać.

Pokręciłam głową i weszłam na nią do środka. Spojrzała na mnie.

- Pomożesz mi z tą walizką? - powiedziała, wskazując schody.

- Jasne. - Razem wtaszczyliśmy moje torby na trzecie piętro. Zanim dotarliśmy na miejsce, znów byłam cała spocona. Na Karinie nie zrobiło to wrażenia.

- Poczekaj tu - zarządziła. Przekręciła klucz w zamku drzwi znajdujących się tuż po prawej stronie schodów i we-

szła do środka. Wyciągnęłam szyję, chcąc rzucić okiem na wnętrze jej mieszkania. Zanim trzasnęła za sobą drzwiami, zdołałam zobaczyć ciemnopomarańczowe ściany, kremowe płytki na podłodze i kilka mebli z ciemnego drewna świetnie komponujących się z belkami na suficie.

Wyglądało lepiej, niż mogłabym się spodziewać po kelnerce, w dodatku tak szalonej.

Chwilę później wynurzyła się z mieszkania, trzymając w ręku pojedynczy klucz.

- Twój - oznajmiła krótko. Machnęła ponownie głową w kierunku schodów i dodała: - Jeszcze jedno piętro.

Ponownie wlokąc walizkę, pokonałyśmy schody. Karina przekręciła klucz w zamku drzwi znajdujących się na ich szczycie i popchnęła je.

- Witaj w domu - powiedziała wesoło.

Stałam w progu i rozejrzałam się. Pokój był malutki. Wyglądał raczej jak przebudowana garderoba niż mieszkanie. Pod przeciwległą ścianę wepchnięto jednoosobowe łóżko, pod którym znajdowało się kilka szuflad. Nad łóżkiem cienkie, białe zasłonki powiewały w wielkim oknie widokowym. Po prawej stronie widać było małe drzwi, które, jak przypuszczałam, prowadziły do łazienki. Po lewej stronie znajdowało się niewielkie, zwieńczone łukiem przejście.

- To malutka kuchnia - powiedziała Karina, podążając za moim wzrokiem.

- Znajdziesz w niej niewielką szafę. Możesz tam powiesić ubrania.

- W kuchni? - spytałam niepewnie.

- Nie mówiłam, że wynajmuję pałac.

- To z pewnością nie jest pałac - mruknęłam pod nosem. Nerwowo przełknęłam ślinę i rozejrzałam się ponownie. Pokój był nawet mniejszy niż ten, który miałam w akademiku.

- Wiem, że jest malutki - powiedziała Karina cicho. - Ale proszę cię, zanim wydasz wyrok, wyjrzyj przez okno.

Wzięłam głęboki wdech, przeszłam przez pokój i uklęknęłam na łóżku, odsuwając na bok zasłonki. Wyjrzałam przez okno i zaparło mi dech w piersiach.

Słońce w zenicie oświetlało ulice Rzymu. Z wysokości czwartego piętra widziałam rozciągające się przede mną miasto - stare budynki, na których niezgrabne dachy z czerwonej cegły, krótkie kominy i łukowate okna stanowiły jedyną oznakę nowoczesności. Przede mną, na końcu zakurzonej, wyłożonej kocimi łbami drogi, widać było częściowo ukryty za kilkoma przysadzistymi budynkami Panteon, olbrzymi, przytłaczający budynek o solidnych ścianach, zniszczonych nieco przez dziewiętnaście wieków stawiania oporu zewnętrznemu światu. Z mojego miejsca widać było trzy wielkie kolumny podtrzymujące wejście i kopułę. Sąsiednia kamienica zasłaniała krzywiznę boku budynku.

- Jest pięknie - powiedziałam cicho.

Kiedy się odwróciłam, Karina miała na twarzy szeroki uśmiech.

Wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

- *Naturalmente* - powiedziała po prostu. - To jest Rzym.

Karina musiała wrócić do pracy. Spytała, czy chcę iść z nią, ale pokręciłam głową i odpowiedziałam, że wolałabym trochę się rozpakować i rozgościć. Prawda była taka, że po prostu pragnęłam zostać sama. Zupełnie przytłoczył mnie ciężar decyzji, by zamieszkać w miniaturowym pokoiku dla służby należącym do wariatki przyjaźniącej się z niewiernym dupkiem z Nowego Jorku.

Karina powiedziała, że wróci, gdy tylko skończy się jej zmiana. Po jej wyjściu spędziłam trzydzieści minut, rozpakowując walizkę, wieszając sukienki, spódnice i koszule w malutkiej szafie w kuchni. Spodnie i bieliznę włożyłam do szuflad znajdujących się pod malutkim łóżkiem.

Kiedy skończyłam, wyglądałam chwilę przez okno, przyglądając się przechodzącym w dole ludziom. Czułam

się jak podglądacz. Niezauważona przez nikogo patrzyłam z góry na czarnowłose matki w długich spódnicach i powiewnych bluzkach.

Szybko przemierzały ulice, trzymając za ręce swoje maluchy, które próbowały za nimi nadążyć, jednocześnie gapiąc się w wystawowe szyby.



Dwie stare, ubrane na czarno kobiety szły powoli z pochylonymi ku sobie głowami. Jedna z nich podparła się laską, druga co jakiś czas odchyłała głowę do tyłu i wybuchała gardłowym śmiechem. Dwóch starszych mężczyzn, jeden w tweedowej czapce z daszkiem, drugi w wielkich okularach o ciemnych oprawkach, rozstawiło szachownicę przed niewielką kawiarnią kawalek dalej i bez słowa rozpoczęło grę.

Mieszkanie znajdowało się w bocznej uliczce, więc chociaż ta część miasta była tłumnie odwiedzana przez turystów, miałam wrażenie, że patrzę raczej na typowe, niewielkie włoskie miasteczko. Kiedy tak obserwowałam okolicę, przez chwilę sama prawie poczułam się Włoszką, jak gdyby do bycia mieszkańcem jakiegoś kraju wystarczyło samo oglądanie codziennych, prawie intymnych scen z życia jego obywateli.

Przez chwilę pomyślałam o aparacie fotograficznym. Nie używałam go od czasu ślubu Becky. Scenki rozgrywające się na ulicy po prostu prosiły się o to, by je uwiecznić. Ale na to będzie jeszcze czas. Teraz chciałam spać.

Zaciągnęłam rolety i cienkie zasłony. Szybko przebrałam się w podkoszulkę i bawełniane spodenki, ściągnęłam włosy w kucyk i przykryłam się leżącym na moim nowym łóżku prześcieradłem.

Byłam wykończona, ale mimo to nie mogłam zasnąć, chociaż bardzo się starałam. Godzinami wierciłam się w pościeli. Gdy za oknami zrobiło się ciemno, włączyłam światło i przez chwilę próbowałam czytać w nadziei, że podziała to na mnie usypiająco. Nic z tego.

W desperacji sięgnęłam w końcu po jedną z tabletek nasennych przepisywanych na receptę, które przed wyjazdem wcisnęła mi Kris.

- Na wypadek, gdybyś potrzebowała ich w samolocie - powiedziała. Nie byłam do nich zbyt entuzjastycznie nastawiona, nigdy wcześniej nie brałam nic tak mocnego. Jednak moja przyjaciółka stanowczo stwierdziła, że to lekarstwo zmieni moje życie.

Teraz też miałam opory przed wzięciem tabletki, ale ponieważ nijak nie mogłam uspokoić pędzących myśli, w końcu jedną połknęłam. Po kilku minutach poczułam, że zaczyna działać.

Na zegarze stojącym przy moim łóżku dochodziła dziesiąta, kiedy wreszcie zasnęłam.

- Wstawaj!

Obudziłam się gwałtownie, gdy ktoś przenikliwie krzyknął mi prosto w ucho. Serce prawie wyskoczyło mi z piersi. Raptownie usiadłam na łóżku i głośno krzyknęłam.

- *Rilassati!* - powiedziała Karina, odsuwając się trochę. Wyglądała na zadowoloną z siebie. - Spokojnie!

Patrzyłam na tę włoską wariatkę z niedowierzaniem. Przysiadła na krawędzi łóżka. Nie wyglądała na choćby odrobinę zawstydzoną tym, że właśnie włamała się do mieszkania swojej nowej lokatorki.

- Co ty tutaj robisz? - spytałam groźnie. Próbowałam na nią spojrzeć, ale ciężko mi było utrzymać pion. Karina też wydawała się jakaś zamazana.

Pokój wirował mi przed oczami. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że najwyraźniej proszek nasenny

wciąż działa.

Spojrzała na mnie obojętnie.

- Budzę cię - powiedziała powoli, jakby zwracała się do kogoś, kto ma problemy ze zrozumieniem.

- Tak, zauważyłam. Ale dla czego o mnie budzisz?

Patrzyła na mnie przez chwilę.

- Ponieważ, miss Ameryki, przesiedziałaś cały dzień i wieczór w tym pokoju. Litujesz się nad sobą. A to jest tutaj zabronione.

- Co?

Tryumfalnie potrząsnęła głową i wygrzebała plik papierów gdzieś spomiędzy fałd spódnicy. Rozpoznałam formularz podania o wynajem mieszkania, który wypełniałam rano. Wskazała mi paragraf na trzeciej stronie, mniej więcej w trzech czwartych od góry. Przebiegłam go szybko nieprzytomnym wzrokiem, odkrywając, że powinnam powiadomić właścicielkę przynajmniej siedem dni wcześniej, jeśli chcę przedłużyć umowę o kolejny miesiąc, kąpać się krótko pod prysznicem, ponieważ mamy wspólny zbiornik na gorącą wodę, i że jestem zobowiązana do wynoszenia śmieci przynajmniej raz na trzy dni, aby brzydki zapach nie dostawał się rurą wentylacyjną do mieszkania Kariny.

Ale teraz moja gospodyni dźgała palcem jakiś punkt bliżej dołu strony.

Mrugnęłam kilka razy, próbując przegonić resztki snu. Pochyliłam się, żeby lepiej zobaczyć.

„Lokator nie będzie się dąsał”, napisane było w kontrakcie niezgrabną ręką Kariny.

- Chyba żartujesz - stwierdziłam. - Zawarłaś w umowie klauzulę o niedąsaniu się?

Wzruszyła ramionami.

- Nikt cię nie zmuszał, żebyś ją podpisała.

- Karina, ledwie zdołałam odczytać twój straszny charakter pisma -

zaprotekowałam. - To niedorzeczne.

- Cóż, powinnaś wiedzieć, że nie podpisuje się czegoś, czego nie można odczytać - oznajmiła. Pogroziła mi palcem. - A co, jeśli zobowiązałabym cię do oddania mi swojego pierwotnego dziecka? Musiałabyś zrzec się opieki nad nim.

Patrzyłam na nią. Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć.

- Jesteś stuknięta - stwierdziłam w końcu. Wzruszyła ramionami, otwierając szeroko oczy i udając niewinną. - Poza tym - ciągnęłam cicho -

jak tak dalej pójdzie, nie zdążę urodzić dziecka.

Karina gwałtownie zerwała się na nogi, kompletnie mnie zaskakując.

Ponownie zaczęła stukać palcem w kontrakt.

- Znów to robisz! - wykrzyknęła. - Dąsas się! Użalasz nad sobą! Skąd możesz wiedzieć, co ci się przytrafi w życiu?

Patrzyłam na nią ze zdumieniem.

- Tak czy inaczej - stwierdziła, kiedy nie odpowiedziałam - już czas. -

Odgarnęła włosy do tyłu i przyjrzała mi się uważnie, jakbym powinna wiedzieć, co ma na myśli.

- Hm?

- Już c za s - powtórzyła.

- Czas na co?

Klasnęła w dłonie. Podskoczyłam nerwowo.

- Czas wstać i iść! Czas przestać się nad sobą rozczulać. Czas przestać się dąsać!

Pokręciłam głową i westchnęłam.

- Naprawdę nie jestem teraz w nastroju. Która w ogóle jest godzina?

Spojrzała na zegarek.

- Jedenasta.

- W nocy? - zapytałam sceptycznie. Wzięłam pigułkę raptem godzinę temu. Nic dziwnego, że czułam się tak otumaniona. Powinnam smacznie spać.

- Si. Lenisz się. Musisz wstać z łóżka.

- Ale...

- Żadnych ale! - przerwała mi. - Ubieraj się. Jeśli za pięć minut nie będziesz gotowa, unieważniam umowę.

- Nie możesz tego zrobić!

Karina uśmiechnęła się półgębkiem, przekręciła stronę umowy i wskazała nabazgraną na stronie czwartej klauzulę:

„Lenistwo może spowodować wydalenie z mieszkania, jeśli taka będzie wola gospodarza”.

- Co!?! - wykrzyknęłam. - Tego tu nie było! Dodałaś to przed chwilą!

Karina wzruszyła ramionami.

- Może tak, może nie. Nigdy się nie dowiemy. Ale twój podpis widnieje na dole, miss Ameryki. W związku z tym sugerowałabym, żebyś wstała i szybko się ubrała.

Wybałuszyłam na nią oczy.

- Dlaczego? Dokąd idziemy? Uśmiechnęła się szeroko.

- Na miasto - powiedziała po prostu. - Wracam za pięć minut. - Rzuciła mi ostatnie groźne spojrzenie, po czym zniknęła za drzwiami, odrzucając włosy i szeleszcząc spódnicą. - Pięć minut - powtórzyła, nim zatrzasnęła za sobą drzwi.

Popatrzyłam za nią. Nie może zmusić mnie do wyjścia, pomyślałam uparcie. A jednak minutę później wstałam i poszłam do kuchni, żeby poszukać odpowiednich ciuchów na wyjście. Nigdzie nie idę, postanowiłam w myślach, ale gdybym szła, ta cienka biała bluzka i trapezowa spódnica wyglądałyby nieźle, prawda? A do tego długi, złoty naszyjnik, para złotych kolczyków w kształcie kółek i sandały gladiatorki?

Pięć minut później, kiedy Karina weszła z powrotem do pokoju, stałam na środku sypialni z włosami spiętymi w gładki koński ogon, gotowa do wyjścia. Ta włoska wariatka najwyraźniej miała nade mną dziwną władzę.

- Rany - powiedziała, oglądając mnie z uśmiechem. - Jestem pod wrażeniem.

- Nie mam pojęcia, dlaczego właściwie robię to, co mi każesz.

- Bo wiesz, że mam rację.

- Albo ponieważ uważam, że jesteś szalona i boję się, że coś mi zrobisz, jeśli odmówię.

Karina powoli się uśmiechnęła.

- Być może - zgodziła się. - Tak czy inaczej, jesteś ubrana. Obejrzała mnie od góry do dołu i roześmiała się. Potem pokręciła głową.

- Co? - spytałam.

- Wy, Amerykanie, jesteście zabawni - stwierdziła. Spojrzałam na swój strój. Wydawało mi się, że wyglądam

uroczo, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że ubierałam się w miniaturowej kuchni.

- Co jest nie tak z moimi ciuchami? Znów się roześmiała.

- Nic - powiedziała, wywracając oczami. - Wyglądasz ślicznie.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc po prostu wyszłam za nią z mieszkania, zastanawiając się, w co się właściwie wpakowałam.

## ROZDZIAŁ 10

Pięć minut później szłyśmy uliczkami miasta. Musiałam prawie biec, żeby nadążyć za Kariną. Kolana ugięły się przede mną. Całe szczęście, że założyłam buty na płaskim obcasie, inaczej podczas tej wielkiej, tajemniczej pogoni po mieście obcas na pewno utkwiłby mi między kocimi łbami.

Nie miałam pojęcia, dokąd idziemy. Kluczyłyśmy wśród bocznych uliczek i wąskich alejek, a ja z każdym krokiem czułam się coraz bardziej zagubiona. Świat rozmywał mi się przed oczami. Z minuty na minutę rosła we mnie pewność, że wzięcie tabletki nasennej, a następnie wyjście na miasto z kobietą, która najprawdopodobniej była całkowicie szalona, to wyjątkowo fatalny pomysł. Usiłowałam wypatrzeć po drodze jakąś znajomą nazwę ulicy, ale wszystko wskazywało na to, że wchodzimy coraz głębiej w miasto, wybierając wyłącznie tajemnicze skróty i podejrzane zaułki.

- Hm, dokąd idziemy? - spytałam. Właśnie skręciłyśmy w alejkę, która wydawała się najciemniejsza ze wszystkich w okolicy.

- Co się dzieje? - spytała Karina z rozbawieniem. - Nie ufasz mi?

- A powinnam? - zagderalam.

Karina stanęła jak wryta, po czym odwróciła się w moją stronę.

- Słuchaj, miss Ameryki - powiedziała. - Jeszcze nie zdecydowałam, czy cię lubię.

- Ty nie zdecydowałaś, czy lubisz mnie e?

- Tak właśnie powiedziałam. Może jeszcze tego nie wiesz, ale dobrze mieć mnie za przyjaciółkę.

- Tak, każdy marzy o przyjacielu, który włamuje ci się do mieszkania.

Karina spiorunowała mnie wzrokiem.

- To wciąż jest moj e mieszkanie, nawet jeśli wynajmuję je tobie. Zatem nie włamałam się do niego. Próbuję ci pomóc. Nie obraziłabym się, gdybyś okazała odrobinę wdzięczności.

- Mam ci dziękować za to, że wyciągnęłaś mnie z łóżka w środku nocy?

Wykrzywiła usta.

- Nie - powiedziała. - Masz mi dziękować za to, że wzięłam małą, zagubioną Amerykankę pod swoje skrzydła. Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty?

Znudziło mi się bycie małą, zagubioną Amerykanką.

- Myślę, że raczej potrzebujesz pieniędzy - zaprotestowałam.

Karina zmroziła mnie spojrzeniem.

- Nie wiesz tyle, ile ci się wydaje.

Znów ruszyła, idąc dwa razy szybciej niż poprzednio. Popatrzyłam za nią przez chwilę, po czym podbiegłam, żeby ją dogonić.

- Poczekaj - powiedziałam. - Przepraszam. Machnęła lekceważąco dłonią.

- Wiesz, po prostu to było kilka ciężkich dni - spróbowałam znowu.

- Nie tylko ty masz problemy - powiedziała.

Skręciła zniecka w prawo, przecięła kolejną alejkę i wreszcie wyszliśmy na zatłoczoną ulicę.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła nagle.

Rozejrzałam się, próbując złapać oddech po szybkim marszu, i zobaczyłam, że stoimy przed zabytkowym budynkiem. Dwie płonące pochodnie oświetlały osłonięte markizą wejście do baru. Tłum ludzi wylewał się na dziedziniec. Dochodziła nas głośna muzyka i chrapliwe śmiechy. Dziesiątki ściśniętych jak sardynki w puszcze Włochów stało na zewnątrz, paląc papierosy, biorąc duże hausty piwa ze szklanek albo małe łyżki wina z kieliszków.

- Och - powiedziałam, ostrożnie rozglądając się wokół.

- Co tym razem jest nie tak? - spytała zrezygnowana Karina.

- Nie wiedziałam, że wybieramy się do takiego modnego miejsca -

powiedziałam. - Czuję się niewystarczająco dobrze ubrana.

Karina westchnęła ciężko.

- Och, daj już spokój, księżniczko Anno. Wyglądasz dobrze i świetnie o tym wiesz.

- Księżniczko Anno? - spytałam z zakłopotaniem. Ale ona tylko wzniosła oczy do nieba i podążyła w stronę wejścia, wskazując gestem, żebym szła za nią. Zawahałam się, ale po chwili też ruszyłam.

Sala w środku była niewyraźnie oświetlona, a pod ścianami przy dwóch zaplamionych, drewnianych barach stało pełno ludzi. W rogu jakiś zespół grał na cały regulator stare piosenki Beatlesów, bujając się przy tym w rytm. Sądząc po dźwiękach, jakie z siebie wydawali, ich pojęcie o języku angielskim było niezbyt wielkie - słowa brzmiały jakoś dziwnie. W

tajemniczy sposób zdołali zamienić *love medov/ love me too*, co, jeśli dłużej się nad tym zastanowić, miało właściwie więcej sensu.

- Tutaj! - zawołała do mnie Karina. - Znam barmana! Podążyłam za nią na przeciwległy koniec baru, dokąd dotarła, operując na zmianę uśmiechem i głębokością dekoltu.

W końcu wcisnęła się między dwóch mężczyzn, którzy nie sprawiali wrażenia zirytowanych tym, że ktoś próbuje zająć ich miejsce przy barze.

Prawdę mówiąc, kiedy już obejrzeliby sobie Karinę od stóp do głów, sprawiali raczej wrażenie

wdzięcznych. Moja towarzyszka złapała mnie za rękę i pociągnęła do siebie, tak że po chwili również byłam przyciśnięta do baru. Obejrzałam się i ze zdumieniem zauważyłam, że mężczyźni przyglądają się również mnie.

- Zignoruj ich - powiedziała Karina, nawet się nie oglądając. - To ogiery.

- Co? - spytałam zaskoczona. Poczułam, że się rumienię.

- Tak nazywam Włochów tego typu - ciągnęła. Mężczyźni po chwili odsunęli się z kwaśnymi minami. - Wychodzą na miasto odpicowani jak rasowe konie wyścigowe z medalami. Wiesz, włosy zaczesane do tyłu, eleganckie ubranka... Tylko się rozglądają. Wybierają kobietę, najczęściej Amerykankę, która wygląda na łatwą ofiarę, i ruszają do ataku. Mają niesamowitą gadkę, ale każdej nocy sprzedają ją innej kobiecie, rozumiesz? Jeśli chcesz być kochana przez sześć godzin, w tym pięć godzin i pięćdziesiąt minut słuchać głośnego chrapania w twoją poduszkę, możesz na nich liczyć.

Zachichotałam i spojrzałam ponownie na mężczyzn. Teraz, kiedy Karina o tym wspomniała, zauważyłam, że rzeczywiście wyglądają na podrywaczy. Mieli podobnie obcięte i ułożone na żel włosy, białe koszule rozpięte prawie do pępka i obcisłe dzinsy z drogich sklepów.

Jeśli się nad tym dłużej zastanowić, wyglądali prawie identycznie jak Francesco.

- Widzisz ich krzyże? - spytała Karina. Podążyłam za jej wzrokiem i zobaczyłam wielkie złote krzyże, które obaj nosili zawieszane na szyi, częściowo wplątane we włosy na klatce piersiowej. Mrugnęła do mnie. -

Nie mają pojęcia, jak bardzo to paradoksalne - powiedziała.

Roześmiałam się.

- Poważnie - ciągnęła Karina. Wyglądało na to, że dopiero się rozgrzewa.

- Nie widzą sprzeczności w tym, że śpią z sześcioma różnymi kobietami w ciągu sześciu dni tygodnia, a potem w niedzielę zabierają swoją matkę do kościoła i klęczą przed Gesii Cristo.

Zastanawiałam się, czemu Karina zdaje się być pod pewnymi względami tak rozgoryczona i skora do oceny. Może została mocno zraniona przez jednego z tych uwodzicieli? Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że Karina mogłaby lecieć na wyzelowane włosy. Wydawało się, że urodziła się na to zbyt mądra.

Karina zamówiła dwa drinki, mówiąc bardzo szybko po włosku. Barman, słodki, jasnowłosy chłopak mniej więcej w naszym wieku, przekomarzał

się z nią przez chwilę z uśmiechem, przygotowując nasze drinki. Kiedy popchnął je w naszą stronę, Karina sięgnęła po portmonetkę, ale on tylko pokręcił głową i podniósł dłoń. Chwilę kłócili się po włosku, ale w końcu moja towarzyszka roześmiała się i wzruszyła ramionami.

- Na koszt firmy, jak to mówicie w Ameryce - powiedziała. Podała mi drinka w jasnoczerwonym kolorze.

- Spritz z Campari? - próbowałam zgadnąć. Roześmiała się.

- Nie dzisiejszej nocy - powiedziała. - To typowy drink popołudniowy.

Ten koktajl to jego starszy brat, negroni. Emmanuel robi je naprawdę dobrze. - Kiwnęła głową barmanowi, który posłał jej uroczy uśmiech. -

*Centa ani* - powiedziała, odwracając się do mnie. - Za Amerykankę w Rzymie -wzniosła toast.

Uśmiechnęłam się.

- Za Amerykankę w Rzymie - zgodziłam się,, stukając swoją szklanką w jej.

Upiłam trochę napoju. Był słodki, chłodny i mocny, ale miał też dziwnie gorzkawy posmak. Już po kilku łykach

poczułam, że szumi mi w głowie. Karina za to wypłała swój prawie duszkiem. Chwilę później popchnęła po barze pustą szklankę w stronę barmana, a Emmanuel już miał dla niej gotową kolejną porcję.

- A dla ciebie, *signoñnal* - spytał po angielsku wolno i jakby z wahaniem, taksując mnie wzrokiem.

- Nie, dziękuję - pokręciłam głową. Miałam zamiar pić w znacznie wolniejszym tempie. Poza tym czułam, że znów zaczyna działać pigułka nasenna.

Karina i ja znów wzniosłyśmy toast. Byłam już lekko otumaniona.

- Wszystko w porządku? - spytała, uważnie mi się przyglądając.

- Tak, wszystko gra - zdusiłam ziewnięcie. Pomachała mi palcem przed nosem.

- Żadnego ziewania - ostrzegła mnie. - Dzisiaj nieźle się zabawimy.

Zespół zaczął grać kawałek Hootie and the Blowfish, ale wokalista zamiast zaśpiewać *I'm tangled up and blue* stwierdził, że *I'm tangled up in glue*. Nikt poza mną tego nie zauważył. Zaczęłam chichotać.

Rozejrzałam się po sali. Ludzie stali stłoczeni we wszystkich kątach ciemnego pomieszczenia. Kiedy w czasach studenckich chodziłam w Rzymie po barach, nigdy nie wybieraliśmy klubów tego typu. Wraz ze znajomymi z kursu spędzaliśmy wieczory w takich miejscach jak Pijany Statek na Campo dei Fiori, albo Łokieć Skrzypka niedaleko Santa Maria Ma-ggiore. Oba wyglądały jak żywcem wyjęte z którejkolwiek z nowojorskich ulic. Nawet do ich stałej klienteli należeli w dziewięćdziesięciu procentach Amerykanie, Brytyjczycy albo Australijczycy. Uwielbiałam te miejsca. Były dla mnie namiastką domu, który zostawiłam tysiące kilometrów stąd.

Dzisiaj jednak miałam wrażenie, że Karina pokazała mi zupełnie inne oblicze Rzymu. Wokół nas podobne do Kariny

ciemno opalone kobiety o hebanowych lokach przypatrywały się czujnie mężczyznom o długich rzęsach i oliwkowej cerze. Wszyscy dmuchali sobie dymem papierosowym prosto w twarz, energicznie wymachując przy tym rękami. Kilka nowo poznanych par odważnie wtargnęło na parkiet. Mężczyźni pożerali swoje partnerki wzrokiem. Ludzie przerzucali się toastami, wychylali jednym haustem zawartość wysokich szklanek z piwem albo czymś mocniejszym i niebezpiecznie się do siebie przysuwali.



- Włoski sposób na podryw polega na tym, że facet staje bardzo blisko ciebie, wygłasza jakiś głupi, pseudouwodzieński tekst, a jeśli to nie zadziała, zawsze może spróbować złapać cię za tyłek - powiedziała Karina, kiedy przyglądałyśmy się ludziom w barze.

Roześmiałam się i przytaknęłam.

- Mam wrażenie, że mężczyźni w Nowym Jorku zachowują się podobnie.

Natychmiast spoważniała.

- Włosi - powiedziała lodowatym głosem - w niczym nie przypominają Amerykanów. Nigdy więcej tak nie mów. - Wymruczała pod nosem, że musi iść do toalety, i oddaliła się, zanim w ogóle zdążyłam jej odpowiedzieć.

Patrzyłam za nią z otwartymi ustami. Nie miałam pojęcia co takiego powiedziałam, że zareagowała aż tak gwałtownie.

Nie minęła minuta od chwili, gdy Karina zniknęła z horyzontu, a jej miejsce zajął wysoki mężczyzna, ubrany w to, co najwyraźniej było tutaj strojem obowiązkowym - spodnie z drogiego sklepu i białą koszulę z rozpiętymi u góry guzikami.

- *Ciao, bella* - zagaił, oglądając mnie bezwstydnie od góry do dołu i oblizując się przy tym, jakbym była posiłkiem w restauracji typu „jedz, ile zdołasz”.

- Hm, *buona sera* - odpowiedziałam ostrożnie. Rozejrzałam się, mając nadzieję, że chociaż Karina musiała urządzić scenę, to złość już jej przeszła i lada chwila pojawi się z powrotem. Niestety, nic takiego się nie zdarzyło.

Mrugając do mnie, mężczyzna zalał mnie potokiem niezrozumiałych włoskich słów. Pokręciłam głową.

- *Non parlo l'italiano.*

Spodziewałam się, że się wycofa, ale nic z tego - oczy rozbłyły mu, jakby wygrał na loterii.

- Ach, Amerykanka! - powiedział z mocnym, włoskim akcentem. -

Kocham Amerykę!

- Byłeś tam? - spytałam, siląc się na uprzejmość. Rozejrzałam się ponownie wokół w poszukiwaniu Kariny, ale nigdzie nie było jej widać.

- Nie, nie. Ale kobiety z waszego kraju są takie miłe.

- Och - westchnęłam. - Dziękuję.

Mężczyzna pochylił się nade mną, a jego brązowe oczy zabłyły.

- A ty? Lubisz Włochów?

- Nie w tej chwili - wymamrotałam pod nosem.

- *Non capisco* - powiedział.

- Hm, tak, Włosi są, hm, w porządku - rzuciłam, ponownie wypatrując Kariny. Naprawdę, gdzie ona się podziała?

- Ach, tak. Uważasz, że Włosi są w porządku - ucieszył się mężczyzna, entuzjastycznie kiwając głową i przeciągając ostatnie słowo. - To dobrze.

- Przynął się bliżej, tak że teraz właściwie stał oparty o mnie. Chciałam się odsunąć, ale byłam przygnieciona do baru. Nie miałam się gdzie ruszyć. Pachniał solą, wodą po goleniu i dymem papierosowym, a kiedy się pochylił, poczułam że jego oddech jest aż ciężki od zapachu piwa Peroni. - To co, chciałabyś iść? Ze mną?

- Co?

- Iść? Chciałabyś ze mną wyjść? Z tego baru? Do mnie do domu?

Patrzyłam na niego ze zdumieniem. Po tym, jak spędziłam tu lato jako dwudziestojednolatka, powinnam być przygotowa-

nia na takie zachowania, bezwstydną propozycje i cyniczne oczekiwania.

Ale spędziłam te wakacje w większości w towarzystwie Francesco, a przedtem zawsze wychodziłam z grupą przyjaciółek. Ponieważ nie byłam najładniejsza, najweselsza ani najbardziej otwarta z nich, przeważnie tylko obserwowałam, jak moje koleżanki z kursu chichoczą w odpowiedzi na zaloty Włochów, po czym często znikają z nimi na noc. Ja wiem lepiej, mówiłam sobie, może nawet odrobinę zarozumiała. A potem spotkałam Francesco i rozsądek opuścił mnie na dobre.

- I jak? - Włoch wciąż czekał na moją odpowiedź.

- Nie - powiedziałam stanowczo, zawstydzona, że w ogóle się zawahałam. Nie dlatego, że poważnie rozważałam jego ofertę, raczej dziwiłam się jego bezczelności.

- Ale dlaczego nie? - spytał. Przybrał zraniony i nadąsany wyraz twarzy. -

Nie podobam ci się?

- Nie znam cię - powiedziałam, ponownie rozglądając się za Kariną.

- Ach tak, *bella*, ale czy nie poznasz mnie najlepiej, udając się dzisiaj wieczorem ze mną do domu? - spytał. - Chcesz tego, prawda? Widzę to w twoich pięknych oczach.

Wywróciłam pięknymi oczami.

- Nie - odparłam. Przyglądał mi się z konsternacją.

- Ale taka jest przecież naturalna kolej rzeczy.

- Co?

- Ja jestem mężczyzną. Ty jesteś kobietą.

- Tak, dziękuję, że mi to wyjaśniłeś - zakpiłam.

Teraz wyglądał na jeszcze bardziej zmieszanego. Sięgnął po moją rękę i przytrzymał ją w swoich dłoniach. Jego dotyk był zaskakująco łagodny i chyba dlatego nie wyrwałam mu się od razu.

- *Bella* - zamruczał. Wziął mnie pod brodę i zmusił do spojrzenia w górę.

- Posłuchaj swojego ciała - powiedział uwodzicielskim tonem.

Przeciągnął „u” w „słuchaj” i „a” w „ciała” w taki sposób, że zabrzmiało to prawie poetycko, choć jednocześnie bardzo nienaturalnie. Pewnie używał tego idiotycznego tekstu do poderwania wielu innych Amerykanek.

- Co? - Zakrztusiłam się, próbując pohamować wybuch śmiechu.

Najwyraźniej źle zrozumiał moje rozbawienie.

- Posłuchaj swojego ciała - powtórzył bardziej stanowczo, jednocześnie uśmiechając się w sposób, który bez wątpienia miał mnie oczarować.

- Czy ten tekst naprawdę działa? Spojrzał na mnie z głupim wyrazem twarzy.

- Tekst? Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Jasne - powiedziałam. - Tak, chwileczkę. - Zamilkłam i przekrzywiłam głowę.

- Co robisz? - zapytał po chwili.

- Słucham swojego ciała.

Zobaczyłam w jego oczach błysk nadziei. Ponownie obejrzał mnie od góry do dołu, zatrzymując spojrzenie o moment za długo na mojej klatce piersiowej.

- I co? Czy twoje ciało mówi do ciebie?

- Hm - mruknęłam z zastanowieniem. - Tak, tak. Chyba mam jakąś wiadomość.

- Tak?

- Mówi „nie”.

Wyglądał na zaskoczonego.

- *Che cosa?*

- Tak, jasno i wyraźnie. Mówi „nie”.

Przysunął się bliżej i właśnie miał coś powiedzieć, kiedy zauważyłam stojącego za nim innego mężczyznę. Tamten miał szerokie ramiona i rudawe włosy, jasne, zielone oczy i mocno opaloną skórę. Wyglądał na typowego przystojniaka z północnych Włoch. Pełno ich było w Wenecji, ale większość ludzi sądziła, że są Austriakami, nie ich sąsiadami z Południa. Mężczyzna patrzył raz na mnie, raz na mojego ciemnowłosego towarzysza. Wydawał się szybko oszacować sytuację, po czym zrobił krok do przodu.

- *Stai bene?* - wkroczył pomiędzy nas i spytał, przyglądając mi się uważnie. - Wszystko w porządku?

Zawahałam się i w końcu przytaknęłam.

- Nic mi nie jest - odpowiedziałam. - Dziękuję. Przez moment wyglądał

na niezdecydowanego, po czym

kiwnął głową. Odwrócił się i powiedział coś szybko po włosku do drugiego mężczyzny. Ciemnowłosey burknął kilka słów w odpowiedzi, rzucił mi ostatnie spojrzenie i powoli się oddalił, prawie natychmiast natykając się na kolejną grupę kobiet, do której z radością dołączył.

- Przyjechałaś z Ameryki na wakacje? - spytał jasnowłosey mężczyzna, odwracając się w moją stronę.

Skinęłam głową.

- Skąd wiedziałeś?

- Twój akcent - powiedział. - I ubranie. - Spojrzałam na niego, zastanawiając się, co ma na myśli. - A także - dodał - to że Giuseppe natychmiast cię wyczuł. On ma radar wykrywający Amerykanki. Tak czy inaczej przepraszam cię za Giuseppe. On jest po prostu niemożliwy.

- Znasz go? - spytałam zaskoczona. Jasnowłosey mężczyzna wzruszył

ramionami.

- Kiedy się mieszka w Rzymie, zna się prawie wszystkich. - Uśmiechnął

się do mnie.

- Cóż... - powiedziałam, nagle czując zdenerwowanie. Chociaż lokal wciąż lekko wirował mi przed oczami, mogłam bez trudu stwierdzić, że mężczyzna jest przystojny. Był też wystarczająco miły, by wyratować mnie przed nieuprzejmym Romeo. - Dziękuję - wykrztusiłam w końcu.

- Nie ma sprawy - odparł. Lekko skinął głową i mrugnął. - Miłego wieczoru. I pobytu w moim kraju.

Po tych słowach ponownie zniknął w tłumie. Zostawił mnie samą, zanim zdążyłam spytać, jak ma na imię.

I właśnie wtedy koło mnie znów pojawiła się Karina. Wyglądała na wkurzoną.

- Widzę, że ucięłaś sobie pogawędkę z Giuseppe - powiedziała kwaśno.

- Znasz go? - spytałam. Wykrzywiła się.

- Znam ich ws z yst k i c h , miss Ameryki.

Odwróciła się do barmana i zamówiła dwie kolejki mocnego alkoholu.

Podawała mi szklaneczkę i wskazała ją głową.

- Pij - rozkazała. Przyjrzałam się szklance.

- Naprawdę nie powinnam - powiedziałam. - Parę godzin temu wzięłam pigułkę nasenną i...

Karina przerwała mi w pół słowa.

- Przestań być taka porządna. To musi być wykańczające. - Stuknęła swoją szklanką o moją i przechyliła głowę do tyłu, wlewając prosto do gardła brązowy płyn. Zawahałam się, po czym wbrew zdrowemu rozsądkowi zrobiłam to samo. Smakował lukrecją i natychmiast uderzył

mi do głowy.

Karina uśmiechnęła się lekko, wzięła ode mnie szklanekę, włożyła w swoją i obie odstawiła na bar. Wyglądała teraz na odrobinę mniej wściekłą.

- Przepraszam, że zostawiłam cię samą na tak długo. Czasami zapominam, jak bardzo ci mężczyźni kochają zaczepiać Amerykanki.

Wzruszyłam ramionami.

- Nic się nie stało. - Rozejrzałam się po barze w poszukiwaniu mojego rudowłosego wybawiciela, ale nigdzie go nie zobaczyłam.

- Co prawda same jesteście sobie winne - dodała Karina. - Wszystkie te dziewczyny z college'ów, które przyjeżdżają tu ze swoimi pieniędzmi i tlenionymi włosami,

domagając się, żeby je dowartościować... Amerykanki są łatwą zdobyczą.

- Ja nie jestem taka - zastrzegłam od razu.

- Za to strasznie się bronisz - odgryzła się Karina. Przez kilka minut przyglądałyśmy się tańczącym ludziom,

po czym moja gospodyni zaproponowała, żebyśmy wyszły na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Zgodziłam się. W środku słychać było głównie mylący słowa zespół, a poza tym zauważyłam, że od kiedy Karina wróciła z łazienki, wielu mężczyzn przygląda nam się nieufnie i omija ten fragment baru. Wydało mi się to zabawne. Najwyraźniej miała tutaj niezłą opinię.

Poszłam za nią i usiadłyśmy na ławce przed barem. Powietrze było przyjemnie wilgotne i ciepłe. Karina wyciągnęła paczkę papierosów i wyjęła jednego. Włożyła go do ust i spojrzała na mnie.

- Nie wiedziałam, że palisz - zdziwiłam się. Spojrzała na mnie ostro.

- Nie palę - rzuciła. Wyjęła z kieszeni pudełko zapalek, zapaliła jedną i przytknęła ją do papierosa. Mocno się zaciągnęła, z wdziękiem wyjęła papierosa z ust, strzepnęła popiół na ziemię i zaciągnęła się po raz kolejny.

- Aha - powiedziała z powątpiewaniem. Westchnęła i popatrzyła na mnie krzywo.

- A ty co jesteś? Policja obyczajowa?

- Nie, ja tylko... Przerwała mi.

- Prawie w ogóle nie palę. Chociaż to i tak nie twoja sprawa.

- Nie chciałam być niegrzeczna. - Pod wpływem jej lodowatego spojrzenia zaczęłam się wiercić.

- Nie palę w domu - kontynuowała Karina po chwili. - Rzuciłam, gdy się dowiedziałam, że jestem w ciąży z Nico. Zapalę sobie jednego od czasu do czasu, jasne? I nigdy, gdy on jest w pobliżu.

- Nico? - spytałam.

Zaciągnęła się po raz kolejny i zamknęła oczy.

- Mój syn. Szczęka mi opadła.

- Masz syna?

- Tak trudno w to uwierzyć? - spytała. Rzuciła mi lekko rozbawione spojrzenie. - Co, uważasz, że nie nadaję się na matkę?

- Nie powiedziałam tego - rzuciłam szybko, czując, że się rumienię. -

Miałam na myśli, że...

- Że nie jestem dobrą matką? - uzupełniła Karina. Spojrzała na mnie. - W

porządku. I tak nie obchodzi mnie, co myślisz. Jestem dla niego dobrą mamą. Naprawdę.

- Wierzę ci - powiedziałam. Przez chwilę milczałyśmy. - Ile ma lat?

- Sześć - odpowiedziała. Uśmiechnęła się i dodała: - Chociaż czasami mi się wydaje, że raczej trzydzieści sześć.

- Sześć - powtórzyłam. Po prostu nie mogłam sobie wyobrazić szalonej Kariny plotkującej z innymi mamami na placu zabaw albo odprowadzającej syna do przedszkola. - Gdzie on teraz jest?

- Zostawiłam go samego w domu - rzuciła nonszalancko Karina. Widząc mój przerażony wyraz twarzy, rozśmiała się i dodała: - Och, jesteś taka naiwna. Oczywiście nie zostawiłabym go samego w domu. Jest u babci.

Zostaje z nią w ciągu dnia, kiedy pracuję. Poprosiłam, żeby dzisiejszego wieczoru również się nim

zaopiekowała.

- Tak?

Karina zrobiła zniecierpliwioną minę.

- Jesteś jak mały, zagubiony szczeniak, miss Ameryki - stwierdziła. -

Chciałam, żebyś ze mną wyszła. Poza tym najlepszy sposób, żeby kogoś poznać, to się z nim napić, prawda? A muszę cię znać, jeśli masz mieszkać w moim mieszkaniu.

W zamyśleniu skinęłam głową.

- Ty nie masz dzieci? - spytała Karina po chwili. Zawahałam się.

- Nie - odpowiedziałam, zerkając w bok. - Chciałabym je kiedyś mieć.

Ale nie robię się coraz młodsza.

- Jesteś straszną pesymistką, miss Ameryki - westchnęła Karina. Ale nie pociągnęła tematu.

Znowu zaczęłam ziewać, a powieki coraz mocniej mi opadały.

- Do niczego się nie nadajesz - stwierdziła Karina z lekko drwiącym uśmiechem. - Alkohol ci szkodzi?

- Nie o to chodzi - zaprotestowałam. - Wzięłam kilka godzin temu pigułkę nasenną, bo nie mogłam zasnąć. Chyba jeszcze nie przestała działać.

Karina wzniosła oczy do nieba.

- Wy, Amerykanie - powiedziała. - Myślicie, że pigułki w magiczny sposób rozwiążą wasze problemy.

Wzruszyłam ramionami. Czułam się dziwnie, będąc nieustannie pociągana do odpowiedzialności za wszystkie wady moich rodaków.

- Dobrze - stwierdziła Karina. Uśmiechnęła się i wstała. - Chodźmy, co?

Nie chcę, żebyś zasnęła na ulicy w środku Rzymu.

Uśmiechnęłam się słabo.

- Przepraszam. Nie chciałam zachowywać się jak nudziara.

- Wiem - zachichotała złośliwie Karina. - Ale czasami, kiedy człowiek jest w czymś naprawdę dobry, samo mu tak wychodzi.

Być może powinnam czuć się urażona, ale tak naprawdę zaczynałam się przyzwyczajać do dobrodusznych kpinek Kariny. Jej charakter był taki zmienny. W jednej chwili była wściekła, w drugiej uroczo wyrozumiała, a potem nagle stawała się diabło sarkastyczna.

Wstałyśmy i miałyśmy ruszyć, ale czułam, że mam nogi jak z waty. Nie byłam pijana, wręcz przeciwnie, zupełnie trzeźwa. Jednak całe moje ciało wydawało się strasznie ciężkie. Miałam wrażenie, że pójście za Kariną wymaga ode mnie gigantycznego wysiłku.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Czy mogłybyśmy wziąć taksówkę? - spytałam słabym głosem, przypominając sobie, że do domu mamy całkiem spory kawałek drogi.

Karina roześmiała się.

- Jest *sciopero*.

- Co?

- *Sciopero* - powtórzyła. - Chyba nazywacie to strajkiem?

- Taksówkarze strajkują?

- Si. Wszyscy pracownicy komunikacji strajkują. Włączając w to taksówkarzy. Do jutra wieczorem.

- Mają rozkładać strajków? Karina wyglądała na zaskoczoną.

- Jasne - powiedziała. - Piszą o tym w gazetach. Inaczej skąd wiedzielibyśmy o wszystkim?

Zdziwiłam się.

- Ale z jakiego powodu strajkują? Karina wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Może chcą podwyżki płac. Albo krótszych godzin pracy. A może robią *sciopero*, ponieważ dawno żadnego nie robili. Wiesz, to nasza narodowa rozrywka. Razem z *calcio*.

Uśmiechnęłam się blado, zastanawiając się, czy nogi dadzą radę donieść mnie do domu, zanim reszta mojego ciała się podda. W głowie trochę mi się kręciło. Marzyłam, żeby się położyć.

- Chodź - Karina wzięła mnie pod ramię. - To nie tak daleko.

Ruszyłyśmy tą samą drogą, którą przyszłyśmy - szeregiem wąskich alejek i bocznych uliczek. Próbowałam do-

trzymać kroku Karinie, ale zmęczone nogi nie chciały mnie słuchać.

- Miss Ameryki, nie mamy całej nocy! - warknęła zniecierpliwiona. Widziałam, że znów zmienia jej się humor. Nie miała już tak sympatycznej i miłej miny. - Nie możesz się trochę pospieszyć?

- Po prostu jestem bardzo zmęczona...

- I tak zostałyśmy tam zbyt długo - dodała ostro, jakby to była moja wina.

- Jutro w pracy będę wykończona.



- Przykro mi - powiedziałam potulnie.

- Phi - naprawdę była zirytowana. Próbowałam przyspieszyć kroku.

- Hej - rzuciłam, mając nadzieję, że rozmową odgonię senność. -

Opowiedz mi o Nico.

- A co chcesz wiedzieć? - Skręciła ostro w prawo, a potem znów w lewo w kolejną małą uliczkę. Wlokłam się za nią zdyszana.

- Nie wiem - zastanowiłam się. - Jaki on jest?

- Ma sześć lat - stwierdziła. - Jest taki, jak każdy sześciolatek.

- Och - wydusiłam z siebie, czując się jak idiotka. Karina westchnęła i zwolniła trochę, czekając na mnie.

- Jest bardzo mądry - powiedziała. - Umie już pisać swoje imię i liczyć w kilku różnych językach. Mówi po angielsku i włosku, tak jak ja.

Chciałabym, żeby był dwujęzyczny.

- Jejku - zdziwiłam się. - Dwujęzyczny sześciolatek?

- To nic takiego. - Zarumieniła się trochę. - Lubi książki. Codziennie wieczorem czytam mu *Harry'ego Pottera*, ale opuszczam te naprawdę straszne sceny. Jest jeszcze na to za mały.

- A co z jego ojcem? - spytałam po chwili, próbując zmusić do marszu zmęczone nogi.

Karina zatrzymała się tak nagle, że prawie na nią wpadłam. Odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Co z jego ojcem? - spytała powoli, a jej głos przybrał nagle zimne i niebezpieczne brzmienie.

Wystraszona tym nagłym chłodem, zrobiłam mimowolnie krok do tyłu.

- N... nic - zająknęłam się. - P... po prostu zastanawiałam się, gdzie on jest.

- Nie ma go tutaj - wysyczała Karina. Jej oczy zwęziły się tak bardzo, że zaczęły przypominać szparki oczu kota.

- Och - powiedziałam. Próbowałam na gwałt znaleźć odpowiednie słowa.

- Poza tym to nie t woj a sprawa, miss Ameryki. Podniosłam ręce do góry w obronnym geście i spróbowałam się uśmiechnąć.

- Po prostu chciałam porozmawiać.

Ale Karina zezłościła się jeszcze bardziej.

- Tak w twoim mniemaniu wygląda rozmowa? - spytała. Roześmiała się chrapliwie. - Wiesz co? Możesz

sobie rozmawiać gdzie indziej. Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek, a już zwłaszcza Amerykanka, przychodził i mówił mi, że spałam swojemu synowi życie.

Patrzyłam na nią z osłupieniem.

- Ale ja wcale nie uważam...

- Dość! - krzyknęła ostro Karina, podnosząc do góry rękę i uciszając mnie. Zamknęła na moment oczy, a kiedy ponownie je otworzyła, skupiła na mnie swój wściekły wzrok. - Nie musisz mnie oceniać, miss Ameryki.

Ty też nie jesteś wcale taka idealna, jasne?

A potem, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, szybkim krokiem ruszyła do przodu. Ręce zacisnęła w pięści, a jej włosy podskakiwały i opadały w szaleńczym rytmie.

- Poczekaj, Karina! - krzyknęłam za nią. Ale ona już skręciła za róg, nie oglądając się na mnie, i mój głos odbił się na próżno od stojących wzdłuż uliczki budynków. W pobliżu zaczął szczekać pies, bez wątplenia obudzony moim krzykiem.

Podskoczyłam nerwowo i pospieszyłam w tam, gdzie zniknęła Karina.

Ale kiedy dotarłam do końca ulicy i spojrzałam w prawo, nikogo nie zobaczyłam.

- Karina? - zawołałam z wahaniem. Mój głos znów odbił się echem od ścian, a wszystkie okoliczne psy rozszczekały się jak na komendę.

Rozejrzałam się wokół z poczuciem winy, po czym ruszyłam tak szybko, jak tylko mogłam, chociaż nogi wciąż odmawiały mi posłuszeństwa i jedyne, o czym marzyłam, to zwinąć się w kłębek i zasnąć. - Karina?

Ale nigdzie jej nie było. Szukałam alejka po alejce, ulica po ulicy. Nie było po niej śladu. Nie słyszałam nawet odbijającego się echem od budynków stukotu jej obcasów na brukowanej ulicy. Wokół panowała głucha cisza.

W końcu zatrzymałam się i rozejrzałam wokół. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Przeszłyśmy taki labirynt ulic, że zupełnie straciłam poczucie kierunku. Zaczęłam wyteżać słuch, próbując wyłapać cokolwiek, co mogłoby dać mi jakąś wskazówkę - na przykład dźwięk ruchliwej ulicy albo chlupiący o brzeg Tyber. Ale otaczała mnie głucha cisza.

Znów ruszyłam przed siebie. Kilka ulic dalej zobaczyłam na ścianie mały znak - Via Paloma. Ta nazwa nic mi nie mówiła. W myślach przeklinałam się za to, że nie wzięłam ze sobą planu Rzymu. Karina tak bardzo mnie poganiała, gdy wychodziłyśmy, że zupełnie o nim zapomniałam. Poza tym zakładałam, że będę miała przewodnika. Nigdy nie wychodziłam z domu, nie mając pojęcia, dokąd idę.

Nie panikuj, powiedziałam sobie. Nie ma powodu do paniki.

Przecież znalezienie jakiejś uczęszczanej ulicy i spytanie o wskazówki nie może być chyba takie trudne?

Dwadzieścia minut później ledwo powłóczyłam nogami, ale w końcu dotarłam do Via dei Fori Imperiali. Odetchnęłam z ulgą. To była nazwa, którą znałam. Właściwie była to ulica znana chyba wszystkim ludziom, którzy spędzili chociaż trochę czasu w Rzymie. Wiedziałam, że prowadzi prosto przez miasto od Piazza Venezia aż do Koloseum. W rzeczy samej, kiedy spojrzałam w prawo, zobaczyłam wznoszącą się wysoko czarną budowlę, złowieszczo wyłaniającą się z ciemności. Wzdrygnęłam się i próbowałam nie myśleć o tych wszystkich ludziach, którzy tam zginęli, ani o scenach z *Gladiatora* na zawsze wyrytych w mojej pamięci.

Ale ulica, normalnie tętniąca życiem, teraz była prawie zupełnie pusta, prawdopodobnie dlatego, że było już późno - prawie druga w nocy - i w dodatku trwał strajk. Zaczęłam iść w stronę Koloseum - moja szczątkowa wiedza o topografii Rzymu mówiła mi, że Panteon również jest w tamtym kierunku. Rozpadające się Forum wyłoniło się z mroków po prawej. Pięć minut później zobaczyłam idącą szybko młodą parę. Westchnęłam z ulgą.

- Przepraszam! - krzyknęłam, zmierzając w ich stronę. -Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy moglibyście mi powiedzieć, gdzie jest Panteon?

Chłopak i dziewczyna zatrzymali się i spojrzeli na mnie podejrzliwie.

Popatrzyli po sobie. Z bliska wydawali się jeszcze młodsi, niż mi się wcześniej zdawało.

- Cosa? - spytał młody człowiek, patrząc na mnie niechętnie.

- Hm, Panteon? - spytałam z wahaniem. - Gdzie on jest? Pokręcił głową.

- Non parlo 1'inglese - powiedział niepewnie. Przeczesałam pamięć w poszukiwaniu podstawowych włoskich słów.

- Dov'e U Panteon? - wydusiłam z trudem.

Para ponownie wymieniła spojrzenia. Nagle dziewczyna zaczęła mówić do mnie bardzo szybko po włosku, energicznie wymachując rękami i wskazując różne kierunki. Patrzyłam na nią bezradnie.

- Non capisco - powiedziałam ponuro. - Nie rozumiem.

Dziewczyna westchnęła ciężko i zrobiła zniecierpliwioną minę. Jej chłopak również powiedział coś z prędkością karabinu maszynowego, wskazując kierunek, w którym szłam.

- To w tę stronę? - próbowałam zgadnąć. - Panteon jest w tę stronę?

- Si, si - potwierdził z wyraźną ulgą. Ale ja nie czułam się przekonana.

Wydawało mi się, że chłopak zupełnie nie zrozumiał, o co go pytałam.

- Grazie - powiedziałam w końcu. W odpowiedzi kiwnęli głowami i pospieszyli przed siebie.

Szłam dalej w kierunku, który mi wskazali, z każdym krokiem czując się coraz bardziej zmęczona. Nie byłam nawet pewna, czy rzeczywiście się porozumieliśmy. Równie dobrze mogli wskazywać mi drogę do

Watykanu albo na Schody Hiszpańskie. Poza tym zdałam sobie sprawę, że nawet jeśli znajdę Panteon, i tak nie trafię do mieszkania. Prawdę powiedziawszy, zupełnie nie wiedziałam, jak je znaleźć. Karina prowadziła mnie do niego bocznymi uliczkami i chociaż wiedziałam, że znajdowało się blisko słynnego budynku, mogłabym błądzić po krętych alejkach całą noc, próbując je znaleźć.

Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, poczułam się jeszcze bardziej zmęczona. Wlokłam się w ślimaczym tempie, kompletnie wycieńczona, szukając następnej osoby, którą mogłabym zapytać o drogę. Zrobiłam straszną głupotę i nie wzięłam ze sobą portfela, tylko paszport i czterdzieści euro, z których dwadzieścia wydałam w barze. Nie miałam innego wyjścia, jak iść przed siebie, mając nadzieję, że kiedyś natknę się na swoje mieszkanie. Przynajmniej pomyślałam, żeby wziąć klucze do niego. To był jedyny jasny punkt w morzu otaczającej mnie beznadziei.

Jednak chwilę później poczułam, że już dłużej nie dam rady. Ledwie stawiałam nogę za nogą. I wtedy, jakby to była fatamorgana na pustyni, zauważyłam malutki ceglany murek przy ulicy, wysokości i szerokości zwyczajnej ławki.

- Dzięki Bogu - wymamrotałam. Dowlokłam się do niego i usiadłam.

Westchnęłam z ulgą. To było fantastyczne uczucie wreszcie móc usiąść i dać odpocząć zmęczonym stopom.

Zamknęłam oczy i westchnęłam. W głowie wciąż mi się kręciło, ale z zamkniętymi oczami przez moment poczułam się prawie dobrze.

- Po prostu posiedzę tu chwilę - wymamrotałam do siebie.

Oparłam się o mur i odetchnęłam głęboko, zauważając ze zdziwieniem, że zimna, ceglana powierzchnia okazała się tak wygodna. W tym momencie wydawała mi się tysiąc razy bardziej komfortowa niż wypełniony pierzem materac, który miałam w domu. Była wprost nieprawdopodobnie wygodna.

Otworzyłam oczy i rozejrzałam się po ulicy, kręcąc głową na boki i skupiając się na tym, by nie pozwolić opaść powiekom. Przysięgłam sobie, że już nigdy nie wezmę tabletki nasennej. To było okropne.

Potoczyłam wokół spojrzeniem. Droga była pusta, tylko gdzieś tam stały równie puste samochody, wirując mi przed oczami.

Zamknę powieki tylko na chwilę, przekonywałam się. Nie zasnę.

Odpocznę tutaj tylko chwileczkę. Potem znowu ruszę. Poczuję się lepiej, jeśli kilka minut posiedzę.

W ten sposób doszłam do wniosku, że mogę zamknąć oczy. Wzięłam kilka głębokich wdechów i próbowałam się rozluźnić. Wiedziałam, że powinnam wstać i ruszyć dalej, ale siedzenie tutaj było takie przyjemne.

Czułam wielką ulgę. Byłam tak potwornie zmęczona...

O tym mniej więcej myślałam, zanim odpłynęłam w stan błogiej nieświadomości.

## **ROZDZIAŁ 11**

Przyśnił mi się, co dziwne, Michael Evangelisti. Sen był bardzo realistyczny, chociaż zupełnie niedorzeczny. Siedziałam na tym samym ceglany murku, ale kiedy we śnie otworzyłam oczy, znalazłam się na rogu Columbus i Zachodniej Dziewięćdziesiątej Trzeciej w Nowym Jorku, tuż koło restauracji Michaela. Próbowałam wstać i iść, ale okazało się, że to niemożliwe. Nie mogłam się ruszyć.

W tym momencie Michael wyszedł z restauracji i spojrzał na mnie z rozbawieniem.

- Wiedziałem, że wrócisz - oznajmił.

Próbowałam zignorować fakt, że jego oczy błyszczały tak interesująco.

- Utkwiłam. Nie mogę się ruszyć - powiedziałam za to. -Pomożesz mi?

- Mogę ci pomóc w wielu sprawach - odrzekł. Usiadł koło mnie i przykrył

dłonią moją dłoń. - Jeśli tylko dasz mi szansę.

Zawahałam się. Naprawdę potrzebowałam pomocy, żeby wstać z murka.

Czułam się, jakby ktoś mnie do niego przykleił. Ale co jeszcze miał na myśli Michael?

- Nie daję szans mężczyznom, którzy mają żony - oznajmiłam zimno.

Wyglądał na zranionego. Przez moment poczułam się podle.

- Nie rozumiesz, Cat - powiedział zachrypniętym głosem.

- Co tu jest do rozumienia? - spytałam stanowczo.

- Cat, to ciebie chcę!

Zagotowałam się. Nie podobało mi się, że mnie prowokował i próbował

grać na moich uczuciach, chociaż mu na to nie pozwoliłam.

- Wracaj do żony! - powiedziałam zirytowana.

- Co? - spytał, ale tym razem jego głos zabrzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka i w dodatku pobrzmiwały w nim ślady obcego akcentu.

- Wracaj do żony - powtórzyłam z głębokim przekonaniem.

Obraz Michaela nagle jakby się rozmazał, a ja poczułam zniechęcający mocny uścisk na ramieniu. Spojrzałam zmieszana na Michaela i zauważyłam, że obie ręce ma na kolanach. Kto w takim razie trzymał

mnie za rękę?

Nagle bardzo wyraźny głos z mocnym włoskim akcentem rozległ się tuż nad moim uchem.

- Cóż, nie mam żony, więc to może być raczej trudne. Głos był

wystarczająco donośny, żeby wyrwać mnie ze

snu. Mrugnęłam kilka razy i z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że nie siedzę na rogu nowojorskiej ulicy z żonatym restauratorem, ale znajduję się na ciemnej, pustej ulicy we Włoszech, a koło mnie siedzi mężczyzna o rudawych włosach i patrzy mi w oczy z odległości zaledwie kilku centymetrów.

Wrzasnęłam i pospiesznie odskoczyłam od niego. Zaskoczony, puścił

moje ramiona i też się odsunął.

- Spokojnie, spokojnie! - wykrzyknął, podnosząc ręce do góry. - Po prostu próbowałem cię obudzić. Martwiłem się.

- Kim... kim jesteś? - zapytałam podejrzliwie, kuląc się w odległym kącie murka. Moje walące serce powoli zaczynało zwalniać i natychmiast zdałam sobie sprawę, że to ten sam mężczyzna, który uratował mnie od natarczywego Giuseppe.

- Cóż, nie jestem Joe Bradleyem - powiedział, unosząc brew. - Ale nie martw się. Nie próbuję zrobić ci krzywdy. Po prostu chciałem się upewnić, że nic ci się nie stało.

- Nie... Wszystko w porządku - zapewniłam go, zastanawiając się jednocześnie, kto to jest Joe Bradley i jakie to ma znaczenie. Przyjrzałam się jego twarzy i stwierdziłam, że podoba mi się sposób, w jaki oczy błyszczały mu w świetle latarni.

Wyszczrzył zęby i powiedział ze sztucznym, przesadzonym amerykańskim akcentem.

- Lepiej usiądź. Jesteś stanowczo za młoda, żeby dać się zgarnąć policji.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

- Policji?

Roześmiał się i wywrócił oczami.

- To klasyka - powiedział.

- O czym ty mówisz? - próbowałam zrozumieć. - I czemu w ten sposób?

- Co, jak Joe Bradley? - spytał znów z włoskim akcentem. Wyglądał na rozbawionego.

- Kto to jest Joe Bradley? - zapytałam zniecierpliwiona. Kompletnie nie rozumiałam, o co chodzi. Odsunęłam się jeszcze bardziej. Może ten facet był jednak wariatem.

- Och, daj spokój - powiedział, kręcąc głową i uśmiechając się do mnie.

Wskazał na moje ubranie.

Skrzyżowałam ręce na piersi w obronnym geście.

- Co? - spytałam. Znów się roześmiał.

- Dobrze, skoro tak chcesz to rozegrać - powiedział. - Ale na pewno o nic ci nie jest, prawda?

Zawahałam się, po czym skinęłam głową.

- Tak myślę.

Wydawało się, że przez chwilę zastanawia się nad moją odpowiedzią.

- Dobrze - stwierdził. - W takim razie pozwolisz, że zapytam, dlaczego śpisz na uboczu w środku nocy?

Otworzyłam usta, po czym zdałam sobie sprawę, że zupełnie nie mam pojęcia, co odpowiedzieć, więc ponownie je zamknęłam. Od czego miałabym zacząć? Od Nowego Jorku, gdzie podjęłam decyzję o tym, że chcę odmienić swoje nudne życie? Od lotniska w Rzymie, gdzie wydawało mi się, że trafiam w ramiona kochającego mnie mężczyzny?

Od ranka w apartamencie tegoż mężczyzny, który powiedział mi, że mam się wynosić? Czy od tego, że moja szalona gospodyni zostawiła mnie na środku ulicy, podczas gdy mój mózg stopniowo odmawiał współpracy pod wpływem tabletki nasennej?

Mężczyzna chwilę czekał cierpliwie, po czym westchnął.

- Dobrze, to bardzo urocze, ale nie uważasz, że trochę przesadzasz z tymi *Rzymskimi wakacjami!*

Spojrzałam na niego z głupim wyrazem twarzy.

- Co?

Pokręcił ponownie głową i mruknął coś pod nosem po włosku. Potem dodał:

- Mam na myśli to, że ciągle widzimy w Rzymie takie sytuacje.

Amerykańskie turystki, które chcą odegrać Audrey Hepburn w *Rzymskich wakacjach*. I naprawdę, nie mam nic przeciwko tej zabawie. Ale nie możesz tak po prostu sypiać sama na ulicy. Nie wszyscy Włosi są tak mili jak ja.

Uśmiechnął się. Wciąż nie wiedziałam, o co chodzi. Nigdy nie widziałam *Rzymskich wakacji* ani żadnego innego filmu z Audrey Hepburn.

Właściwie to z premedytacją ich unikałam.

- Audrey Hepburn? - spytałam bezbarwnym głosem.

- Nie musisz udawać - powiedział. - Naprawdę od razu widać, co robisz.

- Nie, nie, nie - wyjaśniłam szybko. - Nigdy nie widziałam *Rzymskich wakacji*. Przysięgam. Rozdzieliłam się z przyjaciółką, cóż, właściwie nie z przyjaciółką, tylko z moją gospodynią, bo się pokłóciłyśmy, chociaż nie wiem, jak to się stało. Nie mam pojęcia, gdzie ona mieszka i jak znaleźć jej dom. Myślę, że

teraz jestem nawet bardziej zagubiona, niż kiedy mnie zostawiła. I byłam taka potwornie zmęczona... - Gardło mi się ścisnęło.

Zrobiło mi się strasznie głupio. Z trudem powstrzymałam Izę i wstałam. -

Posłuchaj, przepraszam - powiedziałam. - Nic mi nie będzie. Po prostu...

Niedługo zrobi się widno i jakoś ją znajdę, dobrze?

Mężczyzna przyglądał mi się dłuższą chwilę, jakby próbował zgadnąć, czy mówię prawdę. Potem wyciągnął rękę w oficjalnym geście.

- Jestem Joe Bradley - oznajmił. Zawahałam się i wyciągnęłam rękę, pozwalając mu nią potrząsnąć.

- Ale myślałam, że n i e n a z y w a s z s i ę J o e B r a d l e y -stwierdziłam. - I w ogóle co to za imię dla Włocha?

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

- Zakładam, że pani nazywa się Anya Smith?

- Co? Nie. Jestem Cat Connelly. O czym ty mówisz?

- Nie będziesz mi cytować poezji Shelleya?

- Dlaczego miałabym to robić?

- Dobrze - zdecydował. Obejrzał mnie od góry do dołu, wzruszył

ramionami, po czym ponownie wyciągnął dłoń. -Nazywam się Marco Cassan. I przepraszam za nieporozumienie.

Z wahaniem ścisnęłam jego rękę. Marco wyglądał na zadowolonego.

- Pozwolisz?

- Pozwolę na co? - spytałam.

- Pozwolisz, że pójdziemy? - wyjaśnił. Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Zdawało się, że nie patrzy na mnie w ten łapczywy sposób jak mężczyźni w barze.

- Pójdziemy dokąd? - zapytałam niepewnie.

- Nie mogę zostawić cię na ulicy, żebyś przespała tu resztę nocy.

- Nic mi nie będzie - upierałam się. Marco zrobił groźną minę.

- Nie. Tu nie jest bezpiecznie. Pójdiesz ze mną do domu.

- W żadnym wypadku! - sprzeciwiłam się stanowczo. Uniósł brew.



- Mam na myśli to, że powinnaś iść do mojego mieszkania, aby rzymska wersja Kuby Rozpruwacza nie dopadła cię tu w środku nocy.

Zastanowiłam się nad jego słowami.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie ty jesteś rzymską wersją Kuby Rozpruwacza?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. A wyglądam na Kubę Rozpruwacza?

- Nie - mruknęłam. - Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

- Panno Connelly - zaczął.

- Cat - poprawiłam go łagodnie. Uśmiechnął się.

- Si, Cat. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. - Zamyślił

się na chwilę i dodał: - Jeśli mam być szczery, moja matka też by mi nie wybaczyła. Wychowała mnie na dżentelmena. Wydaje mi się, że w zakres obowiązków kogoś, kto się za dżentelmena uważa, wchodzi również niepozwalanie, aby kobiety sypiały na ławkach w środku miasta.

- Posłuchaj - powiedziałam - to naprawdę bardzo miło z twojej strony, ale może powinnam po prostu udać się tam, gdzie, jak sądzę, znajduje się mieszkanie Kariny. To gdzieś w pobliżu Panteonu. Na pewno je znajdę, jeśli tylko wskażesz mi właściwy kierunek.

- Zrobiłbym to z przyjemnością - poinformował mnie Marco - ale ponieważ nie wiesz, gdzie ona mieszka, jest to zadanie niemożliwe do wykonania. Wokół Panteonu jest tyle ulic, że próba znalezienia jednego budynku to, jak wy Amerykanie mówicie, szukanie igły w stogu siana.

- Niemniej - zaproponowałam łagodnie - powinnam chociaż spróbować.

Wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. I tak idę w tamtą stronę. - Ponownie podał mi ramię.

Po krótkim wahaniu wzięłam go pod rękę i wstałam. - To w tę stronę -

powiedział, gdy ruszyliśmy. Potem mrugnął do mnie i dodał: - Chodźmy, księżniczko Anno.

Godzinę później okrążyliśmy Panteon, ale nie udało mi się rozpoznać budynku, w którym mieszkała Karina. Znów czułam się bardzo zmęczona, tym razem nie z powodu działania tabletki nasennej, raczej dlatego, że w ciągu ostatnich dwóch dni nie spałam dłużej niż kilka godzin. Marco też wydawał się zmęczony.

Im dłużej szliśmy i rozmawialiśmy, tym lepiej czułam się w jego towarzystwie. Mówił po angielsku prawie doskonale. Opowiedział mi, że w dzieciństwie spędzał w Stanach Zjednoczonych wakacje u dziadków.

Gawędziliśmy więc przyjemnie, kontynuując bezowocne poszukiwania mojego mieszkania. Czułam się jak idiotka.

Wydawał się miły, normalny i sympatyczny, a w dodatku, rzucając ukradkowe spojrzenia na jego ostry profil, nie mogłam nie zauważyć, że jest naprawdę przystojny. Nie w taki oczywisty sposób jak kilku moich byłych chłopaków z Wall Street. Nie miał też niebezpiecznej urody jak Francesco... Wydawał się po prostu przystojny w miły sposób.

- To jak? - spytał mnie wreszcie, kiedy sprawdziliśmy tysięczną nieznaną mi boczną uliczkę, a przynajmniej tak mi się

wydawało. - Nie uważasz, że najwyższy czas, byśmy udali się do mojego mieszkania i przespali kilka godzin? Jest już prawie czwarta nad ranem, a ja muszę być o dziesiątej w pracy.

- Nie mogę spać u ciebie w mieszkaniu! - zaprotestowałam.

- Dlaczego nie?

Patrzyłam na niego przez chwilę. Być może była to z jego strony po prostu bardziej wyrafinowana wersja gry, w którą grał Giuseppe.

- Nawet cię nie znam! - krzyknęłam gwałtownie. - A poza tym nie jestem taką dziewczyną.

Wyglądał na zbitego z tropu.

- Dziewczyną, która sypia?

- Dziewczyną, która sypia z nieznajomymi! - oznajmiłam. - Nie wiem, co sobie myślisz, ale...

Przerwał mi.

- Nie mam zamiaru z tobą spać - powiedział, może nawet trochę zbyt stanowczo jak na mój gust. - Będę spał na kanapie, podczas gdy ty położysz się w moim łóżku. Inaczej zostaje nam jedynie wałęsanie się po ulicach do rana.

- Nic mi nie będzie. Możesz mnie po prostu tutaj zostawić - oznajmiłam.

- Oboje dobrze wiemy, że nie mogę tego zrobić i nie mam najmniejszego zamiaru - stwierdził. - Tak więc masz dwa wyjścia. Możesz zmusić mnie do dotrzymywania ci towarzystwa i w ten sposób całkowicie zepsuć mi jutrzejszy dzień. Możesz też wrócić ze mną do domu i przespać się trochę.

Jutro rano znów pomogę ci szukać.

Przełknęłam głośno ślinę. Poczulałam się głupio.

- W porządku - wymamrotałam. - Jesteś pewien?

- Tak - powiedział. - To lepsze niż zostawienie cię tutaj na ulicy. Idziemy?

Marco mieszkał około piętnastu minut drogi spacerem od Panteonu w pięknym starym budynku o przestronnym dzie-

dzińcu pełnym kwiatów. Do jego mieszkania prowadziły szerokie kręcone schody. Poszłam za nim na piąte piętro. Otworzył wielkie, drewniane drzwi i przytrzymał je, kiedy wchodziłam do środka.

- Jest małe - powiedział. - Księżniczka Anna pewnie nazwałaby je windą.

- Mrugnął. - Ale ty przecież nic nie wiesz na ten temat.

Mieszkanie było może troszeczkę większe od tego, które wynajmowałam od Kariny. Weszłam do środka i natychmiast poczułam się jak w domu.

Nie było wysprzątane, ale nie było też brudu. Książki i płyty CD, niektóre w języku angielskim, niektóre po włosku, zajmowały prawie każdy kąt.

- Lubisz czytać? - spytałam, patrząc na wszechobecne stosy lektur.

Skinął głową.

- Kocham to - powiedział. - Nie stać mnie, by podróżować tyle, ile bym chciał. Czy istnieje lepszy sposób na poznawanie świata, nie ruszając się z kanapy?

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się.

- Połóż się na łóżku, a ja zajmę sofę - powiedział Marco. - Mogę pożyczyć ci koszulkę i bokserki do spania, jeśli chcesz.

Myśl o założeniu jego bokserek wywołała we mnie dziwne mrowienie.

Otrząsnęłam się i spróbowałam udać wyluzowaną.

- Nie, nie - powiedziałam. - Położę się na kanapie. I tak bardzo miło z twojej strony, że pozwalasz mi tutaj spać.

- Nalegam. - Otworzył szufladę i wyciągnął z niej kilka ubrań. Odwrócił

się i podał mi je. - To jest piżama - powiedział, znów udając amerykański akcent. - W niej się śpi. Trzeba ją na siebie wciągnąć, rozumiesz?

Spojrzałam na niego z głupim wyrazem twarzy.

- Hm, tak. Pojęcie piżamy jest mi znane. Roześmiał się i pokręcił głową.

- Niewiarygodne - powiedział, wracając do swojego normalnego akcentu.

- Ty naprawdę nie widziałas tego filmu.

Popatrzyłam na niego tępo. Poszłam do łazienki i szybko przebrałam się w spłowiełą piłkarską

podkoszulkę i czarne bokserki, które mi dal.

Spojrzałam w lustro i lekko mi ulżyło, kiedy zobaczyłam, że nie wyglądam nawet w połowie tak źle, jak się spodziewałam.

Chwilę później wyłoniłam się z łazienki. On też był już przebrany w spodnie dresowe i koszulkę. Uśmiechnął się.

- Nastawię budzik na dziewiątą, dobrze? - zapytał. Spojrzał na zegarek i westchnął. - Dzięki temu prześpiemy się cztery i pół godziny.

- Przepraszam - powiedziałam, patrząc na swoje stopy. - Ta cała sytuacja jest niedorzeczna, prawda?

- Właściwie - uśmiechnął się - chyba nigdy się tak świetnie nie bawiłem, błąkając się po ulicach Rzymu. - Złapał jedną z leżących na łóżku poduszek i wyciągnął się na kanapie. - Czy chcesz coś jeszcze, zanim pójdziemy spać?

Pokręciłam głową.

- Na pewno nie pozwolisz mi spać na kanapie?

- Nie - odpowiedział. - Tu mi będzie dobrze. Poza tym, jak już wspomniałem, mama nigdy by mi nie wybaczyła takiego straszliwego zachowania.

Ponownie mu podziękowałam i położyłam się na łóżku. Pościel była chłodna i gładka. Trzeba przyznać, że perspektywa spania tutaj była jednak znacznie bardziej pociągająca niż leżenie na ceglany murku przy rzymskiej ulicy.

Marco zgasił światło i pogrążyliśmy się w ciemnościach. Po kilku minutach doszedł mnie jego regularny oddech - zasnął już. Ja też wkrótce odpłynęłam, wreszcie poddając się zmęczeniu, z którym walczyłam całą noc.

Następnego dnia o dziewiątej obudził mnie budzik. Mniej więcej dwadzieścia sekund zajęło mi przedarcie się przez mglistą warstwę snu i przypomnienie sobie, gdzie jestem. Ale kiedy już sobie przypominałam, gwałtownie usiadłam.

Marco nie spał. Krzątał się po kuchni za moimi plecami. Wyglądało na to, że nuci pod nosem. Zanim się odezwał, przez chwilę przyglądałam się jego sylwetce. Był wysoki i miał szerokie ramiona. Pod ciasnym, białym T-shirtem widać było umięśnione plecy. Miał silne nogi i rudoblond włosy.

Musiałam chyba głośno westchnąć, bo odwrócił się i uśmiechnął.

- Ach, obudziła się pani, wasza wysokość - powiedział, szerząc zęby.

Poczułam, że się rumienię. Najwyraźniej znów robił jakąś aluzję do *Rzymskich wakacji*, a ja nie wiedziałam, o co chodzi.

- Dzień dobry - burknęłam.

- Espresso? - spytał. Skinęłam sztywno głową.

- Bardzo dobrze - stwierdził Marco z aprobatą. Nalał ciemnego płynu do dwóch małych kubeczków do espresso, złapał cukierniczkę i dwie łyżeczki, po czym podszedł do mnie. - Mogę? - spytał, wskazując na brzeg łóżka.

- Oczywiście - przesunęłam się trochę, żeby zrobić mu miejsce. Usiadł

koło mnie i jego bliskość sprawiła, że zupełnie wbrew sobie oblałam się rumieńcem. - Posłuchaj - powiedziałam po wypiciu pierwszego łyku gęstego, ciemnego espresso. Spojrzał na mnie uważnie tymi swoimi jasnozielonymi oczami. - Przepraszam cię za dzisiejszą noc. Naprawdę jest mi przykro.

Marco zamieszał kawę.

- To nic takiego - wzruszył ramionami.

- Jak mogę ci się odwdziaczyć? - spytałam. Spojrzał na mnie zdziwiony.

- To zupełnie niepotrzebne. Nie mógłbym cię tam tak po prostu zostawić. -

Zawahał się i w zamyśleniu ponownie zamieszał kawę. - Ale może chciałabyś wpaść któregoś dnia do mnie do pracy, dobrze? Moglibyśmy się poznać we właściwy sposób. Wiesz, kiedy nie snuję się po ulicach Rzymu, zbierając

po drodze zbłąkanych turystów, pracuję w małej kawiarence niedaleko miejsca, w którym cię znalazłem. Nazywa się Pinocchio.

Skinęłam głową.

- Z przyjemnością przyjdę.

- Dobrze. W takim razie jesteśmy umówieni. - Wstał z łóżka. - Muszę powoli wychodzić do pracy. Może chcesz wziąć szybki prysznic?

Zaoferowałbym ci kąpiel, jak w filmie, ale naprawdę nie ma na to czasu.

Marco wydawał się świetnie bawić, odgrywając *Rzymskie wakacje* bez mojego udziału.

Dwadzieścia minut później byłam już umyta, przebrana z powrotem w ubranie z wczorajszego wieczoru i umalowana przy pomocy tego, co znalazłam w torebce - pudru, tuszu do rzęs i szminki. Odzyskałam ludzki wygląd.

Marco szybko wykapał się po mnie i kiedy wyłonił się z łazienki, miał na sobie ubranie, które przypuszczalnie zakładał do pracy - śnieżnobiałą koszulę i czarne spodnie. Miał jeszcze trochę mokre włosy. Ich kosmyki błyszczały w świetle dnia.

- Gotowa? - zapytał, uśmiechając się szeroko.

Skinęłam głową i razem wyszliśmy z mieszkania. Po drodze przywitał się z kilkoma sąsiadami, którzy

ciekawie mi się przyglądali. Zastanawiałam się, co musieli sobie myśleć. Marco nie wydawał się zmieszany.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, spytał, czy nie będzie mi przeszkadzało, jeśli pójdziemy na piechotę - strajk komunikacyjny wciąż trwał. Poprosiłam, żeby poszedł beze mnie. Sama znajdę drogę do kawiarni, w której pracuje Karina.

Ale on odmówił.

- Och, nie - zaprotestował. - Nie pozwolę na to, żebyś znów samotnie włóczyła się po ulicach.

Było mi głupio, że znów go wykorzystuję, chociaż zapewnił mnie, że kawiarnia Kariny jest mniej więcej po drodze do jego miejsca pracy.

Gawędziliśmy, idąc. Marco opowiadał mi, jak bardzo podobała mu się Ameryka, i że chciałby wrócić tam pewnego dnia, najlepiej niedługo, ponieważ euro było mocne, a dolar słaby. Odpowiedziałam z przyjemnością na jego pytania o Stany. Wspomniałam, jak bardzo lubię Nowy Jork, i zdradziłam, które restauracje bym mu poleciła. Ale z każdą chwilą czułam się coraz bardziej niezręcznie i coraz ciężiej było mi rozmawiać.

Rozstałam się z Marco przecnicę od restauracji, w której pracowała Karina. Dochodziła dziesiąta i przypuszczałam, że jeszcze nie przyszła.

Gdyby tak było, mogłam po prostu posiedzieć na zewnątrz i poczekać. Z

drugiej strony, jeśli już była w pracy, wolałam, żeby nie zobaczyła mnie z obcym mężczyzną po tym, jak zniknęłam na całą noc.

- Na pewno nic ci nie będzie? - spytał Marco, pochylając się, żeby cmoknąć mnie w policzek na pożegnanie.

Skinęłam głową.

- Na pewno. Jeszcze raz dziękuję.

- I odwiedzisz mnie w pracy? W Pinocchio? Znów skinęłam.

- Obiecuję - powiedziałam.

Przestąpił z nogi na nogę i zacisnął dłonie w kieszeniach spodni.

- Jesteś pewna, że trafisz? - spytał ponownie. Uśmiechnęłam się.

- Jestem pewna. Naprawdę.

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym skinął głową. Najwyraźniej podjął jakąś decyzję.

- W takim razie dobrze. - Zawahał się, po czym rozchylił wargi w nieśmiałym uśmiechu. - I nie chcesz, żebym pożyczył ci pieniędzy?

Rozdziawiłam usta.

- Nie, dziękuję. Dlaczego miałabym potrzebować pieniędzy?

Dopiero w tym momencie zauważyłam, że oczy błyszczą mu z radości.

- To był mój ostatni cytat z Joe Bradleya - oznajmił. Roześmiał się. -

Bardzo dobrze. Pójdę już. Było mi bardzo miło cię poznać, Cat Connelly.

Dopiero kiedy zniknął mi z oczu w oddali, zdałam sobie sprawę, że wreszcie odezwał się do mnie po imieniu, zamiast nazywać mnie księżniczką Anną.

## ROZDZIAŁ 12

Kiedy doszłam do kawiarni, okazało się, że Karina była już w pracy i właśnie myła stoliki na zewnątrz. Stała odwrócona do mnie plecami i pracowała bardzo szybko. Zauważyłam, że omija fragmenty blatu.

Wydawała się rozkojarzona.

Stałam za nią przez chwilę, zanim głośno odchrząknęłam.

Karina momentalnie się odwróciła i szeroko otworzyła oczy.

- *Dio mio!* - wykrzyknęła natychmiast. Rzuciła swoją gąbkę i ku mojemu zdumieniu rzuciła się w moją stronę i mocno mnie przytuliła. Kompletnie zaskoczona, dałam jej się objąć, ale nie odwzajemniłam uścisku. - Gdzie byłaś? - spytała ze zdenerwowaniem moje ramię, w które właśnie wtulała głowę, ściskając mnie tak mocno, że przez moment zabrakło mi tchu. -

Tak bardzo się martwiłam, Cat! Co się z tobą wczoraj działo? Gdzie byłaś? Wszystko w porządku?

Wyślizgnęłam się z jej miażdżących objęć i odsunęłam odrobinę.

- Nic mi nie jest - powiedziałam sztywno. - Nie martw się o mnie.

- Ale gdzie spałaś? - dopytywała się.

- Nie chcę o tym rozmawiać - warknęłam. Nie chciałam się przyznać przed Kariną, jak bardzo byłam żałosna, ani tym bardziej do tego, że spałam u zupełnie obcego mi człowieka, który z niewiadomego powodu wciąż robił aluzje do *Rzymskich wakacji*. Zamiast tego powiedziałam tylko zimnym głosem: - Jeśli możesz oddać mi pieniądze za czynsz, po odjęciu opłaty za ten jeden dzień, dziś zabiorę swoje rzeczy. Na pewno znajdę jakieś inne miejsce.

Prawda była taka, że nie sądziłam, aby mi się to udało. Jednak ona nie musiała o tym wiedzieć. Przeszkadzałoby mi to w odgrywaniu roli wyniosłej księżniczki, w którą właśnie się wcieliłam.

Karinie opadła szczęka.

- Och, nie, nie, nie, moja droga Cat! - zawołała. - Dlaczego miałabyś zrobić coś takiego? Bardzo

przepraszam, że się z tobą kłóciłam. To wszystko moja wina. To się już nigdy nie powtórzy. Obiecuję!  
Nie możesz się wyprowadzić!

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Karino, przecież to oczywiste, że nie chcesz, abym u ciebie mieszkała -

powiedziałam zimno. - Bądź co bądź...

Ale nie dane mi było dokończyć zdania, ponieważ Karina przerwała mi z dziwnym wyrazem twarzy.

- Amerykanka - powiedziała po prostu.

- Co?

- Amerykanka - powtórzyła. Wzięła głęboki wdech i gestem wskazała mi krzesło.

Pokręciłam głową.

- Postoję - powiedziałam, próbując zachować wyniosłą minę.

- Proszę, usiądź - naciskała Karina. Wyciągnęła krzesło i zajęła je.

Odchrząknęła. - Proszę. Muszę ci to wyjaśnić.

Gapiałam się przez chwilę, rozważając jej słowa. Potem powoli i niechętnie opadłam na krzesło.

- Wyjaśnić co? - spytałam.

Karina przez chwilę milczała i patrzyła bez słowa na swoje ręce.

Zastanawiałam się już, czy nie wstać i nie pójść sobie. Ale właśnie wtedy spojrzała na mnie lekko wilgotnymi oczami.

- Amerykanka - powtórzyła. - Ojciec Nico, Massimo, uciekł z Amerykanką sześć i pół roku temu, kiedy byłam w ósmym miesiącu ciąży z Nico. Nigdy nawet nie widział swojego syna. Nie obchodzi go to. -

Zamilkła i znów opuściła głowę. Przyglądałam jej się zaskoczona. -

Dlatego nie lubię Amerykanek - powiedziała chwilę później, wciąż uciekając wzrokiem. - Zgodziłam się, żebyś została, ponieważ potrzebowałam pieniędzy. No i ponieważ znasz Michaela Evangelisti, więc nie możesz być taka zupełnie do niczego.

Odwróciłam na chwilę głowę. To było naprawdę absurdalne: Karina wynajęła mi mieszkanie, ponieważ byłam znajomą mężczyzny, który zdradza żonę. Postanowiłam jednak, że nie będę się nad tym teraz zastanawiać.

- Ale ty... - powiedziała cicho - może ty jesteś w porządku. Może źle cię oceniłam. To chyba niesprawiedliwe oceniać wszystkie Amerykanki po tym, jak zachowała się jedna z nich.



Jej słowa zawisły między nami w powietrzu. Nie były to co prawda przeprosiny, ale miałam wrażenie, że Karina stara się, jak tylko potrafi.

Spojrzała na mnie po chwili i nasze oczy się spotkały. Uderzyło mnie, że wydawała się aż tak zdenerwowana. Wcześniej widziałam ją tylko w sytuacjach, w których była całkiem pozbierana - szczęśliwa, zła albo przekonana o własnej wyższości. Nerwowość niezbyt pasowała do jej twarzy o ostrych rysach, wielkich, podkreślonych czarną kredką oczu ani do towarzyszącej jej zazwyczaj aury opanowania.

- Proszę, powiedz coś - odezwała się po chwili. Westchnęłam.

- Nie wiem, co odpowiedzieć - odrzekłam. - Nie możesz obarczać mnie e winą za to, że ojciec Nico odszedł. I nie możesz traktować mnie tak, jakbym była za to odpowiedzialna.

Słowa, które właśnie wypowiedziałam, zaskoczyły mnie samą. Nigdy nie byłam specjalnie dobra w bronienu siebie. Kiedy twoja matka odchodzi, ojciec zupełnie się załamuje, a młodsza siostra potrzebuje oparcia w tym całym chaosie, zaczynasz brać na siebie odpowiedzialność za wszystko, specjalnie się nad tym nie zastanawiając. Tak zachowywałam się całe życie i czułam się trochę dziwnie, sprzeciwiając się kobiecie, którą ledwie znałam.

Karina wyglądała na zawstydzoną.

- Wiem - powiedziała. - To był błąd. Dlatego proszę cię, żebyś dała mi jeszcze jedną szansę. Myślę, że nie jesteś taka zła.

- I potrzebujesz pieniędzy z czynszu - mruknęłam. Zaczerwieniła się troszkę.

- Tak, potrzebuję - przyznała. - Ale chciałabym, żebyś została. Myślę, że to będzie dobre. - Zawahała się, po czym dodała cicho: - Dla nas obu.

Zastanowiłam się przez chwilę. Wcześniej myślałam, że to świetny pomysł, wtargnąć tu i ze złością domagać się od tej wybuchowej kobiety zwrotu pieniędzy. Ale przecież zupełnie tego nie przemyślałam. Gdzie bym się podziała? Już zdecydowałam, że nie wracam do domu. Nie tylko z powodu wstydu. Po prostu zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi się tu podoba. Ciężko mi było przyznać, ale cieszyła mnie również perspektywa odwiedzenia Marco w Pinocchio.

Ponadto, chociaż nigdy bym jej tego nie powiedziała, rozumiałam, co Karina czuje. Mężczyźni zranili mnie więcej razy, niż zdołałabym policzyć, ale kiedy zostajesz porzucona przez mężczyznę, którego kochasz, w ósmym miesiącu ciąży, twój świat naprawdę wywraca się do góry nogami.

Odchrząknęłam.

- Zastanowię się nad tym - powiedziałam. - Jeśli wskażesz mi drogę z powrotem do mieszkania.

Karina odetchnęła głośno i z wyraźną ulgą.

- To cudownie - wykrzyknęła. - Fantastycznie! Powiem tylko szefowi, że nie będzie mnie kilka minut i odprowadzę cię do domu, dobrze?

Kilka minut później, nerwowo trajkocząc, Karina prowadziła mnie do mieszkania. Tym razem zapisywałam sobie nazwy mijanych po drodze ulic i wynotowałam charakterystyczne punkty, dzięki którym następnym razem łatwiej zorientuję się, gdzie jestem.

Karina mocno objęła mnie, kiedy stałyśmy w progu.

- Cieszę się, że zostajesz - powiedziała i zabrzmiało to szczerze. - Teraz idź do siebie. Prześpij się trochę. Wyglądasz na wykończoną.

Wywróciłam oczami. To była aluzja roku.

- Wrócę do domu, kiedy skończy się poranna zmiana -ciągnęła Karina. -

A potem, jeśli chcesz, poznam cię z Nico, moim synem.

Później tego popołudnia, kiedy przespałam prawie sześć godzin, obudziło mnie uporczywe stukanie do drzwi. Zwlokłam się z łóżka, przecierając zaspane oczy, i otworzyłam drzwi.

Za nimi stała Karina. Wyglądała na lekko zmieszaną.

- Obudziłam cię - powiedziała. Wzruszyłam ramionami.

- I tak musiałam wstać - stwierdziłam. - Poza tym to przyjemna odmiana.

Wolę, gdy budzi mnie stukanie do drzwi niż siedząca na mnie szalona Włoszka.

Karina spoglądała na mnie przez chwilę, jakby niepewna, czy żartuję.

Potem nieśmiało się uśmiechnęła.

- Jesteś zabawna, miss Ameryki - powiedziała. - Tak. Chciałabyś iść ze mną odebrać Nico od mojej mamy?

Zawahałam się, po czym skinęłam głową. I tak nie miałam nic lepszego do roboty.

Karina czekała w korytarzu, podczas gdy ja opłukałam twarz wodą, nałożyłam lekki makijaż, ściągnęłam włosy

w koński ogon i przebrałam się w rybaczkę oraz podkoszulkę w paski.

Obejrzała mnie z rozbawieniem od góry do dołu, kiedy wyłoniłam się z łazienki.

- Co? - spytałam lekko zirytowana. Roześmiała się.

- Wyglądasz jak mały gondolier. Poczulałam, że się czerwienię.

- Nieprawda!

- Prawda.

Patrzyłam na nią przez chwilę. Po prostu wzruszyła bezradnie ramionami, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że takie są fakty i nic nie może na to poradzić. Mruczając pod nosem, poszłam do małej kuchni, wyjęłam z szafy żółtą sukienkę i szybko się w nią przebrałam.

- Lepiej? - spytałam.

- Si - odpowiedziała. - Znacznie.

Ruszyliśmy zwawym krokiem przez płataninę uliczek i bocznych alejek.

Ale tym razem Karina szła normalnym tempem, dzięki czemu nie miałam problemów z nadążeniem za nią.

- Polubisz mojego syna - powiedziała. Jej twarz wyglądała teraz inaczej.

Nie byłam pewna, czy dlatego, że zdecydowała się mi zaufać, czy z powodu spotkania z ukochanym dzieckiem, ale nie wyglądała już tak hardo i sarkastycznie ani nie przybierała wojowniczej miny. - Skąd znasz Michaela? - spytała po chwili.

Wciągnęłam głęboko powietrze. Spodziewałam się, że to pytanie wreszcie kiedyś padnie.

- Jest moim znajomym z Nowego Jorku - rzuciłam niechętnie. Spojrzała na mnie, więc dodałam: - Wesele mojej siostry odbyło się w jego restauracji. W ten sposób się poznaliśmy.

- Ach, tak - powiedziała Karina. - Słyszałam, że jego restauracja jest piękna. To prawda?

Skinęłam głową.

- Tak - przyznałam. - A ty skąd go znasz?

- Przyjeżdżał do Rzymu na wakacje, kiedy byliśmy dziećmi - wyjaśniła. -

Jest kilka lat starszy ode mnie, więc nigdy nie byliśmy specjalnie blisko.

Ale zawsze był dla mnie miły. Pamiętam, że uczył mnie angielskich słówek, kiedy byłam małą dziewczynką. Mój ojciec pracował kiedyś z wujkiem Michaela, który potem otworzył własną restaurację.

Wstrzymałam na chwilę oddech, po czym zadałam pytanie, nie będąc pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

- Poznałaś jego żonę?

Karina wyglądała na zaskoczoną. Ale potem skinęła głową.

- Tak, widziałam ją kilka razy. Bardzo piękna kobieta. I niezwykle uprzejma.

- Och - westchnęłam ze ściśniętym gardłem. Zdałam sobie sprawę, że niewielka część mnie miała nadzieję, że to wszystko jest tylko wielkim nieporozumieniem, a Karina powie coś w rodzaju: „Żona? Jaka żona?”

Michael nie ma żony, za to kocha wysokie, ciemnowłose Amerykanki!".

Resztę drogi przeszliśmy w milczeniu.

Mama Kariny mieszkała w starym budynku niedaleko Piazza Navona, wielkiego, prostokątnego placu, na którym stał wysoki, wąski egipski obelisk otoczony fontanną Berniniego. Rzeźby na fontannie miały postać czterech mężczyzn kojarzących mi się z greckimi bogami. Patrzyli w przeciwnie strony, a pod ich stopami płynęła woda. Kiedy tamtędy przechodziłyśmy, niewielka grupka dzieci w wieku przedszkolnym jeździła wokół fontanny na trójkołowych rowerkach, chichocząc i krzycząc do siebie. Zwolniłam, żeby przyjrzeć się gigantycznej fontannie, a Karina objaśniła:

- Cztery figury w rogach mają reprezentować rzeki w czterech częściach świata. Uśmiechnęła się do mnie. - Piękna, prawda?

Skinęłam głową. Plac zdawał się tętnić życiem. Takie miejsca to dla mnie uosobienie ducha Rzymu. Było późne popołudnie, co oznaczało, że czas na *aperitivo*. Wszędzie wokół trwała krzątanina. Stali klienci zajmowali miejsca przy stolikach i wesoło gawędzili, podczas gdy kelnerzy uwijali się, balansując tacami pełnymi cienkich, wysokich szklanek z kolo-rowymi drinkami, kieliszków wina i prosecco. Ustawione na chybił trafił

parasolki osłaniały ludzi przed popołudniowym słońcem, a w wielu miejscach na placu malarze rozstawili małe sztuki. Wolno i dokładnie szkicowali kopuły budynków albo samą fontannę, używając farb i pędzli do uchwycenia koloru wody w fontannie lub odcieni jasnokremowych figur.

- Ach, Nico! - wykrzyknęła nagle Karina, szeroko otwierając ramiona.

Po drugiej stronie placu mały chłopiec bawiący się futbolówką uśmiechnął się szeroko i zaczął biec w naszą stronę, porzuciwszy piłkę.

Za nim szła kobieta, która wyglądała jak starsza wersja Kariny, może nieco szersza w biodrach i z bardziej zarysowanym brzuchem. Miała takie same czarne loki, gdzieś tam poprzetykane siwymi pasmami, takie same wyraźne, piękne rysy twarzy i oliwkową cerę. Podniosła piłkę, kiedy Nico rzucił się w ramiona matki.

- *Mamma!* - wykrzyknął chłopiec. Karina złapała go i podrzuciła radośnie. Miał kruczoczarne włosy, zupełnie jak jego matka, a niesforne loczki spadały mu na czoło. Policzki miał zaróżowione. Ubrany był w urocze, drelichowe ogrodniczki i koszulkę z czerwonym kołnierzykiem.

- *Mio Nico!* - wykrzyknęła Karina, ściskając go. Uśmiechnęłam się.

Zachowywali się tak, jakby nie widzieli się od miesięcy, a nie zaledwie kilka godzin.

Mały chłopiec opowiadał coś szybko po włosku, a Karina, wciąż klęcząc przed nim, roześmiała się wesoło. Łagodnie uszczypnęła go w policzek i wstała. Do tego czasu starsza ko-

bieta zdążyła dojść do miejsca, w którym staliśmy, i przyglądała mi się ciekawie.

- Cat, to jest moja mama, *signora* Milani. Skinęłam głową i uśmiechnęłam się.

- Dzień dobry. Miło mi panią poznać. - Kobieta spojrzała na mnie niepewnie.

- *Mamma* - powiedziała Karina, zwracając się do matki. Powiedziała coś szybko po włosku i zrozumiałam słowa *la ragazza americana*, amerykańska dziewczyna, i *mio appartamento*. Starsza kobieta kiwnęła głową kilka razy, po czym odwróciła się do mnie z uśmiechem.

- *Piacere di conoscerla* - powiedziała. Zauważyłam, że ma oczy identycznie jak Karina: duże, o przeszywającym spojrzeniu, podkreślone grubą kreską eyelinera. Rozpoznałam jedno z popularnych włoskich powitań.

- *Piacere* - powiedziałam. - Mnie również miło panią poznać.

Karina pochyliła się w moją stronę.

- Nie mówi zbyt wiele po angielsku. Ale Nico tak. -Przywołała chłopca ręką i odezwała do niego w moim ojczystym języku: - Nico, to jest moja nowa koleżanka, Cat. Będzie mieszkać z nami w mieszkaniu na górze.

Nico przyjrzał mi się z poważną miną, jakby próbował zdecydować, czy spełniam jego wymagania jako gospodarza. Uderzyło mnie, że miał oczy osoby starszej i bardziej doświadczonej - duże, brązowe i o dociekliwym wyrazie. Nie pasowały do jego dziecięcej, szczupłej buzi.

- *Buon giorno* - powiedział całkiem serio, wciąż patrząc na mnie z uwagą.

- *Buon giorno*, Nico - odpowiedziałam.

Karina uśmiechnęła się i szturchnęła go delikatnie.

- Nico, ona jest z Ameryki.

Oczy rozszerzyły mu się jak spodki.

- Ameryki? - spytał. - *Si?*

Roześmiałam się.

- *Si* - potwierdziłam.

- Ja kocham Amerykę! - zadeklarował perfekcyjną angielszczyzną.

- Naprawdę? - zapytałam. Rzuciłam okiem na Karinę, która wzruszyła ramionami i próbowała ukryć uśmiech. - A byłeś tam?

Mały chłopiec pokręcił głową.

- Nie - oznajmił poważnie. - Jeszcze nie. Ale planuję kiedyś tam pojechać.

Ćwiczę angielski, żeby być gotowym.

- Poważnie? - spytałam. - Jesteś w tym bardzo dobry.

- *Grazie!* - Rzucił spojrzenie swojej mamie, po czym ponownie odwrócił się do mnie. - Gdzie mieszkasz w Ameryce?

- W Nowym Jorku.

Oczy rozszerzyły mu się jeszcze bardziej.

- W Nowym Jorku? - powtórzył z niedowierzaniem. Kiedy skinęłam głową na potwierdzenie, dorzucił: - To najlepsze miejsce w całej Ameryce!

Zaskoczona, ponownie się roześmiałam.

- Cóż, ja też tak myślę.

- Tak jest! - wykrzyknął natychmiast. - Chciałbym tam kiedyś pojechać.

Może mógłbym tam zamieszkać? Chciałbym być strażakiem.

- Strażakiem?

- *Si, si!* - rzucił podekscytowany. - Oglądam ich często w telewizji.

Najlepsi strażacy na świecie są w Nowym Jorku, prawda?

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową, czując wzbierającą dumę z mojego miasta.

- Tak, to prawda - powiedziałam. Pomyślałam przez moment o jedenastym wrześniu i zdałam sobie sprawę, że gdy moje miasto odmieniło się na zawsze, Nico nie tylko jeszcze się nie urodził, ale jego matka nawet nie miała pojęcia, że kie-

dyś będzie go miała. A jednak ten chłopiec, mieszkający setki kilometrów od Nowego Jorku, uważał strażaków za swoich bohaterów tak samo jak ja.

- *Mamma* czyta mi codziennie wieczorem książki po angielsku -

oznajmił. - I oglądamy w telewizji amerykańskie programy, ale tylko niektóre. *Mamma* mówi, że inne są dla mnie za poważne.

- Jest jeszcze trochę za mały na seks i przemoc - szepnęła do mnie Karina

- chociaż i tak większość czasu czuję się jak jego córka, a nie matka.

Patrząc w wyraziste, inteligentne oczy Nico, zrozumiałam, co ma na myśli.

- Bardzo się cieszę, że tak lubisz mój kraj - oznajmiłam chłopcu po chwili.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, a on wyraźnie czekał na jakąś reakcję z mojej strony.

Gwałtownie pokiwał głową.

- *Si!* - wykrzyknął ponownie. - Może opowiesz mi o nim któregoś dnia?

Nie znam zbyt wielu Amerykanów. Mama ich nie lubi.

Spojrzałam na Karinę, która lekko się zaczerwieniła.

- Nico, to nieprawda! - sprostowała. Spojrzała na mnie z miną winowajcy.

- Ale, *mamma*, powiedziałaś... - zaczął Nico.

- Wystarczy - przerwała mu szybko Karina. Rzuciła mi znaczące spojrzenie, po czym powiedziała do niego szybko kilka słów po włosku.

Wzruszył ramionami i wymamrotał coś pod nosem.

Karina przez chwilę rozmawiała z mamą, po czym kobiety cmoknęły się w policzki.

- Miło cię poznać - powiedziała mama Kariny, starannie dobierając słowa i kiwając głową w moją stronę. - Miła Amerykanka.

- Mnie też miło było panią poznać - zapewniłam ciepło. - *Piacere di conoscerla*.

Podeszła i również pocałowała mnie w policzek. To mnie jednocześnie zadziwiło i wzruszyło.

Karina rozmawiała jeszcze chwilę z mamą, a Nico podszedł, żeby ją pocałować. Podała mu piłkę futbolową. Kiedy ruszyliśmy z powrotem przez plac, chłopiec pomachał babci z entuzjazmem.

- Czy mogę wziąć cię za rękę, *signorina* Cat? - spytał Nico, skacząc pomiędzy swoją mamą a mną.

Karina spojrzała na mnie i zauważyłam, że znów próbuje się nie roześmiać.

- Oczywiście - zapewniłam go. Wetknął piłkę pod chude lewe ramię i złapał moją rękę. Wciąż skakał pomiędzy nami, od czasu do czasu patrząc na mnie ciekawie i ściskając moją dłoń. Kiedy szliśmy już z powrotem do mieszkania Kariny, Nico trajkotał albo o Ameryce („Taksówki są *giallo*...

jak to się mówi? Żółte?”) albo wymieniał mi nazwy ulic („To jest Corsia Agonale!", „*Signorina* Cat, to jest Via del Salvatore!"). Był prawie jak mały, żywy GPS.

- Lubi mapy prawie tak samo jak Amerykę - powiedziała Karina, potrząsając głową.

- Jest naprawdę mądry - zachwyciłam się, spoglądając na Nico, który obdarzył mnie promiennym uśmiechem.

Karina pokręciła głową.

- Masz rację - powiedziała. - Jeszcze kilka lat i nie będę w stanie za nim nadążyć.

Uśmiechnęła się, ale w jej wzroku zobaczyłam coś, co kazało mi przypuszczać, że wcale tak do końca nie żartuje.

- *Mamma, signorina* Cat jest miła! - oznajmił Nico, kiedy skręcaliśmy w naszą ulicę i w oddali widać już było naszą kamienicę. - Czy może z nami zostać na długo?

Karina spojrzała na mnie.

- Zobaczymy - powiedziała. - Ale, Nico, masz rację. Ja też uważam, że *signorina* Cat jest miła.

Tej nocy siedziałam w mieszkaniu, czytając po raz kolejny *Czuła jest noc*, moją ulubioną powieść Fitzgeralda. Czułam się odrobinę samotna. Nagle usłyszałam pukanie do drzwi. Otworzyłam je i zobaczyłam Karinę trzymającą w ręku talerz lasagne.

- Położyłam Nico spać - powiedziała. - I pomyślałam, że może jeszcze nic nie jadłaś. - Wyciągnęła do mnie talerz niczym dar pokoju. Zawahałam się, ale zaburczało mi w brzuchu i to mnie zdradziło. Roześmiałyśmy się obie.

- Masz rację - odpowiedziałam. - Dziękuję.

Skinęła głową i weszła za mną do mieszkania. Kiedy już byliśmy w środku, zawahałam się. Zdałam sobie sprawę, że nie ma tu miejsc do siedzenia dla nas obu. Mogłyśmy najwyżej przycupnąć na krawędzi łóżka. Karina też to zauważyła.

- Może zejdziemy do mojego mieszkania? - spytała. - Jeśli będziemy cicho, nie obudzimy Nico.



Zgodziłam się i zeszyliśmy razem po schodach.

Karina zaprowadziła mnie do małej jadalni. Przez ładne, duże okno obramowane cienkimi firankami podobnymi do tych, które wisały w oknie nad moim łóżkiem, można było zobaczyć ulicę w dole. Moja gospodyni otworzyła je i do środka wpadł lekki wiaterek oraz można było usłyszeć niewyraźne odgłosy ulicy.

- Zanim zaszłam w ciążę z Nico - powiedziała nieobecny tonem -

Massimo i ja siedzieliśmy w tym oknie, paląc papierosy i patrząc na idących w dole ludzi. Wydawało mi się, że wiem o wszystkim, co się dzieje w okolicy. Znałam wszystkie sekrety mieszkańców. Ale od kiedy urodził się Nico, cóż... Nie siedzę już tak często w oknie.

Otworzyła butelkę chianti i nalała nam po kieliszku.

- *Cin cin* - powiedziała, stukając swoim o mój. Powtórzyłam toast i uśmiechnęliśmy się do siebie. Wypiłyśmy po łyku. Przez sekundę trzymałam wino w ustach, po czym przełknęłam je, czując, jak rozgrzewa mi gardło.

- Spróbuj lasagne - zachęciła mnie Karina.

Nałożyłam na widelec mały kawałek i wzięłam go do ust. Oczy rozszerzyły mi się ze zdziwienia. To była najlepsza lasagne, jaką kiedykolwiek jadłam.

- Karina, to jest pyszne! Przyniosłaś to z restauracji? Pokręciła głową.

- Nie. Sama ją zrobiłam.

Wzięłam jeszcze trochę. Naprawdę była wyśmienita. Zestawienie parmezanu, sosu ze świeżych pomidorów, czosnku i bazylii smakowało po prostu bosko. Wiele warstw makaronu były tak cienkich, że całość przypominała grecką bakła-wę, a nie ciężkie włoskie danie.

- Ty to zrobiłaś?

Skinęła głową, lekko się rumieniąc.

- To nic wielkiego.

- Żartujesz? - spytałam. - Jak to nie? To jest fantastyczne! Karina promieniała.

- Naprawdę, to nic takiego - zbyła mnie. - Po prostu lubię gotować, rozumiesz?

Pokręciłam ze zdumieniem głową.

- Powinnaś to robić zawodowo - powiedziałam. - W pięciogwiazdkowej restauracji.

Roześmiała się.

- Po wi n n a m robić wiele rzeczy - odparła. - Ale muszę utrzymywać syna.

Nie stać mnie na to, żeby iść do szkoły i zostać licencjonowanym kucharzem, a to konieczne, żeby pracować w restauracji. Miałam wiele marzeń. Ale życie jakoś nam nie pozwala ich zrealizować, prawda?

Uniosłam brwi i skinęłam głową, usta mając znowu pełne lasagne. Karina miała rację. Życie nie pozwalało na wiele rzeczy.

- Nico cię lubi - stwierdziła po kilku chwilach przypatrywania się, jak jem.

Uśmiechnęłam się.

- Ja też go lubię. To naprawdę fajny chłopiec.

- Dziękuję - powiedziała. Na chwilę zamilkła i patrzyła, jak próbuję czubkiem łyżki zgarnąć z talerza resztki sosu i sera. - Bardzo dobrze radzisz sobie z dziećmi - dodała.

- Dzięki. - Odsunęłam pusty talerz i położyłam rękę na brzuchu. - Karino, to był prawdopodobnie najlepszy posiłek, jaki w życiu jadłam.

Zignorowała moje słowa.

- Dlaczego nie masz dzieci? - spytała zamiast tego. Zmroziło mnie to pytanie. Poczułam niespodziewany ból.

- Nie wiem - powiedziałam powoli. - Chyba nie nadszedł jeszcze właściwy czas.

- Ale przecież chcesz mieć dzieci - powiedziała Karina. To było stwierdzenie, nie pytanie. Przez chwilę się zawahałam, a ona dodała: -

Widziałam to w twoich oczach. Z Nico. Byłabyś dobrą matką.

- Nie wiem, czy moje życie tak się ułoży, rozumiesz? - Nie stawałam się przecież coraz młodsza. Wyglądało na to, że nie jestem w stanie utrzymać żadnego związku. Chociaż bardzo chciałam mieć dziecko i uwielbiałam towarzystwo dzieci innych ludzi, nie byłam pewna, czy sama dałabym sobie z tym radę.

- Dlaczego mówisz coś takiego? - spytała Karina. - Jesteś ciągle młoda.

Upiła łyk wina i patrzyła na mnie ze skupieniem.

- Nie jestem taka młoda. Niedługo skończę trzydzieści pięć lat.

- Trzydzieści pięć lat to bardzo mało, Cat - odpowiedziała.

- Nie jestem pewna, czy byłabym dobrą matką - przyznałam. Odwróciłam wzrok, ale i tak czułam na sobie spojrzenie Kariny, przenikliwe i przeszywające. Już myślałam, że pogrążymy się na powrót w przyjemnej ciszy i nie będę musiała więcej mówić o braku swoich umiejętności rodzicielskich, gdy odezwała się ponownie.

- Chodzi o twoją matkę, prawda? - zapytała. Podniosłam szybko głowę.

-Co?

Przyglądała mi się z łagodnym wyrazem twarzy.

- Chodzi o twoją matkę. Zostawiła cię, gdy byłaś mała. Napisałaś o tym w formularzu.

- Nie - powiedziałam, kręcąc głową. Ale głos mi drżał i wiedziałam, że nie zabrzmiało to przekonująco.

Karina westchnęła.

- Cat, nie jesteś swoją matką - powiedziała. - Jesteś kimś zupełnie innym.

- Skąd wiesz? - spytałam zaskakująco ostrym tonem. - Skąd wiesz? -

powtórzyłam łagodniej.

- Poznałam po sposobie, w jaki rozmawiałaś z moim synem

-odpowiedziała po chwili. - Osoba, która jest zdolna do odejścia, nie mówi w ten sposób.

Chciałam jej przerwać i powiedzieć, że dwudziestominu-towa rozmowa w żaden sposób nie może świadczyć o moich przyszłych umiejętnościach jako matki, ale nie dała mi dojść do słowa.

- Jesteś dobrą kobietą - ciągnęła. - Byłam dla ciebie okropna, a ty mi wybaczyłaś. Ten Francesco był dla ciebie wstrętny trzynaście lat temu, a ty mu wybaczyłaś. To nie zawsze jest dobra rzecz, ale znaczy, że jesteś osobą, która próbuje naprawić sytuację. Jesteś kobietą, która nie ucieka.

Zabrakło mi tchu.

- Ale... - zaczęłam, jednak nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.

- A jeśli twoja matka też taka była? - wyręczyła mnie Karina. -O to chciałaś zapytać? - Skinęłam, właśnie o tym myślałam. Potrząsnęła głową zdecydowanie. - Nie była. - Już chciałam zaprotestować, ale nie pozwoliła mi. - Nie była - powtórzyła. -Kobieta taka jak ty nigdy nie zmieni się w kogoś, kto ucieka.

Pozwoliłam, żeby jej słowa w pełni do mnie dotarły. Karina upiła następny łyk wina. W głowie mi wirowało. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam.

- Twoja mama, czy ona jest Włoszką? - spytała mnie po chwili.

Przytaknęłam zaskoczona.

- Skąd wiedziałaś? Uśmiechnęła się.

- Ponieważ masz w sobie włoskiego ducha - powiedziała. - A nie byłaś tu wystarczająco długo, żeby go w sobie wykształcić.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową. Przez chwilę milczaliśmy.

Sączyłam wino, zatopiona w myślach. Karina ponownie się odezwała.

- Czy ona jest z Rzymu?

- Tak - odpowiedziałam bez wahania.

- Jest tutaj teraz?

Znów poczułam przeszywający ból. Przypomniało mi się, że nie opowiadałam Karinie o tym, co się stało, kiedy matka nas opuściła.

- Nie - powiedziałam. - Umarła. Kiedy miałam osiemnaście lat.

- Przykro mi - odrzekła.

- Już się z tym pogodziłam - wyjaśniłam. To była moja wyuczona odpowiedź.

Patrzyła na mnie dłuższą chwilę.

- To wiele tłumaczy.

- Co? - spytałam.

- Dlatego przyjechałaś do Rzymu za pierwszym razem, prawda?

Trzyście lat temu?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Nie. Wtedy już nie żyła.

-S i - powiedziała Karina. - Ale przyjechałaś tu, żeby zobaczyć skąd pochodzi, prawda? Odkryć, kim była? Kim ty jesteś?

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować. Ale Karina spojrzała na mnie tak, jakby doskonale wiedziała, co myślę.

- Może - przyznałam.

- Miała tu rodzinę?

- Tak myślę - odpowiedziałam.

- Nigdy ich nie odnalazłaś? Zawahałam się.

- Nigdy ich nie szukałam - wyjawiałam. Karina uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Dlaczego?

- Chciałam - zastanowiłam się chwilę. - Chyba planowałam to zrobić, kiedy tu przyjechałam. Ale nie

wiem. Pewnie po prostu się bałam.

- Bałaś się czego?

Wzruszyłam ramionami. Tego, że mnie nie zechcą. Dojrzą we mnie to, co widziała moja matka i co pozwoliło jej tak łatwo mnie porzucić.

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Nie mogłam wydusić z siebie odpowiedzi.

- Nie odeszła z twojego powodu - powiedziała Karina.

- Wiem - odpędziłam od siebie jej słowa, jakbym odganiała natrętną muchę.

- Nie, nie wiesz - stwierdziła. - Nie odeszła z twojego powodu. -

Powtórzyła te słowa powoli, wymawiając każde z nich wolno i wyraźnie swoim mocnym głosem.

Spojrzałam na swoje ręce i próbowałam się nie rozplakać. Poczułam się upokorzona, obnażona.

- Cóż - rzuciła Karina po chwili. Klasnęła w dłonie zdecydowanym gestem. - Znajdziemy ich w takim razie.

- Co? - spojrzałam na nią zmieszana.

- Przecież po to tu jesteś, prawda? - spytała Karina.

- Nie! - wykrzyknęłam. - To wszystko przeszłość. Przyjechałam, żeby zobaczyć się z Francesco.

- A jednak wciąż tu jesteś - stwierdziła. - Coś w tym mieście nie pozwala ci odejść.

Potrząsnęłam głową.

- Nie.

Ale Karina po prostu wzruszyła ramionami, tak jakby już dawno postanowiła, że odnajdziemy rodzinę mojej mamy. - Tylko w ten sposób możesz zobaczyć rzeczy takimi, jakie są.

Wstała, zanim zdążyłam zaprotestować i wyniosła mój pusty talerz do kuchni. Patrzyłam za nią z otwartymi ustami, próbując zrozumieć, co się właśnie stało.

Kiedy wróciła, wyglądała zupełnie inaczej. Znow się uśmiechała i dołała nam obu wina.

- Tak - zagaiła wesoło. - Powiesz mi, gdzie się wczoraj podziałaś? Czy to też będę musiała z ciebie wyciągać?

Ta nagła zmiana tematu zupełnie mnie zaskoczyła. Byłam jednak tak zadowolona, że nie będziemy dłużej mówić o mojej matce, iż rozmowa o poprzedniej nocy wydała mi się prawie przyjemnością.

- Nieważne - wymamrotałam ze spuszczonego wzrokiem.

- Hm - zadumała się Karina. - Kim on jest? Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

- Kto kim jest? - spytałam z miną winowajcy.

- Ten mężczyzna, u którego spałaś - powiedziała z malutkim uśmieszkiem. - Zakładam, że spałaś u jakiegoś mężczyzny.

- Nie do końca - powiedziałam. Spojrzała na mnie zaskoczona. - To znaczy, tak, spałam - wyjaśniłam. - Ale nie w taki sposób, jak myślisz.

Opowiedziałam jej, jak Marco obronił mnie w barze, i jak potem znalazł

mnie na ławce, przekonany, że próbuję odegrać scenę z *Rzymskich wakacji*. Karina również była ciekawa, dlaczego nigdy nie widziałam tego znanego filmu, ale zbyłam ją tak samo jak wcześniej Marco. Kolejna psychoanaliza w wykonaniu dr Kariny to byłoby dla mnie za dużo.

- A chociaż był przystojny? - spytała, kiedy skończyłam opowiadać.

Poczułam, że się rumienię.

-Tak.

- I dobry.

- Cóż, tak - potwierdziłam. - Jeśli zabierasz do domu zupełnie obcą ci osobę i nie masz przy tym żadnych ukrytych zamiarów, chyba musisz być dobry, prawda?

- W takim razie pójdziesz się z nim zobaczyć.

- Co?

Karina uśmiechnęła się cierpliwie.

- Jutro. Pójdziesz się z nim zobaczyć. W Pinocchio. Znam tę restaurację.

Jest niedaleko. Pójdziesz się z nim zobaczyć i poznać go tak, jak trzeba.

Zawahałam się.

- Nie mogę.

- Phi - Karina prychnęła lekceważąco. - Oczywiście, że możesz! I pójdziesz!

## **ROZDZIAŁ 13**

Następnego dnia obudziłam się o ósmej. Najwyraźniej moje ciało wreszcie zaczynało funkcjonować według czasu włoskiego. Leżałam chwilę w łóżku, słuchając dźwięków dobiegających z ulicy i zastanawiając się, co będę robić w najbliższym czasie. Zazwyczaj każdy dzień miałam szczegółowo zaplanowany. Ale dzisiaj, szczęśliwie, mogłam robić, co tylko mi się zamarzyło. Pomyślałam, że

powinnam zadzwonić do taty i siostry, by dać im znać, jak się czuję i że zmieniłam miejsce zamieszkania. Oczywiście w razie potrzeby mogli łapać mnie na komórkę, ale mimo wszystko dobrze byłoby powiadomić ich, że uciekłam od Francesco i mieszkam teraz u szurniętej Włoszki.

Godzinę później, po długim prysznicu wyszłam z mieszkania w kremowej, letniej sukience i sandałach gladiatorkach. Pod pachą miałam brązową skórzaną torbę, a włosy związałam w kucyk. Zapowiadał się gorący dzień, a ja miałam zamiar wybrać się na długi spacer po Wiecznym Mieście. Zanim wyszłam, włożyłam do portfela adres Pinocchio, tak na wszelki wypadek. Czy naprawdę tam pójde? Byłam przekonana, że Marco zaprosił mnie wyłącznie z uprzejmości.

Nie zamierzałam zrobić z siebie idiotki, traktując jego zaproszenie serio.

Z drugiej strony Karina była przekonana, że nie miałam nic do stracenia.

Możliwe, że miała rację.

Zaczęłam zwiedzanie od kościoła Santa Maria sopra Minerva znajdującego się niedaleko Panteonu. Przechodziłmy koło niego poprzedniego dnia z Nico i wydał mi się interesujący. Wiele o nim słyszałam, ale nigdy nie weszłam do środka. Tego lata, kiedy tu mieszkalam, byłam zajęta studiami i poznawaniem Francesco. Nie zwiedziłam miasta tak dokładnie, jak powinnam. Jasne, wybrałam się na obowiązkowe wycieczki do Panteonu, Forum, Koloseum i Watykanu, ale ominęłam wiele miejsc znajdujących się w samym sercu miasta.

Obiecałam sobie, że tym razem nie popełnię tego błędu.

Z zewnątrz kościół wydawał się niezbyt imponujący - jasna fasada o prostokątnym kształcie, zupełnie pozbawiona ozdób. Nad trzema ciemnymi drzwiami znajdowały się trzy okrągłe okna. Przed kościołem stał dziwny pomnik - spory egipski obelisk przypominający rzeźbę Berniniego z Piazza Navona wyrastał z grzbietu stojącego na postumencie, ponurego słonia z wielkimi kłami. Zatrzymałam się i chwilę mu się przyglądałam. Wydawał się dziwnie nie na miejscu w Rzymie, tym bardziej że stał przed kościołem, choć najwyraźniej nie miał żadnego znaczenia religijnego. Chwilę błędziłam myślami, próbując przypomnieć sobie jakąś biblijną historię, która opowiadałaby o słoniach w Egipcie, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Wzruszyłam ramionami i spojrzałam na zegarek. Było tuż po dziewiątej i nie byłam pewna, czy kościół jest już otwarty. Ale drzwi frontowe otworzyłam bez problemów. Weszłam do środka i poczekałam, aż wzrok przyzwyczai się do panujących wewnątrz ciemności.

Mrugnęłam kilka razy i wytrzeszczyłam oczy. Nic w prostej, skromnej fasadzie budynku nie przygotowało mnie na

to, co zobaczyłam we wnętrzu kościoła. Zdawało się mieć długość boiska do futbolu. Kolumny podtrzymywały fantastyczne błękitne sklepienie, które kojarzyło mi się z baldachimem nad łóżeczkiem dziecięcym.

Znajdowały się na nim wizerunki cherubów i błyszczały setki złotych gwiazdek. Oddzielały je od siebie czerwone żebrowe łuki. Marmurowa podłoga błyszczała. Prowadziła w kierunku ołtarza, na którym paliło się kilka wysokich świec. Przez znajdujące się nad nim witraże z jasnego szkła do środka wpadało

Światło.

Wzięłam z pojemnika w pobliżu drzwi broszurkę w języku angielskim i usiadłam z nią w ławce z tyłu. Przeczytałam, że był to jedyny gotycki kościół w Rzymie. Zbudowano go na ruinach starożytniej świątyni poświęconej bogini Minerwie. Został ukończony sześćset pięćdziesiąt lat temu i przechowywano w nim szczątki świętej Katarzyny ze Sieny, która zmarła nieopodal. Po lewej stronie od głównego ołtarza stała rzeźba autorstwa Michała Anioła.

Poszukałam w torbie aparatu fotograficznego i wyjęłam go ostrożnie. Nie używałam go od czasu wesela Becky. Dobrze było znów trzymać go w dłoni. Zawsze czułam się jakoś inaczej, oglądając świat przez soczewkę aparatu.

Rozejrzałam się wokół, zastanawiając się, czy za chwilę jakaś zakonnica albo ksiądz nie podejda, żeby na mnie na-krzyczeć. Ale kościół wydawał

się pusty. Pomyślałam, że gdy nie będę używała flesza, nie powinno stać się nic złego.

Poszłam w stronę ołtarza, zatrzymując się po drodze, by zrobić zdjęcia wnętrzu kościoła tonącemu we wspaniałym błękitcie. Wypróbowałam kilka ustawień przesłony i migawki, ustawiając je niemal na wycucie, aż w końcu zdjęcia zaczęły wychodzić idealnie. Prawie wyskakiwały z dwucalowego wyświetlacza aparatu. Uśmiechnęłam się, widząc pojawiające się zdjęcia, a potem skupiłam się na sklepieniu kościoła, robiąc kolejną serię fotek. Chciałam zapamiętać to towarzyszące mi poczucie siły, kiedy stałam pod stworzonym stulecia temu sklepieniem pełnym gwiazd.

Zanim dotarłam do ołtarza, byłam już całkowicie pochłonięta fotografowaniem. Robiłam zdjęcie po zdjęciu w świetle przesączającym się przez kolorowe szyby i migotliwym blasku świec stojących na olbrzymim cokole. Zrobiłam zbliżenia kilku intrygująco wyrafinowanych witraży, przypominających kwiaty róży, masywnych kolumn i ścian pełnych religijnych obrazów.

Po lewej stronie ołtarza stała rzeźba Michała Anioła. Czytałam o niej w broszurze. Była to niesamowita, marmurowa podobizna Chrystusa oglądającego się przez lewe ramię i ciągnącego krzyż, do którego miał

zostać przybity. Patrzyłam na niego przez długi czas, zanim zaczęłam robić zdjęcia. Realność tej postaci przykuła moją uwagę. Chociaż chodziłam do katolickiej szkoły, nie byłam najbardziej religijną osobą na świecie. Jednak Michał Anioł nadał twarzy Chrystusa jakąś stanowczość, która poruszyła we mnie mnóstwo uczuć. Było coś niesamowitego w pozie tego mężczyzny. Wydawał się nie uciekać przed swoim losem, ale go przyjmować.

Podniosłam aparat i zaczęłam fotografować, robiąc zbliżenia twarzy figury, silnych rąk trzymających krzyż, idealnie zarysowanych kolan, realistycznych stóp, które wydawały się odrobinę bardziej zniszczone niż reszta rzeźby. Zadziwił mnie kontrast między bladym marmurem posągu a znajdującym się w cieniu, ciemniejszym materiałem, położonym na ścianie za nim. Wiedziałam nawet bez patrzenia na ekran, że to będą fantastyczne zdjęcia.

Gdy jakiś czas później wynurzyłam się z kościoła na światło dzienne, byłam zdumiona, ale radosna. Minęły tygodnie od czasu, kiedy ostatnio robiłam zdjęcia i chociaż znajdowałam się prawie po drugiej stronie kuli ziemskiej, po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam się niemal jak w domu.



Ponieważ nadal miałam w ręku aparat, zrobiłam kilka ujęć figury słonia i fasady kościoła. Pstryknęłam również kilka zdjęć okolicy i rzymian zajmujących się swoimi zwyczajnymi sprawami. W końcu schowałam aparat do futerału i włożyłam go do torby.

Westchnęłam i spojrzałam na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści. Nie mogłam uwierzyć, że spędziłam w kościele prawie półtorej godziny?

Wydawało się to niemożliwe.

Kiedy tak stałam na słońcu, poczułam, że burczy mi w brzuchu i zdałam sobie sprawę, że nic jeszcze dziś nie jadłam. Wciąż było wcześnie.

Pomyślałam, że mogę ruszyć z powrotem w stronę mieszkania - w pobliżu znajdowała się otwarta cały dzień piekarnia. Mogłam też poszukać Pinocchio i sprawdzić, czy jest tam Marco. Serce zabiło mi mocniej, kiedy zastanawiałam się nad tym pomysłem. Wzięłam głęboki wdech. Czemu nie?

Sprawdziłam adres restauracji i znalazłam ją na mapie Rzymu, którą zabrałam ze sobą. To było niedaleko. Zastanawiałam się chwilę, czy na pewno chcę to zrobić. Wyciągnęłam z torby podręczne lusterko i sprawdziłam, czy mój makijaż i włosy wyglądają dobrze, po czym ruszyłam w stronę restauracji.

Po dziesięciu minutach błądzenia brukowanymi uliczkami znalazłam przecznicę, przy której znajdowała się Pinocchio, mała restauracja w rogu budynku. Nad wejściem widać było czerwoną markizę z wypisaną nazwą lokalu i obrazkiem przedstawiającym charakterystyczną, długonosą postać. Wzięłam głęboki wdech i ruszyłam w tamtą stronę.

Nie byłam pewna, czy lokal jest otwarty. Wydawało się, że w środku wciąż jest pusto. Przeszłam przez niewielkie, znajdujące się przed restauracją patio i otworzyłam drzwi. Wnętrze było słabo oświetlone i wypełnione ciasno ustawionymi stolikami, nakrytymi czerwonymi obrusami. W środku też nie było nikogo. Nic dziwnego, w końcu większość

restauracji w Rzymie otwierano dopiero o jedenastej, a czasem nawet później.

Westchnęłam i odwróciłam się. Właśnie miałam wyjść, gdy z kuchni wypadł Marco, trzymając w ręku tacę pełną naczyń i pogwizdując.

Przemknął przez obrotowe drzwi, zmierzając w kierunku stanowiska pomywaczy. Postawił tacę, wziął do ręki ścierkę i wciąż gwizdząc, zaczął

wycierać talerze. Nawet nie podniósł głowy.

Obserwowałam go przez chwilę. Zupełnie jak tamtego poranka nie mogłam oderwać wzroku od gładkich rysów jego opalonej twarzy, szerokich ramion, na których opinała się śnieżnobiała koszula. Czarne spodnie również opinały mu biodra pod fartuchem w wyjątkowo interesujący sposób. Wyglądał na tak zadowolonego z życia, wręcz szczęśliwego, że prawie nie chciałam mu przeszkadzać. Zwłaszcza że im dłużej patrzyłam na niego bez słowa, tym bardziej głupio się czułam. To było naprawdę niedorzeczne. Co też ja wyprawiam? Nie powinnam była przychodzić.

Zacząłam zmierzać w kierunku drzwi, mając nadzieję, że uda mi się niepostrzeżenie wyjść. Niestety, tak

bardzo spieszyłam się z ucieczką, że niechący wpadłam na stanowisko osoby witającej gości. Góra kart menu spadła na podłogę z wielkim hukiem.

Marco uniósł głowę zaskoczony, napotkał mój wzrok i kilka razy mrugnął, rozpoznając mnie. Wstrzymałam oddech, czekając, jak zareaguje.

- Cat! - krzyknął. Uśmiechnął się szeroko i zaraźliwie. -Przyszłaś!

- Hm, tak - potwierdziłam niepotrzebnie. Schyliłam się, żeby ponieść karty menu, a wtedy moja skórzana torba opadła na podłogę z łupnięciem.

Nie mogłam bardziej rzucać się w oczy.

- Przepraszam - wymamrotałam, zbierając szybko karty i układając je na kupkę.

Marco szybko przeszedł przez restaurację. Kucnął koło mnie i dotknął mojego ramienia.

- Wszystko w porządku, Cat - powiedział. - To naprawdę fatalne miejsce na menu, nie uważasz?

Brzmiało to prawie protekcyjnie, ale kiedy spojrzałam na niego ukradkiem, zauważyłam, że przygląda mi się ciepło, może nawet z lekkim rozbawieniem.

- Przepraszam - powiedziałam, wciąż kucając bez wdzięku w środku stosu rozrzuconych kart. - Nie powinnam przychodzić. Najwyraźniej jest jeszcze zamknięte, więc...

- Cat, miło cię widzieć - przerwał mi stanowczo Marco. Zebrał resztę kart i uśmiechnął się do mnie. - Proszę, dlaczego się przejmujesz?

Wyprostowałam się i podałam mu karty, które zebrałam.

-Ja , hm... po prostu chciałam ci ponownie podziękować - rzuciłam pospiesznie. - Tak więc, hm, przepraszam. To ja już pójdę. Miło było cię zobaczyć.

Marco patrzył na mnie cierpliwie z półuśmiechem na twarzy. Wreszcie powiedział:

- Cat, nie bądź niemądra. Usiądź. Zaparzę ci kawy, no i mamy duży wybór ciast. Dobrze?

Zawahałam się.

- Ale przecież jest zamknięte.

- Właśnie otworzyliśmy - odpowiedział natychmiast. -Przynajmniej dla ciebie.

Otworzyłam znów usta, żeby zaprotestować, ale nie dał mi dojść do głosu, podnosząc dłoń i uśmiechając się.

- Cicho - powiedział. - Przecież już tu jesteś. Dlaczego miałabyś nic nie jeść? Wyglądasz na głodną.

Chciałam zaprzeczyć, ale Marco już podnosił z podłogi moją torbę i wskazywał mi, żebym poszła za nim. Podeszedł do stolika przy oknie.

- Co tam masz w środku? - spytał. Udawał, że ugina się pod ciężarem torby i spojrzał na mnie przez ramię uśmiechem. - Mam wrażenie, że nosisz ze sobą stos kamieni!

- To aparat fotograficzny - mruknęłam z głupim wyrazem twarzy.

- Jesteś fotografem? - zapytał.

- Nie - odpowiedziałam szybko, zawstydzona. - To znaczy, robię zdjęcia dla przyjemności.

Marco skinął głową. Podsunął mi krzesło i czekał, aż usiądę.

- Za chwilę wracam z twoją kawą.

- Ale naprawdę nie musisz... - zaczęłam. Marco znów mi przerwał.

- Nigdy nie robię czegoś dlatego, że muszę - odpowiedział. - Robię coś dlatego, że chcę. Ty też powinnaś.

Jego słowa uciszyły mnie na tak długo, że zdążył odejść. Patrzyłam za nim, a serce mi waliło.

Wrócił chwilę później z dwiema filiżankami gorącego, parującego espresso.

- Księżniczko Anno - powiedział oficjalnym tonem, jednocześnie puszcżając oko, kiedy stawiał przede mną filiżankę. Spojrzał na krzesło naprzeciwko. - Czy pozwoli pani, że do niej dołączę?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziałam. Uśmiechnął się i postawił swoją filiżankę.

- Wspaniale - ucieszył się. - Co chciałabyś na *pńma colazione*, śniadanie?

- Och, nie, wystarczy kawa.

- Nalegam. Mamy mnóstwo wypieków. Co byś chciała? Może rogalika?

- Jeśli naprawdę nie masz nic przeciwko temu...

- Nie mam. - Wstał i po chwili wrócił z dwoma rogalikami. Podał mi jednego i położył drugiego na talerzyku obok filiżanki z kawą. Usiadł i przyglądał mi się poważnie.

- A więc, Cat, co sprowadza cię tutaj tego ranka?

Wzruszyłam ramionami.

- Nic - odparłam. Ugryzłam rogalik, który w smaku był bardzo podobny do croissanta. Składał się z mnóstwa cieniutkich warstw ciasta i może dlatego przypominał mi lasagne Kariny z poprzedniego wieczoru.

- Robiłaś zdjęcia? - spytał, wskazując głową moją torbę. Ugryzł swój rogalik i odchylił się na krześle, sprawiając wrażenie idealnie zrelaksowanego.

Zawahałam się, po czym skinęłam głową.

- Tak. W kościele Santa Maria sopra Minerva koło Panteonu. Znasz go?

Marco uśmiechnął się.

- Oczywiście. Jest piękny. Widziałaś rzeźbę Michała Anioła?

Skinęłam głową.

- Jest wspaniała.

- *S I.* - Zastanowił się chwilę i wskazał ponownie moją torbę. - Mogę zobaczyć zdjęcia?

Nie byłam przekonana, czy to dobry pomysł.

- Nie są aż tak dobre.

- Na pewno są w porządku.

Zawahałam się, po czym znów wzruszyłam ramionami. Włożyłam rękę do torby i wyjęłam z niej aparat. Czułam się naprawdę głupio. Podałam go Marco, który wyjął go z futerału i obejrzał ostrożnie z każdej strony.

- Niezły - ocenił.

- Znasz się na aparatach? - spytałam. Skinął głową.

- Trochę. Miałem kurs fotografii na uniwersytecie. Zawsze interesowała mnie ta dziedzina sztuki.

- Mnie też.

Uśmiechnął się i włączył aparat. Pokazałam mu, gdzie może obejrzeć zrobione zdjęcia. Zaczął przeglądać je bez słowa, zatrzymując się przy każdym na kilka chwil.

Jego milczenie sprawiło, że znów się zdenerwowałam. Sączyłam espresso, zastanawiając się, co o tym myśli i co powie. Nie powinno mnie to właściwie obchodzić. Nie byłam przecież zawodowym fotografem ani nikim w tym rodzaju, a Marco nie był krytykiem. Ale z jakiegoś powodu jego opinia wydawała mi się bardzo, bardzo ważna.

Skończył oglądać zdjęcia z dzisiejszego poranka. Przyglądał się ostatniemu z nich dłużej niż pozostałym. Potem oddał mi aparat i patrzył

na mnie dłuży czas.

- Co? - spytałam w końcu, śmiejąc się nerwowo. Potrząsnął głową.

- Nie podobały ci się, prawda? - powiedziałam. - Uważasz, że są potworne? Spartoliłam zdjęcia najpiękniejszego kościoła w twoim mieście? - roześmiałam się, żeby nie brzmiało to tak poważnie.

Ale Marco tylko ponownie potrząsnął głową.

- Nie - zaprzeczył w końcu. - Zdjęcia są wspaniałe. Jestem zdumiony.

Byłam zupełnie zaskoczona.

- Zdumiony? Skinął głową.

- Są bardzo profesjonalne. Wyobrażam sobie, że ktoś mógłby powiesić je na ścianie w domu, żeby na zawsze zapamiętać wycieczkę w to miejsce.

Albo ktoś zupełnie obcy kupiłby je od ciebie, ponieważ zachwyciłaby go kolorystyka.

Głośno przełknęłam ślinę.

- To chyba najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek mi powiedział - przyznałam.

Na te słowa Marco roześmiał się.

- To nie może być prawda, Cat. Po prostu mówię, co myślę. Nie powinnaś być taka skromna.

Spuściłam oczy, czując się zawstydzona i trochę przytłoczona.

- Cóż, dziękuję - powiedziałam po chwili. Wzięłam z powrotem aparat, wyłączyłam go, włożyłam do futerału i schowałam do torby. Marco cały czas przyglądał mi się z ciekawością.

Przez chwilę piliśmy kawę w milczeniu.

- O której otwieracie? - spytałam po chwili, próbując zmienić temat.

- Zwykle? W południe - odpowiedział Marco. - Ale dzisiejszy dzień to miły wyjątek.

- Musisz przyjść tu wcześniej i wszystko przygotować? Skinął głową.

- Mamy bardzo niewiele osób w obsłudze. Ale nie przyszłaś, żeby rozmawiać o tym, jak funkcjonuje Pinocchio, prawda?

Roześmiałam się.

- Nie. Chyba raczej nie. Przyszłam, żeby przeprosić.

- Przeprosić?

- Za tamtą noc. Postawiłam cię w naprawdę dziwnej sytuacji i to niezwykle miło z twojej strony, że zabrałaś mnie do domu. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Cóż, hm, przypuszczam, że pojawiłby się inny Joe Bradley - powiedział

Marco, przyglądając mi się z rozbawieniem.

- Mówiłam ci, że nie widziałam tego filmu - odpowiedziałam.

- Tak, jeśli już o tym mowa - zaczął Marco, pochylając się w moją stronę -

jesteś chyba jedyną Amerykanką, która przyjechała do Rzymu, nie obejrzawszy *Rzymskich wakacji*.

Wzruszyłam ramionami.

- I? - Zdawałam sobie sprawę, że mój głos przybrał obronny ton, więc próbowałam trochę zmiękczyć jego brzmienie nieśmiałym uśmiechem.

Teraz Marco wyglądał na zaintrygowanego. Zbyt zaintrygowanego.

- Dlaczego? - spytał prosto z mostu.

- Dlaczego co?

- Dlaczego go nie widziałaś?

- Po prostu jakoś się nie złożyło. - Odwróciłam wzrok. Marco pokręcił głową.

- Nie wierzę w to. Jaki jest prawdziwy powód?

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Prawdziwy powód brzmiał

głupio nawet dla mnie, więc bez wątpienia będzie brzmiał głupio dla niego.

- Po prostu nie lubię Audrey Hepburn.

Teraz patrzył na mnie, jakbym zupełnie zwariowała. Pożałowałam, że cokolwiek powiedziałam. Nie zrozumiałby. Nikt by mnie nie zrozumiał.

- Co? - zapytał ze śmiechem. - Jak możesz nie lubić Audrey Hepburn?

Wzruszyłam ramionami.

- Po prostu jej nie lubię, jasne? - mruknęłam. Marco nie wydawał się przekonany.

- Nie - zaprotestował. - Nie jasne. Musi być jakiś powód. Wzruszyłam ramionami i spojrzałam na podłogę.

- Nie podoba ci się jej fryzura? - spytał. Roześmiałam się wbrew sobie.

- Nie, jej włosy są w porządku.

- Jest za niska, a mali ludzie sprawiają, że czujesz się niepewnie?

Znów się roześmiałam.

- Nie.

Pomyślał przez chwilę.

- Przypomina ci kobietę, którą niegdyś kochałaś? Spojrzałam na niego gwałtownie. Uśmiechał się do mnie.

Najwyraźniej żartował. Jednak uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy, kiedy nie odpowiedziałam.

- Och - powiedział. Zawstydził się. - Nie chciałem. To znaczy, nie zdawałem sobie sprawy... - Głos mu się załamał

i przez chwilę bawił się nerwowo filiżanką od espresso. - To znaczy, po prostu założyłem, że lubisz mężczyzn. Roześmiałam się mimo woli.

- Lubię! - zapewniłam go.

- Och - westchnął. Wyglądał na zakłopotanego. - Hm, i kobiety? - spytał.

- Nie! - krzyknęłam. Pokręciłam głową. - To nie tak.

Po wyrazie jego twarzy poznałam, że nie wyrażam się wystarczająco jasno. Najwyraźniej był teraz przekonany, że miałam kiedyś gorący romans z kobietą podobną do Audrey Hepburn.

- Dobrze - stwierdził niepewnie. Westchnęłam i zamknęłam oczy.

- Moja matka - powiedziałam w końcu. Nie mogłam uwierzyć, że mówiłam o tej kobiecie po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Prawie nigdy o niej nie wspominałam i przez większość czasu udawało mi się nawet o niej nie myśleć.

- Twoja matka? - spytał Marco. Wciąż wydawał się bardzo zmieszany, ale przynajmniej nie tworzył już fikcyjnych lesbijskich scenariuszy, w których odgrywałabym główną rolę.

- Tak - potwierdziłam. Spojrzałam na niego. Wpatrywał się we mnie uważnie, czekając, aż powiem coś więcej. - Moja mama miała na imię Audrey - powiedziałam w końcu. - Oboje jej rodzice zagrali jako statyści w *Rzymskich wakacjach*. Mieszkali w Rzymie i poznali się na planie.

Mama mojej mamy, moja babcia, bardzo idealizowała Audrey Hepburn.

Kiedy zaszła w ciążę, musiała szybko poślubić dziadka, żeby uniknąć skandalu. Nazwali córkę Audrey na cześć swojej ulubionej aktorki.

Właściwie dali jej nawet Hepburn na drugie imię. Audrey Hepburn Verdicchio. Co ty na to? I, o dziwo, kiedy dorosła, okazała się bardzo podobna do swojej imienniczki.

Kiedy skończyłam mówić, poczułam dziwny ból. To była historia, którą mama opowiadała mi wiele razy we wczesnym

dzieciństwie, oczywiście omijając część o małżeństwie z powodu wpadki. Dopiero później opowiedział mi o tym tata. Mama zawsze twierdziła, że to najbardziej romantyczna historia pod słońcem. Wielbiła ziemię, po której stąpała jej ukochana aktorka. Gdy byłam młodsza, błagałam ją, żebyśmy obejrzały jeden z filmów, o których tyle mi opowiadała. Przede wszystkim oczywiście chciałam zobaczyć *Rzymskie wakacje*. Ale mama odpowiadała, że jestem jeszcze za mała i będę mogła je obejrzeć dopiero, kiedy stanę się nastolatką.

Mama zniknęła z naszego życia na rok przed moimi trzynastymi urodzinami. Zanim wróciła, zdążyłam na zawsze przekląć Audrey Hepburn, w pozbawiony logiki sposób wrzucając ją do jednego worka z moją mamą i uznając za osobę, której za wszelką cenę należy unikać.

Po chwili spojrzałam na Marco. Wciąż wyglądał na zmieszanego.

- To interesujące - powiedział wreszcie. Widziałam, że nic z tego nie rozumie, chociaż bardzo się stara.

Znów się zawahałam.

- Moja mama opuściła nas, kiedy miałam niecałe dwanaście lat -

wyjaśniłam.

- Och - zrozumiał wreszcie Marco. Wyglądał na naprawdę zmartwionego, co dziwnie mnie poruszyło. - Przykro mi.

Wzruszyłam ramionami.

- Gdzie jest teraz? - spytał. - Z powrotem w Rzymie? Westchnęłam. Nie znosiłam wymawiać tych słów.

- Umarła - powiedziałam po prostu. - Dawno temu.

- *Dio mio* - powiedział miękko Marco. Odchylił się na krześle, nie spuszczając ze mnie wzroku. Nagle uderzyło mnie, jak cichym i spokojnym miejscem była restauracja. Ta cisza sprawiała, że czułam się niepewnie. Poruszyłam się nerwowo, czekając, co powie. - Tak mi przykro, Cat - oznajmił w końcu miłym tonem, otwierając szeroko oczy. - Nie miałem pojęcia.

- Nie ma sprawy - machnęłam lekceważąco ręką.

- Ależ wręcz przeciwnie - zaprotestował. - I jeszcze wszystko pogorszyłem, wciąż mówiąc ci o *Rzymskich wakacjach*. *Che idiota!*

Uśmiechnęłam się.

- Nie jesteś idiotą. Skąd mogłeś wiedzieć, że mam dziwny problem z Audrey Hepburn?

Jęknął.

- Pewnie miałaś ochotę mi przywalić.

- Nie! Ani trochę. - Zawahałam się i znów się uśmiechnęłam. - Po prostu nie wiedziałam, o czym



mówisz. Teraz rozumiesz? Naprawdę nie próbowałam być księżniczką Anną ani nikim takim. I wciąż nie mam pojęcia, kto to jest Joe Bradley, chociaż zakładam, że to jakaś postać z *Rzymskich wakacji*.

Marco uśmiechnął się.

- Tak.

- Cóż - powiedziałam. - Może któregoś dnia obejrzę ten film.

- Naprawdę? - Marco nie wyglądał na przekonanego. Myślałam o tym przez chwilę.

- Może - stwierdziłam w końcu. - Może czas, żeby duchy przestały kierować moim życiem.

## ROZDZIAŁ 14

Kilka następnych dni spędziłam, wędrując po ulicach Rzymu z aparatem przewieszonym przez ramię. Przemierzyłam zakurzone Forum i sfotografowałam rozsypujące się ruiny w pięknym świetle. Spędziłam prawie cały dzień w Watykanie, uwieczniając na zdjęciach wszystko, od kolumn na placu św. Piotra po rzeźby znajdujące się na szczycie bazyliki.

Zrobiłam prawie sto zdjęć Koloseum i ze szczegółami sfotografowałam Schody Hiszpańskie oraz fontannę Barcaccia wykonaną przez Piętro Berniniego, która znajduje u ich stóp.

Najwięcej zdjęć zrobiłam jednak tam, gdzie zupełnie tego nie planowałam, najczęściej w drodze do turystycznych atrakcji.

W drodze do Forum przykucnęłam w drzwiach jakiegoś budynku i zrobiłam zdjęcie samotnemu chłopcu kopiącemu piłkę w pobliżu fontanny na Piazza Barberini. Idąc do Watykanu, sfotografowałam dwóch starszych mężczyzn palących fajki przed wejściem do rzeźnika oraz trzy chichoczące nastolatki, pokazujące ukradkiem stojących kawałek dalej trzech chłopaków, którzy udawali, że ich nie widzą. Zanim dotarłam do Schodów Hiszpańskich, zauważyłam dwie małe, szczerbate dziewczynki, nadrabiające braki w uzębieniu sze-

rokimi uśmiechami, skaczące przez skakankę i śpiewające *Se sei felice tu lo sai*, czyli włoską wersję *If You're Happy and You Know It*. Zanim dotarłam do domu późnym popołudniem trzeciego dnia, poszłam na długi spacer wzdłuż Tybru, robiąc zdjęcia błyszczącej w słońcu wodzie i wyjątkowej dzielnicy Trastevere, rozciągającej się po drugiej stronie rzeki. W sumie zrobiłam już ponad pięćset zdjęć.

Najlepsze było to, że czułam się tak podekscytowana fotografowaniem, iż udawało mi się nie myśleć o przykrych rzeczach, o których rozmawiałam z Marco i Kariną. Za każdym razem, gdy w mojej głowie pojawiała się myśl o mamie albo zobaczyłam rzymiankę ostrzyżoną podobnie jak ona -

zawsze modny bob a la Audrey Hepburn - po prostu zmieniałam ostrość w aparacie, regulowałam przesłone i zatapiałam się w świetle, który widziałam przez soczewkę aparatu. Kochałam kontrolę, jaką mi dawał.

Mogłam wybrać to, co było ważne, i zignorować to, co nie miało znaczenia.

Nigdy w całym moim życiu nie czułam się tak wolna. I ku mojemu zdumieniu podobało mi się to uczucie.

Po tym, jak wróciłam do domu trzeciego dnia, włączyłam swój komputer, włożyłam do gniazdka wtyczkę USB i włączyłam program pobierający automatycznie wszystkie zdjęcia z karty pamięci aparatu. Potem usiadłam i zadzwoniłam do Nowego Jorku.

Najpierw wybrałam numer Becky. Miałam poczucie winy, że zniknęłam z radaru swojej rodziny na kilka dni, ale przecież zawsze mogli do mnie zadzwonić na komórkę, gdyby tylko mnie potrzebowali.

Becky odebrała po pierwszym sygnale i odezwała się wesołym głosem, który brzmiał znacznie wyraźniej, niż powinien, biorąc pod uwagę liczbę kilometrów, jaka nas dzieliła, i oczywiście ocean.

- Cześć, siostrzyczko - zaczęłam, szczęśliwa, że słyszę jej głos. - To ja!

- Cat! Gdzie byłeś? - spytała mnie natychmiast stanowczym tonem.

Zaskoczyło mnie to.

- W Rzymie. Przecież wiesz.

- Ale dzwoniłam do ciebie wczoraj! Twoja komórka nie działała, więc zadzwoniłam do tego Francesco, ponieważ dałeś mi jego numer, a on powiedział, że się wyprowadziłeś! Tak strasznie się martwiłam!

Zamilkłam na chwilę i kliknęłam na ikonkę skrzynki e-mailowej w moim laptopie. Przejrzałam wszystkie dwadzieścia siedem wiadomości, które otrzymałam od wczoraj. Żadna nie została wysłana przez moją siostrę.

- Becky, jeśli się martwiłeś, dlaczego nie wysłałeś mi e-maila? - spytałam.

Fuknęła i odpowiedziała:

- Czy mam się bawić w detektywa, żeby cię namierzyć? Przewróciłam oczami. Miała rację, ale z drugiej strony ja

nie miałam obowiązku meldować się jej ani nikomu innemu, jeśli już o tym mowa. Taka wolność była jedną ze wspaniałych stron bycia singlem.

Nie miałam jednak ochoty się z nią teraz kłócić. Nie z takiego powodu.

Nie na odległość sześciu i pół tysiąca kilometrów. Zamiast tego powiedziałam więc:

- Przepraszam. Zadzwonię do operatora telefonów komórkowych i dowiem się, na czym polega problem. Nie chciałam cię martwić.

- Cóż - powiedziała Becky. - Ale mnie zmartwiłeś. Nie możesz tak po prostu zniknąć. Co, jeśli tata albo ja potrzebowalibyśmy cię?

- Ale mnie nie potrzebowaliście, prawda? - spytałam niewyraźnym głosem.

- Nie o to chodzi. Wzięłam głęboki wdech.

- Dobrze - zawahałam się. - No tak. A jak tam pożycie małżeńskie?

Wiedziałam, że tak się stanie. Becky natychmiast podchwyciła temat i rozpoczęła toczącą się w błyskawicznym tempie, lecz nużącą opowieść o tym, jak Jay próbował niedawno odkurzać dywan, ale potknął się o kabel i stłukł jej lampę, co bardzo ją zezłościło, ponieważ była to jej ulubiona i ona a lampa ze wszystkich lamp na świecie.

Kiedy skończyła, przez chwilę milczała, po czym spytała:

- A co u ciebie? Co nowego?

Zastanowiłam się, dlaczego jeszcze nie zapytała mnie o Francesco, ani z jakiego powodu już u niego nie mieszkam. Po krótkim namyśle zdecydowałam, że i tak muszę jej opowiedzieć.

- Cóż, przez najbliższych kilka tygodni będę mieszkała w małym mieszkanku w okolicach Panteonu - powiedziałam. Wzięłam głęboki wdech. - Nie wyszło mi z Francesco.

Becky milczała tak długo, że przez moment zastanawiałam się, czy się nie rozłączyliśmy.

- Halo? - spytałam wreszcie niepewnie.

- Jestem tu - odparła. - Po prostu nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałam.

- Co? Co masz na myśli? - Byłam kompletnie zaskoczona. To była ostatnia reakcja, jakiej się spodziewałam.

Becky westchnęła głęboko.

- Proszę cię, Cat - powiedziała. - Przebyłaś taki kawał drogi, a potem spaprałaś sprawę z facetem, którego poleciałaś zobaczyć?

Przez dłuższą chwilę milczałam, głównie dlatego, że szczęka mi opadła i nie mogłam zmusić jej do ponownej współpracy. Wreszcie udało mi się odezwać.

-C o ?

- Nie obraż się, Cat. Mówię to dlatego, że cię kocham i martwię się o ciebie. Nie uważasz, że jesteś troszkę zbyt wybredna?

Mam na myśli to, że wybierasz tych wszystkich chłopaków, a potem zmieniasz o nich zdanie.

- Becky, nie zmieniłam zdania odnośnie Francesco - powiedziałam.

Pokręciłam głową. Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć. Ona nigdy nie rozumiała, jak można zerwać z mężczyzną, który do ciebie nie pasował. Jej filozofia nakazywała raczej bycie z facetami tak długo, jak długo mogli coś dla ciebie zrobić. - To on zmienił zdanie odnośnie mnie -

dodałam łagodnie.

Becky przez chwilę milczała.

- Na pewno go nie odepchnęłaś? - spytała ostrożnie. - Jak to czasami robisz?

Poczułam, że włosy mi się jeżą.

- Nie, Becky - zaprzeczyłam przez zaciśnięte zęby. - Nie odepchnęłam go.

- Nie musisz się bronić - zapewniła mnie Becky. - Po prostu chciałam pomóc. Ponieważ cię kocham.

Zamknęłam na chwilę oczy i spróbowałam się uspokoić.

- Wiem - wydusiłam wreszcie.

- To kiedy wracasz do domu?

- Za dwa i pół tygodnia. Tak jak planowałam od początku.

Cisza.

- Więc zostajesz? - spytała wreszcie.

- Podoba mi się tutaj, Becky - wyjaśniłam. - Czuję się tu szczęśliwa. I miło jest zrobić sobie przerwę.

- Jest jakiś inny facet?

Pokręciłam głową. Najwyraźniej potrafiła myśleć tylko o tym.

- Nie - odparłam. Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, pomyślałam o Marco. Czy on się liczył?

- A więc jesteś sama?

- Tak. I jestem szczęśliwa.

- Dobrze - Zawahała się. - Cóż. To dobrze.

- Dzięki - odpowiedziałam po prostu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czułam, że podjęłam dobrą decyzję.

- Och, prawie zapomniałam ci powiedzieć! - krzyknęła nagle Becky. - Ten facet od restauracji, w której było wesele... Michael? Dzwonił, żeby o ciebie zapytać.

Serce na chwilę mi się zatrzymało. -Co?

- No tak, miał mój numer telefonu, bo dałam mu go podczas przygotowań do wesela. Zadzwonił z nienacka i spytał, czy wiem, jak można się z tobą skontaktować.

- I co odpowiedziałaś? - spytałam ostrożnie.

- Powiedziałam mu, że jesteś w Rzymie ze swoim dawnym chłopakiem. -

Zachichotała.

Głośno przełknęłam ślinę. -1 co odpowiedział?

- A co za różnica? On jest żon a t y, Cat.

- Wiem. - Zawahałam się. - Ale co powiedział?

- Na chwilę zamilkł, a potem wymamrotał, że nie zdawał sobie sprawy, że masz chłopaka. Podobno chciał z tobą wyjaśnić jakieś nieporozumienie.

Potrząsnęłam głową.

- Nieporozumienie?

- Tak. Słuchaj, Cat, nie myślisz chyba o tym, żeby związać się z żonatym facetem, prawda?

- Nie! - krzyknęłam.

- Ponieważ, wiesz, teraz, kiedy j a mam męża, poczułabym się osobiście dotknięta - prychnęła.

Zamknęłam oczy i zazgrzytałam zębami. Jak zwykle, wszystko musiało jej dotyczyć.

- Nigdy bym tego nie zrobiła - zapewniłam ją. - Wiesz o tym.

- Tak... - Ponownie niktęła i dodała: - Po prostu nie chciałabym się dowiedzieć, że wpakowałaś się w romans z nim podczas pobytu w Rzymie.

- W Rzymie?

- Powiedział, że jedzie tam do pracy. Na szczęście trudno będzie mu cię znaleźć.

Zamknęłam oczy. Zatrzymałam się w mieszkaniu jego znajomej.

Oczywiście, że może mnie znaleźć. Serce nagle zaczęło mi walić jak szalone i spociły mi się ręce.

- Powiedział, kiedy przyjeżdża?

- Nie wiem. Chyba w tym tygodniu. Poza tym, czy to ma znaczenie?

- Oczywiście, że nie ma. - Próbowałam się uspokoić. -Cóż, będę kończyć.

- Och, jasne - zaćwierkała Becky, znów radosna jak zawsze.

- Powiesz tacie, że go pozdrawiam? I dasz mu znać, że się przeprowadziłam? Spróbuję się dowiedzieć, co zrobić, żeby moja komórka znów działała. - Pomyślałam, że nie byłabym w stanie przeżyć drugiej rodzinnej pogawędki o tym, jak w moim życiu nic się nigdy nie układa.

- Nie ma sprawy. To do pogadania! - Usłyszałam dźwięk odkładanej słuchawki.

Chwilę siedziałam i trzymałam w ręku telefon, aż zaczął wydawać dziwne dźwięki. Potem rozłączyłam się i odwróciłam w stronę komputera.

Wpatrywałam się tępo w ekran, na którym ładowały się zdjęcia.

Pojawiały się po kolei, gdy zapisywały się pliki. Miałam wrażenie, że znajduję się na pokazie slajdów zorganizowanym po to, żebym mogła ponownie przeżyć poprzednie trzy dni w Rzymie. Im dłużej przyglądałam się fotografiom, tym bardziej mogłam normalnie oddychać. Zdjęcia mnie rozluźniały, przypominając mi, gdzie jestem. Tu nie musiałam się martwić, że nie mam chłopaka, myśleć o Francesco ani o Michaelu.

M i c h a e l. Westchnęłam i potrząsnęłam głową. Nie mogłam uwierzyć, że przyjeżdża do Rzymu albo nawet, jeśli wziąć pod uwagę słabą pamięć mojej siostry, może już tutaj być. Oczywiście szanse na to, że na niego wpadnę, były raczej niewielkie. Ale sama myśl, że znajdował się albo wkrótce będzie

się znajdował w tym samym mieście co ja, sprawiała, że czułam się niepewnie. Próbowałam ją od siebie odpędzić.

Właśnie w tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

Ponieważ właśnie o nim myślałam, przez moment byłam przekonana, że to M i c h a e l puka. Ale to było niemożliwe, prawda? Na pewno Karina wcześniej by mnie upредиła.

Mimo to, kiedy otworzyłam drzwi i okazało się, że stoi za nimi Nico, malutka część mnie czuła się niedorzecznie rozczarowana.

- Hej, *signorina* Cat! - wykrzyknął radośnie.

- Cześć, Nico - odrzekłam, uśmiechając się do niego.

- *Mamma* wysłała mnie do ciebie, żeby sprawdzić, czy przyjdiesz na kolację. Do restauracji. Mają mało klientów, a mama mówi, że od kilku dni cię nie widziała.

Skinęłam głową.

- Tak, byłam trochę zajęta.

- A co robiłaś? - spytał, mrugając oczami. Zawahałam się.

- Właściwie to robiłam zdjęcia.

- Zdjęcia? Czego?

- Rzymu - odpowiedziałam. Zdawałam sobie sprawę, że to głupio brzmi, ale Nico wyglądał na zaintrygowanego.

- Mogę je obejrzeć?

Obejrzałam się przez ramię i spojrzałam na ekran komputera.

- Mam je na laptopie. Możesz je obejrzeć, kiedy będą się wgrzywać.

- Och, tak, proszę! - wykrzyknął Nico. Uśmiechnął się do mnie i wszedł do mieszkania. Usiadł na krawędzi łóżka i spojrzał na ekran mojego ThinkPada.

- Nigdy nie widziałem takiego małego komputera! Spojrzałam na laptopa.

- Nie widziałeś? Pokręcił głową.

- *Mamma* i ja mamy tylko stary komputer. Nawet nie robi dobrze zdjęć.

Ale mogę wysłać e-maile!

- Cóż, to fascynujące.

- Tak - zgodził się. Zapatrzył się na chwilę w ekran. - Zrobiłaś wszystkie te zdjęcia?

- Tak. - Kiwnęłam głową. Usiadłam koło niego i razem oglądaliśmy fotografie, które pojawiały się na ekranie.

Kiedy wreszcie skończyły się przegrywać, Nico spojrzał na mnie.

- One są naprawdę bardzo dobre - oświadczył uroczyście.

- Ach, tak? - uśmiechnęłam się. - Dziękuję ci, Nico.

- Masz jakieś zdjęcia Ameryki? - spytał, patrząc na mnie z nadzieją. - Na swoim komputerze?

Zawahałam się. Nie miałam zwyczaju pokazywać komukolwiek swoich zdjęć. Ale chyba nie powinnam się wstydić, pokazując je sześciolatкови, prawda?

- Jasne - odpowiedziałam. Pochyliłam się nad komputerem, kliknęłam na folder i włączyłam opcję pokazu slajdów.

Nico siedział jak zamurowany przez dziesięć minut, podczas gdy na ekranie pojawiały się jedno po drugim zdjęcia Nowego Jorku. Były tam ujęcia nowojorczyków zajętych swoimi sprawami, biznesmenów rozmawiających przez telefony komórkowe, kobiet zatrzymujących taksówki, dzieci bawiących się w Bryant Park, par spacerujących po Central Parku. Były na nich czerń i biel piekarni Magnolia Bakery oraz wieżowca Empire State Building, jasne zdjęcia zrobione wiosną w Central Parku i zdjęcia w sepia przedstawiające domek na wodzie, który również się tam znajduje. Oglądałam je z Nico i uśmiechałam się. Ja też poczułam się przeniesiona do Nowego Jorku, chociaż przecież siedziałam na krawędzi niewielkiego łóżka w Rzymie.

Kiedy skończył się pokaz zdjęć, Nico odwrócił się do mnie z szeroko otwartymi oczami.

- One były niesamowite - powiedział. Uśmiechnęłam się.

- Dzięki. To nic takiego.

Oczy rozszerzyły mu się nawet bardziej.

- *Signorina* Cat, jesteś szalona! To były najlepsze zdjęcia Nowego Jorku, jakie kiedykolwiek widziałem!

Roześmiałam się.

- Dziękuję - odpowiedziałam. - Ale jestem pewna, że istnieje mnóstwo zdjęć Nowego Jorku znacznie piękniejszych niż moje. - W końcu ile zdjęć Nowego Jorku ten mały chłopiec z Rzymu mógł widzieć?

Pokręcił głową.

- Nie, nie - zaprotestował. - Widziałem ich setki! Tysiące! *Mamma* zabiera mnie co tydzień do biblioteki i oglądam tam książki o Nowym Jorku. Ale te zdjęcia są najlepsze.

Przyjrzałam mu się ze zdumieniem.

- Naprawdę?

- Naprawdę! - Gwałtownie pokiwał głową. - A te zdjęcia Rzymu są wspaniałe.

- Hm, dziękuję, Nico - odpowiedziałam. - Nie wiem nawet, co powiedzieć.

Pomyślał przez chwilę.

- Powiedz, że zanim wyjedziesz, zrobisz kilka zdjęć, na których będziemy ja i *mamma* - zaproponował. - I może także *nonna*.

Uśmiechnęłam się.

- Oczywiście że zrobię, Nico.

- Dobrze, dobrze. - Przez chwilę wyglądał na zamyślonego. Jego mała twarz przybrała poważny wyraz. - To pójdziemy na kolację? Zanim *mamma* się zdenerwuje?

Roześmiałam się.

- Tak. Chodźmy na kolację.

Po pysznej kolacji, składającej się z nadziewanych ryżem rzymskich pomidorków na zimno z sałatką i szklanką prosecco, zjedzonej w towarzystwie paplającego o Ameryce Nico,

wróciłam do siebie. Chciałam zrobić małą przepierkę w zlewie, a potem położyć się do łóżka, ponieważ planowałam następnego dnia wcześniej wstać. Wybierałam się o świcie do Watykanu z aparatem. Zamierzałam być tam na tyle wcześniej, by obejrzeć wschód słońca nad Tybrem oświetlający starożytne budowle po wschodniej stronie rzeki.

Właśnie wieszając jedną ze swoich sukienek na wąskim kijku nad prysznicem, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Otworzyłam je i okazało się, że to Karina z rękami opartymi na biodrach.



- Nico powiedział, że pokazałaś mu jakieś zdjęcia Nowego Jorku -

oznajmiła od razu, wpadając do pokoju i węsząc. -Co ty tutaj robisz?

- Piorę ubrania - odpowiedziałam zgodnie z prawdą, pokazując jej na dowód moką sukienkę. - Owszem, Nico przyszedł i oglądaliśmy razem zdjęcia. Podobały mu się.

Karina zrobiła kwaśną minę.

- Nie możesz tak po prostu pozwalać mu ekscytować się Nowym Jorkiem.

Spojrzałam na nią zdezorientowana.

- Co? Dlaczego nie?

- To mu tylko mąci w głowie.

- Nie rozumiem, co masz na myśli. Karina usiadła na krawędzi łóżka.

- Będzie chciał tam pojechać. A mnie nie stać na to, żeby go zabrać.

- Och. - Usiadłam przy niej ostrożnie i zastanawiałam się, co powiedzieć.

- Przepraszam. Ale jestem przekonana, że pewnego dnia będzie mógł się tam wybrać. Ty też kiedyś tam pojedziesz.

- A kto powiedział, że chcę? - warknęła Karina. Zdziwiłam się.

- Och, przepraszam. Po prostu zakładałam... Przecież uczysz go angielskiego i sama tak dobrze mówisz w tym języku.

Pokręciła głową.

- Nie wiesz tak dużo, jak ci się wydaje.

Wstała z łóżka i zaczęła chodzić tam i z powrotem z nieobecny wyrazem twarzy. Obserwowałam ją lekko rozbawiona, bo ciężko było to robić w mieszkaniu podobnych rozmiarów. Karina stawiała zaledwie trzy małe kroki w stronę drzwi, po czym musiała zawracać i ruszać w przeciwnym kierunku.

Nagle gwałtownie się zatrzymała.

- Mogę je zobaczyć?

- Zobaczyć co?

- Zdjęcia - rzuciła niecierpliwie. - Fotografie.

- Och. Oczywiście. - Zawahałam się. - Te Nowego Jorku?

- A co jeszcze masz? Wzruszyłam ramionami.

- Mam też kilka z Rzymu - powiedziałam. - Zrobiłam je w ciągu ostatnich kilku dni.

Przyglądała mi się dłuższą chwilę.

- Po co?

Poczułam się niezręcznie i zaczęłam wiercić się na łóżku.

- Nie wiem. Lubię robić zdjęcia.

Karina skinęła głową. Wskazała mój komputer.

- To jak?

Było mi głupio, ale ponieważ siedziała na krawędzi mojego łóżka, nie mogłam właściwie jej odmówić. Włączyłam komputer, otworzyłam folder ze zdjęciami z Nowego Jorku i kliknęłam PLAY.

Udawałam, że jestem zajęta praniem, ale tak naprawdę co chwila rzucałam okiem na jej twarz, żeby sprawdzić, jak reaguje na pojawiające się na ekranie zdjęcia. Spodziewałam się dezaprobaty, krytyki albo przynajmniej sarkazmu, tak charakterystycznego dla Kariny. Ale ona patrzyła na kolejne zdjęcia z rozszerzonymi oczami. Prawie nie mrugała.

Obserwowałam ją kątem oka i uderzyło mnie, jak bardzo wydawała się podobna

do swojego syna, kiedy niczego nie udawała, nie krzyczała i nie skupiała się na tym, jak wygląda. Wreszcie spojrzała na mnie.

- Pokaz się skończył - powiedziała cicho.

- Och. - Przeszłam przez pokój, pochyliłam się nad komputerem i odchrząknęłam. - Hm, chcesz zobaczyć również zdjęcia z Rzymu?

Nagle poczułam na ramieniu jej rękę. Nic nie mówiła, więc w końcu spojrzałam w jej stronę. Wciąż miała szeroko otwarte oczy i gapiła się na mnie.

- One były wspaniałe, Cat - powiedziała. Wzruszyłam ramionami.

- To tylko zdjęcia.

- To są piękne zdjęcia - zaprotestowała. - Tak jak powiedział Nico, to prawdziwa sztuka.

Sztuka. Z pewnością nigdy o nich w ten sposób nie myślałam.

- Nie - zaprzeczyłam. - To tylko zdjęcia.

- To sztuka - powtórzyła stanowczo Karina. - I ani mi się waży mówić, że jest inaczej.

Wyglądała na odrobinę złą. Ponownie wzruszyłam ramionami.

- To nic takiego. Myślała przez chwilę.

- To właśnie tym zajmujesz się w domu? W Nowym Jorku?

- Co? Nie! Jestem księgową. Wyglądała na zdezorientowaną.

- Co takiego?

- Księgową. Pracuję dla kilku firm. Rozliczam ich podatki, kontroluję wydatki. Takie rzeczy.

- Nie rozumiem. A co robisz ze zdjęciami? Przyjrzałam jej się uważnie.

Nie wiedziałam, o co jej chodzi.

- Nic. Po prostu lubię robić zdjęcia. To takie hobby.

- Hobby?

- Tak. Coś takiego, co robię dla zabawy, rozumiesz?

- Wiem, co to jest hobby - powiedziała ostro. - Nie chciałam, żebyś mi podawała definicję.

- Och - mruknęłam. Teraz patrzyła na mnie piorunującym wzrokiem. -

Jesteś na mnie zła?

Potrząsnęła głową.

- Po prostu zachowujesz się głupio, to wszystko.

- Co?

Zawahała się i spojrzała z powrotem na ekran komputera, na którym widniało ostatnie zdjęcie z serii nowojorskiej. Był to widok roztaczający się o zmierzchu z miejsca u podstawy Statuy Wolności. Na ciemniejącym niebie było już widać kilka gwiazd.

- Zachowujesz się głupio - powtórzyła. - Jesteś artystką, Cat. Marnowanie takiego talentu to jak... Chwilę się zawahała, szukając idealnego porównania. Nagle twarz jej się rozświetliła. - ... jakby Leonardo da Vinci malował łazienki. Albo Michał Anioł konstruował podesty basenowe.

Roześmiałam się.

- Czy w czasach Michała Anioła były podesty basenowe? Karina rzuciła mi groźne spojrzenie.

- Nie o to chodzi.

Nie wiedziałam, co w takim razie ma na myśli. Po prostu wzruszyłam ramionami.

Przyglądała mi się przez moment.

- Czy mogę zobaczyć zdjęcia Rzymu? - spytała.

- Te też zamierzasz skrytykować?

- Nie krytykuję cię - zaprotestowała ostrym tonem. - Naprawdę nie potrafisz poznać komplementu, kiedy go usłyszysz?

Uniosłam brwi. Miała dziwny podgląd na to, co oznaczało słowo

„komplement”. Ale w końcu zgodziłam się i otworzyłam pokaz zdjęć z Rzymu.

- Nie zdążyłam ich jeszcze poprawić - wymamrotałam. - Dopiero dzisiaj je zgrałam.

Karina skrzywiła się i wcisnęła PLAY. Powoli usiadłam na łóżku koło niej i oglądałam pojawiające się na ekranie zdjęcia. Były ich setki i miałam wewnętrzne przekonanie, że Karina szybko się nimi znudzi. Ale ona nie poruszyła nawet jednym mięśniem i nie powiedziała ani słowa. Od czasu do czasu coś mruknęła, ale naprawdę nie wiedziałam, czy to ma być komplement, czy zniewaga. Patrzenie na zdjęcia z Nowego Jorku to jedna sprawa. Ale oglądanie jej własnego miasta oczami Amerykanki z aparatem fotograficznym to było zupełnie co innego.

Kiedy pokaz się skończył, Karina siedziała bez słowa dłuższą chwilę, gdy ja wciągałam powietrze powolnymi, płytkimi wdechami, czekając na jej reakcję.

W końcu wstała i zrobiła kilka kroków w stronę drzwi. Pomyślałam, że wyjdzie bez słowa. Ale zatrzymała się z ręką na klamce.

- Cat, czego chcesz od życia? - spytała spokojnie, nie patrząc na mnie.

- Co? - Nie takiego pytania się spodziewałam.

- Czego chcesz od życia? - spytała ponownie. Popatrzyła na mnie i przez chwilę jej oczy zdawały się mieć smutny wyraz. Nie rozumiałam tego. -

Gdybyś naprawdę mogła wybierać, co chciałabyś robić w życiu?

Pokręciłam głową.

- Karino. Niedługo skończę trzydzieści pięć lat. Teraz robię to, co chcę robić. Mam dobrą pracę. Mieszkam w pobliżu mojej rodziny. Jestem szczęśliwa.

- Nie. Nie jesteś.

Próbowałam się roześmiać, ale jej słowa sprawiły, że poczułam się nieswojo.

- Tak, jestem.

Świdrowała mnie wzrokiem długo i dokładnie.

- Czyli twoim życiowym celem jest liczenie podatków i mieszkanie w pobliżu ojca i siostry na wypadek, gdyby kiedyś czegoś od ciebie potrzebowali?

Nie odpowiedziałam.

Zrobiła zniecierpliwioną minę i w końcu powiedziała:

- Tak, bardzo satysfakcjonujące. - Zamilkła na chwilę i wpatrywała się we mnie świdrującym wzrokiem.  
- Cat, co naprawdę chciałabyś robić?

Gdybyś nie musiała martwić się o rachunki i opiekę nad innymi ludźmi?

Miałam znów zaprotestować, że przecież jestem całkowicie zadowolona ze swojego życia. Ale spojrzała na mnie w taki sposób, że zawahałam się.

Zamknęłam usta i przez chwilę się zastanawiałam.

- Może robić zdjęcia - powiedziałam wreszcie cicho. Pokręciłam głową, odrzucając ten pomysł. - Ale to głupie, Karino. To niepraktyczne. Jaki jest sens w ogóle o tym myśleć?

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby to być głupie - odpowiedziała natychmiast, kręcąc głową.

Wzruszyłam ramionami.

- Są rzeczy, którymi muszę się zająć. Mam obowiązki - powiedziałam. -

Nie ma gwarancji, że zarobiłabym pieniądze, robiąc zdjęcia. Poza tym lubię swoją pracę. Pasuje mi.

Karina słuchała mnie ze spuszczoną głową. Kiedy znów ją podniosła, przysięgłabym, że miała łzy w oczach. Szybko mrugnęła kilka razy i łzy zniknęły.

- Cat, nie masz pojęcia o obowiązkach - powiedziała miękko. - Ja też mam marzenia. Zawsze je miałam. Ale teraz, kiedy muszę się opiekować Nico, nie mogę ich już realizować. Pogodziłam się z tym. Ale ty jesteś sama. Rozumiem, że czasami wydaje ci się, że to źle. Ale, Cat, jesteś wo ln a . Możesz robić, co ci się podoba. I zaprzepaszczasz tę szansę.

Słowa zawisły między nami.

- Ale mam rachunki do zapłacenia, to byłoby nieodpowiedzialne -

zaprotekowałam. - Zawsze byłam tą odpowiedzialną.

Dla mojej siostry. Dla mojego taty. W pracy. Zmianie tego wszystkiego... To nie jest takie proste.

- A właśnie, że jest - stwierdziła Karina. - To j est proste. Po prostu wybierasz. Wybierasz zmianę. Ryzykujesz. Jeśli tego nie zrobisz, pewnego dnia obudzisz się i odkryjesz, że życie zapędziło cię w róg i nie możesz się już wydostać.

Mrugnęła kilka razy, szybciej niż poprzednio.

- Tak się czujesz? - spytałam miękko.

- Nie - odpowiedziała ostrym tonem. - Niczego nie żałuję. Nie z powodu Nico. Ale to jest moje życie. Podjęłam swoje decyzje. Ale ty? Wciąż masz całe życie przed sobą. Możesz podjąć dowolną decyzję. I wybrałaś siedzenie w kącie, ponieważ się boisz.

Jej słowa nieprzyjemnie mnie zaskoczyły.

- Nie boję się.

- W takim razie jak się nazywa to, co czujesz? Przecież nigdy nie podejmujesz ryzyka - powiedziała cicho Karina.

## ROZDZIAŁ 15

Następnego dnia wciąż myślałam o słowach Kariny. Ściśle rzecz biorąc, nie mogłam myśleć o niczym innym, więc wstałam, zanim obudziło się miasto, znalazłam odosobnione miejsce nad Tybrem i patrzyłam przez soczewkę aparatu na niebo zmieniające kolor z szarego na czerwony, snując ponure rozważania.

Cały dzień unikałam Kariny. Zamiast tego chodziłam po Rzymie, wyciągając od czasu do czasu aparat i fotografując scenki, które przyciągnęły mój wzrok. Ale około trzeciej po południu byłam kompletnie ugotowana i zakurzona od stóp do głów. Czułam też zmęczenie, ponieważ w nocy prawie nie spałam, a potem wstałam bardzo wcześnie rano. Szłam właśnie w kierunku Panteonu, gdy nagle podjęłam decyzję, że wstąpię na chwilę do Pinocchio.

Nie widziałam Marco od dłuższego czasu i nie byłam nawet pewna, czy on chciałby mnie ponownie zobaczyć. Trochę się martwiłam jego reakcją na opowieść o mojej mamie. Tak czy inaczej, chociaż nigdy bym się Karinie do tego nie przyznała, jej słowa sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać, czy moja gospodyni przypadkiem nie ma racji. Omijanie Pinocchio

byłoby trzymaniem się bezpiecznej strony życia. Pójście tam wymagało odwagi i było czymś, czego normalnie bym nie zrobiła. Oznaczało ryzyko wyjścia na głupka, możliwość odrzucenia. Musiałam to zrobić.

Kiedy dotarłam na miejsce, restauracja była prawie całkiem pusta.

Piętnasta trzydzieści to godzina, gdy jest już po lunchu, a jednocześnie minie jeszcze chwila, zanim stali klienci zaczną się schodzić na popołudniowego drinka na patio. W środku siedziała nad prawie pustą butelką wina tylko jakaś para, patrząca sobie w oczy i szepcząca ciche słówka. Kobieta od czasu do czasu chichotała, a mężczyzna wyglądał

przez okno za każdym razem, gdy ona spuszczała wzrok. Poczułam chęć wyciągnięcia aparatu i zrobienia im zdjęcia, ale oczywiście za bardzo rzucałabym się w oczy.

Stałam przez moment w drzwiach, czekając, aż mój wzrok przyzwyczai się do panującego wewnątrz półmroku. Nie widziałam Marco, tylko innego kelnera wolno składającego serwetki w głębi restauracji. Nie zauważył mojego wejścia.

Zastanawiałam się, czy nie wyjść. W końcu przyszedłam tu do Marco, a jego nie było. Ale czy moja decyzja o przyjeździe nie dotyczyła w takim samym stopniu mnie, jak i jego? Poza tym miło byłoby usiąść przy stoliku w chłodzie i wypić kieliszek prosecco, które tak polecał Marco. Z

przyjemnością odprężyłabym się i przejrzała zdjęcia, które dzisiaj zrobiłam.

Zawołałam kelnera. Podbiegi, przepaszając po włosku, że wcześniej mnie nie zauważył. Machnęłam ręką.

- *Non e un problemu* - zapewniłam go. - *Hm, una tauola per uno, per favore!*

- *Soltanto uno?* - spytał, patrząc za mnie, jakby spodziewał się zobaczyć zaraz nadchodzącą kolejną osobę.

Skinęłam głową.

- *Si. Soltanto uno.* - W końcu tak rzekomo wyglądała historia mojego życia.

- *Ach, va bene* - mruknął, nerwowo kiwając głową. - *Proszę za mną* -

dodał po angielsku.

Zamówiłam kieliszek prosecco i kelner przybiegł chwilę później z drinkiem oraz niewielką miseczką błyszczących, chrupiących chipsów.

W wielu restauracjach w Rzymie serwowano chipsy do aperitif, co zawsze kojarzyło mi się z Ameryką, chociaż Włosi uważali to za swój lokalny zwyczaj.

Właśnie miałam łyknąć musującego wina, kiedy usłyszałam z drugiego końca restauracji głęboki głos.

- *Pijesz sama, księżniczko Anno?* - Odwróciłam się i zobaczyłam, że po drugiej stronie sali stoi Marco i szczerzy zęby w uśmiechu. Miał na sobie fartuch i trzymał w rękach olbrzymi pęczek bazylii. Powiedział coś do drugiego kelnera, odłożył zioła i przeszedł przez salę w moją stronę.

Poczułam, że się czerwienię.

- *Yyy* - wydusiłam tylko. Marco mrugnął do mnie.

- *Nie powinno się pić samemu* - wyjaśnił. - *To przynosi pecha. Może powinnaś pozwolić, żebym do ciebie dołączył?*

Speszyłam się i wskazałam mu puste krzesło stojące przy moim stoliku.

- *Oczywiście* - odpowiedziałam. Skinął głową.

- *Merauighoso* - ucieszył się. - *Poczekasz sekundkę?* Pokiwałam głową i patrzyłam, jak znika w kuchni. Po

chwili wynurzył się bez fartucha, za to z drugą lampką prosecco w dłoni.

Przeszedł przez salę i usiadł.

- *Cin cin* - rzucił. Uśmiechnęłam się i stuknęłam w jego szklanekę, odwracając wzrok.

- Chwila! - krzyknął Marco, zanim zdążyłam upić łyk. Zdumiona, zamarłam z kieliszkiem wzniesionym do ust.

- Co się stało?

- Musisz na mnie patrzeć, kiedy wznosimy toast! - wykrzyknął.

- Co?

- To poważna sprawa - zapewnił mnie. - Jest pewien stary przesąd, mówiący o tym, co się stanie, jeśli wzniesiesz toast, nie patrząc komuś w oczy.

- Jaki to przesąd? - spytałam.

Teraz Marco wyglądał na odrobinę zawstydzonego.

- Szczerze? - spytał. Skinęłam głową.

- Przesąd brzmi tak, że jeśli unikasz czyjegoś wzroku podczas toastu -

zamilkł i nachylił się konspiracyjnie w moją stronę - czeka cię siedem lat fatalnego seksu.

Twarz zaczerwieniła mi się tak bardzo, że bez wątpienia przybrała kolor pomidora.

Marco przyglądał mi się przez moment z wyraźnym rozbawieniem.

- Cóż - powiedział w końcu - widzę, że mamy za co wznosić toasty.

Powtórzył toast i tym razem mimo zakłopotania popatrzyłam mu prosto w oczy. Stuknęliśmy się kieliszkami i upiłam pierwszy łyk alkoholu.

Po chwili uciekłam wzrokiem i wypiłam kolejny duży łyk prosecco, czując, jak bąbelki łaskoczą mnie w język i gardło. Piliśmy przez chwilę z milczeniem. Odwracałam wzrok i próbowałam się nie rumienić, gdy Marco na mnie patrzył.

- Cat, czemu tu jesteś? - spytał nagle mój towarzysz, przerywając ciszę.

Poderwałam głowę.

- Po prostu chciałam napić się drinka - odpowiedziałam trochę obronnym tonem.

- Nie, nie miałem na myśli restauracji. - Roześmiał się. - Tutaj, w Rzymie.

Dlaczego naprawdę tu jesteś?

Wzięłam głęboki wdech. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Istniało tyle rodzajów odpowiedzi na tylu różnych poziomach.

- Nie wiem - powiedziałam. - Potrzebowałam odpoczynku od swojego życia w Stanach - oznajmiłam wreszcie. To nie było kłamstwo. Przyjazd do Rzymu był ucieczką od nudnej rutyny, którą stało się moje



życie.

Ale Marco chyba tego nie kupił. Przyglądał mi się uważnie.

- Proszę, Cat - powiedział poważniej, niż się spodziewałam. - Powiedz mi prawdę.

Zawahałam się.

Przyglądał mi się w skupieniu i w końcu dodał miękko:

- Jedyne, o co proszę ludzi, to żeby byli zawsze szczerzy. Kłamstwa to tylko kłopoty.

- Nie kłamię - powiedziałam obronnym tonem.

- Ale nie mówisz też całej prawdy - stwierdził. - Jeśli nie masz ochoty o tym mówić, dobrze. Ale prawda jest zawsze najlepsza.

Pomyślałam o tym, co powiedział.

- Dobrze - zdecydowałam. Wzięłam głęboki wdech i spojrzałam mu w oczy. - Przyjechałam do mężczyzny. To była prawdopodobnie najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. - Po tych słowach opowiedziałam mu historię Francesco, przerywając co jakiś czas, kiedy Marco wtrącał jakieś słówko zdziwienia. Gdy skończyłam, wstrzymałam oddech, czekając na jego reakcję.

- Cat, ten Francesco to idiota - stwierdził w końcu. - Jesteś piękna, inteligentna i interesująca.

- Nikt inny tak nie uważa - odpowiedziałam miękko.

- Nie, myślę, że jest dokładnie odwrotnie - powiedział Marco z zamyśleniem. - Myślę, że Francesco właśnie zdał sobie z tego sprawę.

Ale on nie tego szukał.

- Co?

Zamilkł na chwilę.

- Niektórzy mężczyźni nie szukają partnerek. Szukają kogoś, kto ich potrzebuje, kto ich wielbi. A ty nigdy nie czułaś tego w stosunku do niego.

Pokręciłam głową.

- To nieprawda - powiedziałam. - Mogłabym go pokochać. Kochałam go kiedyś.

- Tu nie chodzi o miłość - stwierdził Marco. - Niektórym mężczyznom chodzi o coś innego. Oni chcą się czuć, jakby byli potrzebni. Nie jakby byli kochani. A ty jesteś dojrzała. Odpowiedzialna. Mądra. Takiego mężczyznę to przerasta. On nie szuka partnerki. On szuka kogoś, dla kogo będzie centrum wszechświata. A to nie jesteś ty.

Przyglądałam się Marco dłuższy czas.

- A skąd ty to wszystko wiesz? Wzruszył ramionami.

- Lubię obserwować ludzką naturę - stwierdził - tak samo jak ty lubisz fotografować rzeczy, które cię poruszają. -Zamyślił się. - Ale to jeszcze nie wszystko, prawda? - spytał po chwili. Przyglądał mi się spokojnie i miałam dziwne wrażenie, że jest w stanie przejrzeć mnie na wylot.

- Co?

- Nie to przyciągnęło cię do Rzymu - stwierdził. - Być może to był impuls, który popchnął cię do działania. Ale nie dlatego zakochałaś się w Rzymie za pierwszym razem.

Spojrzałam na swoje kolana i wzięłam kilka głębokich wdechów.

- Chodzi o twoją mamę, prawda? - spytał Marco po chwili.

Skinęłam głową. Nic nie powiedziałam. Nie musiałam.

- Nie ma nic łatwego w mierzeniu się z duchami przeszłości - powiedział.

Potrząsnęłam głową, wciąż na niego nie patrząc. Po chwili ciszy dodał:

- Mam pewien pomysł. Za chwilę wrócę.

Wziął puste kieliszki po prosecco i pospieszył do kuchni. Widziałam, jak rozmawia z drugim kelnerem, a potem zalogował się do komputera i przejrzał kilka stron. Zadzwoił dokądś, odwracając się do mnie plecami.

Usłyszałam potok niezrozumiałych dla mnie włoskich słów. Kiedy odłożył słuchawkę chwilę później, uśmiechał się.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział - pójdziemy teraz.

Rozejrzałam się.

- Pójdziemy? Dokąd? Uśmiechnął się.

- Jest kilka rzeczy, które chciałbym ci pokazać.

- Nie musisz pracować?

- Rozmawiałem z Antonio - powiedział, wskazując głową drugiego kelnera, który wycierał i ustawiał talerze. -Poradzi sobie. Obsługa wieczornej zmiany będzie tu za niecałą godzinę.

- Ale dokąd idziemy? Oczy mu się rozjarzyły.

- Zobaczysz - powiedział. - Ufasz mi? Zawahałam się, ale tylko na sekundkę.

- Tak - potwierdziłam.

Wyszłam za nim z restauracji, zastanawiając się, w co się właśnie wpakowałam.

Marco zaprowadził mnie na tyły restauracji, gdzie obok ściany stała zaparkowana srebrna vespa.

- Wsiadaj - rzucił, wskazując skuter ruchem głowy i uśmiechając się lekko.

- Jest twój? - spytałam. Skinął głową.

- Jeździłaś wcześniej na takim? Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Wydaje się, że to bardzo niebezpieczne.

- Obiecuję, że nic ci się nie stanie - zapewnił mnie. - Ale musisz mi zaufać.

Zawahałam się.

- Dobrze.

Marco podał mi dłoń. Wsiadłam na skuter, żałując, że mam na sobie spódnice, a nie spodnie. Nie byłam pewna, w jaki sposób usiąść, żeby wyglądać elegancko. W końcu usadowiłam się bokiem.

- Czy tak może być? - spytałam, czując się odrobinę głupio.

Roześmiał się.

- Powiedziałbym, że doskonale. - Potrząsnął głową, mówiąc coś po włosku z rozbawionym wyrazem twarzy, i zajął miejsce przede mną. -

Chwyć mnie w pasie - rozkazał.

Zawahałam się, lecz zrobiłam to, o co mnie prosił. Zdziwiło mnie, że pod białą koszulą ukrywał takie muskuły.

- Przytrzymaj się mocniej - poinstruował, włączając silnik. Objęłam go mocniej i przycisnęłam się do jego pleców. Zalała mnie fala pożądania.

Nawet w świetle dnia, wśród ludzi, fakt, że dotykałam go w ten sposób wydał mi się bardzo intymnym przeżyciem.

- Gotowa? - spytał.

- Gotowa - odpowiedziałam. Ruszyliśmy. Zaskoczona, krzyknęłam, a on się roześmiał.

- Po prostu się trzymaj - polecił. - Wszystko będzie dobrze.

Ruszyliśmy przez ulice Rzymu, pędząc na skuterze wąskimi alejkami.

Chociaż był on mały, czułam się bezpieczna. Z jakiegoś powodu wierzyłam, że Marco nie pozwoli, by coś mi się stało.

Zamknęłam na chwilę oczy i poczułam wiatr we włosach. Trzymałam się mocno Marco. Podobało mi się, że tak bezpiecznie i pewnie czułam się w jego towarzystwie.

- Wszystko w porządku? - spytał. Otworzyłam oczy i uśmiechnęłam się.

- Tak - próbowałam przekrzyczeć hałas silnika.

Śmigaliśmy koło fontann i kościołów o starych, kamiennych fasadach, kamienic z wywieszonym na balkonach praniem, małych parków, w których dzieci zjeżdżały na zjeżdżalniach, placyków, gdzie nastolatki siedziały na schodach, wzburzając błyszczące, ciemne włosy. Mijaliśmy turystów robiących zdjęcia, sprzedawców ulicznych zachwalających towary i matki prowadzące swoje szkraby. Wreszcie znaleźliśmy się przed niszczącym Koloseum. Marco zjechał na pobocze, wyłączył silnik i uśmiechnął się do mnie.

- Po wi n i en em zabrać cię do środka - oznajmił. - Ale mamy tylko pół

dnia. A chcę mieć pewność, że ze wszystkim zdążymy.

- Co masz na myśli? - spytałam zdezorientowana.

- Zobaczysz - odpowiedział tajemniczo. - Ale byłeś wcześniej w środku, prawda?

Skinęłam głową. - Tak.

- To dobrze. W takim razie jedziemy dalej. Poczekaj se-kundkę. - Znow włączył silnik i pojechaliśmy ulicami Rzymu.

Chwilę później zatrzymaliśmy się przed znakiem stopu i Marco odwrócił

się do mnie.

- Teraz prawdopodobnie masz nadzieję, że uda ci się mnie zrzucić, pojeździć po okolicy samodzielnie i wpakować nas oboje w kłopoty -

powiedział z tajemniczym uśmiechem. - Ale obawiam się, że nie możemy tego dzisiaj zrobić. Nie mam przy sobie swojej Amerykańskiej Legitymacji Prasowej.

- Co? - spytałam zupełnie skołowana.

Ale on tylko się roześmiał, potrząsnął głową i znow ruszył ulicą.

- Trzymaj się! - krzyknął chwilę później. Złapałam go mocno, a on skręcił ostro w prawo, w boczną uliczkę. Znajdował się na niej targ. Marco zręcznie manewrował vespą między stoiskami z warzywami, serami, winem i mięsem oraz omijał

sprzedawców wymachujących w powietrzu chustami, zabawkami i kwiatami. Wytrzeszczyłam oczy, trzymając go w pasie tak mocno, jak tylko zdołałam. Kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie, cudem nie potrącając żadnego z niewinnych przechodniów, zahamował i odwrócił

się do mnie.

- W porządku? - spytał.

Serce waliło mi z prędkością miliona uderzeń na sekundę. Patrzyłam na niego przez chwilę. A potem, ku mojemu zdumieniu, zaczęłam się śmiać.

- Po co to zrobiłeś? - spytałam, oglądając się przez ramię i potem znów na niego. Nie mogłam przestać chichotać. Sprawiała to chyba kombinacja zdenerwowania i rozbawienia całą tą sytuacją. Chociaż to, co zrobił

Marco, było bardzo ryzykowne, wprawiło mnie również w doskonały humor.

- To wszystko jest częścią planu - powiedział tajemniczo. - Trzymaj się.

Znów ruszyliśmy, gnając na południe szeroką Via Celio Vibenna. Po lewej stronie rozciągał się zielony park, który Marco rozpoznał jako Parco Ninfeo di Nerone. Skręciliśmy w prawo zaraz za parkiem i ruszyliśmy w stronę rzeki. W końcu Marco zatrzymał się przed wielkim, brązowym kościołem z dzwonnica, do którego wnętrza prowadziło kilka łukowato sklepionych drzwi.

- Nazywa się Santa Maria in Cosmedin - oznajmił. Zsiadł ze skutera i wyciągnął dłoń. - Chodź. - Musiał zobaczyć na mojej twarzy opór, ponieważ roześmiał się i wziął mnie za rękę. - Zaufaj mi, Cat - powiedział

ponownie. - *Cosmedin* znaczy „piękny” - wyjaśniał, kiedy szliśmy w stronę budowli. - Jeśli dobrze pamiętam, kościół został tak nazwany w osiemnastym wieku, gdy uznano go za jeden z najpiękniejszych w tamtym czasie.

- Czuję, że powinnam ci płacić jak przewodnikowi - drażniłam się z nim.

Zrobił groźną minę.

- Po prostu słuchaj - poradził. Szliśmy w stronę kościoła. - Ma całkiem ciekawą historię - powiedział. - Zostało tutaj wybranych dwóch papieży i jeden antypapież. A dzwonnica jest najwyższym tego typu budynkiem średniowiecznym w całym Rzymie.

Dotarliśmy do schodów kościoła i Marco poprowadził mnie w kierunku słabo oświetlonego wejścia. Uśmiechnął się i wskazał po drugiej stronie portyku, za szeregiem łuków, wielką, okrągłą marmurową dekorację na zewnętrznej ścianie.

- Wiesz, co to jest? - spytał.

Patrzyłam przez chwilę. Wyglądało jak twarz mężczyzny z falującą brodą i dziurami zamiast oczodołów, nosa i ust. Rzeźba była wyszczerbiona, popękana na krawędziach i mocno zniszczona czasem. Wydawała mi się dziwnie znajoma. Może widziałam ją w jakiejś książce o Rzymie? Na pewno jednak nie na żywo.

- Nie - zdecydowałam w końcu. Marco uśmiechnął się.

- Dobrze. - Poprowadził mnie wzdłuż korytarza, aż do okrągłej rzeźby.

Wskazał ją głową. - Nazywa się La Bocca delia Verita, Usta Prawdy -

wyjaśnił - i została tu postawiona w siedemnastym wieku.

Prawdopodobnie jest częścią jakiejś starożytnej rzymskiej fontanny.

Legenda głosi, że jeśli włożysz rękę w jej usta, a kłamałaś, odgryzie ci palce.

Oczy mi się rozszerzyły.

- Co? - Odwróciłam wzrok od rzeźby i spojrzałam na Marco. - Żartujesz, prawda?

- Nie, skąd - powiedział poważnie. - To prawda. Prawda jest bardzo ważna.

Patrzyłam na rzeźbę. Usta były wystarczająco szerokie, żeby można było w nie swobodnie włożyć dłoń. I chociaż

wcześniej kamienna twarz wyglądała na zupełnie nieszkodliwą, nagle pod wpływem legendy wydała mi się odrobinę złowieszcza. W zasadzie im dłużej na nią patrzyłam, tym bardziej przyprawiała mnie o gęsią skórkę. Postanowiłam wrócić tu któregoś dnia, kiedy będzie lepsze światło, i sfotografować ją.

- To jak? - spytał Marco po chwili. - Chciałabyś spróbować pierwsza? Czy ja mam to zrobić?

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Pierwsza? - powtórzyłam. - Chcesz, żebym włożyła rękę w usta tego czegoś?

Roześmiał się.

- Tak, ogólnie o to chodzi.

- Cóż, ty pierwszy - powiedziałam szybko. Uniósł w zdumieniu brwi.

- Co się dzieje? Boisz się?

- Nie! - krzyknęłam.

- W takim razie zrób to.

Spojrzałam na niego, zaskoczona, że serce aż tak mocno mi wali. To była tylko rzeźbiona, marmurowa głowa. Co mogło się stać? Ale nie można było zajrzeć do środka wyrzeźbionych ust. Skąd mogłam wiedzieć, co kryło się dalej?

- To jak? - ponaglił mnie Marco.

Zrobiłam jeden niepewny krok w kierunku ściany i wyciągnęłam powoli rękę w stronę ponurej twarzy. Z każdym centymetrem moje obawy rosły.

A jeśli za twarzą ktoś stał i tylko czekał, aż włożę do środka dłoń? A jeśli kamień się przesunie? Może legenda była prawdziwa i rzeźba w jakiś sposób będzie wiedziała, że okłamywałam samą siebie w

kwestii uczuć do matki i jej rodziny?

- Nie mogę - przyznałam, cofając rękę i drżąc. Marco roześmiał się i potrząsnął głową.

- W takim razie ty to zrób! - powiedziałam, czując się trochę głupio.

Znów się roześmiał i wzruszył ramionami.

- Jeśli o to prosisz. Zrobił kilka kroków w kierunku rzeźby i powoli włożył rękę do jej ust. Wstrzymałam oddech. Wkładał ją coraz głębiej i głębiej. Widziałam, jak jego palce znikają we wnętrzu figury, aż w końcu włożył do środka całą dłoń. Odwrócił się w moją stronę z uśmiechem, ale właśnie wtedy przez jego twarz przebiegł wyraz strasznego cierpienia.

- Auu! - zawył, odwracając się w stronę rzeźby. Wyglądało na to, że ręka utkwiała w środku. Kręcił nią i szarpał, próbując ją wyciągnąć.

Krzyknęłam, podbiegając do niego od tyłu. Jęcząc, w końcu wyciągnął

dłoń z ust potwornej twarzy.

- O mój Boże! - krzyknęłam. - Co ci się stało?

Marco wyciągnął dłoń w moją stronę, żebym mogła jej się przyjrzeć.

Była cała i zdrowa. A on się śmiał.

- Co się stało? - znów zażądałam odpowiedzi.

- Zażartowałem sobie z ciebie - odparł, puszczając do mnie oko.

Patrzyłam na niego z otwartymi ustami. Serce wciąż mi waliło.

- Świnia! - wykrzyknęłam, uderzając go lekko pięścią w ramię. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś! Wystraszyłeś mnie!

Potrząsnęłam głową i spróbowałam opanować bicie serca. Marco uśmiechał się do mnie. Kiedy spojrzałam na niego, chcąc powiedzieć, jak bardzo źle się zachował, uciszył mnie, przyciągając do siebie w mocnym uścisku.

- Przepraszam - wymruczał w czubek mojej głowy. - Musiałem to zrobić.

Docenisz to później.

Odsunął się trochę. Spojrzałam na niego zmieszana.

- Docenię, że śmiertelnie mnie wystraszyłeś?

- Tak - oznajmił radośnie. - Docenisz.

Znów mnie przytulił i staliśmy tak objęci, aż poczułam bicie jego serca.

Rzeźba, która nie wyglądała już wcale tak strasznie, wydawała nam się przyglądać.

Tego wieczoru wybraliśmy się na kolację do malej knajpki niedaleko Squisito. Najpierw jednak wpadliśmy do Marco, żeby mógł zdjąć służbowy strój kelnera, a potem do mojego mieszkania, gdzie zostawiłam aparat i przebrałam się z prze-poconych, zakurzonych ubrań w czystą sukienkę. Restauracja znajdowała się po prawej stronie Panteonu. Kiedy brałam prysznic w moim mieszkaniu, Marco zadzwonił i zarezerwował

stolik na dworze. Siedzieliśmy przy ulicy, mając przed sobą zapierający dech w piersiach widok na fasadę Panteonu oraz obelisk i fontannę na środku Piazza delia Rotonda.

Marco zamówił na początek szampana dla nas obojga. Kiedy go podano, uśmiechnął się do mnie i stuknęliśmy się kieliszkami. Tym razem spojrzałam mu prosto w oczy.

- Za Rzym - powiedział. A potem spojrzał na mnie uważnie i dodał: - I za nas.

- Za nas - powtórzyłam.

Przegadaliśmy cały posiłek. Rozmawialiśmy o moim ojcu i siostrze, a także o weselu, a on wspominał o swoich trzech braciach i trzech siostrach. Opowiedział również, jak to się stało, że przyjechał do Rzymu i otworzył filię rodzinnej restauracji, którą jego ojciec założył w Wenecji.

- Jesteś z Wenecji? - spytałam.

-S i - odpowiedział. - Pracowałem tam w restauracji przez lata, ale zawsze chciałem mieć własną. Tak więc przyjechałem do Rzymu pięć lat temu ze wszystkimi pieniędzmi, jakie miałem, i marzeniem, by otworzyć własny lokal.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami.

- Pinocchio jest twoje? -Si - odparł.

- Och! - byłam zaskoczona. - Nie zdawałam sobie sprawy.

- Ach, więc nie lecis na moje pieniądze? - drażnił się Marco.

Roześmiałam się.

- Nie.

- To dobrze - powiedział. - Ponieważ żadnych nie mam. Wszystko wydałem na restaurację!

Podczas kiedy on opowiadał o wyzwaniach, jakie łączą się z otwarciem nowej restauracji w Rzymie, i mówił, jak fantastyczne to uczucie, kiedy spełniają się marzenia, moje myśli powędrowały gdzie indziej, do Michaela. Wcześniej nie znałam żadnego właściciela restauracji, a tu nagle z powodu dziwnego zrzędzenia losu siedziałam z jednym przy stoliku, podczas gdy moje myśli błądziły wokół właściciela nowojorskiego U Adriano. To że w ogóle poświęcałam mu jakieś myśli, było oczywiście głupie. Przecież znajdowałam się w towarzystwie przystojnego, dobrego i przede wszystkim wolnego Marco.



- Nie uważasz? - spytał Marco, kończąc wypowiedź, którą nie do końca słyszałam.

Potrząsnęłam głową.

- Bardzo przepraszam - zawstydziałam się. - Zamyśliłam się. Co powiedziałaś?

Zrobił komiczną minę.

- Już cię nudzę? - Mrugnął do mnie. - Mówiłem właśnie, że otworzyłem restaurację, ponieważ uważam, że warto zaryzykować pogoń za marzeniami. Nawet wtedy, gdy nie jest się pewnym, że to wyjdzie. Nie uważasz tak?

Zawahałam się.

- Nie jestem pewna - odparłam. Myślałam o tym, co powiedziała Karina. -

Najwyraźniej nie lubię podejmować ryzyka.

- To również jest zaleta - stwierdził. - Ale myślę, że jest różnica między życiem małym a życiem dużym.

- Co masz na myśli? Zastanawiał się przez moment.

- Chodzi mi o to, że dobrze jest żyć w sposób bezpieczny - odpowiedział. -

Przypuszczalnie nie byłbym nieszczęśliwy, gdybym został w Wenecji.

Pewnie wciąż pracowałbym

w restauracji, kupiłbym mieszkanie w Mestre w pobliżu swojej rodziny, ożeniłbym się i miałbym dzieci, grałbym w weekendy w piłkę nożną w rodzinnej drużynie i pewnego dnia odziedziczyłbym restaurację. Ale mój świat byłby taki niewielki. Rozumiesz? Mógłbym podróżować i robić od czasu do czasu różne małe rzeczy. Moje marzenie umarłoby we mnie.

Nigdy nie zmieniłbym niczego na świecie.

Skinęłam głową. Nagle moje serce zaczęło walić.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziałam miękko.

- Tutaj, w Rzymie, wszystko wygląda inaczej - ciągnął. -Przez pierwszy rok ledwie wystarczało mi na jedzenie i nie miałem czasu absolutnie na nic. Pracowałem dwadzieścia godzin dziennie, rozkręcając restaurację.

Na początku prawie nie mieliśmy klientów. To było okropne. Miałem wrażenie, że się nie uda. Ale nie porzuciłem swojego marzenia i dzisiaj jestem taki szczęśliwy, Cat. Moje życie nie jest idealne, ale jest dobre. To wszystko, o co proszę.

- Wspaniale - powiedziałam. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym dodać.

- Czy ty też masz marzenia? - spytał. - O tym, by robić coś innego, niż robisz teraz?

Myślałam przez chwilę.

- Tak - odpowiedziałam wreszcie. - Chyba mam.

## ROZDZIAŁ 16

Po fantastycznej kolacji złożonej ze smażonych owoców morza -

weneckiej specjalności, jak wyjaśnił mi Marco - i butelki pinot grigio popitej espresso i zakończonej wspólną porcją tiramisu Marco powiedział, że jeśli mu ufam, ma dla mnie kolejną niespodziankę.

Wsiadliśmy na vespę i pojechaliśmy labiryntem małych uliczek. W końcu dotarliśmy do Via dei Coronari i skierowaliśmy się w stronę rzeki.

Zamknęłam oczy i mocno się trzymałam, gdy jechaliśmy w stronę wody.

Czułam unoszący się w wieczornym powietrzu wilgotny zapach.

Marco wreszcie zaparkował vespę koło kamiennego Mostu Świętego Anioła, przeznaczonego dla pieszych, spinającego brzegi Tybru szeregiem łukowatych przęsł, i poprowadził do Zamku Świętego Anioła.

To zawsze było moje ulubione miejsce w Rzymie. Most ozdobiony jest figurami aniołów trzymających między innymi koronę cierniową, krzyż i pejcz. Czytałam gdzieś, że wszystkie dziesięć aniołów ma w dłoniach narzędzia, przy pomocy których ukrzyżowano Chrystusa. Chociaż nie należałam do zbyt religijnych osób, było w tych figurach coś, co zawsze mnie poruszało.

- To jedno z moich ulubionych miejsc w Rzymie - powiedziałam, kiedy Marco wziął mnie za rękę i ruszyliśmy w stronę mostu. Przez chwilę myślałam o rozmowie z Michaeliem, o wyrazie jego twarzy, gdy wyznałam mu, że najbardziej lubię przebywać tutaj w samotności. Ale szybko otrząsnęłam się z tych wspomnień. - Skąd wiedziałeś? - spytałam go.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Nie wiedziałem - odpowiedział. - Ale ja też zawsze kochałem to miejsce.

Spodziewałam się, że przejdziemy przez most w kierunku górującego w oddali, okrągłego *castello*, który skąpany w ja-snożółtym świetle wyglądał magicznie. Ale przed mostem Marco skręcił raptem w prawo i poprowadził mnie w dół kamiennymi schodkami w stronę brzegu rzeki.

- Dokąd idziemy? - spytałam.

Ścisnął moją dłoń i nie zatrzymując się, odpowiedział:

- Zobaczysz.

Kiedy zeszliśmy niżej, ujrzałam przycumowaną małą łódkę. Wyglądała, jakby została pospiesznie

upleciona z kilku włókien iskrzącego się, białego światła. Marco krzyknął coś do mężczyzny stojącego na jej pokładzie, a ten pomachał ręką w odpowiedzi.

- Znasz go? - spytałam.

Marco skinął głową i uśmiechnął się do mnie.

- To mój przyjaciel Nari. Jest jedyną osobą, jaką znam, która posiada łódkę. Poprosiłem go, żeby się tu z nami spotkał.

Spojrzałam na niego zaintrygowana, gdy dotarliśmy na sam dół i ruszyliśmy w stronę wody.

- Naprawdę? Po co?

- Szukałem wszędzie barki, na której można dzisiaj potańczyć -

powiedział z tajemniczym uśmiechem - ale nic nie znalazłem.

Musiałem więc stworzyć własną.

- Barcę, na której można tańczyć?

- Później zrozumiesz - zbył mnie. - Ale dzisiaj to będzie dancing tylko dla nas dwojga. No cóż, może trojga, jeśli Nari zdecyduje się zostać. Ale myślę, że uda mi się go przekonać, żeby poszedł na kawę w czasie, gdy my będziemy korzystać z jego łódki.

Byłam już całkiem zdezorientowana, ale weszłam za Marco na malutką, białą łódkę i potrząsnęłam dłonią Nariego, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni. Mężczyzna ledwie mówił po angielsku, więc Marco przetłumaczył mi kilka zwyczajowych uprzejmości, a potem przeszli na szybki włoski. Postanowiłam się rozejrzeć.

Łódka była mała, podobna do tych, jakie wynajmowaliśmy latem na Long Island, żeby poopalać się przez kilka godzin na pokładzie. Wyglądało na to, że pod pokładem jest mała kabina. Z tyłu znajdował się wielki, lśniący, drewniany ster, a za nim widać było silnik. Na dziobie płaskiej, drewnianej łodzi stały dwa małe krzeselka skierowane w stronę rzeki i niewielki radiomagnetofon przywiązany do kabestanów, przypuszczalnie po to, żeby nie wypadł za burtę.

- Nari weźmie moją vespę i pojedzie na kawę - powiedział w końcu Marco, zwracając się w moją stronę. Nari, który stał za nim, skinął do mnie głową i uśmiechnął się. - Powiedział, że możemy używać łódki przez kilka godzin, kiedy jego nie będzie.

- Ale dokąd płyniemy? - spytałam. Marco uśmiechnął się.

- Donikąd.

Zdumiona, ponownie uścisnęłam dłoń Nariego i patrzyłam, jak wyskakuje zwinnie z łódki na brzeg, po czym rusza w stronę mostu stromymi, kamiennymi schodami. Chwilę później zniknął, a ja odwróciłam się do Marco.

Uśmiechnął się i podał mi dłoń.

- Chciałabyś zatańczyć?

Roześmiałam się.

- Tutaj?

- A dlaczego nie?

Zawahałam się, wzruszyłam ramionami i włożyłam swoją dłoń w jego.

Pochylił się, żeby włączyć radio, i przez chwilę operował pokrętłem, zanim znalazł stację nadającą staromodne, klasyczne utwory bigbandowe.

- *Perfetto* - mruknął. - Zatańczymy?

Pociągnął mnie na prowizoryczny parkiet i położył prawą dłoń na mojej talii. Podniósł też do góry moje prawe ramię, tak że stanęliśmy w pozycji jak do tańca klasycznego i przez chwilę oboje wolno wirowaliśmy.

Piosenka się skończyła i Marco uśmiechnął się, obrócił mnie w koło i pochylił. Potem znów podniósł mnie do pionu, przesunął swoje lewe ramię na moje plecy i przyciągnął mnie mocniej do siebie.

Kołysaliśmy się w rytm muzyki, nie mówiąc ani słowa. Przycisnęłam głowę do jego piersi i słuchałam bicia jego serca, kiedy tak kołysaliśmy się do przodu i do tyłu w takt muzyki, a łódka łagodnie poruszała się pod nami. Spojrzałam na rzekę i pięknie oświetlony Zamek Świętego Anioła na przeciwległym brzegu. Budowla wyglądała, jakby emanowała łagodnym blaskiem z podświetlonych okien i krzyża niczym magiczny pałac pod ciemnym niebem pełnym gwiazd. Na niebie księżyc był prawie w pełni i jego blask padał na wodę, a niewyraźne odbicie marszczyło się i mrugało do nas. Od czasu do czasu w pobliżu przepływała mała łódka i słyszeliśmy ciche głosy na moście ponad nami, ale dominowało uczucie, że jesteśmy zupełnie sami w środku tego miasta, gdzie żyje dwa i pół

miliona ludzi.

- To jest fantastyczne - zamruczałam.

- Tak - zgodził się Marco. - Jest.

Spojrzałam na niego. Powoli pochylił głowę i jego oczy napotkały mój wzrok. Staliśmy tak, trzymając się w objęciach, patrząc sobie w oczy. A potem ruchem, który wydawał się odbywać w zwolnionym tempie, Marco pochylił głowę i po raz pierwszy dotknął

swoimi ustami moich ust.

Nie wiem, czy to z powodu bajkowej scenerii z oświetlonym zamkiem w tle, czy chodziło o subtelny urok muzyki, a może po prostu tak właśnie powinien wyglądać pierwszy pocałunek z właściwą osobą, ale to była magiczna chwila.

Nie wiem, jak długo staliśmy na pokładzie łódki, kołysząc się i całując w świetle księżyca. Może minęło tylko kilka chwil, a może godzina. Czas przestał płynąć wokół nas i zupełnie mnie to nie obchodziło. Marco też nie wydawał się skłonny wykonać następnego kroku. Nie było przecież pośpiechu, nikt nas nie poganiał. Delektowaliśmy się tą chwilą, która okazała się naprawdę fantastyczna.

W końcu Marco odsunął się i spojrzał na mnie rozmarzonym wzrokiem.

- Wspaniale całujesz - powiedział cicho.

- Ty też - odpowiedziałam. Uśmiechnęłam się do niego, a serce waliło mi jak wcześniej przy Ustach Prawdy, tyle że z zupełnie innego powodu.

Marco pogłaskał mnie po włosach.

- Usiądźmy i popatrzmy przez chwilę na światło księżyca i rzekę -

zapropozował.

Usadowiliśmy się na dziobie, patrząc w stronę rzeki, i Marco objął mnie mocno ramieniem. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a potem Marco odwrócił się i wskazał most.

- Wiesz, jaka jest historia aniołów strzegących mostu? - spytał.

Pokręciłam głową, więc mówił dalej:

- Dawno temu ten most zwany był mostem św. Piotra, ponieważ pielgrzymi szli nim w kierunku Bazyliki Św. Piotra. Ale legenda głosi, że nad zamkiem pojawił się anioł, żeby ogłosić koniec zarazy, i dlatego zarówno zamek, jak i most

przemianowano. Od tamtej pory to miejsce kojarzono z aniołami. W

końcu szesnastego stulecia Bernini zapoczątkował na prośbę papieża prace nad projektem, w ramach którego na moście miało stanąć dziesięć aniołów strzegących przejścia. Te anioły, wyrzeźbione pod jego kierownictwem przez studentów, noszą symbole męki Chrystusa.

Podobno pilnują miasta, chroniąc Rzym przed wszelkim złem.

- To piękne - powiedziałam.

- Si - potwierdził Marco. - Zupełnie jak ty. - Pocałował mnie w czubek głowy. Uśmiechnęłam się w ciemnościach i zamknęłam oczy.

Kilka chwil później usłyszeliśmy za sobą kroki. Odwróciłam się i zobaczyłam, że to Nari wraca z papierową torbą w dłoni. Uśmiechnął się do nas i wszedł na łódkę, gdy my wstawaliśmy z krzeseł. On i Marco chwilę porozmawiali, po czym mężczyzna podał Marco torbę.

- Przyniósł nam po canolli z kawiarni - oznajmił Marco.

- Och, *grozie* - podziękowałam Nariemu i uśmiechnęłam się do niego.

- *Pręgo* - odpowiedział.

Zamienili jeszcze kilka zdań, a potem Marco wziął mnie za rękę.

- Jesteś gotowa, żeby iść? Chciałbym ci pokazać jeszcze jedną rzecz.

Potrząsnęłam głową i roześmiałam się.

- Jest jeszcze coś? Marco uśmiechnął się.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową. Pożegnaliśmy się

z Narim i ruszyliśmy z powrotem kamiennymi schodami, wspinając się w stronę miejsca, gdzie stała vespa Marco. Dwadzieścia minut później byliśmy w jego malutkim mieszkaniu. Nalał nam po kieliszku wina i zaproponował, żebym usiadła na kanapie, po czym usadowił się koło mnie.

- *Cin ein* - powiedział, unosząc kieliszek. Napotkałam jego spojrzenie, a on dodał powoli i z namysłem: - Za pozbycie się duchów przeszłości.

Stuknęłam jego kieliszek swoim, ale nie byłam pewna, co ma na myśli.

Potem odchylił się na kanapie i uważnie mi się przyglądał.

- Myślałem dużo o tym, co powiedziałaś o swojej mamie i jej rzymskiej rodzinie - zagadnął - oraz o pozbywaniu się duchów.

Głośno przełknęłam łyk wina.

- Tak - powiedziałam. Spojrzałam w dół. - To głupie. Nie jestem pewna, czy jestem na to gotowa.

Marco skinął głową.

- Tak, jesteś - stwierdził stanowczo. Odstawił swój kieliszek i wstał.

Przeszedł przez pokój w kierunku małego regału i zdjął z niego płytę DVD. - *Rzymskie wakacje* - powiedział, podnosząc ją, żebym mogła sama zobaczyć okładkę. - Myślę, że powinniśmy je obejrzeć.

Gapiałam się na pudełko w jego rękach, jakby zawierało wąglík.

- Dlaczego?

- Ufasz mi? - spytał, zamiast odpowiedzieć na moje pytanie. Zawahałam się.

- Tak myślę - stwierdziłam. - Tak.

- W takim razie zaufaj mi i tym razem - poprosił. Spojrzałam na niego podejrzliwie. Uśmiechnął się i mówił dalej:

- Zrozumiesz, kiedy obejrzysz film - powiedział. - Chciałem zmienić dla ciebie wymowę tego filmu. Myślę, że kiedy teraz obejrzysz *Rzymskie wakacje*, nie będzie chodziło tylko o twoją rodzinę. To będzie

również jak wspomnienie dzisiejszego dnia.

- Nie rozumiem - stwierdziłam.

- Zrozumiesz - odpowiedział.

Wzięłam głęboki wdech. Spojrzałam na pudełko DVD, które trzymał w dłoni. Audrey Hepburn, która tak bardzo przypominała moją matkę, promiennie się z niej uśmiechała, siedząc na skuterze i obejmując ramionami Gregory'ego Pecka. W tle widniało Koloseum.

Odwróciłam wzrok. Myśli pędziły jak szalone, serce mi waliło. To było niedorzeczne. Wiedziałam, że to tylko film. Ale ten film prześladował

mnie, od kiedy skończyłam dwanaście lat i symbolizował wszystko, co kochałam i czego nienawidziłam. Wszystko, co miałam i straciłam. Ale Marco to wiedział. Może miał rację.

Wzięłam głęboki wdech i zamknęłam na chwilę oczy.

- Dobrze.

Marco uśmiechnął się.

- Świetnie. - Włożył płytę do odtwarzacza, wcisnął PLAY i usiadł koło mnie na kanapie. Objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Myślę, że wszystko będzie w porządku - powiedział. - Ale jeśli będziesz chciała przestać oglądać, po prostu mi powiedz. Możemy wyłączyć film w każdym momencie.

Skinęłam głową.

- Chyba nic mi nie będzie - powiedziałam.

Film się zaczął, a ja poczułam dziwną pustkę, oglądając początkową scenę, w której bohaterka grana przez Audrey Hepburn, księżniczka Anna, podróżuje przez Europę i pojawia się na różnych uroczystych balach. Uśmiechnęłam się lekko, gdy próbowała przetrwać oficjalne przyjęcie w Rzymie i później, kiedy patrzyła przez okno na błyszczące od świateł miasto w dole. Poczułam dumę, ponieważ Rzym był, przynajmniej w tej chwili, moim miastem.

- Wszystko w porządku? - spytał Marco, ściskając moje ramię.

- Na razie. - Skinęłam głową. I naprawdę tak było. Ale wciąż nie rozumiałam, o co chodzi Marco.

Na ekranie księżniczka wymknęła się z pokoju i pojechała na gapę do Rzymu, a potem sennie błąkała się po znajomo wyglądających ulicach.

Kiedy wreszcie ułożyła się do drzemki na małym murku w pobliżu Forum, oczy rozszerzyły mi się ze zdumienia.

- O mój Boże, to jest dokładnie to miejsce, w którym mnie znalazłeś, prawda? - spytałam, patrząc na

Marco.

Roześmiał się.

- Teraz rozumiesz, dlaczego byłem przekonany, że jesteś kolejną Amerykanką, która pragnie odegrać scenę z filmu? -zapytał.

Patrzyłam szeroko otwartymi oczami.

- Och, nie - wymamrotałam, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Roześmiałam się, kiedy Joe Bradley wpadł na księżniczkę Annę i rozmawiali w sposób podejrzanie podobny do tego, w jaki rozmawialiśmy tamtej nocy z Marco. A potem, kiedy Joe Bradley musiał

zabrać księżniczkę do swojego małego mieszkania, odwróciłam się ponownie do Marco.

- To niewiarygodne - stwierdziłam. Ponownie opadłam w ramiona Marco, żeby oglądać film. Zdumiona odkryłam, że zamiast desperacko próbować wypatrzeć twarze dziadków i gardzić postacią księżniczki Anny oraz wszystkim, co dla mnie reprezentowała, skupiałam się na odnalezieniu miejsc, w których byliśmy z Marco.

Z rosnącym zdumieniem oglądałam czarno-białą wersję naszych dzisiejszych przygód na ekranie. Gdy Joe Bradley zabrał księżniczkę Annę na vespie do Koloseum, zrozumiałam, dlaczego Marco żałował, że nie ma czasu zabrać mnie do środka. Kiedy pędzili przez rynek, przewracając różne przedmioty, pojęłam, czemu tak dziwnie zboczył z trasy i wygłosił tekst o Amerykańskiej Legitymacji Prasowej.

Roześmiałam się głośno, gdy Joe Bradley i księżniczka Anna odwiedzili Usta Prawdy

i z zadumą pokręciłam głową, kiedy jedli kolację w knajpce tuż obok Panteonu. Wreszcie poczułam łzy w oczach, gdy zeszli w dół

schodami przy Moście Świętego Anioła na stojącą na rzece barcę, na której odbywała się impreza taneczna.

- Zrobiłeś to wszystko dla mnie? - spytałam, kiedy Gregory Peck i Audrey Hepburn tańczyli na pokładzie barki.

Marco skinął głową.

- Chciałem, żebyś mogła spojrzeć na *Rzymskie wakacje* jak na coś innego niż tylko film o twojej matce - wyjaśnił. -Teraz opowiada on o tobie i tym, jak spędziłaś czas w Rzymie. Dobre wspomnienia, mam nadzieję, zastąpią złe.

Oglądaliśmy w milczeniu ostatnie sceny filmu i oczy wypełniły mi się łzami.

Siedzieliśmy cicho, podczas gdy w ciemnościach przez ekran przewijały się napisy końcowe. Czułam się wstrząśnięta. *Rzymskie wakacje* zawsze były dla mnie symbolem czegoś niesamowitego. Teraz nagle nabrały zupełnie innego znaczenia. Czułam się zaniepokojona, jakbym rzeczywiście pozwoliła czemuś odejść.



- Podobał ci się film? - spytał Marco. Zawahałam się na moment.

- Tak - powiedziałam. - Naprawdę mi się podobał. - I rzeczywiście tak myślałam.

- Dobrze - stwierdził. - Ale reszta należy już do ciebie.

Spojrzałam na niego. Jego twarz dziwnie wyglądała w świetle padającym z ekranu telewizora. Przez moment wydawało mi się, że jesteśmy w naszym własnym czarno-białym filmie.

- Co masz na myśli?

- Ten film był twoim największym lękiem, prawda? - powiedział. - A teraz zmierzyłaś się z nim. I nic ci nie jest. Świat się nie skończył. Wciąż tu jesteś. A reszta... reszta zależy od ciebie.

- Reszta?

- Będiesz w Rzymie jeszcze dwa tygodnie, prawda? - spytał.

Skinęłam głową.

- W takim razie zastanów się, jak możesz zmienić swoje życie w tym czasie - powiedział. - Przestań się bać przeszłości.

Rozwazałam przez moment jego słowa, po czym skinęłam głową.

- Spróbuję - powiedziałam. Spojrzał mi w oczy.

- Możesz zmienić swoje życie - powiedział. - Wszystko zaczyna się tutaj, w Rzymie.

Zostałam u Marco na noc tego wieczoru. Spaliśmy razem przytuleni w jego łóżku, inaczej niż poprzednio, kiedy leżał na niewygodnej kanapie.

Przez chwilę się całowaliśmy, ale nic poza tym się nie zdarzyło. Byłam emocjonalnym wrakiem i Marco o tym wiedział. Przysnęłam na chwilę, a kiedy się obudziłam, łzy płynęły mi ciurkiem po policzkach. Marco też się obudził i ocierał mi twarz z łez. Przyciągnął mnie bliżej do siebie, a kiedy znów zasnęłam, spałam mocno, czując się bezpiecznie po raz pierwszy od wieków.

## **ROZDZIAŁ 17**

Następnego dnia Marco zrobił śniadanie. Śmialiśmy się oboje z tego, że najwyraźniej nie był stworzony do zawodu kucharza. Zbyt mocno wysmażył jajka, przypalił tosty, a do tego wylał na blat sok pomarańczowy.

- Przynajmniej espresso wyszło idealne - roześmiał się, nalewając mi małą filiżankę gęstego, ciemnego płynu z małego metalowego garnka na kuchence.

- Trudno uwierzyć, że naprawdę prowadzisz restaurację - droczyłam się z nim, przyglądając się zwęglonemu tostowi.

- Wiem! - Roześmiał się. - Nie mam pojęcia, co bym zrobił, gdyby odszedł mój kucharz. Pinocchio popadłoby w ruinę.

Po śniadaniu Marco odwiózł mnie do domu na swojej ve-spie i pocałował na pożegnanie.

- Nie będzie mnie w mieście przez najbliższych kilka dni. Jadę odwiedzić rodzinę w Wenecji - powiedział. - Ale kiedy wrócę, powinniśmy znów się spotkać.

Jego słowa mnie zasmuciły. Coraz mniej czasu zostało mi w Rzymie i poczułam głębokie rozczarowanie, że nie mogę ich wszystkich spędzić z nim. Ale przecież nie miałam prawa

tego oczekiwać. Uśmiechnął się do mnie i nie zauważyłam cienia żalu w jego oczach, żadnego rozczarowania, że spędzi ze mną mniej czasu.

- Dobrze - powiedziałam. Odwzajemniłam uśmiech. - Wczorajszy dzień był fantastyczny. Nawet nie wiem, jak ci dziękować.

- Możesz mi podziękować, zastanawiając się nad wszystkim -

odpowiedział. - Żyje się tylko raz i nic nie powinno powstrzymywać cię przed przeżyciem przygody.

Ponownie mnie pocałował i poprosił, żebym za kilka dni wstąpiła do Pinocchio, po czym się pożegnał. Patrzyłam, jak odjeżdża ulicą. Kiedy dotarł do rogu, odwrócił się i pomachał mi. Potem zniknął.

Uśmiechnęłam się do siebie i weszłam do środka. Zaskoczył mnie widok Kariny czającej się w cieniu za drzwiami, z rękami założonymi na piersi, patrzącej na mnie z rozbawieniem.

- Hm, dzień dobry, Cat - powiedziała, szczerząc do mnie zęby. - Widzę, że znalazłaś już sobie pamiątkę z Rzymu.

Poczułam, że się czerwienię.

- To nie tak, jak wygląda - zaczęłam wyjaśniać. - Nic się nie stało.

Nie wiedziałam, dlaczego właściwie się tłumaczę. Ale ona wydawała się być tym rozbawiona. Roześmiała się.

- W takim razie jesteś szalona! - wykrzyknęła. - On jest fantastyczny! Kto to?

- To ten facet od Pinocchio - wyjaśniłam. - Ten, o którym ci mówiłam. -

Zrelacjonowałam jej pokrótce wydarzenia z poprzedniego dnia i nocy, a ona patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Zapomnij o *Rzymskich wakacjach* - zawołała, kiedy już skończyłam. -

Wygląda na to, że grasz główną rolę we własnym romansie.

Roześmiałam się i potrząsnęłam głową.

- Nie wiem - powiedziałam. - Zobaczymy, co będzie. -Wciąż było mi przykro, że Marco wyjeżdżał na kilka dni. Nawet nie zaproponował mi, żebym pojechała z nim, chociaż wiedział, że nie mam żadnych planów i nic nie trzymało mnie w Rzymie.

- A więc obejrzałaś film? - spytała. - I nie przygnębił cię? Myślałam przez chwilę.

- Nie - stwierdziłam w końcu. - Chyba potrzebowałam, żeby ktoś mnie popchnął. A sposób, w jaki Marco zaaranżował cały wieczór...

Wspomnienia tak pasowały do filmu... -zawahałam się i pokręciłam głową. - To było niesamowite.

Karina spojrzała na mnie badawczo.

- Cieszę się - powiedziała. -1 bardzo dobrze. - Przynęła się do mnie bliżej i uścisnęła mnie spontanicznie. - Wiesz co, Cat Connelly, zaczynam cię lubić.

Wzięłam prysznic i przebrałam się. Wyszłam sama, biorąc ze sobą aparat.

Miałam zamiar wybrać się w stronę fontanny di Trevi, żeby zrobić tam kilka zdjęć, ale zamiast tego zaczęłam myśleć o *Rzymskich wakacjach*.

Oczywiście, to był tylko film i nie powinnam poważnie się nad nim zastanawiać. Ale było coś w odwadze księżniczki Anny, która zmieniała swoje życie, choćby tylko na jeden dzień, co mnie zainspirowało. Jak to się stało, że przez trzydzieści pięć lat nigdy niczego takiego nie zrobiłam?

Nawet przez chwilę? Pewnie, przyjazd do Rzymu wymagał odwagi zarówno kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, jak i teraz, ale w obu wypadkach wiedziałam, że to tylko chwilowe rozwiązanie i nie zmieni mojego życia w istotny sposób. Czy to nie oznaczało przypadkiem, że w ogóle prawie nigdy nie ryzykowałam?

Myślałam o tym, kiedy zauważyłam salon fryzjerski. Zatrzymałam się gwałtownie i zapatrzyłam na niego, myśląc o scenie w filmie, w której księżniczka Anna obcina włosy. Symbolizowała całkowite zerwanie z przeszłością i tą ostrożną osobą, którą była całe życie.

Podniosłam rękę i dotknęłam swoich brązowych włosów, które opadały na ramiona. Nosiałam taką samą fryzurę od czasów liceum. To było jedno z tych cięć, które nigdy nie wychodziły z mody - równo ostrzyżone, długie włosy. Podcinałam tylko końcówki, regularnie co osiem tygodni, od kiedy pamiętałam. Ale fryzura zawsze kojarzyła mi się z poczuciem bezpieczeństwa, była czymś, z czym mogłam się identyfikować. Może gdybym ją zmieniła, mogłabym zacząć zmieniać również wszystko inne.

W tym momencie zobaczyłam jasno, co muszę zrobić.

Wzięłam głęboki wdech i zanim zdążyłam się rozmyślić, przebiegłam przez ulicę i otworzyłam drzwi do salonu.

W środku wyglądał prawie identycznie jak zakład, w którym księżniczka Anna ostrzygła swoje pukle. Nie był to w żadnym wypadku salon piękności, raczej bardzo przeciętne, skromnie wyposażone miejsce. W

środku znajdowały się cztery wyświecone od częstego używania fotele i dwie umywalki. Trzech fryzjerów w białych fartuchach stało na środku pomieszczenia. Nie było ani jednego klienta.

Wszyscy trzej mężczyźni spojrzeli na mnie, kiedy weszłam. Jeden powiedział coś po włosku, a ja potrząsnęłam głową.

- *Non parlo l'italiano* - powiedziałam. - *Parla Uinglese?* Dwóch fryzjerów potrząsnęło głowami, ale trzeci, najmłodszy, skinął głową.

- Ja mówię - powiedział. - Trochę. Rozumiem trochę.

- Dobrze - westchnęłam z ulgą. - Chciałabym się ostrzyc, jeśli można.

Skinął głową.

- Rozumiem - oznajmił. Wskazał ręką jedno z krzeseł. Usiadłam, a on wziął do ręki niewielki pukiel moich włosów.

- Troszkę? - spytał, łapiąc je pomiędzy kciuk a palec wskazujący mniej więcej półtora centymetra od końców.

Wzięłam głęboki wdech i pomyślałam o księżniczce Annie.

- Nie, wyżej.

Uniósł brwi i przesunął palce dwa centymetry do góry.

- Jeszcze - powiedziałam.

Spojrzał na mnie w lustrze ze sceptycznym wyrazem twarzy. W

odpowiedzi uśmiechnęłam się. Moglibyśmy bawić się w tę zabawę cały dzień.

- Chciałabym, żeby obciął je pan w bob, proszę - oznajmiłam.

Wyglądał na zmieszanego.

- *Non capisco.*

Podniosłam prawą rękę i pokazałam linię tuż pod swoim prawym uchem.

- Tutaj - powiedziałam. - Chcę je mieć dotąd.

- Si? - spytał niepewnie. Powiedział coś szybko po włosku, a ja odpowiedziałam, że nie rozumiem. Zebrał myśli i pokazał dłonią miejsce, w którym wcześniej znajdowała się moja dłoń, pokazując długość, jaką w jego przekonaniu chciałam.

- Qui? - spytał z powątpiewaniem.

- Si - potwierdziłam. - *Qui.* Dotąd. Potrząsnął głową i powiedział po angielsku.

- Dobrze. Będę ciąż.

Nie wyglądał na zbyt przekonanego. Obszedł mnie powoli, przyglądając się włosom. W końcu stanął przede mną i podniósł rękę do czoła.

- Prząd też? - spytał, pokazując mi na migi grzywkę. Zawahałam się, po czym skinęłam głową.

- Si - powiedziałam. - Z grzywką.

- *Come desiderate* - powiedział. Obszedł mnie ponownie naokoło, a potem pochylił się z nożyczkami. Kiedy zaczął ciąć, widziałam, jak duże pukle moich włosów spadają na podłogę. Zamknęłam oczy. Nie chciałam na to patrzeć.

- *Ecco fatto* - powiedział kilka minut później. - Skończyłem.

Otworzyłam oczy i spojrzałam w lustro. Szczęka mi opadła, kiedy zobaczyłam w nim swoje odbicie.

Zniknęły moje długie, gładkie, proste jak druty kosmyki. W ich miejscu znajdował się interesujący, błyszczący, wycieniowany bob z długą grzywką opadającą na czoło.

- Podoba się, *signorina*?. - spytał nerwowo fryzjer. Wyciągnęłam rękę i ze zdumieniem dotknęłam włosów.

Nie mogłam przestać się sobie przyglądać.

- *Signorina*1. - ponaglił mnie ze zmartwioną miną.

- Są cudowne - powiedziałam. - Świetne.

Fryzjer westchnął z ulgą i wytarł z czoła nieistniejący pot.

- *E bello* - powiedział. - Jest pięknie.

Uśmiechnął się do mnie szeroko. Odwzajemniłam uśmiech, zapłaciłam i wyszłam wolnym krokiem. Kiedy znalazłam się na dworze, na szyi po raz pierwszy poczułam powiew wiatru. Spodziewałam się, że będę trochę żałować tej decyzji, gdy tylko znajdę się z powrotem w realnym świecie.

Ale kiedy szłam ulicą, patrząc na siebie w oknach wystawowych, czułam tylko ulgę, jakby fryzura wreszcie odzwierciedlała mnie taką, jaką naprawdę byłam.

Dwa dni później Marco wciąż się nie odzywał. Powinien był już wrócić z Wenecji do tego czasu, ale sądziłam, że pewnie jest po prostu zajęty.

Mimo to wciąż czułam się dziwnie niespokojna i zastanawiałam się, czy nie zmienił zdania na mój temat akurat w momencie, kiedy pozwoliłam sobie coś do niego poczuć. Kiedy Karina wysłała Nico tuż po szóstej, by spytał, czy dołączę do niej wieczorem na drinka, postanowiłam wykorzystać tę okazję, zamiast siedzieć żałośnie w domu i czekać na telefon.

Kilka godzin później, gdy trochę się przespałam, przebrałam się w czarne džinsy J Brand i szary top na

ramiączkach. Do tego założyłam sznur sztucznych pereł i czarne buty na obcasach z odkrytymi palcami. Chwilę później Karina stanęła w drzwiach.

- Rany - powiedziała, oglądając mnie od góry do dołu, a potem patrząc na moje włosy. - Wyglądasz niesamowicie.

- Dzięki - odpowiedziałam, świadoma wywoływanego przez siebie wrażenia.

- Obcięłaś włosy. Skinęłam głową.

- Najwyższy czas, żebym coś zmieniła.

Karina przyglądała mi się dłuższą chwilę, po czym uśmiechnęła się powoli. Wiedziałam, że mówi o czymś więcej niż tylko o moich włosach.

- Jestem z ciebie dumna, *bella* - powiedziała. Ruszyliśmy razem ulicą, a nasze obcasy stukały o bruk.

Karina też była wystrojona. Założyła mocno wyciętą, krótką czarną sukienkę.

- Pewien chłopak o imieniu Raffaele powiedział, że będzie tam dzisiaj -

wymamrotała, nie patrząc mi w oczy. - Jest kelnerem w restauracji w pobliżu.

- Ach - uśmiechnęłam się do niej. - Czy to ktoś, kim jesteś zainteresowana?

- Nie! - warknęła natychmiast. Ale zdradził ją rumieniec na twarzy.

- Może - poprawiła się. - Być może to głupie. Ale on wydaje się taki sympatyczny. I zawsze jest przemiły dla Nico. - Wzruszyła ramionami. -

Dzisiaj spotykają się ze wszystkimi innymi kelnerami z jego restauracji.

Jakaś impreza z tego czy innego powodu. Nie wyjaśnił mi. W każdym razie Raffaele zaproponował, żebym do nich dołączyła.

- Cóż, to brzmi nieźle - powiedziałam. Spojrzałam na nią, kiedy spieszyliśmy ulicą i z rozbawieniem zauważyłam, że policzki wciąż ma odrobinę zarumienione. Ta rzekomo niewzruszona Karina była zdenerwowana!

Bar znajdował się tuż koło Piazza delia Rotonda, znajdującego się przed Panteonem. Zdziwiłam się, że nie zauważyłam go wcześniej. Ale nie wisiała tam tabliczka z nazwą, a wej-

ście znajdowało się w pierwszych drzwiach alejki, niedaleko restauracji, w której jadłam z Marco.

- W tym barze zawsze jest niezła zabawa - powiedziała Karina, kiedy wchodziliśmy do środka. - Przychodzi tu dużo osób z restauracji, w której pracuję.

W środku było ciemno. Przyszło już mnóstwo ludzi. Po prawej stronie znajdował się długi, drewniany bar, za którym uwijało się trzech barmanów. Po lewej stronie stało trzech muzyków, wciśniętych do małej

wnęki. Gitarzysta śpiewał piosenki po angielsku. Wyglądało na to, że w przeciwieństwie do swoich kolegów z baru, w którym byliśmy ostatnio, opanował ten język całkiem nieźle.

- Chodźmy - pociągnęła mnie za ramię Karina. - Tam jest Raffaele.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez salę w kierunku miejsca, w którym siedziało pięciu dobrze zbudowanych mężczyzn, z których żaden nie miał mniej niż sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Mężczyzna w środku grupy, ciemnowłosa i o klasycznych rysach twarzy kojarzących mi się z rzeźbami, które widziałam podczas przechadzek po mieście, uśmiechnął się od ucha do ucha, kiedy nas zobaczył.

- Karina! - wykrzyknął, gdy podeszliśmy bliżej. - *Siete venute!*

Karina znów ścisnęła moją dłoń, spojrzała na mnie z nieśmiałym uśmiechem i zrobiła krok do przodu, żeby pocałować mężczyznę w oba policzki.

- *Buona sera*, Raffaele - powiedziała. Odwróciła się i pokazała na mnie. -

*Ecco la mia árnica*, Cat. *É una americana*.

- *Ciao*, Cat! - powitał mnie Raffaele uprzejmie. Pochylił się, żeby pocałować mnie na powitanie w oba policzki, a potem zaczął mówić do mnie szybko po włosku. Wzruszyłam ramionami i spojrzałam bezradnie na Karinę.

Uśmiechnęła się.

- *Non parla l'italiano* - wyjaśniła, wskazując na mnie głową.

- Ach - zrozumiał Raffaele. Myślał przez moment.

- Miło cię poznać - powiedział w końcu po angielsku oficjalnym tonem, powoli, wyraźnie i z mocnym akcentem. - Uczę się właśnie angielskiego.

To dobre w restauracji.

- Bardzo dobrze sobie radzisz - powiedziałam, uśmiechając się do niego.

- *Grazie* - ucieszył się. - Dziękuję.

On i Karina przedstawili mnie pozostałym kelnerom, którzy uśmiechali się i również próbowali mówić po angielsku.

Karina starała się włączyć mnie do rozmowy, ale było dla mnie oczywiste, że jestem dla niej ciężarem. Chichotała z dowcipów Raffaele'a, a potem próbowała tłumaczyć, żebym również je rozumiała.

Wiedziałam, że nie denerwowała się z tego powodu. Ale rozumiałam też, że muszę być dobrą przyjaciółką i ulotnić się przynajmniej na chwilę.

Powiedziałam Karinie, że idę kupić sobie coś do picia, a kiedy spytała mnie zmartwiona, czy wszystko u mnie w porządku, zapewniłam ją, że tak. Przecisnęłam się przez tłum w kierunku baru. Zamówiłam stół

i odwróciłam się, by rozejrzeć się po barze. Karina z Raffaele'em byli już w swoim własnym małym świecie. Ona pochylała głowę, słuchając jego opowieści, a on obejmował ją lekko ramieniem w talii, przyciągając bliżej, mówiąc coś do ucha i starając się przekrzyczeć hałas, jaki panował

w barze. Twarz jej się zarumieniła i uśmiechała się. Wyglądała na szczęśliwą.

Wolno piłam piwo i rozglądałam się wokół. Zespół grał *Something*, jedną z moich ulubionych piosenek Beatlesów. Uśmiechnęłam się i nuciłam ją cicho pod nosem, dopóki się nie skończyła. Potem złapałam za piwo i udałam się na poszukiwanie łazienki.

Czekałam w kolejce do damskiej toalety chyba całą wieczność, a gdy wyszłam, ruszyłam z powrotem w stronę stolika Kariny i jej znajomych.

Zauważyłam, że dołączyły dwie nowe osoby - jeden mężczyzna wysoki, szeroki w ramionach, z grubymi, bujnymi czarnymi włosami, drugi starszy, niskiego wzrostu, łysiejący, lekko zgarbiony.

Karina, wciąż objęta przez Raffaele'a, zauważyła mnie, gdy podchodziłam do stolika. Właśnie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, kiedy nowo przybyli odwrócili się, by sprawdzić, kto idzie. Spojrzałam na młodszego z mężczyzn i szczęka opadła mi do kolan. Stałam jak wryta i nie podeszłam do stolika.

- Cat? - spytał mężczyzna, wyglądając na równie zaskoczonego jak ja.

Minęło kilka sekund, zanim złapałam oddech.

- Michael? - wydusiłam. Karina uśmiechnęła się do mnie.

- Czy to nie cudowna niespodzianka, Cat? - spytała. - Nie miałam pojęcia, że on jest w Rzymie!

Nie odpowiedziałam. Zamiast tego wciąż gapiłam się na Michaela Evangelisti.

- Co ty tutaj robisz? - zdołałam w końcu wydusić.

- To jest mój wujek, Armando - odpowiedział, wskazując głową starszego mężczyznę siedzącego obok. Mężczyzna skinął w moją stronę i uśmiechnął się. - Jest właścicielem restauracji znajdującej się niedaleko stąd. Nie mówiłem ci? To są pracujący dla niego kelnerzy. Dwóch z nich -

wskazał głową siedzących obok niego mężczyzn - to moi kuzyni Gianni i Lorenzo.

Karina patrzyła na mnie dziwnie.

- Powinnam była pamiętać, żeby ci powiedzieć, że Raffaele pracuje w restauracji wujka Michaela. Nawet o tym nie pomyślałam. - Zamilkła na chwilę. - Wszystko w porządku?

- Nie - wyszeptałam, wciąż patrząc na Michaela.

- Cat, co ty tutaj robisz? - spytał Michael.

-Ja . . . mieszkam tutaj niedaleko - zająknęłam się niepewnie.



- Mieszka w moim dodatkowym mieszkaniu - wyjaśniła Karina. Wciąż wyglądała na zdziwioną. - Nie dałeś jej mojego numeru, Michael?

Skinął powoli głową.

- Ale nie zdawałem sobie sprawy, że się u ciebie zatrzyma. - Zawahał się i spojrzał mi prosto w oczy. - Nie odbierała telefonów ode mnie.

Te słowa bardzo mnie rozjuszyły.

- Nie wiedziałam, że mamy o czym ze sobą rozmawiać - powiedziałam sztywno. Cała moja złość na niego powróciła teraz, kiedy zaskoczenie zaczęło mijać. Wyglądał niepokojąco przystojnie w ciemnej, zapinanej na guziki koszuli i ciemnych dżinsach. Jego oczy były nawet jaśniejsze, niż zapamiętałam, co tylko sprawiło, że trudniej było mi odwrócić wzrok.

Spojrzałam na Michaela i znów na Karinę. Zdenerwowana poczułam nagle w piersi przeciągły ból.

- Cat, naprawdę musimy porozmawiać - powiedział Michael. Zrobił krok w moją stronę, ale ja się odsunęłam.

Zignorowałam go.

- To jak, nie zabrałeś swojej żony i dziecka w tę podróż? - spytałam. - I teściowa też została w domu?

Karina sprawiała wrażenie kompletnie zaskoczonej. Spojrzała na Michaela, a potem znów na mnie. Przez chwilę miałam nadzieję, że się roześmieje i powie, iż jakimś sposobem zdołałam wszystko przekręcić.

Ale ona nic nie powiedziała. Po prostu przyglądała się dłuższą chwilę Michaelowi, a potem odwróciła wzrok. Michael patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami i wolno pokręcił głową.

- Jakie to smutne, że ich zostawiłeś - powiedziałam zimno.

- Cat - zaczął znów Michael. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć mojego ramienia, ale strząsnęłam ją.

- Karino, nie czuję się dobrze - powiedziałam. - Chyba pójdę do domu.

Karina rzucała nerwowe spojrzenia raz na mnie, raz na Michaela.

- Co się dzieje?

- Może twój przyjaciel Michael ci to wyjaśni? - powiedziałam.

Ból nasilał się. Nie powinnam tak cierpieć z powodu takiego faceta jak on. Chociaż potrafiłam sprawować kontrolę nad swoim życiem, nigdy nie udało mi się opanować sztuki mówienia swojemu sercu, żeby przestało chcieć czegoś, czego zwyczajnie nie mogło dostać. Nie znosiłam tego.

Najwyraźniej los uznał, że to będzie dobry dowcip - postawić na mojej drodze żonatego mężczyznę, z którym byłam na najlepszej randce w życiu, w pubie na drugim końcu świata.

- Cat, proszę, pozwól mi wytłumaczyć! - krzyknął Michael.

- Nie ma tutaj co tłumaczyć - powiedziałam. Odwróciłam od niego wzrok i zwróciłam się znów w stronę Kariny.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziałam, zmuszając się do uprzejmości.

- Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić.

- Cat, chyba nie... - zaczęła.

Ale przerwałam jej. Zrobiłam krok do przodu i pocałowałam ją w oba policzki. Powiedziałam Rafaele'owi, że miło było go poznać i pożegnałam się z pozostałymi kelnerami. Skinęłam głową wujkowi Michaela, a potem rzuciłam ostatnie spojrzenie na Michaela. Wyglądał na pogrążonego w cierpieniu, jakby nie potrafił zrozumieć, że nie mam najmniejszego zamiaru wplątywać się w romans z żonatym mężczyzną.

Zrobiło mi się niedobrze.

- Nie idź za mną - powiedziałam do Michaela. - Nie sądzę, żeby było jeszcze coś do powiedzenia.

- Ale... - zaczął.

- Nie - zaprotestowałam stanowczo. I zanim ktokolwiek inny zdołał coś powiedzieć, odwróciłam się na pięcie i wymaszerowałam szybko na ulicę, nie oglądając się za siebie.

Kiedy już znalazłam się na zewnątrz, zaczęłam biec tak szybko, jak tylko zdołałam na obcasach. Przypuszczałam, że

Michael pójdzie za mną, a ja nie chciałam słuchać żadnych wyjaśnień. Co takiego mógłby mi powiedzieć, bym mogła go zrozumieć albo mu wybaczyć?

Na początku chciałam wrócić do mieszkania, ale kiedy przeszłam już spory kawałek, zdałam sobie sprawę, że Karina przypuszczalnie będzie mnie szukać i niedługo wróci. Nie chciałam z nią dzisiaj rozmawiać, nie o Michaelu. Pragnęłam być sama.

Złapałam taksówkę i poprosiłam kierowcę, żeby zawiózł mnie na Most Świętego Anioła. Poszłabym na piechotę, ale na tych obcasach moje stopy najprawdopodobniej zmieniłyby się w krwawą miazgę, zanim dotarłabym na miejsce. Zapłaciłam taksówkarzowi i ruszyłam powoli przez most w stronę zamku, którego światła padały na rzekę. W końcu stanęłam pod figurą przedstawiającą anioła trzymającego krzyż i oparłam się o marmurową balustradę. Wokół mnie widać było w ciemnościach światła Rzymu.

Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby wiatr znad wody lekko owiewał mi twarz.

Moja złość na Michaela była przesadzona. Prawie go nie znałam i prawdę mówiąc, chociaż zaiskrzyło między nami, zauroczenie trwało tylko kilka dni. Potem dowiedziałam się prawdy.

Co innego powodowało moją wściekłość. Jego próba zdradzenia żony przypominała mi działania mojej matki. Nie miałam nigdy wątpliwości, że kiedy od nas odeszła, miała wiele romansów. Czy Michael nie

robił

dokładnie tego samego swojej partnerce i dziecku?

Pogrążona w myślach usłyszałam, jak dzwony kościelne gdzieś w oddali wybijają północ. Otrząsnęłam się. Malutka, głupia część mnie miała nadzieję, że Michael odnajdzie mnie na moście. Przecież powiedziałam mu, że to moje ulubione miejsce w Rzymie. Jeśli naprawdę miał mi coś do powiedzenia, jeśli można było coś wyjaśnić, przyszedłby tutaj za mną, prawda?

Ale nie było żadnego wytłumaczenia. Po prostu był żonaty. A ja byłam tak samo samotna jak zawsze.

Wyjęłam telefon komórkowy, wzięłam głęboki wdech i zadzwoniłam do taty, jedynej osoby, która nigdy mnie nie zawiodła.

- Cześć, Cat! - powiedział, kiedy odebrał telefon. - Jak się masz, kochanie? Jak tam Rzym? - W Nowym Jorku ciągle było wcześniej, tuż po szóstej po południu, i wiedziałam, że prawdopodobnie ogląda właśnie wieczorne wiadomości, robiąc sobie kolację. Może danie instant albo coś z mrożonki. Prawie widziałam go oczami wyobraźni i poczułam, że tęsknię za nim i moim życiem w Nowym Jorku.

- Cześć, tato - powiedziałam. Zamknęłam na moment oczy. Dobrze było usłyszeć jego głos. - Rzym jest wspaniały. Przepraszam, że nie dzwoniłam.

Roześmiał się.

- Nie musisz sprawdzać, co u mnie, kochanie. Wszystko w porządku.

- Dobrze - powiedziałam. Wzięłam głęboki wdech. - Tato, chciałabym cię o coś zapytać.

- Jasne, słońce. O co chodzi?

Zamilkłam na chwilę, zastanawiając się, jak to ująć.

- Tato, kiedy mama odeszła, czemu na nią czekałeś? - spytałam.

Przez chwilę nic nie mówił.

- Co masz na myśli? - spytał w końcu cicho.

- Dlaczego nie poprosiłeś jej o rozwód? - spytałam. -Dlaczego czekałeś, aż do ciebie wróci? Dlaczego pozwoliłeś jej się zranić?

Westchnął.

- Cat, to nie takie proste.

- Co w tym skomplikowanego? - spytałam. Poczułam, że się denerwuję, jak za każdym razem, kiedy tata bronił mamy.

- Cat - powiedział tata powoli. - Wiem, że twoja mama popełniła dużo błędów. A największym z nich było opuszczenie wielkiej części waszego dzieciństwa.

Nic nie powiedziałam.

- Ale - ciągnął - ja też nie byłem ideałem. Twoja mama i ja mieliśmy mnóstwo problemów. Ja też przyczyniłem się do tego, że odeszła.

- No to co? - spytałam. - Pary często się kłócą. To nie znaczy, że jedno powinno odejść, a drugie na nie

czekać.

- Cat, kochałem twoją matkę całym sercem - powiedział powoli tata. -

Popełniła mnóstwo błędów. Ale ja też je popełniłem.

- Tato, nie możesz winić się za to, co zaszło - powiedziałam.

- Cat - powiedział stanowczo. - Nie rozumiesz wszystkiego. Zawahał się, a jego głos przybrał inny ton. -  
O co w tym wszystkim chodzi? Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku - powiedziałam szybko. Mrugnęłam kilka razy, żeby niespodziewanie się nie rozpłakać.

- To czemu zadajesz mi te wszystkie pytania? - spytał.

- Nie wiem. Zamilkł na chwilę.

- Zamierzasz spotkać się z rodziną mamy w Rzymie?

- Nie - odpowiedziałam natychmiast.

Cisza ciągnęła się tak długo, że przez moment nie byłam pewna, czy nas nie rozłączyło.

- Cat, myślę, że powinnaś - powiedział.

Spojrzałam na ciemne ulice, budynki tego starego miasta rzucające cienie wokół mnie.

- Nie - zaprzeczyłam. - Myślę, że powinnam przestać o niej myśleć, zapomnieć o niej.

Zanim tata zdążył odpowiedzieć i nim usłyszał, jak bardzo trzęsie mi się głos, pożegnałam się szybko i powiedziałam, że zadzwonię do niego w przyszłym tygodniu.

- Kocham cię, tato - dodałam.

- Ja ciebie też - powiedział powoli smutnym głosem. Schowałam telefon i mrugnęłam kilka razy, bo łyzy cisnęły

mi się do oczu. Zawołałam taksówkę i poprosiłam kierowcę, żeby zabrał

mnie do Marco.

- Hej - powiedział Marco, mrugając zaspanymi oczami, kiedy stanęłam w jego drzwiach piętnaście minut później. Rudawe włosy miał

przygniecione z jednej strony od spania i ubrany był tylko w bokserki w białe kaczuszki. - Co tu robisz?

Natychmiast poczułam się głupio. W głowie wirowały mi myśli o Michaelu i rodzicach. Nawet przez chwilę nie pomyślałam, jak bardzo nie na miejscu będzie przyjeżdżać tutaj bez zapowiedzi w środku nocy. Nie wspominając o tym, że przecież wrócił dzisiaj z Wenecji i jeszcze do mnie nie zadzwonił.

- Przepraszam - powiedziałam szybko, patrząc na swoje stopy. - Nie powinnam była przychodzić.

Poczułam, że czerwienię się pod jego spojrzeniem.

- Oczywiście, że powinnaś - odezwał się w końcu. Wyciągnął ręce i objął mnie, przytulając do nagiej klatki piersiowej. - Zawsze możesz tutaj przychodzić.

Poczułam, że moje gorące łzy spływają po jego piersi, zanim w ogóle zorientowałam się, że płaczę.

- Cat - powiedział kojącym głosem, głaszcząc mnie po włosach. - Co się dzieje?

- Nie wiem - zalkałam jeszcze głośniejsze. - Nie wiem, co jest ze mną nie tak.

- Ciiii - szepnął w czubek mojej głowy, poruszając moje włosy ciepłym oddechem. Przeszły mnie ciarki.  
- Wszystko będzie dobrze.

Wciągnął mnie do mieszkania i cicho zamknął za nami drzwi.

- Chcesz porozmawiać? - spytał po chwili. Potrząsnęłam głową.

- Nie - szepnęłam.

Podniosłam głowę. Popatrzyliśmy na siebie, a potem zamknęłam oczy i poczułam, jak jego wargi delikatnie dotykają moich. Wpiłam się w niego z pożądaniem, o którego istnieniu nawet wcześniej nie wiedziałam. Nasze pocałunki stawały się coraz głębsze i bardziej intensywne. Ponieważ jego mieszkanie było tak niewielkie, musieliśmy zrobić zaledwie kilka kroków, żeby dotrzeć do łóżka. Padliśmy na nie niezdarnie, wspólnymi siłami próbując zdjąć najpierw moją bluzkę, a potem dzinsy.

- Jesteś pewna? - spytał Marco, próbując rozpiąć mi stanik.

- Tak - powiedziałam stanowczo prosto w jego usta.

- Chcesz tego? - spytał. - Jesteś przekonana? - upewnił się.

- Tak - powtórzyłam. Nie myślałam i pozwoliłam ciału robić to, na co ma ochotę. Pomogłam Marco rozpiąć stanik i sięgnęłam w dół do jego bokserek.

Chwilę później, kiedy znalazł już prezerwatywę w szufladzie na bieliznę, Marco wszedł we mnie. Zamknęłam oczy i zatraciłam się w tej chwili, przyciągając go mocno do siebie. Bałam się, że jeśli go puszczę, zniknę na zawsze.

## **ROZDZIAŁ 18**

Następnego dnia wyszłam wcześniej, zanim Marco się obudził. Na pożegnanie pocałowałam go lekko w czoło i potem jeszcze raz w usta, kiedy przekręcił się we śnie. Patrzyłam w milczeniu przez okno taksówki w drodze do domu, tępo zastanawiając się, co właściwie robiłam. Czułam się kompletnie obnażona emocjonalnie.

Karina wsunęła mi pod drzwi karteczkę, ale jej nie przeczytałam.

Podniosłam ją tylko, położyłam na łóżku koło stolika, szybko przebrałam się w piżamę, zmyłam makijaż i weszłam do łóżka.

Kiedy kilka godzin później zadzwonił telefon, miałam wrażenie, jakbym zasnęła dopiero przed chwilą. Otworzyłam oczy i spojrzałam na zegarek.

Była siódma rano. Popatrzyłam na wyświetlacz telefonu. Dzwonił tata. W

Nowym Jorku był środek nocy. Coś musiało się stać.

Złapałam za słuchawkę, przytomna, próbując nie wpaść w panikę.

- Cat? - spytał tata.

- Tato, nic ci nie jest? - zapytałam od razu.

- Nie, nie, nikomu nic się nie stało - uspokoił mnie szybko.

- Och - westchnęłam. Serce mi zwolniło i wzięłam głęboki wdech. - W

takim razie dlaczego dzwonisz? U was jest chyba koło pierwszej w nocy?

- Tak - powiedział. - Wybacz, że cię niepokoję. Ale myślałem cały wieczór o naszej rozmowie.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie chciałam cię zdenerwować.

- Wiem, że nie chciałaś. - Zawahał się. - Ale jest coś, co musisz wiedzieć.

- Co takiego?

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Tato? - spytałam niepewnie.

- Zdradziłem twoją matkę, Cat - wypalił tata. Myślę, że moje serce na chwilę przestało bić.

- Co? - wyszeptałam.

- Tylko jeden raz - powiedział szybko. - To nic nie znaczyło. Ale zdarzyło się to na kilka miesięcy przed tym, zanim odeszła. Myślę, że kiedy się dowiedziała, poczuła, że miarka się przebrała.

- Zdradziłeś mamę? Westchnął.

- Od jakiegoś czasu nam się nie układało. Ale nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłem. Żadnego wytłumaczenia. Próbowałem przeproszać.

Próbowałem powiedzieć jej, że to nie miało znaczenia. Ale ona powiedziała, że wszystko zepsułem. Zawiodłem jej zaufanie. I miała rację.

Odjęło mi mowę.

- Cat, kochanie? - spytał mój ojciec po chwili ciszy.

- Czemu nic nam nie powiedziałaś? - spytałam cicho. - To znaczy, kiedy już byliśmy starsze?

- Ponieważ mama poprosiła mnie, żebym tego nie robił - powiedział. Jego głos był pełen emocji. - Wiedziała, że bardzo zraniła was swoim odejściem. Nie chciała, żebyście mnie również nienawidziły. Nawet kiedy wróciła, kazała mi obie-

cać, że nigdy nic nie powiem. „Dziewczynki potrzebują kogoś, kogo będą szanować”, powtarzała zawsze. Powiedziała, że to nigdy nie będzie ona, ponieważ tak bardzo cię skrzywdziła, kiedy odeszła. Uważała, że powinnaś móc zawsze na mnie polegać. Milczałam.

- Cat? - spytał niepewnie po chwili. - Powiedz coś.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Jeśli mnie znienawidzisz, zrozumiem to - powiedział. - Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Ale jeśli do tego dojdzie, zrozumiem. Spędziłem całe lata, nienawidząc siebie. Winiąc się za to, że zmusiłem mamę do odejścia.

Myślałam nad tym.

- Tato, nie zmusiłeś jej do odejścia - powiedziałam w końcu. - Nieważne, co się stało, to nie ty zmusiłeś ją do odejścia. To była jej decyzja. Ona nas zostawiła.

- Wiem, kochanie - powiedział. - I żałowała tego do końca życia. Wiem, że żałowała. A ty miałaś pełne prawo, żeby czuć się tak, jak się czułaś. -

Zawahał się. - Chciałem chyba po prostu, żebyś wiedziała, że nie wszystko było tak czarno-białe, jak mogło ci się wtedy wydawać. I dlatego nigdy nie chciałem dać jej odejść. Kochaliśmy się, Cat. Zawsze się kochaliśmy. Po prostu oboje popełniliśmy mnóstwo błędów.

Pomyślałam o miłości i stracie, decyzjach i ich konsekwencjach.

- Ale dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Twoja siostra, z nią wszystko jest w porządku - odpowiedział ojciec. -

Nigdy się o nią specjalnie nie martwiłem. Ale ty... Ty wciążnosisz w sobie żal do mamy. - Zamilkł na chwilę. - Świadomość, że jesteś w miejscu, z którego pochodziła, i wciąż nie możesz jej wybaczyć... Cóż, to łamie mi serce.

- Myślisz, że zasłużyła na wybaczenie? - spytałam go.

- Myślę, że każdy na nie zasługuje, Cat - odpowiedział.

Tata powiedział smutnym głosem, że jest świadom tego, iż nie będzie mi łatwo poradzić sobie z tymi



wszystkimi nowymi informacjami. Poprosił, bym wszystko przemyślała i zadzwoniła do niego, kiedy uznam, że jestem gotowa. Zgodziłam się, wciąż niewiarygodnie wstrząśnięta, po czym się pożegnałam.

Siedziałam chwilę na krawędzi łóżka, myśląc o wszystkim.

Wyznanie taty niczego tak naprawdę nie zmieniło, prawda? To znaczy oczywiście, być może tata nie był niewinnym męczennikiem, jakiego z niego uczyniłam. Ale przecież tak naprawdę podświadomie już to wiedziałam. Nigdy nie spodziewałam się, że przyzna się do zdrady - nie wyglądał na osobę, która robi takie rzeczy - ale wiedziałam, że miał irlandzki temperament, i pamiętałam, jak rodzice wrzeszczeli na siebie wiele razy w salonie, przekonani, że ja i Becky śpimy. Wchodziłam wtedy do łóżka siostry i zakrywałam jej uszy, żeby niczego nie słyszała.

Chroniąc ją, nie miałam wolnych rąk, żeby zasłonić uszy sobie. Zawsze słyszałam każde ich słowo przez cienkie ściany naszego mieszkania.

Tata krzyczał, że mama zrujnowała mu życie, a ona odpowiadała, że powinna była wyjść za kogokolwiek innego, byle nie za niego. On wrzeszczał, że zanim ją poznał, miał wiele różnych marzeń, a ona mu je wszystkie zabrała. Mama mówiła, że miał głowę w chmurach i tak czy inaczej nigdy nie zrealizowałby swoich planów. Jedno z nich kończyło kłótnię, krzycząc na całe gardło „nienawidzę cię”, po czym ojciec przeważnie wychodził na kilka godzin. Zawsze słyszałam, jak wracał w środku nocy, kiedy powinnam już dawno spać. Wchodził na palcach do salonu, czasami potykając się w ciemnościach o stolik, a potem otwierał

drzwi do sypialni. Słyszałam, jak cicho do siebie szepczą, i wiedziałam, że wszystko jest w porządku. Dopiero wtedy byłam w stanie zasnąć.

Czasami, kiedy byliśmy małe, jedno z nich pytało niby od niechcienia, czy Becky albo ja słyszałyśmy coś dziwnego poprzedniej nocy. Becky, która zawsze wszystko przesyiała, kręciła głową i zaprzeczała. Ja zmuszałam się do tego, żeby przybrać obojętny wyraz twarzy i mówiłam, że nie wiem, co mają na myśli. Zawsze patrzyli ma siebie z ulgą i znów udawali, że wszystko jest w porządku.

To, że rodzice się kłócili, zanim mama odeszła, nie było dla mnie wielkim odkryciem. Ale świadomość, że mój ojciec zdradził, zranił mamę w tych ostatnich miesiącach przed jej odejściem, w jakiś sposób zmieniła w mojej głowie obraz całej sytuacji. Zmiana była niewielka -

niewystarczająca, żeby zacząć winić tatę albo wściekać się, że nie wiedziałam o tym wcześniej. Ale wystarczyła, żebym po raz pierwszy od lat zobaczyła matkę jako kogoś, kto został zraniony, a nie tylko bezdusznego potwora. Nie zmieniało to faktu, że zrobiła coś strasznego.

Nie sądzę, abym kiedykolwiek była w stanie zrozumieć, jak matka może porzucić swoje dzieci. Ale był to kolejny element w układance. Zdałam sobie sprawę, że chociaż z pozoru wiem wiele o całej sytuacji, takich brakujących elementów może być jeszcze dużo więcej.

Może nadszedł czas, żebym zaczęła składać te puzzle w całość, zamiast udawać, że ich nie widzę.

Wzięłam prysznic, założyłam luźną sukienkę w kolorze kremowym i opuściłam mieszkanie z aparatem fotograficznym przewieszonym przez ramię. Chciałam wyjść, zanim pojawi się Karina. Miałam przeczucie, że przyjdzie pogadać o Michaelu, gdy tylko będzie miała przerwę w restauracji. A ja wciąż

nie byłam gotowa, żeby o nim mówić. Nie chcia-

łam nawet o nim myśleć.

Ruszyłam w stronę Piazza Colonna, placu niedaleko Via del Corso, na którym nigdy wcześniej nie byłam. Specjalnie omijałam to miejsce, chociaż znajdowała się tam wyjątkowa

rzeźba, kolumna z wizerunkiem Marka Aureliusza kunsztownie zdobiona i mająca ponad czterdzieści metrów wysokości. Została wykonana jeszcze przed końcem drugiego wieku. Ale dzisiaj nie byłam zainteresowana posągami. Chodziło mi o mały sklep z chustami znajdujący się w bocznej uliczce koło placu.

Wiedziałam o jego istnieniu od lat. Nie musiałam nawet sprawdzać na mapie, jak tam dojść. Śledziłam tę trasę tyle razy, że każdy zakręt był

wyryty w mojej pamięci. A jednak nigdy tam nie poszłam. Nigdy nawet tego nie chciałam. Aż do dzisiaj.

Ulice były puste, dlatego złapanie taksówki koło Panteonu nie stanowiło problemu. Nie musieliśmy też stać w korkach, żeby dotrzeć na miejsce.

Poprosiłam, by kierowca wysadził mnie po wschodniej stronie placu, i przeszłam przez niego szybko, prawie nie patrząc na pięknie wyrzeźbione sceny na kolumnie.

Ruszyłam bocznymi uliczkami, jakbym chodziła nimi całe życie, i wylądowałam na Via delia Guglia. Zobaczyłam sklep od razu, na początku ulicy po prawej stronie. Był mały i skromny. W dużym oknie wystawowym z przodu wyłożono mnóstwo pięknych chust i szalików w żywych kolorach. Dużymi literami i kursywą napisano na szybie:

„*Sciarpe dalia Famiglia Verdicchio*”. Chusty rodziny Verdicchio. Chusty mojej rodziny.

Patrzyłam długo na napis. Zawsze wyobrażałam sobie ten widok, ale nigdy nie spodziewałam się, że naprawdę go zobaczę. Spotkałam rodzinę mojej mamy tylko raz, kiedy jeszcze byłam małym dzieckiem. Nie pamiętałam prawie nic oprócz tego, że dziadek pachniał dymem, a babcia lukrecją. W albumach rodzinnych, które przeglądałam, zanim mama odeszła, ona i jej siostra Gina, młodsza zaledwie o osiemnaście miesięcy, wyglądały tak podobnie, że mama zawsze powtarzała, iż brano je za bliźniaczki. Pamiętałam doskonale twarze dziad-

ków i cioci ze zdjęć i kartek świątecznych, które przysyłali każdego roku.

Ale kartki przestały przychodzić po śmierci mamy, więc obraz, który miałam w głowie, był nieaktualny od siedemnastu lat. Właściwie to nie wiedziałam nawet, czy wciąż jeszcze żyją.

Było wcześniej i ulice były niemal puste. W sklepie nie paliło się światło i nikogo nie było w środku. Zatrzymałam się, żeby zajrzeć do wewnątrz.

Przycisnęłam nos do szyby.

Ciemne wnętrze wydawało się pulsować przygaszonymi kolorami.

Elegancko poskładane jedwabne chusty wisiały na wieszakach posegregowane według kolorów. Szaliki w żywych odcieniach błękitu i purpury leżały w centralnej części sklepu, różowe, pomarańczowe i czerwone znajdowały się po lewej, żółte i zielone ułożono po prawej, a czarne, beżowe i białe z przodu. Całą ścianę po prawej stronie zajmowały drewniane półki, a na nich złożone szale z paszminy we wszystkich kolorach tęczy. Chociaż w środku było ciemno, udało mi się dojrzeć przeszkloną szafkę, na której stała kasa. Szafka również wypełniona była małymi chustkami we wszystkich kolorach tęczy.

Stałam tam przez chwilę, po prostu patrząc. Wiedziałam oczywiście, że to tylko sklep, ale członkowie mojej rodziny dotykali tych tkanin, decydowali, gdzie będą stały wieszaki, dobierali kolory i wzory oraz prawdopodobnie sami wybrali wszystkie towary. Ręce, które dotykały mojej matki, trzymały jej dłonie, szczypały ją w policzki, gładziły jej włosy, dotykały także wszystkiego, co znajdowało się w tym sklepie. W

dziwny sposób sprawiało to, że brakowało mi tchu.

Po jakimś czasie spojrzałam na zegarek. Nie było jeszcze dziewiątej trzydzieści. Sklep na pewno otwierano o dziesiątej albo jedenastej i nie byłam pewna, co zrobię, kiedy to się w końcu stanie. Potrzebowałam czasu, żeby pomyśleć.

Odsunęłam się od okna i przeszłam na drugą stronę małej uliczki. Dwa domy dalej stał budynek z małym gankiem przy

wejściu. Prowadziło do niego pięć szerokich schodków. Usiadłam na drugim stopniu i czekałam.

Po jakimś czasie wyciągnęłam aparat fotograficzny i bez zastanowienia zaczęłam przeglądać zdjęcia na ekranie. Większość skasowałam z karty pamięci po tym, jak zgrałam je na komputer, ale kilka zostawiłam. Teraz przejrzałam zdjęcia ze swojej dzielnicy w Nowym Jorku. Zrobiłam je zaledwie miesiąc temu. Nagle poczułam się zupełnie nie na miejscu.

Rzym i ta zakurzona boczna uliczka, znajdująca się tysiące kilometrów od miejsca, w którym mieszkałam, to nie był mój dom. Nieważne, jak mocno pragnęłam, żeby było inaczej i jak bardzo chciałam poczuć, że moim przeznaczeniem było się tu znaleźć. Ale mój dom to był piaskowiec, który zobaczyłam na wyświetlaczu aparatu, ulice pełne ludzi, kawiarnia na rogu. Dom oznaczał parę gołębi wyczekujących na okruchy w Central Parku, mężczyznę sprzedającego bajgle z wózka na ulicy, błyszczące łuki budynku Chryslera. Dom to był widok na Ellis Island z parku Battery, jaskrawa zieleń, biel i czerwień Małej Italii oraz przykurzony czar Chinatown. Dom to Becky i tata.

A co, jeśli część mnie również tutaj czuła się jak w domu? Przecież miałam wrażenie, że niewielki fragment mojej duszy znajdował się tutaj od zawsze. Od momentu, kiedy przyjechałam do Rzymu po raz pierwszy trzynaście lat temu, wszystko wydawało mi się tak znajome... Zupełnie jakbym tu już kiedyś była. Może znajomość Rzymu wyssałam z mlekiem matki, a mapa miasta wpisana była w mój materiał genetyczny i miała stanowić część mojej osobowości? Brzmiało to wariacko, ale bałam się, że duchy przeszłości stawały się niespodziewanie częścią teraźniejszości.

W końcu coś kazało mi tu przyjść. Być może musiałam się z nimi zmierzyć, zanim wrócę do swojego życia.

Wyłączyłam podgląd w aparacie i podniosłam go powoli. Spojrzałam przez obiektyw i zrobiłam

## zbliżenie na sklep

z chustami po drugiej stronie ulicy. Z miejsca, w którym siedziałam, widziałam tylko jasny jedwab błyszczący w szybie wystawowej i wyraźny napis, oznajmiający światu, że to miejsce, tak samo jak ja, należy do rodziny Verdicchio.

Zrobiłam pojedyncze zdjęcie. Obejrzałam je na ekranie. Kompozycja była fatalna. Ponownie spojrzałam przez obiektyw i zmniejszyłam trochę zoom. Na ekranie pojawiły się kolory. Zrobiłam kolejne zdjęcie. Znow popatrzyłam na ekran i po raz kolejny poczułam, że ujęcie nie było dobre.

Wzięłam głęboki wdech i wstałam ze stopnia. Przeszłam kawałek dalej i znalazłam się dokładnie naprzeciwko sklepu. Wciąż stojąc po drugiej stronie ulicy, zaczęłam robić zdjęcia.

Jak się to czasami zdarzało, kiedy mogłam ukryć się za soczewką aparatu, zupełnie pochłonęło mnie robienie kolejnych ujęć pod różnymi kątami.

Przesuwałam się w lewo i w prawo, kuciałam, przysiadalam i przenosiłam się z miejsca na miejsce, a wszystko po to, aby znaleźć jak najlepsze ujęcie. Słońce coraz wyżej wznosiło się nad solidnym budynkiem i jego promienie zaczęły już oświetlać ulicę. Ludzie wychodzili z okolicznych budynków, niektórzy ubrani elegancko, jak do pracy w biurze, inni zwyczajnie, ponieważ tylko odprowadzali dzieci do szkoły albo szli załatwić jakieś inne sprawy. Ale ja prawie ich nie zauważałam. Byłam zagubiona w świecie, który istniał tylko wewnątrz trzydziestocalowego obiektywu mojego aparatu. Czułam się oderwana od rzeczywistości, zupełnie jakbym patrzyła nie w obiektyw, ale w kalejdoskop. Widziałam otaczający mnie świat w ostrym zbliżeniu i nie mogłam zignorować tych obrazów.

Po jakimś czasie znow usiadłam na schodku. Wciąż czekałam, chociaż właściwie nie wiedziałam na co. Chciałam tylko zobaczyć swoją ciotkę albo dziadków. A co będzie potem? Czy coś im powiem? Czy w ogóle rozpoznam ich po tylu latach? A może wcale już ich tu nie będzie? Co, jeśli sklep przeszedł w ręce kuzynów albo obcych ludzi, którzy zdecydowali

się zachować nazwę? Nagle poczułam paraliżujący strach i niepewność.

A jeśli zebrałam całą swoją odwagę i przyszłam tu na próżno?

Trzydzieści minut później zobaczyłam, że wewnątrz sklepu zapalają się światła. Nie zauważyłam, żeby ktokolwiek wchodził przez drzwi wejściowe. Być może rodzina mojej mamy mieszkała nad sklepem albo było gdzieś tylne wejście. Nagle serce zaczęło bić mi dwa razy szybciej.

Chwilę później przez frontowe drzwi wyszła kobieta ze ściereczką i butelką błękitnego płynu w dłoni. Wyglądała mniej więcej na sześćdziesiąt pięć lat. Miała błyszczące, czarne, sięgające do ramion włosy, gdzieś tam poprzetykane siwizną. Rozpoznałam ją natychmiast jako swoją ciotkę Ginę, kobietę, którą znałam jedynie ze zdjęć. Zaczęła psikać płynem na szybę i przecierać ją szmatką. Patrzyłam na nią jak zahipnotyzowana, a ona pracowała szybko. Była bardzo podobna do mojej matki, która mogłaby wyglądać identycznie, gdyby żyła jeszcze dwadzieścia lat. Chociaż od kiedy skończyłam dwanaście lat, zdołałam zgromadzić pokaźny kapitał negatywnych uczuć do swojej mamy, teraz poczułam olbrzymią falę smutku. Patrząc na ciotkę, wyobrażałam sobie wszystko, co mogłoby się wydarzyć, gdyby mama nie odeszła tak wcześnie.

Patrzyłam, jak ciotka pracuje. W pewnym momencie podniosłam aparat i spojrzałam na nią przez obiektyw. Zrobiłam zbliżenie i obserwowałam znajome rysy twarzy. Trzymała ramiona w taki sam sposób jak mama i wycierając szybę, uśmiechała się do siebie w ten sam nieobecny sposób.

Jej gesty były tak podobne do gestów matki, że aż poczułam ból.

Zaczęłam pstrykać zdjęcia prawie bez zastanowienia. Migawka trzaskała jak szalona. Nie chciałam stracić ani jednej sekundy. Pragnęłam uwiecznić wszystkie ruchy i gesty tej kobiety. Nagle stało się dla mnie niesłychanie ważne, żeby to wszystko uchwycić.

Właśnie kończyła myć okno, gdy nagle odwróciła się i spojrzała prosto na mnie. Zanim zdążyłam pomyśleć, zrobiłam jej kolejne zdjęcie, po czym z miną winowajcy opuściłam aparat i próbowałam udawać, że patrzę zupełnie gdzie indziej. Serce mi waliło, kiedy z udawanym spokojem odwróciłam się i zrobiłam zdjęcie znajdującego po prawej stronie schodów śmietnika. Nie wiedziałam, czy kobieta wciąż na mnie patrzy, więc udawałam, że jestem również niezwykle zafascynowana czerwonym rowerem, przywiązany do latarni dwa domy dalej. Jemu też zrobiłam kilka zdjęć.

Kiedy ponownie spojrzałam w stronę sklepu, już jej nie było.

Westchnęłam z ulgą, ale o dziwo poczułam też cień smutku. Miałam wrażenie, że jestem bliżej mamy niż kiedykolwiek przez ostatnie siedemnaście lat, mimo że patrzyłam na jej siostrę z daleka i przez obiektyw aparatu. To było przyjemne uczucie. Być może mury, które zbudowałam wokół swojego serca, nie były tak wysokie, jak mi się wydawało.

Siedziałam chwilę na stopniu, próbując złapać oddech i trochę zebrać się w sobie. Byłam zupełnie rozbita. Po chwili znów włączyłam aparat i zaczęłam przeglądać zdjęcia, patrząc na twarz ciotki, jej posturę i miny, które robiła.

Nagle usłyszałam, że ktoś się zbliża. Otrząsnęłam się z transu i podniosłam głowę. Oczy rozszerzyły mi się z przerażenia, kiedy zdałam sobie sprawę, że to moja ciotka Gina znów wyszła na zewnątrz i nie tylko patrzy na mnie, ale właśnie idzie w moją stronę z miną nie wróżącą nic dobrego. Szybko wstałam, wciąż bawiąc się aparatem i w efekcie omal go nie upuszczając.

Mówiła coś szybko i ostrym tonem po włosku, wymachując gwałtownie rękami, ale byłam zbyt poruszona tym, jak znajomo brzmi jej głos, żeby zdobyć się na jakąś logiczną odpowiedź. Miała identyczny głos jak moja mama. A przecież jeszcze niedawno byłam pewna, że nie pamiętam już jego

brzmienia. Wiedziałam, że łaja mnie za robienie jej zdjęć bez pytania.

Prawdopodobnie zastanawiała się, czemu to robiłam. Wciąż nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa.

W końcu przestała krzyczeć i wydawała się czekać na odpowiedź.

Kilkakrotnie głośno przełknęłam ślinę, próbując pozbyć się wielkiej guli, tkwiącej mi w przełyku.

- *Non parlo l'italiano* - wykrztusiłam wreszcie, po czym dodałam słabo: -

Przykro mi.

Znów otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła.

Patrzyła na mnie chwilę, po czym zrobiła krok w moją stronę. Coś zmieniło się w wyrazie jej twarzy. I nagle, tak po prostu, wiedziałam, że ona wie.

- Catarina? - spytała miękko. Serce skoczyło mi do gardła. - Cat? -

Zamilkła i pokręciła głową, jakby nie całkiem mogła w to uwierzyć. -

Jesteś Cat, prawda? - spytała. Ale tym razem, chociaż sformułowała wypowiedź jak pytanie, brzmiała ona raczej jak stwierdzenie.

- Skąd wiedziałaś? - spytałam cicho.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego spoglądała na mnie, nie poruszając się, a potem przyciągnęła do siebie gwałtownie i przytuliła tak mocno, że zabrakło mi nawet tych resztek tchu, które jeszcze miałam w płucach.

- Jesteś córką Audrey - powiedziała cicho i odsunęła się ode mnie.

Brzmiało to trochę, jakby powtarzała sobie te słowa, by móc wreszcie w nie uwierzyć. - Jesteś córką Audrey i przyjechałaś do Rzymu.

Nikt nie mówił o mnie jako o córce mojej matki od czasów, kiedy byłam małą dziewczynką i mama odprowadzała mnie na lekcje pianina i baletu.

- Tak - potwierdziłam cicho. - To ja.

Znów mnie przytuliła, po czym odsunęła się i wzięła moją twarz w dłonie.

Popatrzyła mi w oczy.

- Jesteś do niej taka podobna - mruknęła.

- Ty też.

- Co tutaj robisz? - spytała. - Przyjechałaś do Rzymu, żeby się ze mną zobaczyć?

Wyglądała na pełną nadziei. Martwiłam się, co powie na mój widok, kiedy wreszcie się spotkamy. Czy mama opowiadała jej, jak strasznie ją traktowałam, gdy wróciła do domu? Powiedziałam jej, że nigdy jej nie wybaczę i nie zaakceptuję ponownie jako swojego rodzica. Czy ciotka wiedziała, jak bardzo zraniłam mamę w tych ostatnich dniach przed śmiercią? Fala poczucia winy zalała mnie, kiedy patrzyłam jej w oczy.

Były tak bardzo podobne do tych, które widziałam ostatnio szesnaście lat temu.

- Nie - odpowiedziałam szczerze. - Przyjechałam dla siebie. - Wzięłam głęboki wdech i dodałam: - Ale myślę, że część mnie jest też tutaj.

Nie byłam pewna, czy to zdanie miało jakiś sens, ale Gina wolno skinęła głową, jakby zrozumiała.

- Wiedziałam, że kiedyś przyjedziesz - powiedziała. - Twoja mama powiedziała mi, że tak będzie.

- Co? - zdziwiłam się. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Wejdiesz ze mną do środka?

Zawahałam się, wzięłam głęboki wdech i skinęłam głową. Włożyłam aparat do torby i przewiesiłam ją przez ramię. Poszłam za nią, a ona zaskoczyła mnie, biorąc mnie łagodnie za rękę. Mocno ją ścisnęła.

Weszłam do sklepu, który był słabo oświetlony i pachniał delikatnie lawendą oraz kwiatem pomarańczy, kuszącym zapachem, przypominającym mi perfumy mojej matki. Gina poprosiła mnie gestem, żebym poczekała, i poszła na zaplecze po krzesło.

- Usiądź - powiedziała z uśmiechem. Tak zrobiłam, a ona usiadła na krześle za kasą. Pochyliła się w moją stronę i przyglądała mi się dłuższą chwilę.

- Jesteś piękna - powiedziała miękko. - To tak, jakby patrzeć na Audrey.

Poczułam, że mam łzy w oczach. Potrząsnęłam głową i spojrzałam w dół.

- Jestem też podobna do taty - zaprotestowałam. Natychmiast tego pożałowałam. Zabrzmiało to bojowo i niewdzięcznie. Ale Gina chyba tego tak nie odebrała.

- Tak, jesteś - potwierdziła. - Twojej mamie zawsze podobało się to w tobie i twojej siostrze. Mówiła, że odziedziczyłyście to, co najlepsze po obojgu rodzicach. Bardzo was kochała.

Prychnęłam i uciekłam w bok spojrzeniem. Gina milczała, być może czekała, aż coś powiem. Ale nie miałam nic do powiedzenia. Zresztą, jak można było jej powiedzieć, że jej siostra nie miała pojęcia o miłości?

- Wiesz, gdzie była przez te wszystkie lata, kiedy zniknęła? - spytała mnie Gina po chwili.

Pytanie zaskoczyło mnie i odwróciłam szybko głowę. Mama zawsze była strasznie tajemnicza, jeśli chodzi o to, gdzie się wtedy podziała.

Przypuszczałam, że poznała jakiegoś mężczyznę i zamieszkała z nim gdzieś daleko, próbując ułożyć sobie życie na nowo. Jako nastolatka spędzałam bezsenne noce na tworzeniu w wyobraźni żywych historii dotyczących jej wyjazdu. Zawsze myślałam, że pojechała gdzieś na zachód, może do Las Vegas albo Los Angeles. W moich wizjach zamieszkała z ciemnowłosym mężczyzną, który był wyższy i przystojniejszy od taty. Ten tajemniczy mężczyzna miał na pewno kilkoro dzieci z poprzedniego małżeństwa, na przykład dwie córeczki, które moja mama rozpuszczała i którym nadskakiwała, dzięki czemu mogła zapomnieć o swoich własnych dzieciach.

- Nie - wyznałam w końcu. - Nigdy nam nie powiedziała.

Nienawidziłam mamy nawet jeszcze bardziej za to, że nigdy nie wyjaśniła nam, w jakiej czarnej dziurze podziewała się przez te wszystkie lata. Tata też nam nic nie powiedział. Właściwie nie miałam pewności,

czy w ogóle wiedział. Zapy-

tałam po raz ostatni tego roku, kiedy umarła. Potem zdecydowałam, że to nie ma znaczenia. Nieważne, gdzie się podziewała. Nie powinno mnie to obchodzić. Ważne było tylko to, że odeszła od nas, nie oglądając się za siebie. Gina patrzyła na mnie długą chwilę.

- Chciała, żebyś wiedziała - powiedziała wreszcie. - Ale tylko, jeśli sama przyjdiesz szukać odpowiedzi. Ponieważ jeśli przyszedłabyś jej szukać, to znaczy, że jesteś na nią gotowa.

- O czym ty mówisz? - spytałam, kręcąc głową.

- Przyjechała tutaj, Cat - powiedziała miękko Gina. - Wróciła do domu.

Do Rzymu. Do nas.

- Co? - patrzyłam na nią z niedowierzaniem. Nie mieściło mi się w głowie, że matka mogła zostawić dzieci, ponieważ wołała swoich rodziców. Gdyby tak było, chyba odesłali by ją z powrotem, prawda? Na pewno powiedzieliby jej, że porzucanie własnych dzieci jest niewybaczalne. Przecież rodzina to najważniejsza rzecz na świecie, a więź pomiędzy matką i dzieckiem nigdy nie powinna być zrywana.

- Dlaczego? - spytałam słabym głosem.

Gina przez dłuższy czas milczała, patrząc na swoje dłonie. Odwróciła je wnętrzem do góry i przesuwając palcem wskazującym lewej ręki po linii życia. W końcu spojrzała na mnie.

- Była chora, Cat - powiedziała spokojnie.

- Chora? - powtórzyłam. Nie rozumiałam, o co chodzi. - Co masz na myśli?

Zupełnie niespodziewanie pojawiły się w mojej głowie obrazy bohaterskiej walki z rakiem. Ale to nie mogła być prawda. Gdyby była chora, zostałaby z nami w domu i walczyła.

Gina westchnęła.

- Psychiczenie - dodała miękko. - Była chora. Bardzo chora.

- Co? - patrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc.

- Twoja mama od zawsze borykała się z depresją - zaczęła powoli. -

Wiedziałaś o tym, Cat? Wiedziałaś to o swojej mamie?

- Nie - szepnęłam. Gina uśmiechnęła się.

- Dobrze - stwierdziła. - Nie chciała, żebyś wiedziała. Nie, kiedy byliście małe. Przez jakiś czas myślała, że miłość do was i waszego ojca uratuje ją.

I przestanie czuć ten smutek.



Poczułam łzy w oczach.

- Ale tak się nie stało? Gina potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, by depresja mogła być wyborem, czymś, co można włączać albo wyłączać wedle życzenia - powiedziała. - Przez chwilę udało jej się zwalczyć chorobę. Ale ona zawsze tam była. Czasami zaczynała krzyczeć na twój tatę bez powodu, prawda? Albo bywała zła na was?

- Tak - szepnęłam, czując, jak powracają wspomnienia, smutne wspomnienia mojej mamy przybitej, krzyczącej albo rzucającej rzeczami.

Dawno już je pogrzebałam.

Gina skinęła głową.

- Wiem. Miała z tego powodu bardzo duże poczucie winy. Zawsze była przekonana, że rujnuje wam życie. Powtarzała mi, że ty i Rebeka zasłużyłyście na kogoś lepszego.

- Ale ona odeszła - wydusiłam. Mój głos zabrzmiał bardzo piskliwie, prawie jakbym znów miała jedenaście lat. - Jak mogła nas zostawić?

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie to zrozumieć, Cat -

odpowiedziała Gina. - Ty też możesz tego nigdy nie pojąć. Ale proszę, wiedz, że kiedy wróciła do Rzymu, do nas, spędzała całe dni myśląc o tobie, twojej siostrze i waszym ojcu. Płakała z tego powodu cały czas. Ale była przekonana, że to było właściwe rozwiązanie. Myślała, że lepiej wam będzie bez niej.

- Ale... - zaczęłam. Przez chwilę nic nie mówiłam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. - To niemożliwe. Nie kochała nas wystarczająco, żeby zostać. Gdyby nas kochała, zostałyby.

Oczy Giny wypełniły się łzami.

- Cat, ona nie odeszła, ponieważ was n i e kochała - wyjaśniła. - Odeszła, ponieważ było odwrotnie. Kochała was. Bardziej niż była w stanie znieść. I myślała, że rani was tym, że jest z wami. Sądziła, że tak będzie lepiej dla was. Próbowałam ją przekonać, żeby wróciła do Nowego Jorku, ale *mamma* i *pappa* po prostu cieszyli się, że wróciła do domu. Nie chcieli, by jechała do Ameryki. Nigdy nie lubili twój ojca. Uważali, że zabrał im twoją mamę. Pozwolili jej więc zostać i utwierdzili ją w przekonaniu, że tak jest lepiej. Uważali, że wpadła w depresję z powodu wyjazdu do Ameryki. Ale to nie była kwestia Ameryki. To nie była wina tego, że tam mieszkała. Po prostu była chora.

- To niemożliwe - powiedziałam cicho. Gina spojrzała na mnie smutno.

- Taka jest prawda - powiedziała. - W końcu zaczęła się leczyć. I powoli zaczęło się jej poprawiać. Zaczęła brać lekarstwa. Uczyła się, jak sobie ze wszystkim radzić. A kiedy poczuła się gotowa, wróciła do domu i chciała spróbować znów stać się częścią waszej rodziny.

Poczułam, że łzy jak grochy same płyną mi po twarzy. Wytarłam je, zła, że emocje wzięły nade mną górę.

- Dlaczego mi nie powiedziała? - szepnęłam. - Dlaczego po prostu pozwoliła się nienawidzić? Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?

- Uważała to za objaw słabości - odrzekła Gina. - Poza tym czuła, że zasłużyła sobie na twoją nienawiść. Chciała na swój sposób cię odzyskać.

Chciała pokazać ci, że możesz jej zaufać, że możesz ją kochać. Chciała spędzić każdy dzień, wynagradzając ci swoje odejście.

Pomyślałam o tym, jak wiele razy matka próbowała ze mną porozmawiać i w odpowiedzi usłyszała ode mnie, że jej nienawidzę. Ile razy powiedziała mi na te słowa po prostu: „Kocham cię, Cat. Zawsze cię kochałam i zawsze będę cię

kochać", zamiast kłócić się ze mną. Siedząc teraz z jej siostrą, kobietą, która tak bardzo ją przypominała, prawie słyszałam w wyobraźni jej głos.

- Ale potem umarła - westchnęłam. Łzy płynęły mi teraz po twarzy strumieniami i miałam problemy ze złapaniem tchu.

- A potem umarła - powtórzyła Gina, kiwając głową. Też miała wilgotne oczy.

Szlochałam już rozpaczliwie.

- Nigdy jej nie powiedziałam, że ją kocham - wyznałam. - Nigdy tego nie powiedziałam po jej powrocie. Ale nigdy nie przestałam jej kochać. Po prostu nie chciałam. Łatwiej mi było ją nienawidzić.

Gina przyglądała mi się przez chwilę. Potem wstała, wzięła mnie w ramiona i pozwoliła mi wypłakać się w swoją bluzkę.

- Ale ona wiedziała, Cat - pocieszała mnie cicho. - Wiedziała, że ją kochasz. Zawsze to wiedziała.

## **ROZDZIAŁ 19**

Wyznałyśmy sobie prawdę i chwilowo nie było nic więcej do powiedzenia. Potrzebowałam czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

Poczułam się tak, jakby zmienił się cały mój świat.

Wciąż wiedziałam, że mama opuściła nas bez słowa i żadnego wyjaśnienia. Nieważne, jaki był tego powód. Zawsze będzie mnie to prześladowało i zawsze będzie bolało. Nie byłam przekonana, czy kiedykolwiek potrafię jej to do końca wybaczyć.

Ale po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, że to nie była nasza wina. W

każdym razie nie całkowicie. Nie zostawiła nas, ponieważ nas nie kochała. Zrobiła to dlatego, że walczyła z demonami, których nie potrafiła zrozumieć, i nie chciała nas ciągnąć ze sobą w dół.

To znaczyło, że to nie była moja wina.

Kiedy o tym myślałam, zwłaszcza teraz, będąc już dorosła, zrozumiałam, pary się rozstają zazwyczaj dlatego, że im się nie układa, a nie dlatego, że ich dzieci zrobiły coś złego. Miałam świadomość, że nie powinnam się za to winić.

Ale gdy ma się jedenaście lat i zostaje się porzuconym przez matkę, nie można n i e winić siebie. Chociaż tata tulił mnie co noc i powtarzał, że mama kochała nas i niedługo wróci, a to, że nas opuściła, nie miało z nami nic wspólnego, nigdy mu całkowicie nie uwierzyłam. Może gdybym dokładniej sprzątała pokój, mniej dokuczała siostrze, przestała wyklócać się, o której mam iść spać, mama by została. Może gdybym była lepiej zorganizowana, bardziej o siebie dbała, więcej pomagała w domu, nie czułaby tak dużej presji.

I tak stałam się osobą, jaką w swoim wyobrażeniu powinnam być według swojej matki. Przestałam kłócić się z Becky, opiekowałam się tatą tak, jak tylko umiałam. Odkurzałam, zmywałam naczynia. Sprzątałam po całej naszej trójce, nauczyłam się gotować obiady i robiłam wszystko, o co mnie poproszono. Nigdy nie przechodziłam jako nastolatka fazy buntu, ponieważ gdybym się buntowała, może tata też by nas zostawił? Nigdy nie ryzykowałam, ponieważ obawiałam się, że jeśli coś pójdzie nie tak i stanie mi się coś złego, nie będzie nikogo, kto mógłby zająć się Becky.

Stałam się kobietą, którą jestem dziś, ponieważ byłam przekonana, że mama zostawiła nas, bo nie chciała się wysilać, a my nie byliśmy warci tego, by nas kochać. Stałam się tym, kim byłam, ponieważ myślałam, że jeśli będę lepsza, jeśli będzie mnie łatwiej kochać, ona wróci.

Ale to nie miało ze mną nic wspólnego. Mama nie odeszła od nas do jakiegoś tajemniczego nieznanego. Nie odeszła od nas, by kochać inne dzieci. Odeszła od nas, ponieważ nie wiedziała, jak zająć się sobą i nie potrafiła poprosić o pomoc.

Uciekła od tego, co było w niej. Nie widziała, że rozwiązanie problemu znajdowało się tuż przed jej nosem. Czy nie spędziłam całego swojego dorosłego życia, robiąc dokładnie to samo?

Karina słuchała z otwartymi ustami, gdy tego popołudnia opowiadałam jej o porannym spotkaniu z ciotką Giną.

- Jestem z ciebie bardzo dumna. To wspaniale, że się na to zdobyłaś -

powiedziała cicho. - A gdzie są twoi dziadkowie? Ich też spotkałaś?

Opuściłam wzrok.

- Gina mówi, że babcia zmarła pięć lat temu, a dziadek w zeszłym roku -

powiedziałam. - Sama zajmuje się sklepem.

- Przykro mi - zmartwiła się Karina. Potrząsnęłam głową.

- Nie - odparłam. Poczułam łzy w oczach. - Właściwie to myślę, że tak jest lepiej. To znaczy, że prawdopodobnie są z moją mamą, prawda?

Karina skinęła szybko głową i kiedy na nią spojrzałam, zauważyłam, że też ma łzy w oczach.

- To co teraz zrobisz? - spytała. Wzruszyłam ramionami.

-Ni e wiem. Nie wiem, czy jest coś, co mog ę zrobić. Muszę to dobrze przemyśleć, wiesz? Po prostu nie mogę przestać czuć się winna. Byłam tak okropna dla mamy, kiedy przez to wszystko przechodziła. -

Zawahałam się i poczułam gulę w gardle. - Kiedy wróciła, spędzała całe dni, powtarzając mi, jak bardzo mnie kocha. A ja zawsze odpowiadałam jej, że jej nienawidzę. Umarła, myśląc, że to prawda.

Karina milczała długą chwilę. Byłam pewna, że mnie potępia i miała do tego pełne prawo. Byłam okropną córką. Okropnym człowiekiem.

- Powiedz coś - wyrzuciłam z siebie w końcu, kiedy cisza się przeciągała.

- Jeśli myślisz, że jestem najgorszą osobą na świecie, po prostu mi powiedz.

- Nie - stwierdziła stanowczo Karina. Wzięła głęboki wdech. - Chcę, żebyś mnie posłuchała. Popatrz na mnie. -

Zamilkła i czekała, aż niechętnie spojrzę jej w oczy. - Posłuchaj mnie uważnie, Cat. Ona wiedziała.

- Co?

- Ona wiedziała - powtórzyła z naciskiem.

- Wiedziała co?

- Wiedziała, jak bardzo ją kochasz - powiedziała Karina. - Wiedziała, że chociaż bardzo tego chciałaś, nie mogłabyś jej nigdy nienawidzić.

Potrząsnęłam głową.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Karina czekała z odpowiedzią, aż znów spojrzałam jej w oczy.

- Ponieważ jestem matką - odpowiedziała. - A matka zawsze wie. Matka potrafi czytać z oczu dziecka jak z książki. Matka widzi, co jest w sercu dziecka. Matka zawsze wie.

- Ale nie było jej pięć lat. - Potrząsnęłam głową. - Ja się zmieniłam. Nie mogła wciąż mnie znać.

- Matka wie - powtórzyła Karina. - Nieważne, co mówiłaś i co czułaś w swoim przekonaniu. Ona potrafiła czytać w twoich oczach.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować. Ale w wyrazie twarzy Kariny było coś, co mnie powstrzymywało. Naprawdę była o tym przekonana każdą komórką swojego ciała.

- Nie musisz niczego żałować - dodała po chwili. - Cat, byłaś tylko dzieckiem. Zranionym, smutnym dzieckiem. Nic z tego nie było twoją winą.

Patrzyłam długo na swój kubek, jakby rozwiązanie moich problemów mogło znaleźć się w czarnych fusach kawy.

Karina przez chwilę milczała. Potem odezwała się łagodnym tonem.

- Cat, muszę porozmawiać z tobą o Michaelu Evangelisti.

Podniosłam gwałtownie głowę i spojrzałam na nią.

- O Michaelu? - spytałam. Roześmiałam się chrapliwie. -A o czym tu rozmawiać? To żonaty facet, którego nie obchodzi, że ma żonę i dziecko.

- Cat - powiedziała powoli Karina. - On nie jest żonaty.

- Co? - spytałam. Potrząsnęłam głową. - Nie, mylisz się. Jego teściowa dzwoniła do restauracji tej nocy, kiedy się z nim umówiłam. Ona z nimi mieszka, na litość boską. Nawet sama powiedziałaś, że poznałaś jego żonę.

- Właśnie - potwierdziła Karina. - Poznałam ją. Nie powiedziałam, że ją zn a m.

Zrobiło mi się zimno w środku.

- Jak to?

- Nazywała się Linda - mówiła wolno Karina. - Amerykanka. Była cicha, ale wydawała się bardzo miła.

- Zawahała się. - Mieli razem córkę. Annie.

Jest mniej więcej w wieku Nico. Ponownie zamilkła na chwilę i spojrzała na mnie. - Linda zginęła cztery lata temu. W wypadku samochodowym.

-C o ?

Karina skinęła głową.

- Annie była z nią w samochodzie. Nic jej się nie stało. Ale Linda zginęła.

Michael był zdruzgotany. Wrócił tu, do Rzymu, do swojej rodziny.

Spędził tu rok. Kiedy Nico i Annie byli mali, nawet się razem bawili. Ale on chciał wychowywać Annie w Nowym Jorku, tam gdzie spędził całe życie, więc przeprowadził się z powrotem i otworzył tam restaurację.

Mama Lindy wprowadziła się do niego, żeby pomóc mu przy Annie, ponieważ pracował do bardzo późna, a nie chciał, żeby jego córka była wychowywana przez nianię.

Poczułam się, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch.

- Czyli nie jest żonaty - wyszeptałam. Karina potrząsnęła głową.

- Nie. Wy tłumaczył mi, jakie nieporozumienie zaszło między wami.

Czuje się z tego powodu okropnie. Powiedziałam mu, że nie miałam pojęcia, iż zaczął znowu umawiać się na

randki. Odpari, że wcale nie zaczął. Byłaś pierwszą osobą, z którą się umówił od śmierci Lindy. Nie miał pojęcia, że jest na to gotowy, dopóki nie zobaczył cię siedzącej na beczce z oliwą w jego kuchni.

- Tak powiedział? - spytałam. Karina skinęła głową.

- Tak - potwierdziła. - Myślę, że naprawdę cię polubił.

- O mój Boże - westchnęłam. Ukryłam twarz w dłoniach. - Co ja zrobiłam?

- To było nieporozumienie - uspokajała mnie Karina. - Jestem pewna, że wszystko się ułoży.

Spojrzałam na nią.

- Gdzie on teraz jest? Zawahała się.

- Wyjechał do Nowego Jorku - powiedziała. - Próbował cię wczoraj znaleźć. Ale nie wrócił do domu.

Poczucie winy zalało mnie z taką siłą, jakby pękła jakaś tama.

- Nie - przyznałam. Karina skinęła głową.

- Zostawił dla ciebie wiadomość - oznajmiła.

- Tak?

Skinęła ponownie głową i poszukała czegoś w kieszeni fartucha. Chwilę później wyciągnęła z niego złożony kawałek papieru.

- Tutaj - powiedziała. - Ja i tak muszę wracać do pracy. Wpadnę do ciebie, gdy skończy się moja zmiana. Ale przeczytaj ją. I pomyśl o tym. Dobrze?

Kiedy wzięłam do ręki kawałek papieru, czułam się kompletnie ogłuszona.

Kilka minut później wciąż siedziałam w swoim mieszkaniu, trzymając wiadomość w ręku. Umierałam z ciekawości, co Michael w niej napisał, ale jednocześnie część mnie nie była całkiem przekonana, że chcę to przeczytać.

Bałam się przyznać, że mi na kimś zależy. Właściwie to było nawet łatwiejsze, móc spisać Michaela na straty jako niegodnego zaufania, kłamliwego drania. To byłam w stanie znieść. Do tego byłam przyzwyczajona. Ale spotkanie kogoś, kogo widok zapierał mi dech w piersiach z tych właściwych powodów, to była zupełnie inna historia.

Właściwie nie powinnam dawać mu szansy. Skoro byłam pierwszą osobą, z którą się umówił od czasu śmierci żony, istniało duże prawdopodobieństwo, że wciąż był emocjonalnym wrakiem, a ja jego

randkowym królikiem doświadczalnym, prawda? Poza tym miał dziecko.

Jeśli przypadkiem ułożyło by się nam, czy naprawdę dojrzałam do roli macochy małej dziewczynki? Zawsze martwiłam się, że byłabym okropnym rodzicem i zawiodłabym dzieci, które powinnam kochać, zupełnie jak moja matka. Wiedziałam, że trochę się zapędziłam - umó-

wiliśmy się z Michaeliem zaledwie raz, a ja już stawałam się w myślach częścią jego rodziny - ale równocześnie czułam, że muszę o tym pomyśleć. W końcu mój związek z Michaeliem miałby kolosalny wpływ na życie dziewczynki. Jaką matką -lub macochą - mogłabym się stać?

Poza tym był jeszcze Marco. Słodki Marco, który widział mój smutek i strach, i zrobił więcej, by otworzyć mi oczy i serce niż ktokolwiek inny w ciągu ostatnich lat. O to właśnie chodziło, był dobrym człowiekiem. Nie chciałam go skrzywdzić.

Powoli otworzyłam list i zaczęłam czytać.

*Droga Cat.*

*Przepraszam. Przepraszam, że nie powiedziałem Ci o swojej żonie i córce. Przepraszam, że nie umiałem tego Ci wytłumaczyć tamtej nocy w restauracji. I przepraszam, jeśli Cię zraniłem lub sprawiłem, że poczułaś się zdradzona. Zakładam, że Karina już wszystko Ci wyjaśniła. Ta sytuacja wciąż jest dla mnie trudna i nie jestem pewien, co zrobić. Nie umawiałem się*

*z nikim, odkąd umarła Linda. Nie chciałem. Moje życie to była moja córka i restauracja. Nie sądziłem, że znajdzie się w nim miejsce jeszcze na cokolwiek więcej.*

*A potem spotkałem Ciebie i byłaś pierwszą osobą, która sprawiła, że zapragnąłem zaryzykować. Wiem, że to zabrzmiało wariacko, bo przecież prawie Cię nie znam, ale poczułem coś tego dnia na weselu Twojej siostry. I oczywiście wszystko spaaprałem. Nie wiem, czy przypadkiem nie wystraszyłem Cię na dobre. Jeśli tak, nie winię Cię. To wszystko przeze mnie. Ale jeśli czujesz, że mogłabyś dać mi drugą szansę, bardzo chciałbym ją dostać. Nie jestem pewien, czy jestem gotowy. Ale chciałbym spróbować.*

*Może istniał jakiś powód, że wpadłem na Ciebie w Rzymie. Wiedziałem, że tu przyjeżdżasz. I pamiętałem, że mówiłem Ci, iż moja rodzina ma restaurację koło Panteonu. Miałem więc nadzieję, że gdzieś Cię spotkam.*

*Natomiast nie zdawałem sobie sprawy, że wprowadziłaś się do mieszkania Kariny. Szkoda, że tego nie wiedziałem. Może mielibyśmy okazję porozmawiać. Zamiast tego kilka dni snułem się po ulicach miasta, szukając w tłumie Hwojej twarzy. Poddałem się. A potem zobaczyłem Cię w barze. Nie mogłem w to uwierzyć. Ale może tak właśnie miało być.*

*Przepraszam, że wyjechałem bez pożegnania. Wiem, że planujesz zostać w Rzymie jeszcze jakiś czas. Proszę, pomyśl o tym chociaż przez chwilę.*

*Nie ma pośpiechu. Wiesz, gdzie mnie znaleźć, kiedy wrócisz do Nowego Jorku... jeśli będziesz chciała mnie znaleźć. To zależy od Ciebie.*

*Ciao Michael*

Przeczytałam tę wiadomość kilkakrotnie. Potem złożyłam ją ostrożnie, włożyłam do bocznej kieszeni torebki i usiadłam na łóżku. Musiałam pomyśleć.

Karina wpadła do mojego mieszkania kilka minut po dziewiątej. Położyła Nico spać, a jej mama oglądała na dole telewizję.

- Pomyślałam, że będziesz chciała pogadać - wyjaśniła. - Masz ochotę pójść coś zjeść?

Skinęłam głową i razem wyszliśmy z mieszkania. Dziesięć minut później siedzieliśmy na patio małej restauracyjki tuż za rogiem, w kierunku przeciwnym do Panteonu.

- Mają tu wspaniałą pizzę - oznajmiła Karina. - Chyba najlepszą w mieście. Chciałabyś wziąć jedną na pół?

Skinęłam głową, a kiedy przyszedł kelner, Karina złożyła zamówienie.

Mężczyzna powrócił chwilę później z butelką chianti i dwiema szklankami wody. Nalał nam wina, a gdy odszedł od stolika, Karina wzniosła w toaście szklankę do góry.

- Za matki - powiedziała. Uśmiechnęłam się.

- Za matki.

Wypiłyśmy po łyku. Próbowałam znaleźć słowa, by zapytać Karinę o coś, nad czym się zastanawiałam.

- Karina? - powiedziałam wreszcie. - Tak?

- Skąd wiedziałaś, że jesteś gotowa na to, żeby być matką? Roześmiała się.

- Nie wiedziałam. W ogóle! Zajmowanie się dzieckiem było ostatnią rzeczą, jaką chciałam robić. Ale wszystko wydarzyło się wtedy, gdy miało się wydarzyć. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam twarz Nico, wiedziałam, że wszystko będzie dobrze.

- Ale zawsze wiedziałaś, że będziesz dobrą matką, prawda? - spytałam. -

To znaczy, twoja mama wydaje się ideałem.

Karina uśmiechnęła się.

- Myślałam, że będę okropną matką - wyznała. - Kochałam palić.

Kochałam pić. Mam okropny charakter, jak już się na pewno zorientowałaś. Jestem samolubna i nie sądziłam, że będę w stanie kochać dziecko tak, jak powinnam. Myślałam, że będę chciała wydawać pieniądze na ciuchy, buty i wyjścia z przyjaciółmi. Ale potem wszystko się zmieniło. I po raz pierwszy w życiu poczułam, że jestem dokładnie tam, gdzie powinnam być.

Myślałam o tym przez chwilę. Potem skinęłam głową.

- Czy chodzi o Michaela? - spytała cicho. - I Annie?



- Nie wiem - wyznałam. - Nie wiem, jak powinnam się czuć. Boję się umawiać z kimś, kto ma dziecko. Jestem, szczerze mówiąc, zupełnie przerażona. Nie dlatego, że nie chcę dziecka. Raczej nie mam przekonania, że jestem wystarczająco dobrą osobą, by być częścią życia jakiegokolwiek dziecka.

Karina roześmiała się.

- Cat, to najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałaś.

Jesteś jedną z najlepszych osób, jakie znam.

Zarumieniłam się.

- Ale co z Marco? Zaczęłam coś z nim. Czy nie powinnam sprawdzić, co mogłoby z tego wyniknąć? Chyba jestem mu to winna po wszystkim, co dla mnie zrobił.

Moja towarzyszka wzruszyła ramionami.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie - odparła. - Myślę, że musisz poszukać jej w sobie. Zobaczyc, co będzie ci się wydawało właściwe. -

Milczała chwilę, a potem dodała: - Zdałam sobie sprawę, że jeśli bardzo się starasz zrobić to, co właściwe, znajdzie się sposób, by ci się udało.

Jeśli związek z Marco wydaje ci się właściwy, bądź z nim. Ale jeśli nie, cóż... Zrobisz mu przysługę, odchodząc, zanim zdąży się zanadto zaangażować.

- Nie jestem pewna - stwierdziłam. Wciąż czułam, jakbym miała opuścić dobrą osobę, a przysięgałam sobie przecież, że nigdy tego nie zrobię. Ale może świat nie był tak czarno-biały, jak zawsze sądziłam. Może nie brałam pod uwagę całego spektrum kolorów. Zabawne, że widziałam tak wyraźnie wszystkie te zawiłości przez obiektyw aparatu,

ale gdy nie mogłam się za nim schować, uciekałam się do łatwych ocen - dobre albo złe - nie zastanawiając się, co może być pomiędzy.

Zawsze wydawało mi się to właściwym sposobem patrzenia na świat, ponieważ zostawało niewiele miejsca na błędy. Ale teraz zdałam sobie sprawę, że być może taki światopogląd sam w sobie był jednym wielkim błędem.

Przyniesiono naszą pizzę i Karina zmieniła temat rozmowy. Zaczęła opowiadać mi zabawne historyjki o tym, co zrobił Nico. Miała rację -

pizza była pyszna. Ciasto było cienkie i płaskie, idealnie przypieczone na brzegach, a sos na wierzchu miał bogaty i pełny smak. Na pizzy znajdowała się warstwa idealnie stopionej mozzarelli, na niej położono cienko pokrojone pomidory oraz całe liście bazylii, którą, jestem przekonana, zerwano zaledwie chwilę wcześniej. Na wierzchu leżało jeszcze kilka grubych plasterków miękkiej, delikatnej bawolej mozzarelli. Kombinacja smaków i świeżości składników sprawiła, że moje kubki smakowe śpiewały.

To były Włochy. Takiego połączenia świeżości i smaków jak w tej pizzy nigdy nie udało mi się znaleźć

po drugiej stronie Atlantyku.

Zastanawiałam się, dlaczego tak trudno to osiągnąć. Przecież ta potrawa była wyjątkowo prosta. Czy kucharz z Nowego Jorku nie mógłby zrobić takiego dania w swojej amerykańskiej kuchni? Ale fakt, że to nie mogło się wydarzyć i nie wydarzyło się, był dla mnie kolejnym dowodem, że nigdy nie zdołam połączyć ze sobą tych dwóch światów - Nowego Jorku i Rzymu - i nigdy nie staną się jednym.

Kiedy już skończyłyśmy, zamówiłam dwa espresso i tira-misu do podziału.

- Myślałam o tym, co powiedziałaś - zaczęłam, kiedy odchyliłyśmy się na krzesłach, by popatrzeć na ludzi idących chodnikiem koło restauracji.

Była to wolna, ale nieprzerwana parada: zmierzające do domu młode rodziny, pełne nadziei

pary wychodzące właśnie na miasto, przyjaciele idący ramię w ramię po ulicy. Takie było życie.

- Co powiedziałam? - spytała Karina. Roześmiała się i dodała: - Mówię mnóstwo rzeczy.

Uśmiechnęłam się.

- To, że nigdy nie ryzykuję. Zaczerwieniła się ociupinkę.

- Przepraszam. To nie była moja sprawa.

- Nie - zaprotestowałam. - Była. I cieszę się, że to powiedziałaś.

Spojrzała na mnie z oczekiwaniem. Wzięłam głęboki wdech i mówiłam dalej:

- Zawsze kochałam robić zdjęcia - powiedziałam.

- Wiem - stwierdziła. Uśmiechnęła się i miałam wrażenie, że dokładnie wie, co chcę powiedzieć. Może nawet wiedziała, jeszcze zanim sama to odkryłam.

- Myślę, że chciałabym spróbować sprzedać kilka z nich -zakończyłam.

- Cóż, to dobra wiadomość - ucieszyła się. Zamilkła na chwilę.

Widziałam, że próbuje ukryć uśmiech.

-Tak?

- Tak - powiedziała. - Ponieważ już skontaktowałam się z galerią fotografii w Nowym Jorku w tej sprawie.

-C o ?- Oczywiście wyszły mi z orbit. Karina spokojnie pokiwała głową.

- Tak. Są zbyt piękne, żebyś zatrzymała je tylko dla siebie, Cat.

Wiedziałam, że pewnego dnia zdasz sobie z tego sprawę.

Nie rozumiałam.

- Zaraz, zaraz, zaraz. Co masz na myśli, mówiąc, że skontaktowałam się z galerią?

- Przez internet znalazłam galerię w Nowym Jorku, która specjalizuje się w fotografiach z Włoch - wyjaśniła z nonszalanckim wzruszeniem ramion, jakby to było coś zupełnie zwyczajnego. - Właścicielka jest Amerykanką, ale mieszkała

wiele lat w Rzymie. Kiedy zadzwoniłam, powiedziałam po prostu, że jestem agentem, który odkrył w Rzymie nowy talent, i chciałam przesłać jej kilka zdjęć do oceny.

- Chwila, powiedziałaś co?

- Że jestem twoją agentką - powtórzyła Karina z uśmiechem. - A tak przy okazji: pobieram dziesięć procent.

Gapiałam się na nią.

- Wysłałaś już zdjęcia do galerii?

- Tak. Trzy. -Jak?

- Mam klucz do twojego mieszkania, pamiętasz? A zdjęcia są w komputerze.

- Włamałaś się do mojego mieszkania, żeby je ukraść?

- Nie - wyjaśniła z lekkim zażenowaniem. - Otworzyłam drzwi do mieszkania, żeby móc pokazać je światu.

- I wysłałaś do obcej osoby w Nowym Jorku trzy przypadkowe zdjęcia? -

naciskałam.

- Nie, spędziłam półtorej godziny, zastanawiając się, które trzy zdjęcia najlepiej oddają ducha Rzymu - odpowiedziała. -I wysłałam je do właścicielki galerii, której najpierw przez godzinę opowiadałam, jaka jesteś wspaniała i utalentowana.

Nie mogłam uwierzyć w to, co mówiła.

- I co powiedziała właścicielka galerii? Karina uśmiechnęła się.

- Powiedziała, że to trzy najpiękniejsze zdjęcia Rzymu, jakie kiedykolwiek widziała. Stwierdziła, że naprawdę oddają ducha miasta, które tak kocha. Patrząc na nie, podobno poczuła inspirację.

Szczęka mi opadła.

Karina uśmiechnęła się i mówiła dalej.

- Powiedziała, że chciałyby zacząć od pokazania dziesięciu twoich zdjęć.

Powiększy je i wstawi w ramki, a potem powiesi w galerii na trzydzieści dni. Jeśli się sprzedadzą, zapłaci ci siedemdziesiąt pięć procent. Ona pobiera dwadzieścia

pięć procent jako opłatę dla galerii. Powiedziała, że stawki można renegotjować do dwudziestu procent, jeśli fotografie będą dobrze się sprzedawać przez kolejnych sześć miesięcy.

- I co jej powiedziałaś?

- Że porozmawiam z fotografem i odezwę się ponownie. -Zawahała się. -

Zapytała mnie o twoje nazwisko, ale go nie podałam. Nie wiedziałam, czy chcesz używać swojego prawdziwego nazwiska, czy nie.

Myślałam przez chwilę. Nie mogłam uwierzyć w to, co się działo.

Powinłam być zła na Karinę, że wysłała zdjęcia bez mojej zgody. Ale zaskoczył mnie jej entuzjazm i nieugięte przekonanie, że ktoś będzie chciał kupić moje zdjęcia. A najdziwniejsze było to, że rzeczywiście ktoś je chciał. Jakaś zupełnie obca mi osoba w Nowym Jorku, która też kiedyś była w Rzymie, zobaczyła moje zdjęcia i poczuła się zainspirowana.

Mimo to nie byłam całkowicie pewna, czy chcę, aby na zdjęciach umieszczono moje nazwisko. Chociaż miałam prawie trzydzieści pięć lat i powinłam być bardziej pewna siebie, wciąż panicznie obawiałam się porażki. Ale pod jakim nazwiskiem mogłabym je sprzedawać?

Myślałam przez chwilę o tym, co przywiodło mnie do tego miejsca i w pierwszej kolejności sprawiło, że ukryłam się za obiektywem kamery.

Dlaczego przyjechałam szukać odpowiedzi w tym mieście, które nigdy nie będzie do końca moje?

Nagle poczułam, jak gigantyczny ciężar spada z moich ramion.

Uśmiechnęłam się.

- Powiedz jej - powiedziałam powoli - że zdjęcia należy podpisać

„Audrey H. Yerdicchio”.

## **ROZDZIAŁ 20**

Marco zadzwonił następnego dnia. Spotkałam się z nim na kawie w Pinocchio i opowiedziałam, co ważnego wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni. Nie wspominałam jednak na razie o Michaelu, wciąż nie zdecydowałam, co do niego czuję. Ani co czuję do Marco. Nie miałam też przekonania, że powinnam koniecznie wybrać jednego z tych mężczyzn i odrzucić drugiego. Jeszcze nie.

- Tak się cieszę - powiedział Marco, gdy skończyłam. -I jestem z ciebie dumny, że poszłaś spotkać się z ciocią.

Skinęłam głową.

- Czułam, że powinnam to zrobić.

Marco przyglądał mi się przez moment. Potem wyciągnął rękę i łagodnie odsunął włosy z mojej twarzy.

- Byłaś tutaj zaledwie kilka tygodni - zauważył. - A stałaś się inną osobą.

Myślałam o tym przez chwilę.

- Nie - zaprzeczyłam. - Myślę, że wreszcie stałam się sobą.

Marco powoli skinął głową.

- Nie ma nic lepszego od bycia sobą, prawda?

Potrząsnęłam głową, myśląc o tych wszystkich latach, które straciłam, próbując stać się kimś bardziej godnym miłości, solidniejszym, lepiej zorganizowanym, kimś, kogo tak łatwo się nie porzuca. A przecież to było takie proste. Musiałam tylko być sobą. Niedoskonałą mną, która nie jest w stanie zapanować nad wszystkim. Cat Connelly, córką Bruce'a i Audrey, dwojga ludzi, którzy też nie wszystko mieli poukładane, ale kochali swoje córki, chociaż nie zawsze potrafili to okazać. Może nie zawsze trzeba zasłużyć na miłość, nie trzeba o nią walczyć, tylko po prostu to mieć, kiedy nadejdzie właściwy czas.

- Ludzie z galerii poprosili o więcej zdjęć z Rzymu. Wybiorą z nich dziesięć - powiedziałam. - Karina wysłała im zdjęcia, które zrobiłam do tej pory. Ale właścicielka galerii chce więcej. - Zawahałam się i poczułam, że lekko się rumienię. - Ta kobieta uważa, że gdy zdjęcia zostaną już wystawione w galerii, będzie na nie duży popyt.

- Kiedy to będzie? - spytał Marco.

- Za jakieś trzy tygodnie - odpowiedziałam. - Zdejmie zdjęcia fotografa z Toskanii, serię przedstawiającą słoneczniki, która niezbyt dobrze się sprzedaje. Chce powiesić moje zdjęcia w miejsce tamtych. Podobno fotografie historycznych miast są teraz bardzo modne.

- To wspaniale, Cat - uśmiechnął się do mnie Marco. Pochylił się nade mną i pocałował mnie w policzek. - Musisz być taka szczęśliwa.

- Jestem. - Również się uśmiechnęłam. - Cóż. Spędzę tutaj jeszcze osiem dni. I muszę w tym czasie stworzyć coś, co pokaże duszę Rzymu. Marco, chcę zwalić tę właścicielkę galerii z nóg, chcę zrobić zdjęcia, jakich jeszcze nie widziałam.

Po raz pierwszy od bardzo dawna byłam podekscytowana.

Zdenerwowana, pełna niepokoju, drżąca z niecierpliwości. Czułam, że wszystko albo za chwilę się zawali... albo

świat stanie przede mną otworem. Nie wiedziałam jeszcze, dokąd potoczą się sprawy.

- Pomogę ci - zaproponował Marco. -Co?

Uśmiechnął się szeroko.

- Pozwól mi sobie pomóc. To moje miasto. Zakochałem się w nim od pierwszej chwili, gdy przyjechaliśmy tu z Wenecji, i spędziłem całe godziny, błądząc po jego ulicach. Zabiorę cię do swoich ulubionych miejsc. I pomogę ci odnaleźć twoje.

Zawahałam się.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - spytałam. - Przecież musisz pracować.

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że tak - przyznał. - Ale nie muszę być tu cały czas. I chciałbym ci pomóc. Pragnę zobaczyć miasto twoimi oczami. I chcę, żebyś zobaczyła je moimi.

Uśmiechnęłam się.

- Jesteś fantastyczny, wiesz o tym? - Zawahałam się i spróbowałam przypomnieć sobie tę kwestię z *Rzymskich wakacji*. - Pomogłeś mi odzyskać wiarę w związki między ludźmi - sparafrazowałam kwestię z ostatniej sceny filmu.

Marco natychmiast to podchwycił. Uśmiechnął się i zaczął mówić, podrabiając, najlepiej jak umiał, akcent Joe Bradleya.

- Czy mogę powiedzieć z własnego doświadczenia dziennikarskiego, że wiara waszej królewskiej mości nie zostanie zawiedziona?

Roześmiałam się.

- Widzisz, zabawa jest lepsza, gdy możemy się bawić oboje. Marco wyciągnął rękę przez stół i ścisnął moją dłoń. Potem pochylił się i pocałował mnie delikatnie i czule w usta.

W następnym tygodniu spotykaliśmy się z Marco codziennie rano.

Zabierał mnie w różne miejsca w Rzymie. Jednego dnia obejrzelśmy piękny, pokryty obrazami starożytnych scen bitewnych Łuk Konstantyna, a innego Termy Karakalli,

strzeliste ruiny publicznych łaźni, których używano aż do szóstego wieku.

Odkryłam, że Rzym jest najpiękniejszy rankiem, zanim słońce zawędruje zbyt wysoko na niebie. Uwielbiałam robić zdjęcia starożytnych monumentów, pięknych kopuł i rzymian zmierzających do swoich codziennych zajęć, kiedy wszystko tonęło w jasnym, miękkim świetle.

Miasto wydawało się wtedy zanurzone w magicznym, niezemskim blasku.

Marco pomagał mi nosić ciężką torbę na aparat, śmiał się z moich dowcipów i opowiadał o swojej rodzinie. Zabawiał mnie też komicznymi historyjkami o dorastaniu w Wenecji, świecie gondolierów i turystów, tonącym powoli mieście, zanurzonym w legendach i tajemnicy. Ja opowiadałam mu o swoim życiu w Nowym Jorku i po raz pierwszy od lat mówiłam o swojej mamie, chociaż zdawało mi się, że związane z nią historie dawno odeszły w niepamięć. Kiedy spacerowaliśmy między jedną sesją zdjęciową a drugą, odkryłam, że wspomnienia o mamie stawały się w moim umyśle coraz wyraźniejsze.

Śmiałam się z zabawnych rzeczy, które robiła, wrzusałam wspomnieniami urodzinowych przyjęć, które dla nas urządziła, i znów prawie czułam, jak przyjemnie było wciskać się pod jej ramię, gdy czytała mi po włosku bajki z wielkiej, ilustrowanej książki należącej do niej od czasów, gdy była jeszcze małą dziewczynką.

Razem ze wspomnieniami powróciły również uczucia. Odżyły emocje.

Każdej nocy, gdy szłam do łóżka, czułam zarazem szczęście i smutek.

Czasami budziłam się z uśmiechem na twarzy, a czasami ze łzami, chociaż nie pamiętałam, żebym płakała. Im więcej pamiętałam, tym bardziej czułam się emocjonalnie sponiewierana. Ale jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, wiedziałam, że robię właściwą rzecz. Pewnie taki był

efekt ponad dwudziestu lat tłumienia emocji. Nie mogły podziąć się nigdzie indziej, jak tylko wreszcie wypłynąć na powierzchnię.

Im więcej spędzałam czasu z Marco, tym bardziej byłam przekonana, że jeśli zostałam tutaj i pozwoliła sobie na to, mogłabym się w nim zakochać. Był dobrym człowiekiem i wiedziałam, że zależy mu na mnie.

Rozumiałam także, że potrafił uszanować wszystko, przez co przechodziłam. Chociaż czułam, że się oddaliłam i prawdopodobnie nie rozumiał dlaczego, do niczego mnie nie zmuszał. Po prostu spędzał ze mną czas, próbując mnie rozśmieszyć albo pocieszyć, kiedy widział, że robiłam się smutna. Spędziliśmy całe godziny, całując się przed pięknymi fontannami, na wzgórzach z widokiem na miasto i przed kościołami, które stały tam od wieków. Ale nie robiliśmy już nic więcej. Nigdy nie znałam mężczyzny takiego jak on. Gdyby to był lepszy moment, może sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Jednak dni mijały i podczas gdy moje serce otwierało się coraz bardziej, rosło we mnie przekonanie, że nie jestem gotowa. To nie miało nic wspólnego z Michaeliem. Na niego też nie byłam gotowa. Po prostu im bardziej stawałam się sobą, tym bardziej rozumiałam, jak wiele czasu potrzebuję, by wszystkie dotychczas ukryte aspekty mojej osobowości wreszcie doszły do głosu.

Kiedy Marco pracował na wieczorną zmianę w restauracji, spędziłam kilka wieczorów z Kariną. Często zostawał z nami Nico, przynajmniej dopóki Karina nie położyła go do łóżka. Siadałyśmy do fantastycznych posiłków - makaronu ze szpinakiem i ricottą albo ravioli z masłem szałwiowym i wieprzowiną w rozmarynie - które Karina przygotowywała z łatwością, jednocześnie opowiadając mi z entuzjazmem o swoich rozmowach z Gillian, właścicielką galerii w Nowym Jorku. Nico paplał

podekscytowany, że jest pewien, iż zdjęcia zmienią mnie w prawdziwą gwiazdę i będzie mógł opowiadać przyjaciółom, że zna sławnego fotografa. Nie mogłam się nie śmiać.

Pewnego wieczoru poszliśmy z Kariną, Nico i mamą Kariny do parku.

Chłopiec kopał piłkę z kilkoma innymi

maluchami, które również przyszły z rodzicami się pobawić. Usiadłyśmy z Kariną i jej mamą na ławce i zdałam sobie sprawę, że naprawdę czuję się, jakbym była częścią ich rodziny. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio miałam takie wrażenie, nawet w domu ze swoją siostrą i tatą. Po śmierci mamy wszyscy niejako schowaliśmy się w osobnych kątach i od tamtej pory nie potrafiliśmy znów stać się rodziną, chociaż

przecież bardzo się kochaliśmy. Obiecałam sobie, że gdy tylko moje życie wróci na właściwe tory, zacznę pracować nad tym, by to naprawić. Mama na pewno by tego chciała.

Zrobiłam kilka zdjęć Nico i jego przyjaciółom. Słońce chowało się za linią drzew, a światło powoli zaczynało blednąć. Do zachodu słońca pozostało wciąż około czterdziestu pięciu minut, ale o tej porze dnia cienie kładły się już na ulicach miasta i powoli zbliżał się wieczór.

- Może Gillian wybierze do galerii jedno ze zdjęć Nico! -zawołała Karina, kiedy zobaczyła, że mam w ręku aparat.

Uśmiechnęłam się.

- To byłoby cudownie - stwierdziłam.

Dwadzieścia minut później, gdy Karina pomogła Nico zebrać jego rzeczy i ruszyli w stronę domu, powiedziałam jej, że chciałabym chwilę się przejść w samotności. Planowałam zrobić jeszcze dwa zdjęcia na zakończenie pracy.

Najpierw, gdy słońce zaczynało się chylić nad horyzontem, rozpalając niebo na zachodzie pomarańczą, różem i głębokim odcieniem błękitu, przykucnęłam na chodniku przy Via dei Fori Imperiali tuż przed Forum i robiłam kilka zdjęć małego murku, na którym znalazł mnie Marco.

Przechodniom musiałam wydawać się dość szalona, ponieważ prawie położyłam się na chodniku, by uzyskać jak najszerzy kąt. Ale chciałam zrobić mu zdjęcie na tle ruin Forum podświetlonych ognistym zachodem słońca. Właśnie miałam nacisnąć migawkę, kiedy przyleciały dwa gołębie i usiadły obok siebie na krawędzi murku. Przyglądałam im się przez chwilę nieruchomo. Potem zaczęłam pstrykać zdjęcia, patrząc przez obiektyw, jak ptaki podskakują i stają do siebie przodem, dziób w dziób. Kilka minut później usiadłam i strzepnęłam kurz z ubrania.

Przejrzałam zdjęcia na wyświetlaczu aparatu. Uśmiechnęłam się. Były idealne. Dokładnie takie, jak chciałam.

Kiedy ostatnie promienie słońca podświetlały ciemne, granatowe niebo, poszłam w stronę Mostu Świętego Anioła, miejsca, które wciąż wydawało mi się magiczne. Ale tym razem, gdy robiłam zdjęcie za zdjęciem na podświetlonym moście, patrzyłam, jak anioły ożywają w ostrym zbliżeniu. Po raz pierwszy pomyślałam, że czuję się tutaj wyjątkowo dobrze, ponieważ w moście rzeczywiście jest coś anielskiego.

Możliwe, że legenda o aniołach strzegących miasta na szczycie mostu była prawdziwa. A jeśli tak, to może duch mojej mamy odwiedzał to miejsce od czasu do czasu, by popatrzeć na miasto, które niegdyś było jej domem? Ta myśl, choć bardzo irracjonalna, sprawiła, że się uśmiechnęłam.

Usiadłam nad brzegiem Tybru i zaczęłam fotografować. Przechadzałam się nad wodą, szłam przez most, robiąc zdjęcia aniołów z bliska i z daleka oraz fotografując Zamek Świętego Anioła z drugiej strony rzeki.

Musiałam zrobić już chyba ze sto zdjęć pod różnymi kątami, gdy słońce zaszło i most oświetlał tylko blask Rzymu.



Trzy dni później spędzałam w Rzymie swój ostatni dzień. Setki cyfrowych wersji zdjęć zostało wysłanych do Gillian w Nowym Jorku.

Obiecała, że odezwie się do nas w ciągu tygodnia i powie nam, które zdjęcia chciałaby wykorzystać. Karina na początku tylko żartowała, że chce dziesięć procent prowizji od sprzedaży, ale ja wiedziałam, że inaczej być nie może. To ona wysłuchała mnie i postanowiła pomóc mi wyrwać się z bezpiecznej skorupy. Ciężko pracowała. Chciałam, żeby też czerpała z tego korzyści, jeśli jakiegokolwiek się

pojawią. Powiedziałam jej, że będę zachwycona, jeśli zostanie oficjalnie moim agentem i zaakceptuje dziesięcioprocentową prowizję od wszystkiego, co uda się jej sprzedać. W końcu wciąż nie byłam przekonana, czy to wszystko nie jest tylko pięknym, lecz nierealnym marzeniem. W moim przekonaniu właścicielka galerii mogła mieć po prostu fatalny gust i nigdy nie sprzedać żadnego z moich zdjęć.

- Czy to znaczy, że mogę próbować sprzedać fotografie, gdzie tylko mi się uda? - spytała Karina, zacierając z zadowoleniem rękę.

Uśmiechnęłam się.

- Przekazuję ci wszelkie pełnomocnictwa - zawahałam się na chwilę, po czym dodałam - dotyczące sprzedaży zdjęć Audrey Verdicchio. Możesz je oferować, komu chcesz.

Patrzyła na mnie chwilę.

- Dobrze - stwierdziła. A potem dodała tonem, który brzmiał, jakby od zawsze mówiła podobne rzeczy: - Chciałabym zobaczyć próbki zdjęć z Nowego Jorku w ciągu następnego tygodnia, by móc zacząć sprzedawać je tutaj. *Americana* są modne, rozumiesz.

- Jasne - zgodziłam się ze śmiechem.

- Oczywiście, jeśli twoje rzymskie zdjęcia będą się dobrze sprzedawać w Ameryce, będziesz musiała częściej przyjeżdżać tu w odwiedziny -

stwierdziła. - Naturalnie w celach służbowych, by zrobić więcej zdjęć.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Skoro tak twierdzisz. Muszę słuchać swojego agenta. Karina organizowała dla mnie tego wieczoru pożegnalną kolację, na którą zaprosiła swoją mamę, a także Marco i moją ciotkę Ginę. Bardzo się cieszyłam, że wszyscy się poznają. Chciałam jeszcze zrobić coś przed wieczorem, więc wcześniej wyszłam z domu.

Wpadłam do fotografa i odebrałam zamówienie, które złożyłam dwa dni wcześniej. Wyszłam stamtąd z dużą, niepo-

ręczną torbą. Zastanawiałam się, czy nie iść do sklepu Giny na piechotę.

W końcu znajdował się w odległości zaledwie dwudziestu minut spacerem. Wiedziałam jednak, że z tymi tobołami zajmie mi to znacznie więcej czasu. Złapałam więc taksówkę i podałam taksówkarzowi adres.

Po dziesięciu minutach slalomu znalazłam się przed sklepem z chustami.

Nie powiedziałam Ginie, że przyjdę, ale miałam nadzieję, że ucieszy się na mój widok.

Twarz jej się rozświetliła, gdy tylko weszłam do środka. Zajmowała się właśnie klientką, starszą kobietą, która nie mogła zdecydować, czy kupić szary czy beżowy szalik. Nie rozumiałam oczywiście, co mówią, ale Gina wydawała się cierpliwie rozmawiać z kobietą i pomagała jej dokonać wyboru. Uśmiechnęłam się, patrząc na nie. Moja mama w podobny sposób zwracała się do Becky, gdy ta była jeszcze małą. Czekala cierpliwie, aż córka wybierze bajkę, którą chce usłyszeć tego wieczoru.

Wreszcie kobieta zdecydowała się i podeszła do kasy, żeby zapłacić. Gdy wyszła ze sklepu, Gina podeszła i przytuliła mnie.

- Moja droga Cat! - ucieszyła się. - Nie spodziewałam się zobaczyć cię przed wieczorem. A teraz sprawiłaś, że mój dzień jest dwa razy przyjemniejszy! Co masz w tej torbie?

Uśmiechnęłam się do niej.

- Chciałam przynieść ci coś, co wiele dla mnie znaczy.

- Co to jest?

Poczułam się zawstydzona i lekko zdenerwowana, gdy powoli wyciągnęłam z torby jedną z fotografii w formie pięćdziesiąt na siedemdziesiąt centymetrów. Nie miałam czasu, żeby je oprawić. Zostały jednak podklejone białym kartonem i powinny dać się łatwo włożyć w ramkę.

Powoli odwróciłam duże zdjęcie i pokazałam je Ginie. Oczy rozszerzyły się jej z wrażenia.

- Ty je zrobiłaś? - spytała z niedowierzaniem.

Skinęłam głową, czując, że się czerwienię.

- Cat, to jest piękne - powiedziała miękko. Uśmiechnęłam się, czując, że puchnę z dumy. Podarowałam

jej moje ulubione zdjęcie Mostu Świętego Anioła o zmroku. To miejsce było dla mnie magiczne i chyba chciałam podzielić się tą magią z jedyną osobą na ziemi, dzięki której poczułam, że dostałam drugą szansę z moją mamą. To że zdjęcie wydawało się naprawdę robić na niej wrażenie sprawiło, że poczułam się trochę tak, jakbym otrzymała błogosławieństwo od mamy.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Ale skąd wiedziałaś? - spytała po chwili, gdy już oderwała wzrok od fotografii. Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- Skąd wiedziałam co?

- Skąd wiedziałaś, że to ulubione miejsce twojej mamy? Poczułam, że braknie mi tchu.

- Nie wiedziałam - wydusiłam po chwili. Wyglądała na zdumioną.

- W takim razie dlaczego dałaś mi akurat to zdjęcie? - spytała. - Ze wszystkich miejsc w Rzymie?

- Ponieważ to zawsze było moje ulubione miejsce - wyznałam.

Patrzyłyśmy na siebie dłuższą chwilę. Z jakiegoś powodu mama i ja kochałyśmy w mieście to samo miejsce. Nie wybrałyśmy Schodów Hiszpańskich, fontanny di Trevi, Koloseum ani żadnego innego ulubionego miejsca turystów, które można zobaczyć na wszystkich pocztówkach i w kalendarzach. To było jak znalezienie igły w stogu siana.

W końcu Gina uśmiechnęła się.

- Być może w takim razie twoja mama nie jest tak daleko, jak nam się zdawało. - Rozejrzała się wokół.

- Myślę, że możesz mieć rację - zgodziłam się po chwili. Rozmawiałyśmy jeszcze kilka minut, po czym ciocia wcisnęła

mi do ręki piękny blad różowy jedwabny szal. Wytłumaczyłam jej, jak dotrzeć do mieszkania Kariny, i powiedziałam, że mamy spotkać się o siódmej trzydzieści. Pocałowała mnie na pożegnanie w oba policzki.

Potem udałam się do Pinocchio, gdzie, jak wiedziałam, pracował dziś Marco.

- Cat! - wykrzyknął z radością, kiedy zobaczył, że wchodzę przez frontowe drzwi. Stał niedaleko miejsca, do którego odnoszono brudne talerze, i wycierał szklanki. - Wejdz i usiądź!

Potrząsnęłam głową.

- Nie mogę długo zostać - zapowiedziałam. - Chciałam dać ci prezent.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Przecież to ty wyjeżdżasz - powiedział. - Nie powinnaś dawać mi prezentów.

Uśmiechnęłam się.

- Ale chcę.

Usiedliśmy razem przy stoliku na tyłach restauracji. Wzięłam głęboki wdech i wyjęłam z torby zdjęcie dla niego.

Patrzył na nie przez moment, jego oczy powoli wędrowały po obrazie.

Potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- To miejsce, w którym znalazłem cię śpiącą - zauważył.

- Tak - skinęłam głową i popatrzyłam na nie razem z nim.

Spośród zdjęć, które zrobiłam kilka dni wcześniej, to lubiłam najbardziej.

Przedstawiało dwa ptaki, które wylądowały na krawędzi ławki i patrzyły na siebie, prawie stykając się dzióbkami. Wyglądało to prawie tak, jakby się całowały albo może wyznawały sobie jakieś intymne sekrety. Było to słodkie i chciałam, żeby Marco tak właśnie myślał o mnie i o tym, co nam się przydarzyło.

Przyglądał mi się długi czas.

- Księżniczko Anno - powiedział wreszcie. - Będzie to dla mnie jak najcenniejszy skarb.

Pochyliłam się do przodu, żeby go przytulić. W naszych oczach zabłyśły łzy.

Zostawiłam Marco resztę fotografii i poprosiłam, by przyniósł je wieczorem do Kariny. Miałam dla niej trzy odbitki, ale chciałam, żeby to była niespodzianka. Poza tym była jeszcze jedna rzecz, którą musiałam zrobić, zanim wyjadę z Rzymu.

Wyszłam z Pinocchio, myśląc o nazwie restauracji i o tym, jakie znaczenie ma prawda. Przy pomocy mapy, którą wydrukowałam wcześniej, w ciągu dwudziestu minut znalazłam się przed drzwiami budynku, w którym mieszkał Francesco, czując się, jakbym zatoczyła krąg.

Wzięłam głęboki wdech i weszłam do środka. Wspięłam się na czwarte piętro, wstrzymałam oddech i zapukałam.

Pomyślałam, że wystarczy sam fakt, że się tu znalazłam. Jeśli nie było go w domu, nie miało to znaczenia - widocznie tak musiało być.

Nasłuchiwałam dźwięku kroków, ale nic nie usłyszałam. Zapukałam ponownie, by upewnić się, że nikogo nie ma. Cisza.

Westchnęłam z ulgą. Część mnie chciała pozbyć się tego ostatniego ducha z przeszłości, ale jeszcze większa część czuła ulgę, że nie będę musiała oglądać kogoś, kto zaledwie cztery tygodnie wcześniej tak bardzo mnie upokorzył. Mimo wszystkiego, co wydarzyło się potem, ta rana wciąż była świeża.

Właśnie miałam odwrócić się i ruszyć schodami w dół, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich Francesco, bez koszuli, tylko w obcisłych dżinsach i z gołymi stopami.

- Cat? - spytał ze zdumieniem. Rozejrzał się na boki. - Co tutaj robisz?

Patrzyłam na niego, zastanawiając się, jak to możliwe, że czułam do niego tak wiele, gdy wysiadłam z samolotu. Teraz nie czułam absolutnie nic. I nie chodziło o to, że już go nie lubiłam. Nawet go nie nienawidziłam. Po prostu byłam niesamowicie, wręcz przyjemnie obojętna.

- Muszę z tobą porozmawiać - wyjaśniłam. Uśmiechnął się z wyższością i mogłabym przysiąc, że odrobinę wciągnął brzuch, jakby nawet wbrew sobie chciał mi się podobać.

- Nie wiedziałem, że wciąż jesteś w Rzymie - stwierdził.

- Tak - odpowiedziałam po prostu. Nie musiałam mu niczego wyjaśniać.

- Co zrobiłaś z włosami? - spytał. - Wyglądasz dobrze. - Obejrzał mnie od góry do dołu bez śladu zażenowania i czekał na odpowiedź.

Wiedziałałam, że powinnam odpowiedzieć mu tym samym, ale zamiast tego po prostu uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Dziękuję. - Potem, po sekundzie zastanowienia dodałam: - Wiem.

Wyglądał na trochę zdziwionego, że nie oddałam mu komplementu.

Mrugnął kilka razy i odchrząknął.

- Chcesz wejść do środka?

Zastanowiłam się, po czym potrząsnęłam głową.

- Nie - stwierdziłam. - Mam ci do powiedzenia tylko jedno i myślę, że mogę to zrobić tutaj.

Rzucił mi nerwowe spojrzenie. Chyba wreszcie dotarło do niego, że nie przyszłam tutaj błagać go, by do mnie wrócił, ani powiedzieć mu, jak bardzo za nim tęskniłam, ani tym bardziej prosić o ostatni numer w jego łóżku.

- Cosa? - spytał podejrzliwie. Wzięłam głęboki wdech.

- Trzydzieści lat temu mieliśmy przelotny romans i to wszystko, co się kiedykolwiek między nami wydarzyło - powiedziałam. - Dla mnie to znaczyło zbyt wiele. Tymczasem, kiedy ja odeszłam, ty po prostu znalazłeś sobie następną młodą, naiwną dziewczynę.

Przyglądał mi się chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- To nie był tylko przelotny romans - oznajmił. - Czułem coś do ciebie, Cat. Ale tak, szybko poszedłem do przodu. Myślę, że mnie kochałaś. A ja nie kochałem cię tak samo.

Potrząsnęłam głową i lekko się uśmiechnęłam.

- Ale właśnie o to chodzi - stwierdziłam. - Myślę, że tak naprawdę wcale cię nie kochałam. Wydawało mi się, że tak jest. Ale byłam młoda i głupia.

I właśnie to przyciągnęło cię do mnie na początku. Ale wiesz co, Francesco? Myślę, że po prostu uwielbiałam czuć się chciana i potrzebna.

Winiłam się za to, że już nie ma między nami tego, co było kiedyś. Ale nigdy cię nie kochałam. Próbowałam raczej zapełnić w sobie jakąś emocjonalną dziurę.

- Nie rozumiem. - Patrzył na mnie tępo. - Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Ponieważ uważam, że szczerść jest ważna - wyjaśniłam. Wzięłam głęboki wdech. - Poza tym chciałam też przyjść tu i ci podziękować.

- Za co? - spytał.

- Za to, że jesteś sobą - odparłam.

Przyglądał mi się uważnie, jakby nie był pewien, czy przypadkiem się z niego nie nabijam. Nie nabijałam się. Naprawdę tak czułam.

- Co masz na myśli? - spytał.

- Jesteś kompletnym dupkiem - wypaliłam. Prawie nigdy nie przeklinałam, ale tym razem wiedziałam, że to zasłużona opinia.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale podniosłam rękę i powstrzymałam go. - I cieszę się, że nim jesteś - powiedziałam. -

Ponieważ gdybyś był lepszym człowiekiem, gdybyś był przyzwoitym mężczyzną, mogłabym wciąż tu z tobą być. A wtedy nie przeżyłabym najwspanialszych czterech tygodni mojego życia.

- Nie rozumiem - powiedział, przyglądając mi się ze zdumieniem.

Uśmiechnęłam się.

- I nigdy nie zrozumiesz.

Po tych słowach podniosłam wysoko głowę i odeszłam od Francesco po raz ostatni. Czułam, że patrzy za mną, gdy odchodziłam, ale nie obejrzałam się. Nie było powodu. Był częścią przeszłości. A kiedy zesłam schodami i wyszłam na oświetloną słońcem ulicę, czułam się tak, jakbym zmierzała wprost ku przyszłości.

## **ROZDZIAŁ 21**

Kolacja pożegnalna była urocza, ale również słodko-gorzka. Cudownie było znaleźć się w otoczeniu ludzi, którzy tak wiele znaczyli dla mnie w Rzymie, ale jednocześnie było mi okropnie smutno, że przez dłuższy czas ich nie zobaczę. Na szczęście wiedziałam, że wkrótce tu wrócę.

Obiecałam to sobie. Niezależnie od tego, czy cała ta sprawa ze zdjęciami wypali, przysięgåłam sobie, że zacnę żyć swoim życiem. A teraz duża część tego życia była tutaj. Czułam, że dopiero zaczynam je odkrywać.

Karina podała sałatkę panzanella z kawałkami chrupkiego chleba, cienko pokrojoną cebulą, kawałkami słodkich pomidorów i własnoręcznie zrobionym sosem vinaigrette z ziołami i octem balsamicznym. Na przystawkę było kremowe risotto ze szparagami, cukinią i miętą. Danie główne składało się z idealnie wypieczonych, cienkich kawałków kurczaka z parmezanem, doprawionych rozmarynem i podawanych na domowym makaronie fettuccine z lekkim, kremowym sosem, posypanym prażonymi orzeszkami piniowymi.

- To jest fantastyczne - wyszeptał w pewnym momencie siedzący po mojej prawej stronie Marco, kiedy Karina wstała, by przynieść z kuchni więcej świeżo upieczonego chleba.

- Mówiłam ci - uśmiechnęłam się.

Potrząsała głową i włożyła do ust kolejną porcję jedzenia.

- Może mógłbym zatrudnić ją w restauracji... - mruknął cicho.

- Myślę, że powinieneś z nią o tym porozmawiać - szepnęłam, próbując ukryć uśmiech, kiedy Karina wróciła do pokoju.

Gina siedziała po mojej drugiej stronie i zauważyłam, że przyglądała mi się, kiedy myślała, że nie widzę. Za każdym razem potrząsała głową i szybko odwracała wzrok. W końcu cicho powiedziała to, czego i tak się domyślałam.

- Jesteś do niej tak bardzo podobna - szepnęła. Skinęłam głową, zgadzając się.

- Ty też - powiedziałam. - Kiedy jestem przy tobie, mam wrażenie, że jakaś jej część wciąż tu jest.

Gina skinęła głową i ścisnęła moją rękę pod stołem.

- Tak właśnie jest.

Gina i Karina świetnie się dogadywały i po raz pierwszy zobaczyłam, jak matka Kariny również otwiera się i śmieje. Powinam się czuć bardziej wyobcowana, kiedy te trzy kobiety plotkowały po włosku, a Nico męczył

rozbawionego Marco seria dociekliwych pytań, ale zamiast tego odchyliłam się na krześle i patrzyłam na nich wszystkich. Sączyłam kawę i czułam się bardziej w domu niż kiedykolwiek w Nowym Jorku. Nie minęły jeszcze cztery tygodnie, a ci ludzie stali się moją rodziną, chociaż z pozoru nie mieliśmy zbyt wiele wspólnego. Robiło mi się ciepło na sercu, kiedy widziałam siostrę mojej mamy, kobietę, którą dopiero poznałam, ale z którą od zawsze byłam związana, dogadującą się tak świetnie z Kariną, o której wiedziałam, że zostanie moją przyjaciółką na długie lata.

Na deser było najdelikatniejsze, najpyszniejsze ciasto migdałowe, jakie kiedykolwiek jadłam. Nico wstał od stołu i podszedł do mnie, podczas gdy dorośli wciąż rozmawiali i śmiali się przy stole, delektując się espresso.

- *Signorina* Cat? - spytał.

- Tak, Nico?

Zawahał się i spojrzał na swoje stopy.

- Naprawdę będę za tobą tęsknił.

Z trudem udało mi się nie rozpłakać

- Ja też będę za tobą tęsknić, Nico. Bardzo. Ale wrócę i cię odwiedzę.

- Obiecujesz? - spytał, patrząc na mnie z nadzieją.

- Obiecuję - powiedziałam stanowczo. Zawahał się.

- Może *mamma* i ja będziemy też mogli przyjechać do Nowego Jorku.

Mówię bardzo dobrze po angielsku.

- Tak, to prawda - uśmiechnęłam się. Co prawda Karina mówiła, że nie stać jej na podróż do Nowego Jorku, i prosiła, bym nie mąciła w głowie jej synowi. Ale teraz miałby się gdzie zatrzymać i miałam nadzieję, że to wystarczy, by pewnego dnia zmieniła zdanie.

Nico znów spuścił głowę i dodał miękko.

- Mój *pappa* tam mieszka.

Miałam nadzieję, że udało mi się ukryć zaskoczenie.

- Tak?

Nico skinął głową, pochylił się w moją stronę i szepnął mi do ucha.

- *Mamma* nie mówi o nim często. Ale zawsze powtarzała, że on mieszka w Nowym Jorku. Chciałbym go poznać któregoś dnia.

- Może tak się stanie - powiedziałam po chwili. Chciałam wyjaśnić Nico, że czasami ludzie, którzy powinni nas kochać, łamią nam serca. Chciałam mu powiedzieć, że jego ojciec może nie być tym człowiekiem, za którego go uważa. Chciałam go ostrzec, że trzymanie się tej nadziei było błędem.

Ale on miał dopiero sześć lat. Był za mały na to, żeby zniszczyć jego marzenia. A poza tym za tydzień miałam skończyć trzydzieści pięć lat i nadal nie wszystko rozumia-

łam. Może Nico miał rację. Może ludzie zasługiwali na drugą szansę, nawet gdy się o nią nie starali.

Chłopiec zawahał się ponownie. Wyglądał na lekko zdenerwowanego.

- Jeszcze jedna rzecz, *signorina* Cat - powiedział.

- Co takiego?

- Obiecałaś, że ja, *mamma* i *nonna* także będziemy na twoich zdjęciach -

przypomniał mi. Znowu patrzył na swoje buty, jakby był zbyt zakłopotany, żeby zapytać. - Nie wystarczyło ci czasu? Może zrobisz je następnym razem, kiedy tu będziesz.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Cóż, Nico, cieszę się, że o tym mówisz. Nie zapomniałam o tym.

Pochyliłam się i szepnęłam mu do ucha: - Za kanapą w kącie pokoju jest duża, płaska torba. Mógłbyś mi ją przynieść?



Nico uśmiechnął się i skinął głową. Zniknął i chwilę później wrócił, niosąc torbę. Kiedy wszedł do jadalni, rozmowa przy stole ucichła, a wszyscy zaczęli się przyglądać mu z ciekawością.

Odchrząknęłam, wstałam i wzięłam torbę od Nico.

- Karina? - zaczęłam. Rozejrzałam się po siedzących przy stole osobach.

Wszyscy się do mnie uśmiechali. Wzięłam głęboki wdech. - Nie jestem w stanie podziękować ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Cztery tygodnie temu byłam zupełnie do niczego. Gdyby nie ty, pewnie poddałabym się i wróciła do domu. Nie poznałabym Nico, twojej mamy, Marco ani Giny.

A teraz staliście się częścią mojej rodziny.

Siedzący przy stole wymienili między sobą spojrzenia. Marco i Gina stuknęli się kieliszkami.

- To niewiele - kontynuowałam - ale chciałam dać ci mały prezent jako podziękowanie. Oczywiście wrócę tu jeszcze, żeby cię odwiedzić, o ile mnie przyjmiesz. Ale zanim to nastąpi, chciałam dać ci część twojej rodziny, by pokazać ci, jak

wiele dla mnie znaczysz. Sprawiałaś, że poczułam się tutaj jak w domu.

- Część rodziny? - powtórzyła Karina, patrząc na torbę. Skinęłam głową.

- Tak. - Wyjęłam pierwsze z trzech zdjęć z torby i odwróciłam je, by pokazać siedzącym przy stole osobom.

- *Sono di me!* - krzyknął Nico. - To ja!

Karina uśmiechnęła się, patrząc na zdjęcie, które zrobiłam kilka dni temu, gdy byliśmy w parku z Kariną, jej matką i Nico: czarno-białe zdjęcie Nico kopiącego piłkę. Jego twarz przybrała wyraz głębokiego skupienia.

Wyglądał na starszego i mądrzejszego niż przeciętny sześciolatek. Oczy mu błyszcząły, gdy patrzył gdzieś daleko przed siebie.

- Och, Cat! - zawołała Karina. - Jest piękne, to wspaniała pamiątka.

Uśmiechnęłam się.

- Poczekaj, to jeszcze nie koniec. - Wyjęłam następne zdjęcie z torby i odwróciłam je powoli w stronę stołu. Ono również było czarno-białe.

Zrobiłam je tego samego dnia. Karina i jej mama siedziały na ławce w parku, przyglądając się Nico. Kiedy już zrobiłam mu zdjęcie, odwróciłam się, by spojrzeć na nie, i zobaczyłam, że śmieją się z jakiegoś żartu.

Skierowałam szybko aparat w ich stronę. Na fotografii obie były roześmiane i pochylały się ku sobie, patrząc sobie w oczy i chichocząc jak nastolatki. Wyglądały w równym stopniu jak najlepsze przyjaciółki, co matka z córką. Od początku byłam przekonana, że to będzie jeden z moich lepszych

portretów. Udało mi się idealnie uchwycić osobowość fotografowanych osób.

- Cat! - wykrzyknęła Karina, kładąc rękę na piersi. - Fantastyczne! - Jej mama entuzjastycznie kiwała głową i uśmiechała się.

- Jeszcze jedno - powiedziałam. Wyjęłam trzecie i ostatnie zdjęcie z torby, po czym odwróciłam je tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Oczy Kariny wypełniły się łzami, kiedy spojrzała na portret.

- Och, Cat - westchnęła miękko.

Uśmiechnęłam się. To było jedno z moich ulubionych zdjęć. Również czarno-białe. Kiedy Karina, jej matka i Nico wychodzili z parku tamtego dnia, a ja ruszałam w drugą stronę, w pewnym momencie spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, że idą, trzymając się za ręce. Natychmiast się odwróciłam i zrobiłam zdjęcie z daleka. Karina, pośrodku, trzymała za jedną rękę matkę, a za drugą syna. Mama Kariny miała w dłoni bukiet słoneczników, zaś Nico z futbolówką wetkniętą pod chude ramię podskakiwał, żeby za nimi nadążyć. Na zdjęciu Karina mówiła coś do Nico, który patrzył na nią z szerokim uśmiechem na twarzy. Mama Kariny odwróciła się w ich stronę i nawet w cieniu można było z jej twarzy wyczytać wyraz miłości i dumy, kiedy przyglądała się córce i wnukowi. W tle, tam gdzie podążała cała trójka, widać było starożytny Rzym. Zabytkowe budynki rzucały na ziemię długie cienie, a słońce chowało się za horyzontem.

- *Dio mio* - westchnął miękko Marco. - Te zdjęcia są niesamowite, Cat.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Dziękuję.

Matka Kariny przyglądała mi się z wyrazem twarzy, który wskazywał na nowo nabyty szacunek.

- Piękne - powiedziała po prostu z mocnym włoskim akcentem. - *Grazie*.

- *Pręgo* - odpowiedziałam z uśmiechem. - Cała przyjemność po mojej stronie. Odwróciłam się do Kariny. - Twoja rodzina tak wiele dla mnie znaczy.

- Cóż - powiedziała, patrząc na zdjęcie, a potem z powrotem na mnie. -

Teraz jesteś częścią naszej rodziny.

Nico podszedł do stołu i mocno mnie uściskał. Kiedy patrzyłam na wszystkich tych ludzi, których pokochałam w tak krótkim czasie, wiedziałam, że to prawda.

Po kolacji wyszłam na zewnątrz, żeby pożegnać się z Giną i odprowadzić ją do taksówki.

- Tak się cieszę, że przyszedłś mnie odnaleźć - wyznała.

- Ja również.

Wyciągnęła dłoń i pogłaskała mnie delikatnie po policzku. Uśmiechnęła się smutno.

- Myślę, że twoja mama byłaby bardzo dumna. Poczułam gulę w gardle.

- Mam nadzieję - szepnęłam. Miesiąc temu przysięgałabym, że opinia mamy nic mnie nie obchodzi. Ale teraz wszystko się zmieniło. Wzięłam głęboki wdech.

- Gino - powiedziałam. - Przepraszam.

- Za co?

- Za to, że nie przyjechałam wcześniej - wyjaśniłam. Potrząsnęła głową.

- Nie - poprosiła. - Nie przepraszaj. Przyjechałaś wtedy, kiedy byłaś gotowa. To wszystko, co się liczy.

Zwiesiłam głowę.

- Ale myślę o wszystkich latach, które straciłam, będąc tak bardzo na nią zła.

Wyciągnęła do mnie dłoń.

- Cat, ten czas nie był stracony - zaprotestowała. - Twoja matka, chociaż chciała dobrze, bardzo cię zraniła. Potrzebowałaś czasu, by sama do niej wrócić. Zawsze było jej bardzo przykro z powodu tego, co ci zrobiła. I nigdy nie winiła cię za to, że jesteś zła.

Czułam w gardle coraz większy ucisk. Skinęłam głową.

- Ja też cię nie winię - dodała. - Jesteś bardzo silną młodą kobietą. Widzę w tobie największe zalety twojej mamy.

- Tak?

- *Assolutamente* - zapewniła mnie. Wyciągnęła ręce i mocno mnie przytuliła. - Wróć prędko do Rzymu - szepnęła mi do ucha. - Zawsze będziesz miała tu rodzinę. To jest również twój dom.

Pochyliłam głowę.

- Wiem - powiedziałam.

Pocałowała mnie w policzek, uśmiechnęła się i wsiadła do taksówki.

Zanim zatrzasnęła drzwi, sięgnęła do torebki i wyjęła z niej torebkę z prezentem.

- Prawie zapomniałam - podała mi ją. - Dla ciebie, żebyś o nas pamiętała.

Uśmiechnęła się i zatrzasnęła drzwi taksówki. Patrzyłam, jak odjeżdża.

Kiedy skręcali na końcu ulicy, podniosła rękę i szybko mi pomachała.

Również pomachałam i poczułam się bardzo smutna. Kiedy zniknęła, sięgnęłam do torebki i wyjęłam z

niej kilka małych pakunków, obłożonych bibułą, i jeden większy. Uśmiechałam się, kiedy je rozpakowywałam. Dostałam od Giny jedwabne chusty z rodzinnego sklepu w trzech kolorach - zielononiebieskim, beżowym i blad różowym.

Dała mi również piękny, czarny szal z pasz-miny.

Do prezentu dołączona była mała karteczka. „Zawsze będziesz Verdicchio” wypisano na niej zgrabną, elegancką kursywą.

Uśmiechnęłam się, rozłożyłam szal i owinęłam się nim. Był miękki i ciepły. Kiedy tak stałam w świetle księżycy na schodach budynku, który przez ostatnich parę tygodni zaczęłam nazywać domem, czułam się odrobinę tak, jakby ktoś mnie obejmował.

Razem z Marco pomogliśmy Karinie posprzątać i umyć naczynia.

Podziękowałam jej za wspaniałą kolację i zaproponowałam spotkanie następnego dnia rano, zanim pojedzie na lotnisko, po czym ja i Marco wyszliśmy.

Lekko splótł swoje palce z moimi i chwilę szliśmy w przyjemnej ciszy.

Wokół nas Rzym błyszczał w świetle księżycy i latarni ulicznych rozrzuconych po starych ulicach. Myśl o opuszczeniu tego miejsca napełniała mnie strasznym smutkiem.

Spacerowaliśmy, aż w końcu znaleźliśmy się na Piazza Venezia i nagle zrozumiałam, dokąd Marco nas prowadzi.

- Idziemy do naszego miejsca? - spytałam z uśmiechem.

Również się uśmiechnął.

- Tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Pięć minut później dotarliśmy do Forum i solidnego ceglanego murku, na którym zasnąłam cztery tygodnie temu. Wydawało mi się, że to było w innym życiu.

Marco przyciągnął mnie do siebie.

- Będę za tobą tęsknić, księżniczko Anno - wyznał.

- Ja za tobą też - odpowiedziałam. Wzięłam głęboki wdech. - Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Skinął głową i kiedy siadaliśmy, widziałam po jego minie, że już wie, co chcę powiedzieć.

Na próżno usiłowałam uspokoić szalejące serce.

- Marco - zaczęłam - zmieniłeś moje życie i nie wiem, jak mam ci za to podziękować.

Wziął mnie za rękę i ścisnął ją. Uśmiechnął się do mnie smutno, ale nic nie powiedział.

Zamknęłam na chwilę oczy, po czym znów je otworzyłam.

- Marco - ciągnęłam. - Nie wiem nawet, jak ci to powiedzieć. Wydaje mi się, że nie jestem gotowa. Na to, żeby z kimś być. To brzmi wariacko, ponieważ mam prawie trzydzieści pięć lat, ale myślę, że w ciągu tych czterech tygodni wszystko się zmieniło. I muszę trochę dorosnąć.

- Wiem - stwierdził, kiwając głową z ponurym wyrazem twarzy.

- To nie chodzi o ciebie - zapewniłam go. - Myślę, że gdyby to był inny moment, mielibyśmy szansę. Może tak będzie w przyszłości. Nie wiem.

Ale w tej chwili, chociaż może brzmi to głupio, potrzebuję czasu, żeby pomyśleć.

Marco spojrzał na swoje splecione dłonie.

- To nie brzmi głupio - odparł po chwili. - Myślę, że to brzmi bardzo mądrze.

- Przepraszam - powiedziałam miękko.

- Nie przepraszaj - poprosił. - To słuszna decyzja. Wzięłam głęboki wdech.

- Nie chcę, żebyś mnie nienawidził - szepnęłam. Uśmiechnął się.

- To nigdy nie będzie możliwe.

- Przepraszam, że nie powiedziałam nic wcześniej - tłumaczyłam się. -

Nie wiedziałam, co robić. Nigdy wcześniej się tak nie czułam.

Skinął głową.

- Ja też nie - odparł. - Myślę, że wiedziałem, co powiesz. Ale to trudniejsze, niż się spodziewałem.

Skinęłam głową.

- Przykro mi.

- Wiem - odpowiedział.

- Chciałbym, byśmy wciąż mieli kontakt - zaproponował po chwili. - I kiedy przyjedziesz do Rzymu, chciałbym się z tobą znów zobaczyć. Może w przyszłości coś się zmieni. - Zastanawiał się przez chwilę. - Chociaż nie sądzę - stwierdził w końcu. - Myślę, że to nie jest twój dom. - Uśmiechnął

się. - Byłoby miło, chyba. Ja i ty. Ale ty jesteś z Ameryki. A ja jestem z Włoch. Nigdy nie moglibyśmy stać się w pełni częścią naszych światów.

- Czasami to się udaje - zastanowiłam się.

- Tak - zgodził się. - Ale jeszcze częściej się nie udaje. Słowa zawisły między nami w niezręcznej ciszy. Wreszcie

Marco wstał.

- Myślę, że powinienem już iść - oznajmił.

Również się podniosłam, czując nagle przyływ paniki. Czy robiłam wielki błąd? Nie chciałam, żeby odszedł.

- Nie możemy tu jeszcze trochę posiedzieć? - spytałam, czując się wyjątkowo głupio.

Zawahał się i potrząsnął głową.

- Nie - odpowiedział. - Chyba potrzebuję być sam. -Zawahał się i dodał: -

Odprowadzę cię do domu, jeśli chcesz.

Potrząsnęłam głową.

- Nie musisz - powiedziałam. Udało mi się lekko uśmiechnąć. - Tym razem znam drogę powrotną.

Marco uśmiechnął się bez przekonania.

- Cat, jestem pewien, że któregoś dnia zostaniemy przyjaciółmi -

oznajmił. - Ale proszę, pozwól mi się pierwszemu do ciebie odezwać.

Zrobię to, kiedy będę gotowy.

Łzy cisnęły mi się do oczu.

- Dobrze - zgodziłam się.

Uścisnęliśmy się na pożegnanie i przez chwilę nie chciałam go puścić.

Pragnęłam powiedzieć mu, że strasznie się pomyliłam, bo mogłabym przeprowadzić się do Rzymu i być może zostać tu z nim na zawsze. Co, jeśli właśnie to powinnam zrobić? Co, jeśli popełniam właśnie największy błąd swojego życia?

- Dziękuję - powiedziałam cicho, kiedy wreszcie go puściłam. - Za otwarcie mi oczu.

Wzruszył ramionami.

- Nie, księżniczko Anno - westchnął. - Myślę, że zrobiłaś to samodzielnie.

- Zawahał się. - Poza tym - ciągnął - tak właśnie kończy się film, prawda?

Każde z nas powinno iść w swoją stronę.

Milczałam. Próbowałam się nie rozpłakać. Marco zamilkł i uśmiechnął się smutno.

- Jeśli mogę zacytować film, „życie nie zawsze układa się tak, jakby się chciało, prawda?”.

- Nie, nie układa się.

Zawahałam się i próbowałam przypomnieć sobie jedną z ostatnich kwestii z filmu, kiedy księżniczka Anna i Joe Bradley rozstawali się.

- Nie wiem, jak powiedzieć „do widzenia” - powiedziałam. - Nie potrafię dobrać odpowiednich słów.

Marco uśmiechał się do mnie przez dłuższą chwilę. Potem odparł cicho:

- Nie próbuj. - Pochylił się i pocałował mnie raz jeszcze, dotykając przez chwilę ustami moich ust, a potem bez słowa odwrócił się i poszedł.

Patrzyłam za nim, dopóki nie skręcił w lewo na końcu ulicy i nie zniknął

za rogiem budynku.

Nie obejrzał się ani razu.

Następnego ranka o szóstej właśnie kończyłam zbierać swoje rzeczy, gdy usłyszałam pukanie do drzwi. Zaskoczona otworzyłam je i zobaczyłam Karinę ubraną i gotową do wyjścia.

- Czemu tak wcześnie wstałaś? - spytałam.

- Chyba nie myślałaś, że pozwolę ci jechać samej na lotnisko?

- Ale nic mi nie będzie! - zawołałam. - Mogę się z tobą pożegnać tutaj. To długa droga taksówką.

Karina wzruszyła ramionami.

- Wciąż jest wcześnie. Zdążę wrócić przed wyjściem do pracy.

Chciałabym się porządnie pożegnać. - Zawahała się. - Poza tym, jeśli dobrze pamiętam, twoja walizka jest w rozsypce. Będziesz potrzebowała pomocy przy niesieniu jej.

Roześmiałam się.

- Dobrze. Dziękuję.

Pomogła mi znieść bagaże po schodach. Zostawiłyśmy je przy wejściu do budynku i pobiegłam na górę, by pożegnać się z Nico.

Mama Kariny siedziała w salonie, czytając książkę i pijąc espresso.

Wstała, kiedy weszłam do pokoju, żeby mocno mnie uścisnąć.

Powiedziała coś do mnie szybko po włosku, a Karina uśmiechnęła się.

- Mówi, że jesteś dla niej jak córka - przetłumaczyła - i ma nadzieję, że niedługo do nas wrócisz.

- Wróćę - obiecałam. Zaczęłam się zastanawiać nad odpowiednim włoskim sformułowaniem i kiedy je wypowiadałam, miałam nadzieję, że zabrzmiało odpowiednio.

- *Ritomaró* - powiedziałałam mamie Kariny. - Wróćę. Karina roześmiała się.

- Już mówisz płynnie! - zażartowała.

Nico wciąż spał, więc poszłam go obudzić. Usiadłam na krawędzi łóżka i wyszeptałam jego imię. Otworzył swoje duże, brązowe oczy i mrugnął

kilka razy. Uśmiechnął się i zobaczyłam, że zaczyna docierać do niego, co się dzieje. Zapomniał na chwilę, że wyjeżdżam.

- Zaraz jadę na lotnisko - powiedziałałam cicho. Patrzył na mnie długo, po czym usiadł na łóżku.

- Nie chcę się żegnać.

- W takim razie nie żegnaj się - zaproponowałam. -Zamiast tego powiedzmy sobie po prostu „do zobaczenia”.

Przyglądał mi się, jakby próbując zdecydować, czy naprawdę tak myślałam. W końcu uśmiechnął się.

- Dobrze - zgodził się. - Zobaczymy się niedługo, *zia* Cat.

Z trudem powstrzymałam łzy. To był pierwszy raz, kiedy użył tego pieszczotliwego określenia, oznaczającego ciocię.

- Wróćę, *U mio nipote* - powiedziałałam, również nazywając go pieszczotliwie siostrzeńcem. - Obiecuję.

Pomyślał o tym przez chwilę.

- Wiem - zdecydował wreszcie. - I może odwiedzimy cię z mamą w Nowym Jorku.

Przytuliłam go.

- Mam nadzieję - powiedziałałam prosto w jego mocne, ciemne włosy.

- Nie będziemy się żegnać - oznajmiła mi Karina, kiedy wsiadłyśmy do taksówki jadącej na lotnisko. - Ponieważ tak naprawdę to nie jest pożegnanie. Jestem twoim agentem, prawda? Będziemy musiały często rozmawiać o twoich zdjęciach.

Roześmiałam się.

- Oczywiście - zgodziłam się - chociaż prawdopodobnie to szaleństwo myśleć, że ktoś je kupi.

Karina potrząsnęła głową.

- Nie - stwierdziła. - To ty jesteś szalona, myśląc, że się nie sprzedadzą.

Musisz wierzyć w siebie od czasu do czasu, Cat.



Przez chwilę jechałyśmy w milczeniu.

- Karina? - spytałam z wahaniem, kiedy opuszczaliśmy malowniczą część miasta i znalazłyśmy się na nijakich przedmieściach. - Nico powiedział mi, że jego ojciec mieszka w Nowym Jorku.

Karina wciągnęła głęboko powietrze, ale nic nie odpowiedziała.

- Czy to prawda? - spytałam po chwili.

Zawahała się i skinęła głową. Wyjrzała przez okno, odwracając się do mnie plecami.

- Nie wiedziałam, że masz z nim kontakt - powiedziałam.

Cisza trwała bardzo długo. Zdążyłam już nabrać przekonania, że Karina nic nie powie, kiedy nagle wypaliła:

- Nie miałam przez długi czas. I nie chcę mieć. - Wciąż na mnie nie patrzyła. Wyglądała przez okno, a jej głos był jakby stłumiony. - On mnie zostawił, Cat. Zostawił nas. Wybrał inną kobietę i zostawił nas w Rzymie, a sam pojechał zacząć nowe życie w Ameryce.

- Przykro mi - powiedziałam miękko. Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie. Niech ci nie będzie przykro. Stało się i już się nie odstanie. -

Zawahała się. - Ale to jest ojciec Nico. A Nico powinien poznać swojego ojca. Znalazłam go w Nowym Jorku w zeszłym roku i wysyłałam mu zdjęcia Nico. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Pewnego dnia powinni się poznać. Ale jeszcze nie jestem gotowa.

- Rozumiem - stwierdziłam.

- Powinłam była poprosić go, żeby został - dodała po chwili. - Gdybym go błagała, kiedy byłam w ciąży z Nico, myślę, że by został. Ale byłam zbyt dumna.

Zastanawiałam się chwilę.

- Karina, nie powinnaś musieć kogoś błagać, żeby z tobą został -

zdecydowałam.

- Ale Nico miałby ojca - westchnęła. Odwróciła się wreszcie w moją stronę. Widziałam w jej oczach ból i żal.

- Nie - zaproponowałam. - Nico dorastałby pewnie w smutnym i pełnym złości domu. Jego rodzice mieliby do siebie pretensje, a on by to czuł.

Myślałam o swoim dzieciństwie, o wszystkich okropnych kłótniach między rodzicami i o tym, jak spokojnie zrobiło się po odejściu mamy.

Skończyły się ciągle awantury między rodzicami i została tylko mocna, potężna miłość mojego ojca, który

dałby nam cały świat, gdyby tylko mógł.

- Zamiast tego - powiedziałam cicho, niepewna, czy mówię o sobie, czy o Nico - zamiast tego ma względnie szczęśliwe dzieciństwo z matką, która zrobiłaby dla niego wszystko.

Karina przyglądała mi się długo, po czym skinęła głową.

- Kiedy będziesz gotowa - poprosiłam - przyjedź do Nowego Jorku.

Zatrzymaj się u mnie. A ja pójdę z tobą zobaczyć się z twoim byłym mężem, jeśli będziesz chciała.

Spodziewałam się, że zaprotestuje. Ale ona po prostu opuściła wzrok i wymamrotała:

- Dziękuję. - Po chwili dodała: - Będiesz kiedyś wspaniałą matką, jeśli tego zapragniesz.

- Dziękuję - odparłam spokojnie. Nie wiedziałam, czy tak się kiedyś stanie, czy nie. Ale nie bałam się już, że będę jak moja matka.

Wiedziałam, że mamy wiele wspólnych cech. A inne... cóż. Uczyłam się na jej błędach. Dzięki temu byłam lepsza, silniejsza i bardziej przygotowana na macierzyństwo.

Jechałyśmy chwilę w ciszy, każda zatopiona we własnych myślach.

Kiedy zobaczyłyśmy drogowskazy na lotnisko, rzuciłam cicho:

- Powiedziałam Marco, że nie mogę się z nim więcej spotykać.

Karina spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Naprawdę? Skinęłam głową.

- To była właściwa decyzja. Powoli przytaknęła.

- A więc to Michael? Zadzwonisz do niego, kiedy wrócisz do Nowego Jorku?

Zawahałam się i potrząsnęłam głową.

- Nie - odpowiedziałam. - Myślę, że chciałabym spędzić trochę czasu sama.

Nie wiedziałam, jak zareaguje. Zdawałam sobie sprawę, że Karina lubiła Michaela i prawdopodobnie chciała, bym dała mu szansę. Nie wiedziałam, jak jej wytłumaczyć, że nie chodziło o niego, tylko o mnie.

Chciałam przez jakiś czas pobyć sama z sobą.

Ale Karina popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się.

- Dobra decyzja, Cat - powiedziała. Wiedziałam, że zrozumiała.

- Powiesz siostrze o swojej mamie? - spytała po chwili.

- Pewnego dnia - odparłam. Zawahałam się i spróbowałam wyjaśnić: -

Mama nie chciała, żebyśmy wiedziały, chyba że same przyjdziemy po odpowiedź. A moja siostra nigdy nie czuła do mamy tego co ja.

Wybaczyła jej. Cieszyła się, że wróciła do domu. To ja nie mogłam się z tym pogodzić.

- A tacie? - spytała.

- Przypuszczam, że w jakimś sensie i tak wiedział - odparłam. - Ale jeśli kiedykolwiek zapyta, powiem mu, że widziałam się z Giną.

Długo ściskałyśmy się na pożegnanie, aż w końcu kierowca taksówki zaczął trąbić i pokazywać Karinie, by się pospieszyła i wsiadła do środka.

Wywróciła oczami i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Rzym - zazartowała. - Co robić? Roześmiałam się.

- Wciąż Kocham to miejsce - stwierdziłam. - Nieuprzejmi kierowcy taksówek i tak dalej.

Karina znów mnie przytuliła, tym razem szybko, i kiedy się odsunęła, zauważyłam, że ma łzy w oczach. - Cieszę się, że cię poznałam, Cat Connelly - oznajmiła.

- Ja też się cieszę - powiedziałam.

Szybko wytarła łzy i wsiadła do taksówki. Kierowca natychmiast ruszył z miejsca. Karina przycisnęła dłoń do szyby w niemym pożegnaniu.

Pomachałam jej i odprowadzałam taksówkę wzrokiem, dopóki nie zniknęła mi z oczu.

Kilka godzin później, gdy mój samolot uniósł się w powietrze i zobaczyłam w dole Rzym, przykurzone miasto pełne połyskujących w słońcu kopuł, parków, błyszczących krzyży i brązowych dachów, czułam dziwny rodzaj melancholii. Wiedziałam, że wracam do siebie. Ale wiedziałam również, że część mnie zawsze będzie się czuła jak w domu w tym mieście. Stopniowo chowało się ono pod chmurami, aż w końcu zniknęły wszystkie ślady jego magicznego uroku.

## **ROZDZIAŁ 22**

Prawie trzy miesiące później stałam w strefie odbioru bagażu na lotniku JFK, czekając, aż Karina i Nico przejdą przez odprawę celną. Nie byłam jeszcze ponownie w Rzymie, ale planowałam wyjazd tam w następnym miesiącu. Ucieszyłam się niesamowicie, gdy Karina zadzwoniła i powiedziała, że przyjeżdżają razem z Nico. Miał po raz pierwszy spotkać się z ojcem.

Był jeszcze inny powód jej podróży. Moje zdjęcia dobrze się sprzedawały w Gillian Zucker Gallery i Karina zaczęła sprzedawać je również do gazet. Trzy tygodnie temu zdecydowałam się więc porzucić pracę w Puffer & Hamlin. To była w moim przypadku wielka zmiana. Po pierwsze, teraz musiałam radzić sobie bez finansowego zabezpieczenia.

Po drugie, do tej pory zawsze byłam typem osoby, która miała plan awaryjny na każdą okazję. Na razie jednak wszystko działało dobrze.

Zarabiałam teraz mniej niż jako księgowa i musiałam sama opłacać ubezpieczenie zdrowotne, ale miałam więcej czasu na podróże.

Oczywiście wciąż miałam dyplom z księgowości i zachowałam wszystkie kontakty w tym środowisku, więc jeśli z fotografią na dłuższą metę by nie wyszło, zawsze

mogłam wrócić do poprzedniego zajęcia. Ale na razie nadszedł czas, bym sobie zaufała i zaryzykowała.

Gillian, której wciąż nie poznałam osobiście, zapytała Karinę, czy Audrey H. Verdicchio mogłaby zrobić kolejną serię zdjęć Rzymu, a także wybrzeża Amalfi. Zgodziłam się i bardzo się cieszyłam na to zlecenie.

Karina właśnie sprzedawała serię czarno-białych zdjęć Nowego Jorku małej galerii w Rzymie, a fotografie, które zrobiłam na początku września, pokazujące ostatnie chwile lata w Central Parku, też już się dobrze sprzedawały.

Oczywiście dzięki tym dziesięciu procentom, które Karina dostawała ze sprzedaży moich zdjęć, łatwiej było jej opłacić podróż. Poza tym podczas pobytu tutaj miała się spotkać z przedstawicielami trzech innych galerii w Nowym Jorku oraz dwóch w Bostonie i pokazać im moje prace. Nico był

zachwycony, że zobaczy nie jedno, ale dwa wielkie miasta amerykańskie.

Dzwonił do mnie już dwa razy, żeby spytać, czy pojedę z nimi zobaczyć kaczki w Public Garden w Bostonie. Obiecałam, że tak, i planowałam pożyczyć od taty samochód, by móc zabrać tam naszą trójkę za kilka dni.

Karina jeszcze tego nie wiedziała, ale zamierzałam zwrócić jej koszty przelotu. Bądź co bądź przyjechała do Stanów załatwiać moje sprawy.

Nie powinna sama za siebie płacić, chociaż przypuszczałam, że i tak by przyjechała. W końcu, gdy zapytałam ją przez telefon, czy na pewno jest gotowa spotkać się ze swoim byłym, Massimo, odpowiedziała: „Już czas”.

Zobaczyłam Nico wychodzącego z odprawy celnej. Zauważył mnie od razu, zostawił Karinę i zaczął biec przez halę w moją stronę. Rzucił się w moje ramiona i mocno objął mnie w talii.

- *Zia Cat! Zia Cat!* - wykrzyknął radośnie. Potem z szeroko otwartymi z podekscytowania oczami zaczął mówić w błyskawicznym tempie po włosku.

Roześmiałam się, kiedy wreszcie mnie puścił i odsunął się, czekając na odpowiedź.

- Nico, nie mówię po włosku, pamiętasz? Patrzył na mnie chwilę, po czym też się roześmiał.

- Nawet nie wiedziałem, że mówię po włosku! - zawołał. - Tak bardzo jestem podekscytowany, że jestem tutaj, w Nowym Jorku!

Znów mnie uściskał, a ja odwzajemniłam uścisk. Zauważyłam przy tym, że wydawał się trochę wyższy.

No i brakowało mu przedniego zęba.

Zrobiło mi się smutno na myśl, że chociaż nie widzieliśmy się raptem trzy miesiące, nie widziałam przez ten czas, jak dorasta. Kochałam go tak, jak wiedziałam, że będę kochać własną siostrzenicę lub siostrzeńca, który miał pojawić się na świecie za niecałe pięć miesięcy. Najwyraźniej Becky i Jay zaczęli się starać o dziecko w podróży poślubnej i od razu im się udało. W końcu Becky prawie zawsze dostawała to, co chciała.

Pewna część mnie zazdrościła jej tego, że szła przed życie bez problemów. Wszystko tak łatwo jej się udawało, a ja musiałam walczyć o każdą rzecz, jaką kiedykolwiek miałam. Ale coś zmieniło się we mnie w tym roku. I po prostu radowałam się szczęściem swojej siostry.

Cieszyłam się, że w naszej rodzinie pojawi się kolejna osoba, którą będę mogła kochać.

Karina też już do nas podchodziła, ciągnąc za sobą gigantyczną walizkę.

Kiedy tylko Nico mnie puścił, rzuciłam się, żeby jej pomóc. Uśmiechnęła się z ulgą i puściła na chwilę torbę, by mocno mnie przytulić.

- Cóż, to jest odmiana - stwierdziła z uśmiechem, kiedy obie wyciągnęłyśmy ręce po walizkę i zaczęłyśmy ją ciągnąć. - Teraz ty pomagasz mi z wielką walizką.

Roześmiałam się.

- Nie przyzwyczajaj się do tego za bardzo - zażartowałam. - Niedługo znów będę w Rzymie i będziesz musiała nieść moje bagaże.

Poszliśmy na postój taksówek. Dziesięć minut później znaleźliśmy się w minivanie jadącym w stronę Manhattanu. Karina i ja siedziałyśmy w środkowym rzędzie, a Nico z tyłu. Przyciskał twarz do szyby i czekał, aż pojawią się pierwsze wieżowce.

- Dziękuję, że zgodziłaś się nas gościć - powiedziała cicho Karina, podczas gdy Nico gadał do siebie na tylnym siedzeniu.

- Och, proszę cię. Jesteś teraz częścią mojej rodziny. - Zawahałam się i dodałam: - Ale lepiej nie każ mi płacić czynszu następnym razem, kiedy przyjadę cię odwiedzić.

Roześmiała się i obiecała, że będę mogła mieszkać w jej gościnnym pokoju za darmo, kiedy tylko zapragnę.

- To jak ci idzie praca? - spytałam, próbując ukryć uśmiech.

Karina zrobiła zmartwioną minę.

- Dobrze - bąknęła. - Ale jest coś, co muszę ci powiedzieć.

- Co takiego? Zawahała się.

- Nie pracuję już w Squisito - oznajmiła. Udałam, że nie wiem, o co chodzi.

- Naprawdę? Co się stało? Zawahała się.

- Proszę, nie złość się na mnie. Ale Marco, twój Marco, zapytał mnie kilka tygodni temu, czy nie przyszedłbym pracować dla niego jako główny kucharz. - Zamilkła i patrzyła na mnie, jakby próbując dociec, czy jestem zła. Po chwili znów zaczęła szybko mówić: - Oczywiście przeszłam test.

Musiałam ugotować wszystkie dania z jego menu i zaproponować, w jaki sposób ulepszyć jedzenie oraz jakie nowe dania wypróbować. Ale dostałam tę pracę, Cat. Zaczynam w przyszłym tygodniu. - Zawahała się.

- Jesteś na mnie zła? Powinnam była cię zapytać. To było okropne, że nie zapytałam.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Jestem zachwycona - powiedziałam. Wyglądała na zaskoczoną. -

Naprawdę - dodałam stanowczo. - Poza tym wiedziałam o tym od dłuższego czasu. Marco prosił, żebym nic ci nie mówiła, dopóki nie zaoferuje ci tej pracy oficjalnie. Ale dzwonił i pytał, czy nie mam nic przeciwko temu, zanim odezwał się do ciebie. Jak myślisz, skąd miał twój numer telefonu?

Patrzyła na mnie ze zdumieniem.

- A więc rozmawiałeś z Marco? - spytała w końcu. Skinęłam głową.

- Trochę - przyznałam.

- I? - zapytała, patrząc na mnie z nadzieją. Uśmiechnęłam się.

-1 nic - odpowiedziałam. - Jest dobrym człowiekiem. I wiem, że będziemy świetnymi przyjaciółmi. Ale nie sądzę, żeby był dla mnie odpowiedni. - Zawahałam się, po czym dodałam. - Poza tym ma dziewczynę.

- Co? - zdziwiła się Karina.

- Pamiętasz ten weekend, kiedy wyjechał z Rzymu? - spytałam. - Ten weekend, kiedy wyszliśmy razem i wpadliśmy na Michaela Evangelisti?

Wymówienie jego imienia sprawiło, że poczułam dziwny ból.

Zdecydowałam, że nie odezwę się do niego po powrocie ze Stanów i chociaż często o nim myślałam, nie byłam jeszcze gotowa, by się z nim spotkać. Specjalnie unikałam całej Upper West Side przez ostatnie trzy miesiące.

Karina skinęła głową.

- Pamiętam.

- Marco był wtedy w Wenecji - powiedziałam. - I wpadł na dziewczynę, z którą chodził w szkole. Poszli na pierwszą randkę tuż przed tym, jak spędziłam z nim noc. Tak więc być może to był niewłaściwy moment dla nas obojga. I właśnie z nią się umawia. Ona przyjeżdża do niego w odwiedziny w każdy

weekend.

Trochę mnie to smuciło, ponieważ im bardziej Marco wiązał się z tą nową dziewczyną, tym lepiej rozumiałam, że nigdy nie zwiąże się ze mną. Ale jednocześnie cieszyłam się, że ma kogoś. Zasługiwał na to, żeby być z kimś szczególnym, a w głębi serca wiedziałam, że to nie jestem ja.

- Jejku - westchnęła Karina. - Nie wiedziałam. - Zawahała się. - A Michael? Widziałas się z nim?

Potrząsnęłam głową.

- Nie - odpowiedziałam po prostu. Nic więcej nie dodałam.

Właśnie wtedy Nico krzyknął z tylnego siedzenia.

- Widzę go, *mamma!* Widzę go! Empire State Building!

Rzeczywiście, widać już było przed nami charakterystyczny dach najsłynniejszego budynku w mieście. Im bliżej byliśmy centrum, tym bardziej Nico podskakiwał, wyliczając: budynek Chryslera, gmach ONZ, drzewa w Central Parku.

- Z pewnością zna Nowy Jork - uśmiechnęłam się do Kariny.

Wywróciła oczami, ale wiedziałam, że jest dumna.

- Marzył, żeby tu przyjechać od pierwszego dnia, kiedy położyłam przed nim książkę o Nowym Jorku.

Następnego dnia rano poszłam robić zdjęcia Central Parku, a Karina zabrała Nico, żeby spotkał się z ojcem. Zaoferowałam, że pójdę z nimi, ale odmówiła. To było coś, co musiała zrobić sama dla swojego syna.

Przygotowywała się do tego w wyobraźni od miesięcy.

Przechadzałam się po wschodniej stronie parku, fotografując liście. Babie lato przeszło w głęboką jesień i teraz powietrze było rześkie, a liście mieniły się kolorami. Park sprawiał wrażenie jarzącego się wszystkimi odcieniami czerwieni, pomarańczy i żółci. Liście właśnie zaczęły spadać z drzew, ponieważ dwa dni wcześniej mocno wiało. Dzięki temu mogłam fotografować nie tylko drzewa i miejski krajobraz za koloro-

wą Owczą Łąką, ale też robić zdjęcia dzieciom w jasnych kurtkach i niebieskich dżinsach, które biegały, krzyczały i bawiły się liśćmi.

Uśmiechałam się. Miałam poczucie, że te zdjęcia dobrze się sprzedadzą we Włoszech - były idealnymi portretami tego, co nazywali *americana*.

Kiedy wróciłam do mieszkania, Karina siedziała przy kuchennym stole, trzymając w obu rękach kubek z kawą i patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Byłam zaskoczona. Spodziewałam się, że spędzą dzień z Massimo.

- Gdzie Nico? - spytałam, rozglądając się. Odwróciła się powoli w moją stronę.

- Śpi - powiedziała bezbarwnym głosem. - Nie spał zbyt dobrze wczoraj, bo tak bardzo się cieszył, że tu jest. Zmiana czasu też wytrąciła go z równowagi.

Usiadłam obok niej przy stole.

- I? - spytałam ostrożnie. - Jak poszło?

Karina wzięła głęboki wdech. Wolno wypuściła powietrze.

- Massimo jest okropnym człowiekiem - stwierdziła wreszcie.

- Co się stało? Potrząsnęła głową.

- Nico tak się cieszył, że go zobaczy. Ale wyobraź sobie, że Massimo oglądał w telewizji futbol! Prawie nie patrzył na syna. Był zbyt zajęty oglądaniem meczu. Nico zadawał mu pytania, a on wciąż go uciszał, ponieważ chciał usłyszeć, co mówią komentatorzy. Po godzinie poprosił, żebyśmy poszli. Stwierdził, że jest zajęty i nie jest w stanie poświęcić całego dnia na spotkanie rodzinne.

- Co? - spytałam z niedowierzaniem.

- Złamał mi serce - powiedziała. Była bliska płaczu, a ja wzięłam ją za rękę. - Nie z mojego powodu oczywiście - ciągnęła. - Ale z powodu Nico.

Myślę, że wyobrażał sobie wiele rzeczy o ojcu. I to moja wina, że mu pozwoliłam. Nigdy nie powiedziałam mu, jak okropnym człowiekiem był

jego ojciec.

Myślałam, że może Massimo się zmieni, jeśli się spotka ze swoim dzieckiem.

- Tak mi przykro - szepnęłam.

- Nie ma powodu - odparła Karina. - W jakiś sposób sprawiło to, że poczułam się lepiej. I myślę, że Nico też zacznie tak myśleć po jakimś czasie. Massimo jest dokładnie tak beznadziejnym mężczyzną, jak sądziłam. Nie chce być w życiu Nico, nie potrafi nawet udawać zainteresowanego przez kilka godzin... - Zamilkła i potrząsnęła głową. -

Nie mam już takich wyrzutów sumienia, że się rozstaliśmy.

- W ogóle nie powinnaś czuć się źle - przypomniałam jej.

- Wiem - odparła. - Ale czasami łatwiej to zobaczyć z zewnątrz. Teraz rozumiem, że jednak nie popełniłam błędu. -Zawahała się i dodała: - Nie wiem tylko, jak wybaczyć sobie, że tak bardzo zraniłam Nico.

- To nie twoja wina - zapewniłam ją. Potrząsnęła głową.

-To jest moja wina, że nie potrafię ochronić swojego dziecka przed zranieniem.



Wstała od stołu i poszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi, zanim zdołałam cokolwiek dodać.

Tego wieczoru odwiedził nas tata po swojej cotygodniowej wyprawie do domu opieki, w którym mieszkała babcia. Chciał poznać Karinę i Nico.

Zaprosiłam też Becky i Jaya, ale byli już umówieni na kolację ze znajomymi. Poza tym nie sądzę, by moja siostra zdawała sobie sprawę, jak ważna stała się dla mnie moja mała włoska rodzina.

Na początku Nico był cichy i powściągliwy. Wciąż wydawał się wstrząśnięty po spotkaniu z ojcem, a Karina siedziała koło niego, obejmując go opiekuńczo ramieniem i gładząc po włosach. Tata porozmawiał chwilę z Kariną, a następnie zaczął zadawać Nico pytania o to, co najbardziej podoba mu się w Nowym Jorku. Wkrótce chłopiec się rozluźnił. Zanim skoń-

czyliśmy kolację, usiadł przy moim tacie i pokazywał mu rysunki Nowego Jorku, które zrobił jeszcze we Włoszech.

- Zachowuję je - wyjaśnił z przejęciem i szeroko otwartymi oczami. Mój tata kiwał głową, przeglądając obrazki z uwagą, jakby były najważniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział. - Trzymam je czasem w kieszeniach, żeby przypominały mi o Nowym Jorku. A teraz jesteśmy tu ja i *mamma!*

- Są wspaniałe, Nico - powiedział tata poważnym tonem. Chłopiec skinął głową.

- To jest Empire State Building, mój ulubiony budynek w Nowym Jorku -

wyjaśnił. - A ten - ciągnął, pokazując następny rysunek - to budynek zwany Flatiron. Znasz go?

- Oczywiście - uśmiechnął się ojciec. - Możemy się tam później wybrać.

Oczy Nico rozszerzyły się.

- Naprawdę?

- Naprawdę - powiedział tata. Spojrzał na Karinę, która uważnie mu się przyglądała, lekko się uśmiechając. - Właściwie to przypadkiem znam całkiem niezłą lodziarnię niedaleko budynku Flatiron. Mógłbym cię tam zabrać, jeśli mama ci pozwoli. Może ona i ciocia Cat też chciałyby pójść.

Karina uśmiechnęła się do mojego taty. Wydawało się, że o czymś myśli.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - zaproponowała - moglibyście iść tam z Nico sami. Jest coś, co chciałam pokazać Cat. Miałam to zrobić jutro, ale właściwie teraz jest idealny moment.

- O co chodzi? - zainteresowałam się.

- Dowiedziałam się od Gillian z galerii o miejscu, którego właściciel kupił

aż osiemnaście twoich fotografii w formacie pięćdziesiąt na siedemdziesiąt centymetrów i użył ich do wystroju wnętrza - wyjaśniła. -

Pomyślałam, że może chciałabyś je zobaczyć.

Serce mi zabiło. Specjalnie unikałam galerii, ponieważ nie chciałam zdradzać, że to ja jestem Audrey H. Yerdicchio.

- Nikt nie musi wiedzieć, że to ty - zapewniła mnie Karina, najwyraźniej czytając w moich myślach. - Ale uważam, że fajnie będzie zobaczyć całą salę pełną twoich zdjęć. Nie uważasz?

Zawahałam się. Milczałam wystarczająco długo, by tata zdążył

stanowczo powiedzieć:

- Tak, Cat chętnie z tobą pójdzie. - Rzucił mi znaczące spojrzenie i dodał:

- Powinnaś być z siebie dumna, kochanie. Idź i baw się dobrze.

- Sama nie wiem - powiedziałam z wahaniem.

- Spójrz na to z innej strony - zaproponował tata. - Jeśli nie pójdziesz, przeszkodzisz nam w męskim wypadzie. A Nico i ja mamy przed sobą poważną lodową ucztę.

Nico roześmiał się i mój ojciec przybił mu piątkę. Świetnie dogadywał się z chłopcem, a Nico najwyraźniej również szybko poczuł do niego sympatię. Naprawdę wspaniale było móc to widzieć. Spojrzałam na Karinę i wzruszyłam ramionami.

- Dobrze - zgodziłam się niechętnie.

- Świetnie - ucieszyła się. - Idź się ubrać. Spojrzałam na swoje sprane dżinsy i koszulkę, które założyłam po powrocie z parku.

- Nie jestem ubrana? Westchnęła komicznie.

- Musisz wyglądać lepiej niż teraz, żeby zobaczyć swoje zdjęcia na wystawie po raz pierwszy. Szturchnęła mnie i uśmiechnęła się szeroko. -

Okaż trochę szacunku.

Pożegnałam się więc z Nico i tatą, który obiecał, że nie pozwoli chłopcu zjeść zbyt dużo lodów. Nico przed wyjściem objął mnie ramionami i wyszeptał mi do ucha:

- Lubię twojego tatę, *zia* Cat.

- Dobrze - wyszeptałam również. - Możesz go sobie pożyczać, kiedy tylko zechcesz, maluchu.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, pocałował swoją mamę na pożegnanie, wziął za rękę mojego tatę i wyszli.

Kiedy już poszli, wykonałam polecenie Kariny i przebrałam się w czarne i brandy i ulubioną szarą, kaszmirową bluzkę z długimi rękawami, która zawsze wszystkim się podobała. Po namyśle owinęłam się

również zielononiebieską chustą od cioci Giny. Zawsze miło mi się o niej myślało.

Karina skinęła głową z zadowoleniem, widząc mój strój, i nalegała, żebym zrobiła również lekki makijaż.

- Musisz wyglądać dobrze, żeby zobaczyć swoje zdjęcia - stwierdziła poważnie.

Zrobiłam zniecierpliwioną minę.

- Ale się rządysz. - W końcu zrobiłam to, co mi kazała. Kilka minut później byliśmy w taksówce ruszającej spod mojego domu.

Karina podała taksówkarzowi karteczkę z wypisanym na niej adresem.

- Dokąd jedziemy? - spytałam.

- Zobaczysz - odpowiedziała tajemniczo.

Kiedy przejeżdżałyśmy przez park, nagle ogarnęło mnie dziwne przeczucie.

- Karina? - spytałam podejrzliwie, kiedy wyjechałyśmy na West Side i kierowca skręcił w prawo. - Nie zabierasz mnie do Michaela, prawda?

- Nie - odparła niewinnie. - Mówiłam ci, że zabieram cię, żebyś zobaczyła swoje zdjęcia.

Ale kiedy skręciłyśmy w Zachodnią Dziewięćdziesiątą Trzecią i przejechałyśmy Columbus, po czym zatrzymałyśmy się przed drzwiami restauracji U Adriano, odwróciłam się i rzuciłam jej zabójcze spojrzenie.

- Karina! - wykrzyknęłam. - Spytałam cię wprost, czy zabierasz mnie do Michaela - powiedziałam. - Skłamałaś!

- Nie - odparła, nie patrząc mi w oczy. - Nie mam pojęcia, czy on tu jest, czy go nie ma.

Spojrzałam na restaurację, nic nie rozumiejąc, a potem na Karinę, która wciąż unikała mojego wzroku.

- O czym ty mówisz?

Taksówkarz odwrócił się i mruknął coś, co brzmiało jak „wysiadacie?”.

Ale zignorowałyśmy go, a licznik wciąż tykał.

- Jestem szczerą - odpowiedziała Karina po chwili. - Nie wiem, czy Michael jest tutaj czy nie. Ale chciałam, żebyś to zobaczyła.

- Mówisz mi, że Michael Evangelisti przypadkowo kupił osiemnaście moich zdjęć? - spytałam z powątpiewaniem.

Karina skinęła głową.

- Ale to nie tak, jak myślisz - powiedziała szybko. - On nie ma pojęcia, że to ty je zrobiłaś.

Patrzyłam na nią ze zdumieniem.

- Zadzwoiłam do niego parę miesięcy temu i powiedziałam, że słyszałam o nowym fotografie, który ma wystawę w galerii w SoHo -

ciągnęła. - Przysięgam, nie powiedziałam mu, że to ty. On nie ma o tym pojęcia. Kiedy był w Rzymie, mówił, że chciałby nadać restauracji więcej autentycznego włoskiego klimatu. Zadzwoiłam do niego i zasugerowałam, że może właśnie tego potrzebuje. Na początku nie wydawał się przekonany, ale obiecał, że zobaczy te zdjęcia. Gillian zadzwoniła do mnie kilka tygodni później i powiedziała, że właśnie sprzedała dużą liczbę zdjęć, osiemnaście oprawionych sztuk, właścicielowi restauracji U Adriano na Zachodniej Dziewięćdziesiątej Trzeciej.

Potrząsnęłam głową.

- Mówisz, że obejrzał zdjęcia w galerii - wydusiłam powoli - i ze wszystkich fotografii, które tam wiszą, wybrał osiemnaście moich?

Karina powoli skinęła głową.

- Niesamowite, prawda? Nieważne, czy zobaczysz Michaela i czy z nim porozmawiasz. Powinnaś zobaczyć swoje zdjęcia wystawione w odpowiedni sposób.

Myślałam gorączkowo. Czułam się zagubiona. Nie wiedziałam, co robić ani jak się czuć. Spojrzałam niepewnie na Karinę.

- Wiem, że to nie jest przypadek - powiedziała po chwili -ponieważ to ja zasugerowałam mu, żeby poszedł do galerii. Ale przysięgam, nie powiedziałam mu nic o tobie. Czy to czegoś nie oznacza, że postanowił

otoczyć się sztuką, którą ty stworzyłaś? - Zawahała się i dodała: - Teraz za każdym razem, kiedy widzi Rzym, patrzy na niego twoimi oczami.

Westchnęłam. Spojrzałam na wejście do U Adriano. Potem znów popatrzyłam na Karinę.

- Dobrze - powiedziałam cicho. - Chodźmy.

Karina uśmiechnęła się szeroko i wysiadła z samochodu, podczas gdy ja płaciłam mamroczącemu coś pod nosem taksówkarzowi. Wysiadłam powoli i stałam na chodniku chwilę, kiedy taksówka już odjechała.

Patrzyłam na restaurację. Nie wiedziałam, dlaczego tak bardzo się boję.

Lubiłam Michaela -bardzo. Gdyby nie to głupie nieporozumienie, być może zaczęłabym umawiać się z nim kilka miesięcy temu. Ale teraz czułam się niepewnie. Czy nienawidził mnie za to, że byłam dla niego taka niemiła i to nie na jednym, ale na dwóch kontynentach? A jeśli wciąż mnie lubił, czy był jeszcze wolny? Może umawiał się już z kimś innym i pozwalając sobie na nadzieję, byłam na prostej drodze do złamanego serca. A nawet jeśli nikogo nie miał, czy naprawdę tego chciałam?

Związek z wdowcem, który ma córkę, to trudna sprawa. Co, jeśli nie był

gotowy albo jego córka od razu by mnie znienawidziła?

- Będiesz tu stała i myślała o tym wszystkim, co powoduje, że nie powinnaś wchodzić do środka? - spytała Karina. - Czy zachowasz się jak dorosła osoba i przejdziesz przez te drzwi, żeby zobaczyć efekty swojej ciężkiej pracy?

- Yyy - wydusiłam. Wciąż się zastanawiałam. - To drugie... chyba.

- Świetnie. - Karina złapała mnie za rękę i wciągnęła do restauracji.

Kelnerka - ta sama dziewczyna, która powiedziała mi, że do Michaela dzwoniła teściowa, i nie kwapiła się z wyjaśnieniami - zmierzyła nas spojrzeniem ze znudzonym wyrazem twarzy.

- Stolik dla dwóch osób? - spytała.

- Nie - natychmiast odpowiedziała Karina. - Chcemy tylko się przejść po restauracji i obejrzeć zdjęcia, które wiszą na sali.

Dziewczyna zrobiła balon z gumy.

- Nie wiem, czy to jest dozwolone. Karina spojrzała na nią surowo.

- Znam właściciela - powiedziała. - Jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciwko temu.

Znów wzięła mnie pod ramię i zaciągnęła do głównej sali restauracyjnej, zanim kelnerka zdążyła zaprotestować.

Kiedy tylko przeszliśmy przez drzwi, obie stanęliśmy jak wryte.

Sala wyglądała zupełnie inaczej niż ostatnim razem, kiedy tu byłam.

Zniknęły nijakie kopie starych włoskich obrazów, tak samo jak sztuczne winorośle i kiście winogron, które wisały na ścianach. Całe wnętrze zostało całkowicie zmienione. W oknach powieszono zasłony z uroczego czarnego aksamitu. Obrusy również były czarne, co dawało świetny efekt w kontraście z ceglanyścianami.

Ale największa różnica polegała na tym, że w całej sali znajdowały się moje zdjęcia, po sześć na trzech kolejnych ścianach. Ponieważ były czarno-białe, naprawdę robiły kolosalne wrażenie.

Przez chwilę stałam nieruchomo, patrząc na wykonane przez siebie prace.

Nigdy nie widziałam ich zgromadzonych, a już na pewno nie w takich rozmiarach. Były oprawione w błyszczące, czarne drewniane ramki ze srebrną obwódką.

Nasilało to wrażenie, że fotografie są czarno-białymi, wyraźnymi kadrami z filmów. Kiedy patrzyłam na ściany, czułam się tak, jakbym ponownie przeżywała swój miesiąc w Rzymie.

Rozpoznałam zdjęcie Mostu Świętego Anioła i dwa aniołki na fontannie di Trevi. Kilka kadrów przedstawiało Forum i kawiarnię na Piazza Venezia. Było też zdjęcie Panteonu i dwa brzegu rzeki Tyber. Na trzech fotografiach widać było Watykan, na jednym Usta Prawdy, co oczywiście przypomniało mi o *Rzymskich wakacjach* i o Marco. Było też kilka ujęć mieszkańców miasta zajmujących się swoimi zwyczajnymi sprawami.

Dwóch mężczyzn grało w szachy przed piekarnią niedaleko apartamentu Kariny. Trzy starsze kobiety szły ulicą, utykając, a dwie nastolatki pochylały się do siebie, plotkując o chłopaku, który przechodził obok.

Najbardziej uderzające były jednak dwa zdjęcia wiszące obok siebie na środku tylnej ściany.

Jedno z nich przedstawiało małego chłopca, grającego w piłkę w parku.

Nie było widać jego twarzy, a ponieważ zapadał już zmierzch, trudno było dopatrzeć się jakichś wyróżniających go szczegółów.

- To Nico, prawda? - spytała miękko Karina. Skinęłam głową.

- Tak - powiedziałam. Dziwne było oglądać go na ścianie restauracji Michaela.

Ale jeszcze dziwniej było zobaczyć zdjęcie wiszące obok. Była to fotografia ciotki Giny, która myła okno sklepu tego dnia, gdy ją poznałam. Właśnie się odwróciła, jakby wiedziała, że ktoś ją obserwuje.

Jej wzrok spotkał się z moim w soczewce aparatu tuż przed naciśnięciem migawki, gdy robiłam ostatnie zdjęcie i odwróciłam się, udając, że zajęłam się czymś innym. Oczywiście widziałam to zdjęcie wcześniej na ekranie komputera, zanim zgodziłam się, żeby Gillian pokazała je w swojej galerii. Ale nigdy nie oglądałam go w takim powiększeniu. Nawet z daleka widać było głębokie oczy Giny, jej zmarszczki od śmiechu i od zmartwień oraz wyraz zaciekawienia na twarzy, kiedy patrzyła na nas ze zdjęcia. Zrobiłam kilka kroków do przodu, nie zwracając uwagi na osoby jedzące wokół kolację, i patrzyłam na Ginę, czując smutek na myśl, że jest tak daleko. Bardzo za nią tęskniłam.

- To jest moje ulubione zdjęcie - usłyszałam za plecami głęboki głos, który natychmiast rozpoznałam - ponieważ kobieta na zdjęciu przypominała mi ciebie.

Odwróciłam się.

- Michael - powiedziałam bezbarwnym głosem.

Znajdował się zaledwie kilka centymetrów ode mnie i przyglądał mi się uważnie. Obejrzałam się w poszukiwaniu Kariny, która stanęła w odległym kącie sali i patrzyła na nas z rozbawieniem. Życzyła mi powodzenia, unosząc w górę kciuki.

- Hej - powiedział po prostu.

- Hej - odpowiedziałam.

Staliśmy dłuższą chwilę, po prostu na siebie patrząc. Potem Michael mrugnął i odchrząknął. Rzucił okiem za mnie.

- Czy to Karina tam stoi? Skinęłam głową.

- Tak. Przyjechała z synem w odwiedziny. Zerknęłam w jej stronę i zdałam sobie sprawę, że zniknęła.

Wyglądał na zdziwionego.

- Nie mówiła mi, że przyjeżdża. - Zawahał się. - Wspominała o galerii, która sprzedawała te zdjęcia. Czy dlatego tu jesteś? Przyszłaś, żeby je zobaczyć?

Zawahałam się i skinęłam głową, niepewna, co powiedzieć.

- One naprawdę zmieniają wnętrze, prawda? - spytał, rozglądając się wokół i patrząc na fotografie.

Ponownie skinęłam głową, ale wciąż nic nie mówiłam. Nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. Staliśmy, przyglądając się sobie.

- Tak, a więc wszystko u ciebie w porządku? - spytał w końcu Michael. -

Hm, minęło trochę czasu.

Widziałam, że czuje się tak samo niezręcznie jak ja. Było w tym coś pocieszającego.

- Dostałam twoją wiadomość - wypaliłam zniecka. -Przepraszam, że nie zadzwoniłam. Po prostu... Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czułam, jakbym wszystko spaprała, ponieważ cię nie słuchałam. Ale nie byłam gotowa. Nie byłam gotowa na nic. Nie byłam gotowa na to, co mogłoby się wydarzyć, gdybym zadzwoniła. Wiem, że to był błąd, ale nie wiedziałam, co zrobić.

Kiedy już otworzyłam usta, poczułam, że z serca spadł mi jakiś ciężar.

Motyłki w brzuchu powróciły i czekałam, co odpowie Michael. Kiedy już powiedziałam prawdę, przyznałam, że popełniłam błąd, poczułam się tak, jakbym ponownie otworzyła przed nim drogę do mojego serca. Dawałam mu do ręki moc odrzucenia mnie. To było straszne.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Ja też przepraszam, że tamtej nocy nie próbowałem ci wszystkiego lepiej wyjaśnić. - Zamilkł i zastanawiał

się chwilę. - Chyba również nie byłem gotów. Chciałem być. Ale nie byłem. Myślę, że w głębi duszy wiedziałem o tym.

- Och - westchnęłam cicho. Nie byłam pewna, co to znaczy. Czy wciąż nie był gotowy? Czy wciąż się bał?

- Ale teraz już jestem - dodał po chwili. - Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Ja chyba też - powiedziałam miękko.

Staliśmy tak jeszcze jedną niezręczną chwilę. Restauracja wokół nas jakby zniknęła. Był tylko Michael i

ja w naszej prywatnej, małej bańce.

- Właściwie to podoba mi się stanie tutaj - stwierdził nagle. Wiedziałam, że próbuje sprawić, by znikło zakłopotanie, które oboje czuliśmy. Żadne z nas nie wiedziało, co teraz

powiedzieć. - Czuję się trochę, jakbym był w Rzymie - dodał. Zawahał

się, a kiedy nie odpowiedziałam, powiedział: - Ale to chyba brzmi trochę głupio.

- Nie - odparłam. - Wcale. Te zdjęcia mają sprawić, że tak właśnie się poczujesz.

Roześmiał się.

- Mówisz tak, jakbyś znała fotografa. Spojrzałam na niego uważnie.

- Znam - odpowiedziałam cicho. Nie wiedziałam, czy powiedzieć mu prawdę. Ale nagle poczułam, że tego chcę. Byłam dumna i cieszyłam się, że poczuł coś takiego, patrząc na zdjęcia, które zrobiłam. - To ja.

- Co? - spytał Michael. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Fotograf - wyjaśniłam. - To ja. Ja zrobiłam te zdjęcia. Patrzył na mnie jeszcze bardziej skonsternowany.

- Co? Nie. To fotografka imieniem Audrey coś tam. Nowy talent, jak powiedziała właścicielka galerii.

- Audrey Verdicchio - przypomniałam mu.

- Właśnie tak. - Michael strzelił palcami. - Skąd to wiesz? Wzięłam głęboki wdech.

- Audrey Verdicchio, tak nazywała się moja mama - powiedziałam. -

Kiedy zdecydowałam się z pomocą Kariny spróbować sprzedać kilka zdjęć, które zrobiłam w Rzymie, postanowiłam użyć jej imienia. Nie chciałam, by ktokolwiek wiedział, że to ja.

Patrzył na mnie. Potem rozejrzał się po zdjęciach wokół, aż trafił

wzrokiem na to, które określił jako swoje ulubione.

- A ta kobieta na zdjęciu? - spytał.

- To moja ciotka Gina - odpowiedziałam. - Prawdopodobnie dlatego przypominała ci mnie.

- Mój Boże - westchnął Michael cicho. Potrząsnął głową. Potem znów spojrzył na mnie, a po chwili powoli zaczął się uśmiechać. W końcu roześmiał się głośno.

- A więc cały ten czas byłem przez ciebie otoczony. Dosłownie.

Ja też się roześmiałam. Właściwie, jeśli o tym pomyśleć, było to naprawdę zabawne.

- Na to wygląda - rzuciłam.



- Cóż - stwierdził - zazwyczaj nie wierzę w znaki. Ale w tym musi być jakaś wiadomość od losu. Nie uważasz?

Zawahałam się, po czym skinęłam głową.

- Tak więc ryzykując, że wyjdę na idiotę - powiedział - chciałbym zapytać, czy nie umówiłabyś się ze mną ponownie? Jeśli przysięgnę, że naprawdę nie jestem żonaty? Nie byłem na ani jednej randce od tamtej katastrofy z tobą.

- Cóż, nie cała randka była katastrofą - stwierdziłam, uśmiechając się lekko.

- Nie, nie cała - zgodził się. - Ale zakończenie było fatalne. Skinęłam głową i spuściłam wzrok.

- Przepraszam - powiedziałam. - Naprawdę cię przepraszam. Myślisz, że będziemy mogli o tym kiedykolwiek zapomnieć? Czy wybaczysz mi moje głupie zachowanie?

Michael długo nie odpowiadał i pomyślałam, że powie „nie”. Ale wreszcie odezwał się spokojnym tonem.

- Może nie chodzi o wybaczenie i zapominanie - zastanowił się na głos. -

Może chodzi o pamiętanie i chęć rozpoczęcia wszystkiego od początku.

- Nawet, jeśli mielibyśmy zostać zranieni - dodałam miękko. Myślałam o swoich rodzicach. Wiele teraz rozumiałam, chociaż mnóstwa spraw prawdopodobnie nigdy nie pojmem.

- Czasami warto zaryzykować - powiedział Michael. Wziął mnie za rękę.

- Nie uważasz?

Spojrzałam mu w oczy i po raz pierwszy od dawna miałam poczucie, że jestem dokładnie tam, gdzie powinnam być. Również się uśmiechnęłam i patrzyłam mu w oczy tak długo, aż w brzuchu znów zatańczyły mi motyle.

- Tak - powiedziałam w końcu. - Tak uważam.

# OD AUTORKI

Kilka lat temu, kiedy spędzałam lato w Europie razem ze swoją przyjaciółką Karą, pojechałyśmy do Włoch. Ten kraj zawładnął moją wyobraźnię - nie wspominając już o kubkach smakowych! - i niektóre nasze przygody trafiły nawet do tej książki. Naprawdę spotkałam mężczyznę, który próbował przekonać mnie, żebym poszła z nim do domu, i oglądając mnie bezwstydnie z góry na dół oraz unosząc sugestywnie brwi, mówił: „Kristin! Posłuchaj swojego ciała!”

(powiedziałam mu: „Słucham swojego ciała. Mówi »nie«”). Włoski zespół muzyczny śpiewający covery wydawał się z premedytacją kaleczyć słowa moich ulubionych angielskojęzycznych piosenek - nieźle uśmiełyśmy się z nich z Karą. Także Marco Cassan to postać prawdziwa, był menadżerem restauracji w Wenecji. Zabrał mnie na jedną z najbardziej niezapomnianych podróży mojego życia - pięciodniową wyprawę kulinarną przez Toskanię. Mieszkaliśmy wówczas w zaadaptowanej z gospodarstwa wiejskiego winnicy, w której produkowano chianti. Jedliśmy w najwspanialszych lokalnych restauracjach (wciąż czuję smak mięsistego chleba maczanego w oliwie w Siennie, soprassetty w San Gimignano oraz wina i świeżego chleba z cytryną i makiem,

którymi delektowaliśmy się na wsi, patrząc o zmierzchu na ciągnące się w nieskończoność pola słoneczników). Dla mnie wspomnienia z Włoch oznaczają przede wszystkim wspaniałe jedzenie i ten rodzaj romansu, który napełnia nadzieją. Pragnęłam wysłać Cat w podobną podróż.

Ale Rzym zanurzony jest w historii i chciałam ten aspekt również przedstawić w powieści. I chociaż historia świata mnie fascynuje, zwłaszcza w takich miastach jak Rzym czy Wenecja, gdzie ślady przeszłości widać na każdym kroku, pomyślałam, że dla Cat większe znaczenie będzie miała jej własna historia, tyle że w scenerii pełnej starożytnych budynków.

Dlaczego? Ponieważ im staję się starsza, tym bardziej jestem świadoma, jak bardzo ukształtowała mnie własna przeszłość i jak wielki wpływ na każdego z nas mają minione wydarzenia. Ważne jest również to, w jaki sposób je postrzegamy i jak sobie z nimi radzimy. Nieporozumienia, zranione uczucia i poczucie zdrady mogą ciągnąć się za nami całe życie i zmienić to, kim się stajemy - jeśli im na to pozwolimy.

W tej książce na życie Cat bardzo silnie wpłynął fakt, że opuściła ją matka, i kiedy pisałam jej historię, zaczynałam rozumieć, jak bardzo we mnie tkwi przeszłość. Odkryłam, że miałam sporo złych wspomnień i uczuć, które schowałam w zakamarkach swojego umysłu. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo wpłynęły one na to, kim się stałam.

Cat dochodzi do tego samego wniosku. Dopóki nie poradzi sobie z przeszłością, nie będzie gotowa iść do przodu. Ja również próbuję zrobić to samo.

Mam nadzieję, że dzięki tej powieści pomyślicie o tym, jak bardzo wpłynęła na was przeszłość. Zastanowicie się również, jak poradzić sobie z poczuciem krzywdy, i znajdziecie więcej siły, by kształtować waszą przyszłość w pozytywny sposób. Czasami, gdy pozbedziemy się już dręczących duchów przeszłości, zupełnie niespodziewanie odkrywamy, że to, czego szukaliśmy, cały czas było tuż przed naszym nosem.

Dowiecie się więcej o mnie i o moich powieściach (*The Art of French Kissing*, *The Blonde Theory*, *How to Sleep with a Movie Star* i powieści dla nastolatków *When You Wish*) na stronie internetowej

Miłej lektury! Być może spotkamy się pewnego dnia w Rzymie nad kieliszkiem chianti!

*"Kristin*

### **5 przepisów zainspirowanych *Moimi rzymskimi wakacjami***

Wśród rzeczy, które lubię w Rzymie najbardziej, jest jedzenie! Ponieważ tak wiele wydarzeń w *Moich rzymskich wakacjach* koncentruje się wokół

jedzenia i ludzi, którzy je przyrządzają, pomyślałam, że podzielę się przepisami na pięć dań, które przygotowuję w domu i które Cat spożywa w powieści.

# Serowe fondue z Wielkiej Chochli

Cat wybiera się na randkę do fikcyjnej Wielkiej Chochli, restauracji w Nowym Jorku serwującej fondue. Jedzą z Michaeliem Evangelisti fondue serowe i popijają je sauvignon blanc. Możesz spróbować przyrządzić tę potrawę w domu.

Porcja dla 4-6 osób

## SKŁADNIKI

- 1,5 szklanki (340 g) startego sera gruyère
- 1,5 szklanki (340 g) utartego sera szwajcarskiego 350
- 1 łyżka stołowa mąki
- 1 1/4 szklanki wina sauvignon blanc
- szczypta czosnku w proszku
- odrobina sosu **Worcestershire**

Utarte sery wymieszaj w dużej misce. Posyp je mąką. Wino podgrzej w średniej wielkości rondlu na średnim ogniu. Stopniowo dodawaj do wina mieszankę serów, ciągle mieszając, aż do całkowitego roztopienia się i powstania gładkiej masy. Dodaj czosnek i sos Worcestershire. Przelej masę serową do naczynia do fondue i trzymaj nad małym podgrzewaczem lub użyj specjalnego paliwa do fondue.

Podawaj z niewielkimi kawałkami pieczywa (ja lubię zwłaszcza bulkę i pumpernikielO, selerem naciowym, marchewką oraz kawałkami jabłka.

Podaj do dania resztę sauvignon blanc.

**Rzymskie pomidory nadziewane ryżem a la Squisito** Kiedy moja przyjaciółka i ja byliśmy w Rzymie kilka lat temu, jadłyśmy w restauracji niedaleko stacji kolejowej Roma Termini zimne pomidory nadziewane ryżem. Były tak dobre, że następnego dnia nie poszłyśmy obejrzeć fontanny di Trevi, tylko udałyśmy się do restauracji na kolejną porcję! Ten przepis to lekko zamerykanizowana, ale szybka i łatwa do zrobienia wersja, idealna na kolację w tygodniu. (Na marginesie dodam, że kelner właśnie z tej restauracji próbował użyć w stosunku do mnie tekstu: „Słuchaj swojego ciała”, podobnie jak ktoś wobec Cat w powieści). W książce Cat i Nico jedzą pomidory nadziewane ryżem w Squisito, restauracji, gdzie pracuje Karina.

Porcja dla 6 osób

## SKŁADNIKI

- 6 dużych, dojrzałych pomidorów
- 1,5 szklanki ugotowanego ryżu (używam ryżu instant lub białego ryżu, który pozostał z poprzedniego

dnia)

- 1,5 szklanki sosu pomidorowego
- 2 posiekane ząbki czosnku i odrobina czosnku w proszku
- 10 świeżych, posiekanych liści bazylii
- 1 łyżeczka suszonego oregano
- 1 łyżeczka soli
- pół łyżeczki pieprzu
- oliwa z pierwszego tłoczenia

Rozgrzej piekarnik do temperatury 190 stopni C. Odetnij czubki pomidorów i wydrąż środki, zostawiając nietknięte ścianki.

Zachowaj czubki. Wyrzuć pestki, a miąższ pomidora pokrój i wrzuć do miski. Dodaj ugotowany ryż, sos pomidorowy, posiekany czosnek, czosnek w proszku, bazylię, oregano, sól i pieprz. Dobrze wymieszaj. Wypełnij każdego pomidora jedną szóstą ryżowego farszu. Przykryj obciętymi wcześniej czubkami. Ułóż pomidory w naczyniu żaroodpornym wysmarowanym olejem i skrop niewielką ilością oliwy, palcami rozprowadź ją po wierzchu. Piecz 12-15

minut, aż pomidory staną się miękkie, gorące i dobrze upieczone.

Podawaj od razu albo po schłodzeniu na zimno. Cat spożywa je na zimno z sałatką oraz kieliszkiem prosecco. To idealny letni lunch.

# Pizza Panteon Margherita

Nie znasz pizzy, dopóki nie spróbowałeś jej we Włoszech. To przepis na uproszczoną wersję tego dania. Jest prosty i szybki, a poza tym gwarantuję, że ma znacznie więcej wspólnego z Włochami niż jakakolwiek pizza na wynos albo z dowozem do domu. W książce Karina i Cat jedzą margheritę w knajpce w okolicach Panteonu.

Porcja dla 4 osób

## SKŁADNIKI

- 1 uprzednio przygotowany spód do pizzy
- oliwa
- 6 podłużnych pomidorków pokrojonych w cienkie plasterki i osuszonych na ręczniku papierowym
- pół szklanki świeżych, podartych na kawałki listków bazylii
- 110-170 g świeżej bawolej mozzarelli (pakowanej wraz z płynem), pokrojonej w cienkie plasterki
- sól i pieprz

Jeśli używasz mrożonego ciasta na pizzę, przygotuj je zgodnie z instrukcją na opakowaniu i ostudź tak, by móc go dotykać i nie poparzyć się. Rozgrzej piekarnik do 250 stopni C. Połóż ciasto na blasze, a potem skrop je oliwą i palcami rozprowadź ją równomiernie po cieście. Rozłóż na cieście plasterki pomidorów.

Przykryj tak dużą część ciasta, jak to możliwe. Rozrzuć liście bazylii. Przykryj pomidory i bazylię cienko pokrojonymi plasterkami mozzarelli. Skrop jeszcze odrobiną oliwy z oliwek, a potem posyp solą i pieprzem do smaku. Piecz w dole piekarnika 8-10 minut, pilnując, by ser się nie spalił.

Lekko ostudź, pokrój i podawaj z sałatką. W książce Karina i Cat popijają pizzę chianti.

**Kremowe risotto Kariny ze szparagami, cukinią i miętą** Zawsze uwielbiałam risotto, ale nie próbowałam dodawać do niego mięty, dopóki nie wybrałam się w zeszłym roku do Pittsburgha w Pensylwanii na wesele mojej serdecznej koleżanki Kristen. Poszliśmy na obiad do włoskiej restauracji.

Zamówiłam risotto dnia i nie mogłam się nadziwić, jakie było wspaniałe. W powieści Karina łączy smak szparagów, cukinii i mięty w pyszne, soczyste zielone risotto, idealne na lato. Pasuje ono doskonale do sałatki i chrupiącego włoskiego pieczywa (można też podawać je z panzanellą - zobacz następny przepis).

Ta wersja risotta jest efektem wielu prób i błędów popełnionych w mojej wypačkanej szparagami kuchni.

Porcja dla 4-6 osób

## SKŁADNIKI

• 680 g szparagów z odciętymi i zachowanymi na później koń-

cówkami

- 1 łyżka stołowa masła
- 1 duża posiekana cukinia
- 4 szklanki bulionu z kurczaka
- 3 łyżki oliwy z oliwek
- pół posiekanej, białej cebuli
- 2 posiekane ząbki czosnku
- 1 3/4 szklanki ryżu arborio
- pół szklanki wytrawnego białego wina
- 2 łyżki stołowe dobrze posiekanej, świeżej mięty
- pół szklanki parmezanu
- sól i pieprz

W średniej wielkości rondlu gotuj we wrzątku 2 minuty końcówki szparagów. Wyjmij je cedzakiem i odłóż na bok. Posiekaj pozostałe szparagi na mniejsze kawałki, odrzucając twarde końcówki łodyżek. Gotuj w tym samym rondlu 12 minut, aż staną się bardzo miękkie. Zmiksuj ugotowane szparagi z jedną czwartą kubka wody na puree w malakserze lub za pomocą blendera. Odstaw na bok.

Wylej wodę z rondla. W tym samym rondlu stop masło na średnim ogniu i podduś cukinię, aż trochę zmięknie. Wyjmij i odłóż na bok.

Umyj rondel, po czym użyj go do zagotowania rosółu z kurczaka.

Zmniejsz gaz, tak by płyn tylko lekko bulgotał. W tym czasie w du-

żym rondlu rozgrzej na średnim ogniu oliwę z oliwek. Dodaj cebulę i podsmażaj przez pięć minut, aż zmięknie. Potem dodaj czosnek i smaż kolejne 2 minuty. Dodaj ryż i wymieszaj go z oliwą, czosnkiem i cebulą, a potem podsmażaj 2 minuty, ciągle mieszając. Wlej do garnka wino i gotuj, nieustannie mieszając, aż wino całkowicie się wchłonie. Powinno to zająć około 3-4 minut.

Chochlą nabierz 1/4 gorącego bulionu z kurczaka, dodaj do ryżu i mieszaj nieustannie, aż wywar całkiem się wchłonie. Wciąż dodawaj rosół, jedną lub dwie chochle za każdym razem. Mieszaj, aż płyn całkowicie się wchłonie. Dopiero wtedy dodawaj kolejną porcję bulionu. Po około 15 minutach spróbuj ryż. Powinien być delikatny, choć wciąż odrobinę twardy. Mniej więcej 20 minut po tym, gdy zaczęłaś dolewać bulion (do tego czasu powinnaś zużyć prawie cały), dodaj puree ze szparagów i gotuj jeszcze 3 minuty.

Dorzuć końcówki szparagów i ugotowaną cukinię. Gotuj kolejną minutę.

Zdejmij z ognia i natychmiast dodaj świeże liście mięty, parmezan, sól i świeżo zmielony pieprz. Mieszaj, aż ser się roztopi.

Podawaj z białym winem. Możesz nawet spróbować wina verdi-cchio. Pochodzi z tego samego regionu, co rodzina Cat.

## **Sałatka panzanellą Kariny**

Nie ma lepszego sposobu na wykorzystanie wczorajszej bułki niż zrobienie z niej świeżej sałatki chlebowej panzanellą. Oto prosta i szybka wersja tego dania. Karina podaje ją podczas pożegnalnej kolacji dla Cat w Rzymie.

Porcja dla 6 osób

### **SKŁADNIKI**

- 6 szklanek wczorajszego chleba (najlepiej nadaje się do tego chleb lekko twardy i czerstwy), porwanego na kawałki albo pokrojonego w kostkę
- pół szklanki oliwy z oliwek podzielonej na dwie porcje
- 4 posiekane ząbki czosnku
- sól i pieprz
- 2 łyżki stołowe octu balsamicznego
- 2 szczypty czosnku w proszku
- 5 średnich pomidorów pokrojonych w ósemki
- 12 świeżych posiekanych liści bazylii
- 1 średnia czerwona cebula pokrojona tak cienko, jak to tylko możliwe Rozgrzej piekarnik do 200 stopni C. W wielkiej misce wymieszaj razem kawałki chleba, 1/4 szklanki oliwy, posiekany czosnek, sól i pieprz.

Przykryj blachę folią aluminiową lub papierem do pieczenia i rozrzuć na niej równomiernie pieczywo wymieszane z przyprawami. Piecz, aż stanie się chrupiące, czyli około 7-10 minut. Wyjmij blachę z piekarnika i ostudź

chleb.

W tym czasie połącz pozostałą oliwę, ocet balsamiczny i czosnek w proszku. Ostaw na bok.

W dużej misce wymieszaj pomidory, bazylię, cebulę, chleb i sos vinaigrette. Odstaw na 10 minut, ponownie wymieszaj i podawaj.



Smacznego!

# Table of Contents

[Rozpocznij](#)